



JOHN
GRISHAM

WYSPA
CAMINO

ZUCHWAŁA KRADZIEŻ BEZCENNYCH RĘKOPISÓW
I POCZĄTKUJĄCA PISARKA, KTÓRA MUSI WNIKNĄĆ
W ŚWIAT ZŁODZIEI W BIAŁYCH RĘKAWICZKACH.

ALBATROS

JOHN
GRISHAM
WYSPA
CAMINO

Z angielskiego przełożył
JAN KRAŚKO

ALBATROS
Wydanie elektroniczne

Spis treści

[Rozdział 1. SKOK](#)

[Rozdział 2. KSIĘGARZ](#)

[Rozdział 3. WERBUNEK](#)

[Rozdział 4. PLAŻOWICZKA](#)

[Rozdział 5. POŚREDNIK](#)

[Rozdział 6. FIKCJA](#)

[Rozdział 7. WEEKENDOWA DZIEWCZYNA](#)

[Rozdział 8. DOSTAWA](#)

[Epilog](#)

[Od autora](#)

Dla Renée
Dzięki za temat

Rozdział 1

SKOK

1

Oszust przywłaszczył sobie tożsamość Neville'a Manchina, autentycznego wykładowcy literatury amerykańskiej z Uniwersytetu Portland i przyszłego doktoranta na Uniwersytecie Stanforda. W liście, napisanym na doskonale podrobionym papierze firmowym, „Magister Manchin” podał się za początkującego badacza twórczości F. Scotta Fitzgeralda, wybierającego się wkrótce w podróż na Wschodnie Wybrzeże i bardzo chciałby zobaczyć „rękopisy oraz dokumenty” tego wielkiego pisarza. List zaadresowany do doktora Jeffreya Browna, dyrektora sekcji rękopisów Działu Ksiąg Rzadkich i Zbiorów Specjalnych w Bibliotece Firestone'a na Uniwersytecie Princeton, przyszedł wraz z kilkoma innymi. Został skrętnie zarejestrowany, przekazany dalej i w końcu trafił na biurko Eda Folka, młodszego bibliotekarza, którego obowiązkiem – wśród wielu innych monottonnych zadań – było sprawdzanie kompetencji piszących do nich osób.

Ed otrzymywał kilka takich listów tygodniowo. Pod wieloma względami wszystkie były identyczne, choć pisali je zarówno wielbiciele i samozwańcy specjaliści od twórczości Fitzgeralda, jak i – od czasu do czasu – prawdziwi naukowcy. W poprzednim roku kalendarzowym Ed sprawdził i wpuścił do biblioteki sto dziewięćdziesiąt osób. Ludzie ci przyjeżdżali z całego świata i pełni pokory wchodzili do biblioteki z szeroko otwartymi oczami, jak pielgrzymi do świątyni. Pracował na tym stanowisku od trzydziestu

czterech lat i przez ten czas widział chyba wszystkie kategorie badaczy i ciekawskich. I wcale ich nie ubywało. F. Scott Fitzgerald nie przestawał fascynować. Ruch w bibliotece był taki sam jak przed trzydziestu laty. Ostatnio jednak Ed zastanawiał się coraz częściej, czy w życiu pisarza zostało coś, nad czym by jeszcze nie ślęczano, czego by dokładnie nie przestudiowano i o czym by nie napisano. Pewien uczonek powiedział mu niedawno, że do tej pory wydano co najmniej sto książek i opublikowano ponad dziesięć tysięcy artykułów naukowych o Fitzgeraldzie jako człowieku i pisarzu, o jego twórczości i szalonej żonie.

Facet zapisał się na śmierć w wieku czterdziestu czterech lat! A co by było, gdyby wciąż pisząc, dożył późnej starości? Ed potrzebowałby asystenta, jednego albo dwóch, a może nawet całego zespołu. Z drugiej strony wiedział jednak, że przedwczesna śmierć jest często kluczem do późniejszego uznania (nie wspominając już o wyższych tantiemach).

Po kilku dniach zajął się w końcu listem od magistra Manchina. Przejrzawszy szybko biblioteczny rejestr, zorientował się, że jest to nowa postać i nowa prośba. Kilku weteranów było w Princeton tyle razy, że po prostu dzwoniли do niego i mówili: „Cześć, będę w przyszły wtorek”, przeciwko czemu Ed nie protestował. Co innego z Manchinem. Wszedł na stronę internetową Uniwersytetu Portland i tam go znalazł. Licencjat z literatury amerykańskiej na Uniwersytecie Stanu Oregon, magisterium na Uniwersytecie Kalifornijskim w Los Angeles, od trzech lat wykładowca kontraktowy. Początki brody, prawdopodobnie tymczasowej, wąskie okulary bez oprawek – na zdjęciu wyglądał jak zwyczajny młody, mniej więcej trzydziestopięcioletni, mężczyzna.

W swoim liście prosił o odpowiedź na prywatny adres mailowy, bo – jak twierdził – na służbowy rzadko zagląda. Pewnie dlatego, że jesteś tylko mało ważnym wykładowcą na kontrakcie i nie masz własnego gabinetu, pomyślał Ed. Takie myśli nachodziły go często, choć oczywiście był zbyt doświadczonym profesjonalistą, żeby się nimi dzielić. Następnego dnia z czystej ostrożności wysłał odpowiedź na służbowy adres Manchina, dziękując za list i zapraszając go do Princeton. Spytał także o przybliżoną datę jego wizyty i wyłożył kilka podstawowych zasad obowiązujących gości

pragnących obejrzeć zbiór rękopisów i dokumentów F. Scotta Fitzgeralda. Było ich tyle, że zasugerował, aby pan magister zapoznał się z nimi na stronie internetowej biblioteki.

Otrzymał automatyczną odpowiedź z informacją, że przez kilka dni Manchin będzie nieosiągalny. Jeden ze współników fałszywego wykładowcy spenetrował uniwersytecką sieć komputerową na tyle głęboko, że udało mu się pomajstrować w serwerze wydziału anglistyki; dla wytrawnego hakera to nic trudnego. On i podszywający się pod Manchina oszust natychmiast dowiedzieli się, że biblioteka odpowiedziała.

Trudno, pomyślał Ed i nazajutrz wysłał ten sam list na prywatny adres mailowy pana magistra. Manchin odpowiedział już niecałą godzinę później, dziękując mu entuzjastycznie, zapewniając, że nie może się już doczekać, że dokładnie przestudiował biblioteczną stronę internetową, spędził wiele godzin w cyfrowym archiwum twórczości Fitzgeralda, oraz informując, że od lat jest posiadaczem wielotomowej serii wiernych reprodukcji rękopisów tego autora i że szczególnie interesują go recenzje jego pierwszej powieści, *Po tej stronie raj*.

Świetnie, pomyślał Ed. Skąd ja to znam? Facet próbował mu zaimponować, zanim się jeszcze zobaczyli, w czym nie było nic niezwykłego.

2

F. Scott Fitzgerald wstąpił na Uniwersytet Princeton jesienią 1913 roku. Miał wtedy szesnaście lat, marzył o napisaniu wielkiej amerykańskiej powieści, a nawet zaczął już pisać pierwszą wersję *Po tej stronie raj*. Cztery lata później rzucił studia, aby zaciągnąć się do wojska i pójść na wojnę, lecz nie zdążył, ponieważ wojna się skończyła. Jego arcydzieło, *Wielki Gatsby*, ukazało się w 1925 roku, lecz zyskało popularność dopiero po śmierci autora. Niemal przez całe życie zawodowe Fitzgerald zmagał się z kłopotami finansowymi, a w 1937 roku wyjechał do Hollywood, gdzie pisał kiepskie scenariusze, podupadając na zdrowiu i zaniedbując pracę

twórczą. Dwudziestego pierwszego grudnia 1940 roku zmarł na atak serca spowodowany wieloletnim nadużywaniem alkoholu.

W 1950 roku Scottie, córka i jedyne dziecko Fitzgeralda, podarowała jego rękopisy, notatki oraz listy – tak zwane „papiery” –

Bibliotece Firestone’a należącej do Uniwersytetu Princeton. Ponieważ pięć pierwszych powieści napisał ręcznie na szybko niszczącym tanim papierze, biblioteka stwierdziła, że udostępnianie ich badaczom byłoby niezbyt mądre. Dlatego sporządzono wysokiej jakości faksymile, a oryginały zamknięto w podziemnym skarbcu o starannie kontrolowanym oświetleniu, temperaturze i wilgotności. Po 1950 roku wyjmowano je stamtąd tylko kilka razy.

3

Mężczyzna podający się za magistra Neville’a Manchina przyjechał do Princeton pięknego jesiennego dnia na początku października. Skierowano go do Działu Ksiąg Rzadkich i Zbiorów Specjalnych, gdzie poznał Eda Folka i gdzie ten przekazał go swojemu pomocnikowi, żeby sprawdził i skopiował jego oregońskie prawo jazdy. Prawo jazdy było oczywiście fałszywką, lecz fałszywką doskonałą. Fałszerz i jednocześnie haker, ten sam, który majstrował przy serwerze wydziału anglistyki, miał za sobą przeszkolenie w CIA i długą karierę w mrocznym świecie prywatnego szpiegostwa. Złamanie zabezpieczeń uniwersyteckiej sieci internetowej nie stanowiło dla niego większego problemu.

Magister Manchin został następnie sfotografowany, po czym wydano mu identyfikator, który miał stale nosić na widoku. Pomocnik bibliotekarza zaprowadził go na pierwsze piętro gmachu, do dużej sali, gdzie stały dwa długie stoły, a pod ścianami rzędy stalowych szafek z zamkniętymi szufladami. Manchin wypatrzył co najmniej cztery kamery w kątach pod sufitem – cztery, które miały być widoczne. Podejrzewał, że są tam i inne, dobrze ukryte. Próbował wdać się w pogawędkę z towarzyszącym mu opiekunem, lecz ten nie należał do zbyt rozmownych. Kiedy Manchin zapytał

żartem, czy mógłby obejrzeć oryginalny rękopis *Po tej stronie raju*, pomocnik bibliotekarza uśmiechnął się z wyższością i odparł, że to niemożliwe.

– A pan? – spytał Manchin. – Widział pan oryginały?

– Tylko raz.

Czekał chwilę na ciąg dalszy, lecz go nie było.

– Przy jakiej okazji?

– Pewien słynny naukowiec chciał je zobaczyć – wyjaśnił tamten.

– Zeszliśmy z nim do skarbcza, ale ich nie dotykał. Może to robić tylko główny bibliotekarz i tylko w specjalnych rękawiczkach.

– Naturalnie. Cóż, zatem bierzmy się do roboty.

Pomocnik otworzył dwie wielkie szuflady opatrzone napisem *Po tej stronie raju*, w których leżały duże, grube notesy.

– W tych są pierwsze recenzje – powiedział. – Mamy też wiele późniejszych.

– Świetnie.

Manchin uśmiechnął się i gotów rzucić się na wszystko, co położy mu na stole, otworzył teczkę i wyjął notatnik. Był tak pochłonięty pracą, że pół godziny później pracownik biblioteki zostawił go samego i zniknął. Ze względu na obecność kamer oszust ani razu nie podniósł wzroku. W końcu musiał wyjść do toalety i zabłądził. Źle skręcił raz, źle skręcił po raz drugi i unikając kontaktu z osobami przebywającymi w tym samym dziale, ostrożnie zwiedził okolicę. Wszędzie były kamery. Wątpił, czy ktoś obserwuje go na żywo, jednak w razie potrzeby ochrona zawsze mogła sięgnąć po taśmy. Znalazł windę, minął ją i pobliskimi schodami zszedł do sutereny, gdzie było jak na parterze. Schody prowadziły jeszcze niżej i kończyły się na poziomie S2 (Suterena 2) wielkimi, grubymi drzwiami z napisem *Otwierać tylko w nagłych wypadkach*, namalowanym dużymi, grubymi literami. Obok był panel z klawiaturą i kolejny napis, który ostrzegał, że w razie próby nieautoryzowanego otwarcia drzwi włączy się alarm. Manchina obserwowały dwie kamery.

Wycofał się i wrócił na górę. Kiedy wszedł do sali ze stołami, czekał już na niego pomocnik bibliotekarza.

– Wszystko w porządku, panie magistrze?

– Tak, tak – odparł oszust. – Tylko chyba coś mi zaszkodziło. Mam nadzieję, że to nie jakiś wirus.

Bibliotekarz natychmiast wyszedł, a Manchin spędził cały dzień na przekopywaniu się przez materiały ze stalowych szuflad i czytaniu starych recenzji, które zupełnie go nie interesowały. Kilka razy wychodził z sali, żeby pomyszkować, rozejrzeć się, pomierzyć i zapamiętać jak najwięcej szczegółów.

4

Wrócił do Princeton trzy tygodnie później i nie udawał już wykładowcy. Ogolony i przefarbowany na piaskowy blond, był w sztucznych okularach w czerwonych oprawkach i miał fałszywą legitymację studencką ze zdjęciem. Gdyby ktoś go spytał – czego raczej nie przewidywał – odpowiedziałby, że robi studia magisterskie w Iowa. Tak naprawdę miał na imię Mark i – jeśli można tak powiedzieć – był zawodowym złodziejem, ekspertem od skoków szybkich i misternie zaplanowanych, specjalistą od kradzieży kosztownych dzieł sztuki i rzadkich artefaktów, które odsprzedawał pogrążonym w rozpacz właścicielom. Należał do pięcioosobowego gangu Denny’ego, byłego komandosa, który po tym, jak wyrzucono go z wojska, zszedł na drogę przestępstwa. Ani on, ani Denny nie byli jak dotąd notowani, w przeciwieństwie do dwóch pozostałych członków gangu. Trey miał na koncie dwa wyroki i dwie ucieczki, ostatnią przed rokiem, z więzienia federalnego w Ohio. To właśnie tam poznał Jerry’ego, drobnego złodziejaska dzieł sztuki, przebywającego obecnie na zwolnieniu warunkowym. O rękopisach Fitzgeralda wspomniał Jerry’emu inny złodziej, odsiadujący długi wyrok kumpel spod celi.

Układ był doskonały. Tylko pięć rękopisów, wszystkie w jednym miejscu. I wszystkie bezcenne dla Princeton.

Piąty członek gangu wolał pracować w domu. Ahmed był hakerem, fałszerzem i twórcą wszelkich iluzji, lecz nie miał odwagi nosić broni. Pracował w suterenie domu w Buffalo i jak dotąd nigdy go nie przyłapano ani nie aresztowano. Nie zostawiał żadnych

śladów. Brał pięć procent z góry. Pozostała czwórka miała podzielić się równo resztą.

We wtorek o dziewiątej wieczorem Denny, Mark i Jerry, którzy podali się za studentów, byli już w Bibliotece Firestone'a i czujnie obserwowali zegar. Fałszywe legitymacje zadziałały idealnie, nikt nie uniósł nawet brwi. Denny ukrył się w damskiej toalecie na drugim piętrze. Odsunął panel w suficie, wrzucił tam plecak i nastawił się na kilkugodzinne czekanie w ciasnocie i duchocie. Mark otworzył wytrychem zamek w drzwiach do pomieszczenia obsługi mechaniczno-elektrycznej na pierwszym poziomie sutereny i znieruchomiał, nad słuchując syren alarmowych. Nie usłyszał żadnych, podobnie jak Ahmed, który bez trudu zhakował uniwersytecki system bezpieczeństwa. Mark wszedł do środka i zaczął rozmontowywać wtryskiwacze paliwa w zapasowym generatorze elektrycznym biblioteki. Jerry zaszył się w odległym miejscu do pracy, kąciku ukrytym między rzędami półek z nietkniętymi od dziesięcioleci książkami.

Trey, przebrany za studenta z plecakiem, snuł się po kampusie, szukając miejsca dla bomb.

Bibliotekę zamykano o północy. Czterej członkowie gangu i czuwający w Buffalo Ahmed byli w kontakcie radiowym. Kwadrans po północy Denny, ich przywódca, oznajmił, że wszystko przebiega zgodnie z planem. Pięć minut później Trey, nadal przebrany za studenta, wszedł do akademika college'u McCarrena w samym środku kampusu. Zobaczył tam te same kamery monitoringu, które widział tydzień wcześniej. Nieobserwowanymi przez nie schodami wbiegł na pierwsze piętro, wszedł do toalety i zamknął się w kabinie. O dwunastej czterdzieści wyjął z plecaka puszkę wielkości półlitrowej coli. Nastawił zapalnik i ukrył ją za muszlą. Wszedł z toalety, wbiegł na drugie piętro i w pustej kabinie prysznicowej ukrył drugą bombę. Punktualnie za kwadrans pierwsza w mrocznym korytarzu na drugiej kondygnacji gmachu nonszalanckim ruchem rzucił przed siebie sznur petard Black Cat i popędził na parter. Zadudniło echo dziesięciu eksplozji, a kilka sekund później wybuchły obie bomby, zasnuwając korytarze chmurami gęstego, śmierdzącego dymu. Gdy Trey wychodził z akademika, dotarła do niego pierwsza fala spanikowanych głosów.

Ukrywszy się za pobliskimi krzakami, wyjął z kieszeni telefon na kartę i zadzwonił do uniwersyteckiej centrali zgłoszeń alarmowych z przerażającą wiadomością:

– Na pierwszym piętrze akademika college’u McCarrena jest jakiś facet z pistoletem! Strzela do ludzi!

Z okien sączył się dym. Jerry, który wciąż siedział ukryty między rzędami półek z nietkniętymi od dziesięcioleci książkami, wykonał podobny telefon, też z komórki na kartę. Wkrótce cały kampus ogarnęła panika i w centrali urywały się telefony.

Każdy amerykański college ma dokładne plany postępowania w sytuacji, gdy na jego terenie zaczyna działać „aktywny strzelec”, jednak żaden nie chce wcielić ich w życie. Dlatego dyżurująca w centrali funkcjonariuszka nacisnęła guzik dopiero po kilku sekundach, a kiedy już to zrobiła, zawyły syreny. Studenci, wykładowcy, urzędnicy i inni pracownicy uniwersytetu otrzymali alarmowego SMS-a i maila. Polecono im zamknąć na klucz wszystkie drzwi. I zabezpieczyć wszystkie budynki.

Jerry zadzwonił pod 911 i zameldował, że zastrzelono dwóch studentów. Z akademika buchały już kłęby dymu. Trey wrzucił do koszy na śmieci kolejne trzy bomby. Od budynku do budynku biegali studenci, nie wiedząc, gdzie można bezpiecznie się schronić. Przyjechała ochrona uniwersytecka i miejscowa policja, a zaraz potem sześć wozów straży pożarnej. Jeszcze potem zjawily się karetki pogotowia. I pierwsze radiowozy policji stanowej New Jersey.

Trey zostawił plecak pod drzwiami budynku administracyjnego, po czym zadzwonił pod 911 i zameldował, że leży tam coś podejrzanego. Ostatnia bomba dymna miała wybuchnąć za dziesięć minut, dokładnie wtedy, kiedy na miejsce zdarzenia przyjadą saperzy i z bezpiecznej odległości zaczną przyglądać się plecakowi.

Pięć po pierwszej Trey połączył się przez radio ze swoimi współnikami.

– Panika doskonała – zakomunikował. – Wszędzie dym. Dziesiątki gliniarzy. Zaczynajcie.

– Zgasić światło – rozkazał Denny.

Czuwający przy komputerze Ahmed odstawił szklanekę mocnej herbaty, w schemacie uniwersyteckiej sieci bezpieczeństwa znalazł

podsieć elektryczną i odciął prąd nie tylko w Bibliotece Firestone'a, ale i w kilku okolicznych budynkach. W tym samym momencie Mark, który zdążył już włożyć gogle z noktowizorem, wyłączył na dokładkę główny włącznik prądu w pomieszczeniu obsługi mechaniczno-elektrycznej. Wstrzymał oddech i gdy zapasowy generator elektryczny nie odpalił, z ulgą wypuścił powietrze.

Awaria prądu uruchomiła alarm w centrali bezpieczeństwa na kampusie, lecz nikt nie zwracał na to uwagi. Na terenie college'u grasował zabójca, nie było czasu na błahostki.

Jerry, który w ciągu ostatniego tygodnia spędził dwie noce w Bibliotece Firestone'a, wiedział, że po zamknięciu nie ma tam żadnych strażników. Umundurowany ochroniarz parę razy obchodził gmach z zewnątrz, świecił latarką na drzwi i szedł dalej. Pojawiał się tam również patrol w oznakowanym radiowozie, lecz policjantów interesowali głównie pijani studenci. Między pierwszą w nocy i ósmą rano kampus był na ogół jak każdy inny, czyli zupełnie wymarły.

Jednak tej nocy w Princeton panowało gorączkowe poruszenie, ponieważ ktoś strzelał do kwiatu Ameryki. Trey zameldował kumplom, że wszędzie panuje kompletny chaos, że policjanci ze SWAT-u wkraczają do akcji, wyją syreny, popiskują radionadajniki i miga milion kogutów. Dym wisi na drzewach jak mgła. Słysząc warkot krążącego w pobliżu helikoptera. Totalny chaos.

Denny, Jerry i Mark przemknęli ukradkiem przez mrok i zbiegli schodami do sutereny pod Działem Ksiąg Rzadkich i Zbiorów Specjalnych. Wszyscy trzej mieli gogle z noktowizorem i lampy górnicze na czole. Wszyscy dźwigali ciężkie plecaki, a Jerry taszczył jeszcze mały worek marynarski, który ukrył w bibliotece dwa dni wcześniej. Dotarli do trzeciego – ostatniego – poziomu sutereny, stanęli przed grubymi metalowymi drzwiami, oślepiłi kamery i zaczęli czekać, aż Ahmed odprawi swoje czary. Ten spokojnie przedarł się przez biblioteczny system alarmowy i wyłączył cztery czujniki przy drzwiach. Rozległo się głośnie kliknięcie. Denny nacisnął klamkę, otworzył drzwi i zobaczyli wąskie, kiszkiowate pomieszczenie z dwojgiem kolejnych drzwi, też metalowych. Mark poświecił latarką na sufit i wypatrzył kamerę.

– Tam – rzucił. – Tylko jedna.

Najwyższy z nich, Jerry, który miał metr osiemdziesiąt siedem wzrostu, wyjął małą puszkę farby w spreju i psiknął w obiektyw.

Denny spojrzał na drzwi.

– Rzucamy monetą?

– Co widzicie? – spytał z Buffalo Ahmed.

– Dwoje identycznych metalowych drzwi – odparł Denny.

– Nic tu nie mam. W systemie są tylko te pierwsze. Musicie ciąć.

Jerry wyjął z worka dwie czterdziestopięciocentymetrowe butle, jedną z tlenem, drugą z acetylenem. Denny stanął przed drzwiami po lewej, pstryknął zapalarką i zaczął rozgrzewać palnikiem miejsce piętnaście centymetrów nad dziurką od klucza i zasuwką. Posypały się iskry.

Tymczasem Trey zostawił za sobą panujący wokół akademika chaos i ukrył się w ciemności naprzeciwko biblioteki. Wciąż wyły syreny, przyjeżdżało coraz więcej karettek i radiowozów. Nad kampusem głośno dudniły helikoptery, choć Trey ich nie widział. Pogasły nawet latarnie uliczne. Wokół biblioteki nie było żywego ducha. Wszyscy pobiegli do akademika.

– Przed biblioteką cisza i spokój – zameldował. – Jakies postępy?

– Już tniemy – rzucił Mark.

Cała piątka wiedziała, że muszą ograniczyć rozmowy do niezbędnego minimum. Denny wprawnie i powoli ciął metal palnikiem, którego płomień miał na czubku ponad trzy tysiące stopni Celsjusza. Na podłogę kapąca płynna stal, pryskały żółte iskry.

– Mają dwa i pół centymetra grubości – powiedział Denny.

Skończył górny brzeg kwadratu i zaczął ciąć w dół. Praca była powolna, minuty ciągnęły się w nieskończoność i wzrastało napięcie, mimo to wszyscy zachowywali spokój. Jerry i Mark przykucnęli za nim i obserwowali każdy jego ruch. Denny skończył dolną krawędź kwadratu i szarpnął za klamkę, lecz drzwi nie puściły; coś je trzymało.

– Zasuwa – rzucił. – Trzeba ją przeciąć.

Pięć minut później drzwi stanęły otworem. Ahmed, nadzorujący z Buffalo biblioteczny system bezpieczeństwa, nie dopatrzył się niczego podejrzanego.

– Czysto – zameldował.

Denny, Mark i Jerry weszli do pomieszczenia i natychmiast zabrakło w nim miejsca, ponieważ niemal całkowicie wypełniał je wąski stół najwyższej sześćdziesięciocentymetrowej szerokości i trzymetrowej długości. Po jednej stronie były cztery duże drewniane szuflady, po drugiej cztery identyczne. Mark, specjalista od wytrychów, przesunął na czoło gogle, poprawił lampę na czole, obejrzał jeden z zamków i pokręcił głową.

– Tak jak myślałem, komputerowy zamek kombinacyjny. Pewnie codziennie zmieniają kod. Nie da rady, trzeba wiercić.

– Dobra, zaczynaj – rozkazał Denny. – Wy wierćcie, a ja przetnę drugie drzwi.

Jerry wyjął z worka wiertarkę akumulatorową zaopatrzoną w koronkę do wiercenia w stali. Przytknął ją do zamka i wraz z Markiem ze wszystkich sił naparli na sterujące z boków trzymaki. Koronka wyła, jęczała i ześlizgiwała się z mosiądzu, który początkowo wydawał się nie do przewiercenia. Lecz już po chwili na podłogę spadła jedna strużyna, potem druga, i wiertło zaczęło wgryzać się coraz głębiej. W końcu zamek puścił, mimo to szuflada się nie otworzyła. Mark wcisnął w szparę końcówkę cienkiego łomu i gwałtownie szarpnął w dół. Pękło drewno i szuflada odskoczyła. W środku leżało pudełko do przechowywania zbiorów archiwalnych. Zabezpieczone czarnymi metalowymi okuciami, miało pięćdziesiąt pięć centymetrów długości, czterdzieści dwa centymetry szerokości i siedem i pół centymetra grubości.

– Ostrożnie – szepnął Jerry, kiedy Mark otworzył je i wyjął cienką książkę w twardej oprawie.

– *Wiersze zebrane* Dolpha McKenziego – przeczytał powoli Mark.

– Zawsze chciałem to mieć.

– Kto to, kurwa, jest?

– Nie mam pojęcia, ale nie szukamy wierszy.

Do pomieszczenia wszedł Denny.

– Dobra, otwierajcie następne – rzucił. – Zostało jeszcze siedem. Będę obok, prawie się przebiłem.

Podczas gdy oni pracowali, Trey siedział na ławce naprzeciwko biblioteki, od niechcienia paląc papierosa i nieustannie spoglądając na zegarek. Chaos na kampusie nie ustawał, lecz kiedyś musiał się skończyć.

Druga i trzecia szuflada też zawierały książki, których członkowie gangu nie znali. Denny sforsował w końcu drzwi do kolejnego pomieszczenia i kazał kumplom przynieść wiertarkę. Tu też było osiem dużych szuflad, identycznych jak w tamtym. Kwadrans po drugiej Trey zameldował, że kampus jest wciąż zamknięty, ale na trawniku przed akademikiem zaczynają się zbierać ciekawscy studenci. Wyposażeni w megafony policjanci kazali im wrócić do pokoi, lecz gapiów przybywało i władze nie mogły nad nimi zapanować. Na domiar złego nad kampusem krążyły co najmniej dwa helikoptery telewizyjne. Trey oglądał CNN na smartfonie i „strzelanina w Princeton” była sensacją dnia. Przebywający „na miejscu wydarzeń” rozgorączkowany reporter ciągle wspominał o „niepotwierdzonych ofiarach”, sugerując, że „co najmniej jeden strzelec” zabił wielu studentów.

– Co najmniej jeden? – wymamrotał Trey. A słyszałeś o strzelaninie bez żadnego?

Denny, Mark i Jerry zastanawiali się, czy nie otworzyć szuflad palnikiem, ale uznali, że lepiej nie, przynajmniej na razie. Zaistniałoby duże ryzyko pożaru, a co by im przyszło ze spalonych rękopisów? Dlatego Denny wyjął z worka mniejszą koronkę i zaczął wiercić. Mark i Jerry wciąż korzystali z większej. W pierwszej szufladzie w drugim pomieszczeniu leżały pliki delikatnych kartek, ręcznie zapisanych przez kolejnego dawno zapomnianego poetę, o którym nigdy nie słyszeli, lecz którego szczerze nienawidzili.

O wpół do trzeciej rano CNN poinformowało, że dwóch studentów nie żyje i co najmniej dwóch jest rannych. Po raz pierwszy padło słowo „masakra”.

5

Zabezpieczywszy pierwsze piętro akademika, policja odkryła resztki czegoś, co wyglądało na petardy. W toalecie i kabinie prysznicowej znaleziono wypalone bomby dymne. Saperzy otworzyli porzucony plecak i wyjęli z niego kolejną, też wypaloną. Dziesięć po trzeciej dowódca oddziału po raz pierwszy wspominał

o „głupim żarcie”, jednak adrenalina wciąż buzowała do tego stopnia, że nikomu nie przyszło do głowy słowo „dywersja”.

Szybko zabezpieczono pozostałą część akademika i policzono studentów. Nikogo nie brakowało, mimo to kampus miał pozostać zamknięty jeszcze przez wiele godzin, do czasu aż policja przeszuka sąsiednie budynki.

6

O wpół do czwartej Trey zameldował:

– Uspokaja się. To już trzecia godzina akcji, panowie. Jak idzie wiercenie?

– Powoli – odparł krótko Denny.

I rzeczywiście, pracowali powoli, lecz z determinacją. W pierwszych czterech otwartych szufladach leżały stare manuskrypty, rękopisy i maszynopisy, wszystkie autorstwa ważnych pisarzy, którzy w tej chwili zupełnie się nie liczyli. Kiedy Denny wyjął z piątej pudełko identyczne jak te w pozostałych szufladach, nareszcie trafili na żyłę złota. Przywódca grupy otworzył je ostrożnie. Na załączonej przez bibliotekę karcie informacyjnej widniał napis: *Oryginalny rękopis Pięknych i przeklętych F. Scotta Fitzgeralda.*

– Bingo! – skwitował spokojnie Denny. Z piątej szuflady wyjął jeszcze dwa identyczne pudełka, położył je delikatnie na wąskim stole i otworzył. W środku były oryginalne rękopisy powieści *Czuła jest noc* i *Ostatni z wielkich.*

Ahmed, który wciąż przyklejony do laptopa pił teraz napój energetyczny z wysoką zawartością kofeiny, usłyszał te piękne słowa i powiedział:

– Dobra, chłopcy, mamy trzy z pięciu. Został *Gatsby* i *Raj*.

– Długo jeszcze? – spytał Trey.

– Dwadzieścia minut – odparł Denny. – Podstaw wóz.

Trey przeszedł swobodnym krokiem przez kampus, wmieszał się w tłum gapiów i obserwował przez chwilę armię kręcących się w pobliżu policjantów. Już się nie pochylali, nie kryli się, nie biegali

ani nie przemykali za radiowozami z nabitą bronią w ręku. Niebezpieczeństwo najwyraźniej minęło, choć okolica wciąż tonęła w blasku migających kogutów. Trey wycofał się, przeszedł kilkaset metrów, opuścił kampus i skręcił w John Street, gdzie wsiadł do białej furgonetki dostawczej z napisem *Drukarnia Uniwersytetu Princeton* na przednich drzwiach, lewych i prawych. Oznaczona numerem 12 – cokolwiek to znaczyło – była bardzo podobna do tej, którą sfotografował tydzień wcześniej. Wrócił nią na kampus i ominąwszy zamieszanie wokół akademika, zaparkował przy rampie załadunkowej na tyłach biblioteki.

– Wóz na miejscu – zameldował.

– Otwieramy szóstą szufladę – oznajmił Denny.

Kiedy Jerry i Mark podnieśli noktowizory na czoła i podeszli ze światłem do stołu, Denny delikatnie otworzył pudełko. Na karcie informacyjnej widniał napis: *Oryginalny rękopis powieści Wielki Gatsby F. Scotta Fitzgeralda*.

– Bingo! – powtórzył spokojnie szef gangu. – Mamy tego sukinsyna Gatsby’ego.

– Hurra! – wykrzyknął Mark mimo skrzętnie tłumionego podniecenia.

Jerry wyjął z szuflady ostatnie pudełko. Leżał w nim rękopis *Po tej stronie raju*, pierwszej powieści Fitzgeralda wydanej w 1920 roku.

– Mamy wszystkie pięć – podsumował beznamiętnie Denny. – Wynośmy się stąd.

Jerry spakował wiertarki, łomy, palnik i butle z acetylenem i tlenem. Kiedy schylał się po worek, stercząca z trzeciej szuflady drzazga drasnęła go tuż nad lewym nadgarstkiem. W podnieceniu prawie tego nie zauważył i tylko potarł skaleczenie, zdejmując plecak. Denny i Mark ostrożnie włożyli pięć bezcennych rękopisów do trzech studenckich plecaków. Potem, obładowani łupami i sprzętem, wyszli ze skarbcza, wbiegli schodami na parter i opuścili bibliotekę wejściem serwisowym w pobliżu rampy załadunkowej, ukrytym za długim, gęstym żywopłotem. Wskoczyli do furgonetki tylnymi drzwiami i Trey ruszył. Chwilę później minęli dwóch ochroniarzy w radiowozie. Trey pomachał im od niechcienia ręką, lecz nie zareagowali.

Była trzecia czterdzieści dwie.

– Czysto – zameldował. – Wyjeżdżamy z kampusu z panem Gatsbym i spółką.

7

Awaria prądu uruchomiła szereg alarmów w budynkach, których dotknęła. O czwartej nad ranem specjalista elektryk przebił się przez uniwersytecką sieć energetyczną i znalazł problem. Przywrócono elektryczność wszędzie oprócz biblioteki. Szef ochrony wysłał tam trzech podwładnych. Wykrycie przyczyny alarmu zajęło im dziesięć minut.

Tymczasem złodzieje byli już w tanim motelu niedaleko autostrady międzystanowej 295 pod Filadelfią. Trey stanął obok osiemnastokołowej ciężarówki, z dala od samotnej kamery monitorującej parking. Mark wyjął puszkę białej farby w spreju i zamalował napisy na furgonetce. W pokoju, w którym on i Trey spędzili ostatnią noc, wszyscy przebrali się szybko w ubrania myśliwskie i do innego worka marynarskiego spakowali to, co mieli na sobie podczas skoku: dzinsy, adidas, podkoszulki i czarne rękawiczki. Jerry zauważył w łazience małe skaleczenie nad lewym nadgarstkiem. W furgonetce uciskał je palcem, bo krwawiło bardziej, niż myślał. Wytarł je myjką, zastanawiając się, czy wspomnieć o tym kumplom. Nie teraz, może później.

Spakowali się po cichu, zgasili światło i wyszli. Mark i Jerry wsiedli do eleganckiego pick-upa wypożyczonego i prowadzonego przez Denny'ego – dwoje drzwi i kabina z dwoma siedziskami na sześć osób – wyjechali za Treyem na ulicę, wrócili na autostradę, ominęli północne przedmieścia Filadelfii i jadąc stanowymi szosami, zniknęli w Pensylwanii. Pod Quakertown skręcili w wybraną uprzednio wiejską drogę, która niecałe dwa kilometry dalej przechodziła w żwirówkę. W pobliżu nie było ani jednego domu. Trey wjechał do płytkiego parowu, zdjął skradzione tablice rejestracyjne i polał benzyną worki z narzędziami, telefonami komórkowymi, sprzętem radiowym i ubraniami, po czym podpalił je. Furgonetkę momentalnie pochłonęła kula ognia, więc odjechali

przekonani, że zniszczyli wszystkie możliwe dowody rzeczowe. Rękopisy leżały bezpiecznie na tylnym siedzisku pick-upa, między Treyem i Markiem.

Nad wzgórzami powoli wstawał świt, a oni jechali w milczeniu, obserwując to, co ich otaczało, choć było tego niewiele. Ot, nadjeżdżający z naprzeciwka pojazd, idący do stodoły farmer, który nie patrzył nawet na szosę, czy staruszka z kotem na ganku. Pod Bethlehem wjechali na międzystanówkę 78 i skręcili na zachód. Denny prowadził, trzymając się dużo poniżej dopuszczalnej prędkości. Od wyjazdu z kampusu nie widzieli ani jednego radiowozu. Zatrzymali się w restauracji z okienkiem dla zmotoryzowanych, kupili stripsy z kurczaka i kawę, a potem międzystanową autostradą 81 pojechali w kierunku Scranton.

8

Pierwszych dwóch agentów FBI przybyło do Biblioteki Firestone'a o siódmej rano. Z sytuacją zapoznała ich uniwersytecka ochrona i policja miejska. Agenci obejrzelni miejsce przestępstwa i opowiedzieli się stanowczo za tym, żeby zamknąć bibliotekę do odwołania. Do Princeton jechali już śledczy i technicy z Trenton.

Rektor wrócił właśnie na kampus. Już wiedział, że coś zginęło, i miał za sobą bardzo ciężką noc. Natychmiast pobiegł do biblioteki, gdzie czekali na niego główny bibliotekarz, agenci FBI i miejscowa policja. Razem podjęli decyzję, żeby jak najdłużej utrzymać sprawę w tajemnicy. Szef WOCA, wydziału FBI specjalizującego się w odzyskiwaniu cennych aktywów, był już w drodze z Waszyngtonu. Uważał, że złodzieje skontaktują się wkrótce z uniwersytetem, żeby dobić targu. Rozgłos, a nie ulegało wątpliwości, że byłby wielki, tylko skomplikowałoby sytuację.

9

Świętowanie rozpoczęło się dopiero wtedy, kiedy członkowie gangu dotarli do małego drewnianego domku myśliwskiego w górach Pocono w północno-wschodniej Pensylwanii. Denny wynajął go na sezon myśliwski za pieniądze, które miał zwrócić po sprzedaży rękopisów, i mieszkał tam od dwóch miesięcy. Z nich czterech tylko Jerry miał stały adres; wraz ze swoją dziewczyną wynajmował małą klitkę w Rochester w stanie Nowy Jork. Uciekinier Trey ukrywał się niemal całe dorosłe życie. Natomiast Mark pomieszkiwał ze swoją byłą żoną pod Baltimore, lecz robił to nieoficjalnie i bez śladów.

Wszyscy mieli po kilka fałszywych dowodów tożsamości, w tym paszporty, dzięki którym mogliby przejść przez każdą kontrolę celną.

W lodówce czekały trzy butelki taniego szampana. Denny otworzył jedną, rozlał trunek do czterech różnych kubków do kawy i wzniósł jowialny toast.

– Na zdrowie, chłopcy, i gratulacje. Udało się!

Pół godziny później szampana już nie było i znużeni myśliwi zapadli w długą drzemkę. Rękopisy, wciąż w identycznych pudełkach do przechowywania zbiorów archiwalnych, leżały w pakamerze niczym sztaba złota w sejfie na broń. Przez kilka następnych dni mieli ich strzec Denny i Trey, natomiast Jerry i Mark, wyczerpani po tygodniowym polowaniu na jelenie, myśleli już o powrocie do domu.

10

Jerry spał nieświadomy wściekłości, siły i gwałtowności ataku, jaki szykowały na niego władze federalne. Techniczka FBI zauważyła malutką plamę na pierwszym stopniu schodów prowadzących do skarbcza biblioteki. Założyła – jak się okazało, słusznie – że to kropla krwi, która spadła tam tak niedawno, że nie zdążyła jeszcze czernieć czy nawet zbrązowieć. Zebrała ją, powiadomiła przełożonego i próbkę wysłano do laboratorium FBI w Filadelfii. Natychmiast przeprowadzono badanie DNA, a jego

rezultaty wprowadzono do krajowej bazy danych. Niecałą godzinę później w Massachusetts znaleziono podejrzanego, niejakiego Geralda A. Steengardena, zwolnionego warunkowo złodzieja skazanego na siedem lat za kradzież obrazów z galerii sztuki w Bostonie. Zespół analityków zaczął gorączkowo szukać jego śladów. W Stanach Zjednoczonych mieszkało co najmniej pięciu Steengardenów. Czterech szybko wyeliminowano. Na piątego wystawiono nakaz przeszukania domu i wydania billingów komórkowych, uzyskano również historię transakcji kart płatniczych. Kiedy Jerry obudził się z długiego snu w górach Pocono, FBI miało już na oku jego mieszkanie w Rochester. Zdecydowano, że zamiast od razu wejść tam z nakazem, lepiej będzie zaczekać i poobserwować.

Może, choć tylko może, pan Steengarden doprowadzi ich do pozostałych.

Tymczasem w Princeton sporządzano listy studentów, którzy korzystali z Biblioteki Firestone'a w ostatnim tygodniu. Każde odwiedziny w uniwersyteckich bibliotekach były rejestrowane przez komputer, który zapisywał numery legitymacji. Fałszywe legitymacje rzucały się w oczy, ponieważ nieletni studenci używali ich głównie do kupowania alkoholu, a nie po to, żeby zakradać się do tej czy innej czytelnicy. Ustalono dokładne godziny wejść i wyjść, po czym porównano je z taśmami z bibliotecznego monitoringu. W południe FBI dysponowało już zdjęciami Denny'ego, Jerry'ego i Marka, wyraźnymi, choć na razie bezwartościowymi. Cała trójka była dobrze przebrana.

Po raz pierwszy od dziesięcioleci Ed Folk z Działu Ksiąg Rzadkich i Zbiorów Specjalnych włączył wyższy bieg i wraz z agentami FBI błyskawicznie przeglądał rejestr odwiedzających i zdjęcia ostatnich gości. Każde nazwisko weryfikowano i kiedy przyszła kolej na magistra Neville'a Manchina, wykładowcy literatury amerykańskiej z Uniwersytetu Portland, ten zapewnił ich przez telefon, że nigdy nie był na kampusie Uniwersytetu Princeton. FBI miało wyraźne zdjęcie Marka, choć nie znało jego prawdziwego nazwiska.

Niecałe dwanaście godzin po udanym skoku na biblioteczny skarbiec nad taśmami z monitoringu ślęczało czterdziestu agentów mozolnie analizujących dane.

Późnym popołudniem czterech myśliwych usiadło przy stoliku karcianym i otworzyło piwa. Denny znów mówił i mówił o tym samym, co przerabiali już dziesiątki razy. Skok, owszem, się udał, lecz przestępca zawsze pozostawia ślady. Zawsze popełnia błędy i jeśli wie o połowie z nich, jest geniuszem. Fałszywe dokumenty zostaną szybko namierzone i wzięte pod lupę. Policja odkryje, że od wielu dni obserwowali i rozpracowywali bibliotekę. Bo czy wiadomo, ile kamer ich nagrało? Z ubrań mogły wypaść drobniutkie włókna, adidas mogły zostawić ślady i tak dalej, i tak dalej. Odcisków palców na pewno nie zostawili, jednak zawsze istniała możliwość, że mogli. Wszyscy byli doświadczonymi złodziejami i dobrze o tym wiedzieli.

Małego plastra nad lewym nadgarstkiem Jerry'ego nikt nie zauważył, a on postanowił go zignorować. Wmówił sobie, że skaleczenie jest bez znaczenia.

Mark położył na stoliku cztery urządzenia podobne do iPhone'a 5. Choć opatrzone logo firmy Apple, nie były telefonami. Były to tak zwane sat-traki, namierniki lokacyjne z natychmiastowym dostępem do systemu satelitarnego z każdego miejsca na świecie. Ponieważ nie współdziałały z sieciami komórkowymi, policja nie mogła ich w żaden sposób namierzyć ani tym bardziej podsłuchać. Mark ponownie podkreślił, że przez następnych kilka tygodni cała piątka, łącznie z Ahmedem, musi pozostawać w stałym kontakcie. Urządzenia te zdobył właśnie on, Ahmed, z jednego ze swoich licznych źródeł. Zamiast zwykłym przyciskiem włączało się je trzycyfrowym kodem. Potem wprowadzało się indywidualny kod pięciocyfrowy i dopiero wtedy urządzenie zaczynało działać. Dwa razy dziennie, punktualnie o ósmej rano i ósmej wieczorem, każdy z nich musiał połączyć się z satelitą i wysłać krótką wiadomość: *Czysto*. Opóźnienia były niewybaczalne, ponieważ mogły doprowadzić do katastrofy. Każde znaczyło, że dany sat-trak, a zwłaszcza jego użytkownik, został w jakiś sposób zdekonspirowany. Piętnastominutowe uruchamiało plan awaryjny, zgodnie z którym Denny i Trey mieli zabrać rękopisy i przewieźć je

do drugiej kryjówki. Gdyby natomiast z meldunkiem spóźnili się oni, całą operację, a raczej to, co z niej zostało, należało natychmiast przerwać. W tym przypadku Jerry, Mark i Ahmed mieli natychmiast wyjechać z kraju.

Złe nowiny przekazywano jednowyrazowym komunikatem: *Czerwony*. Gdyby pojawił się na ekranie urządzenia, znaczyło to, że (1) coś poszło nie tak, (2) jeśli to możliwe, należy przewieźć rękopisy do trzeciej kryjówki i (3) jak najszybciej wyjechać z kraju, bez żadnych pytań i najmniejszej zwłoki.

Jeśliby któryś z nich wpadł, reszta oczekiwała od niego milczenia. Dla zapewnienia całkowitej wierności sprawie i lojalności wobec współników, każdy z nich nauczył się na pamięć nazwisk i adresów członków rodzin pozostałych. Zemsta była gwarantowana. Żeby nikt nie zaczął śpiewać. Nigdy.

Mimo tych złowieszczych przygotowań w domku myśliwskim panował wesoły, a nawet świąteczny nastrój. Dokonali błyskotliwego skoku i zorganizowali perfekcyjną ucieczkę.

Seryjny uciekinier Trey uwielbiał opowiadać o swoich wyczynach. Udawało mu się, ponieważ zawsze opracowywał plan pucieczkowy, podczas gdy inni myśleli tylko o tym, jak zwiąć z więzienia czy aresztu. Podobnie z przestępstwem. Planujesz skok dniami i tygodniami, a kiedy jest już po wszystkim, nie wiesz co dalej. Dlatego musieli mieć plan.

Sęk w tym, że nie mogli żadnego uzgodnić. Denny i Mark stawiali na szybkość i chcieli skontaktować się z Princeton w ciągu tygodnia, żeby zażądać okupu. Dzięki temu pozbyliby się rękopisów, nie musieliby się już o nie martwić i mieliby pieniądze.

Natomiast Jerry i Trey, obaj z większym doświadczeniem, woleli podejście bardziej cierpliwe. Niech osiadzie kurz, niech wieści dotrą na czarny rynek i ludzie uświadomią sobie, że naprawdę doszło do kradzieży. Niech upłynie trochę czasu, bo dopiero wtedy będą wiedzieli na pewno, że policja ich nie podejrzewa. Princeton nie jest jedynym potencjalnym kupcem, będą inni.

Dyskutowali długo i zaciekle, choć nie brakowało też żartów, śmiechu i piwa. W końcu przystali na plan tymczasowy. Jerry i Mark wyjadą nazajutrz rano, Jerry do Rochester, a Mark – przez Rochester – do Baltimore. Tam przywarują, przez tydzień będą pilnie oglądali

wiadomości i oczywiście dwa razy dziennie kontaktowali się z resztą. Natomiast Denny i Trey zostaną i za tydzień przewiozą rękopisy do drugiej kryjówki, taniego mieszkania w zapuszczonej części Allentown w Pensylwanii. Za dziesięć dni spotkają się tam z Jerrym i Markiem i we czterech opracują ostateczny plan działania. Tymczasem Mark skontaktuje się z potencjalnym pośrednikiem, którego znał od wielu lat, grubą rybą w mrocznym świecie nielegalnego handlu dziełami sztuki, i napomknie, że wie coś o skradzionych rękopisach Fitzgeralda. Ale do czasu następnego spotkania nic więcej nikomu nie powiedzą.

12

Carole, kobieta mieszkająca u Jerry'ego, wyszła z domu o wpół do piątej. Sama. Śledzono ją do sklepu spożywczego kilka ulic dalej i podjęto szybką decyzję, żeby nie wchodzić do mieszkania, przynajmniej na razie. W pobliżu kręciło się zbyt wielu sąsiadów. Wystarczyło, że któryś powiedziałby jedno słowo, i całą operację trafiłby szlag. Carole nie miała pojęcia, jak uważnie ją obserwowano. Kiedy robiła zakupy, agenci umieścili dwa lokalizatory pod zderzakami jej samochodu. Dwaj inni – kobiety w dresach biegaczek – patrzyli jej na ręce, sprawdzając, co kupuje (okazało się, że nic godnego zainteresowania). Kiedy wysłała SMS-a do matki, przechwycono go i zapisano. Kiedy zadzwoniła do przyjaciółki, podsłuchano każde słowo ich rozmowy. Kiedy wstąpiła do baru, agent w dzinsach zaproponował jej drinka. Do powrotu do domu obserwowano, filmowano i rejestrowano każdy jej krok.

13

Tymczasem jej chłopak sączył piwo i czytał *Wielkiego Gatsby'ego* w hamaku na tylnej werandzie domku myśliwskiego z widokiem na piękny staw zaledwie kilka metrów dalej. Po stawie pływali łódką Mark i Trey. Oni łowili leszcze, a Denny smażył steki na grillu.

O zachodzie słońca zerwał się zimny wiatr, więc weszli do domku, gdzie wesoło trzaskał ogień. Punktualnie o ósmej wieczorem wszyscy – łącznie z Ahmedem w Buffalo – wyjęli nowe sat-traki, wprowadzili kody i wysłali w kosmos słowo *Czysto*. Było bezpiecznie.

Bezpiecznie i fajnie. Przed niespełna dwudziestoma czterema godzinami ukrywali się na ciemnym kampusie, zdenerwowani jak jasna cholera, ale i podekscytowani akcją. Plan wypalił co do joty, zdobyli bezcenne rękopisy, a wkrótce zdobędą gotówkę. Transfer pieniędzy nie będzie łatwy, ale tym zajmą się później.

14

Alkohol trochę pomógł, mimo to źle spali, wszyscy czterej. Wczesnym rankiem, podczas gdy Denny jadł jajka na bekonie i żłopał czarną kawę, Mark usiadł przy kuchennym blacie i włączył laptop, żeby sprawdzić wiadomości ze Wschodniego Wybrzeża.

– Nic – skwitował. – Mnóstwo informacji o zamieszczeniu na kampusie, głupim żarcie, jak piszą, ale ani słowa o rękopisach.

– Próbują to ukryć – wymlaskał Denny.

– Tak, ale jak długo będzie im się udawało?

– Niedługo. Prasa nie odpuści sobie takiego newsa. Dzisiaj, najdalej jutro, będzie jakiś przeciek.

– Nie wiem, czy to dobrze, czy źle.

– Ani dobrze, ani źle.

Do kuchni wszedł Trey ze świeżo ogoloną głową. Potarł ją dumnie i spytał:

– No i jak?

– Wspaniale – odparł Mark.

– To nic nie pomoże – mruknął Denny.

Żaden z nich nie wyglądał już jak przed dwudziestoma czterema godzinami. Trey i Mark zgolili dosłownie wszystko: brody, włosy i brwi. Denny i Jerry zgolili tylko brody, lecz przefarbowali włosy. Denny, poprzednio piaskowy blondyn, miał teraz ciemnobrązowe, a Jerry jasnorude. Wszyscy czterej mieli nosić czapki i okulary,

codziennie inne. Wiedzieli, że uchwyciły ich kamery, znali możliwości systemu rozpoznawania twarzy, jakim dysponowało FBI. Popełnili kilka błędów, ale coraz szybciej o nich zapominali. Nadeszła pora na drugą fazę planu.

Pojawiła się także brawura, naturalne następstwo perfekcyjnie dokonanej kradzieży. Pierwszy raz spotkali się przed rokiem, kiedy Treya i Jerry'ego, doświadczonych przestępców z wyrokami, przedstawiono Denny'emu, znajomemu Marka, który znał z kolei Ahmeda. Spędzili wiele godzin, knując, planując i kłócąc się o to, kto co będzie robił, kiedy najlepiej tam wejść i dokąd potem pojechać. Sto szczegółów, wielkich i małych, choć równie ważnych. Teraz, kiedy mieli już wszystko za sobą, plany, szczegóły i kłótnie odeszły do historii. Jedynym zadaniem, jakie ich czekało, był odbiór pieniędzy.

W czwartek o ósmej rano odbyli codzienny rytuał z sat-trakami. Ahmed żył i miał się dobrze. Wszyscy byli obecni, stan liczbowy się zgadzał. Jerry i Mark pożegnali się, odjechali i cztery godziny później byli już na przedmieściach Rochester. Nie wiedzieli, jak wielu agentów FBI cierpliwie czeka, wypatrując ich pick-upa, wyleasingowanej przed trzema miesiącami toyoty rocznik 2010. Kiedy Jerry zaparkował przed domem i wysiadł razem z Markiem, by nonszalancko przeciąć parking i zewnętrznymi schodami wejść na drugie piętro, skupiły się na nich obiektywy ukrytych kamer.

Cyfrowe zdjęcia natychmiast przesłano do laboratorium FBI w Trenton i zanim Jerry zdążył pocałować Carole na powitanie, porównano je już ze zdjęciami z Princeton. Dzięki najnowocześniejszej technologii rejestrowania obrazów błyskawicznie ustalono, że Jerry to Gerald A. Steengarden, ten od kropli krwi z bibliotecznych schodów, a Mark to oszust, który podał się za magistra Neville'a Manchina. Ponieważ ten drugi nie był jak dotąd notowany, jego nazwisko nie figurowało w krajowym rejestrze przestępców. FBI wiedziało, że był w bibliotece, nie znało tylko jego prawdziwego nazwiska.

Ale ten stan rzeczy miał się wkrótce zmienić.

Podjęto decyzję, żeby obserwować i czekać. Jerry przyprowadził im już jednego, więc może przyprowadzi następnego. Po lunchu podejrzani wyszli z mieszkania i wsiedli do toyoty. Mark niósł tanią

torbę gimnastyczną z brązowego nylonu, Jerry nie niósł nic. Pojechali powoli do centrum, ściśle przestrzegając przepisów drogowych i trzymając się z dala od policjantów.

15

Obserwowali dosłownie wszystko. Każdy samochód, każdą twarz, każdego starca ukrywającego się za gazetą na ławce w parku. Byli pewni, że nikt ich nie śledzi, ale w tej branży ostrożności nigdy nie za wiele. Nie słyszeli ani nie widzieli helikoptera, który mrucząc niewinnie w oddali, leciał za nimi na wysokości dziewięciuset metrów.

Przed dworcem Amtraka Mark wysiadł bez słowa z szoferki, wziął z paki torbę, ruszył chodnikiem do wejścia i kupił w kasie bilet drugiej klasy na pociąg do Nowego Jorku. Miał trochę czasu – pociąg odjeżdżał trzynaste po drugiej – więc czekając, czytał *Ostatniego z wielkich*. Nie był pożeraczem książek, lecz nagle dostał obsesji na punkcie Fitzgeralda. Pomyślał o oryginalnym rękopisie *Ostatniego*, o tym, gdzie jest teraz ukryty, i stłumił uśmiech.

Jerry wstąpił do sklepu monopolowego po butelkę wódki. Kiedy wyszedł, wyrosło przed nim trzech roślących mężczyzn w ciemnych garniturach, którzy przywitali się, mignęli mu przed nosem odznakami i powiedzieli, że chcą porozmawiać. Jerry odparł: „Nie, dziękuję, mam coś do zrobienia”. Sęk w tym, że oni też mieli. Jeden wyjął kajdanki, drugi zabrał mu wódkę, a trzeci go obszukał, wyjmując z kieszeni portfel, klucze i sat-traka. Zaprowadzili go do długiego, czarnego SUV-a i pojechali do aresztu miejskiego niecałe cztery ulice dalej. Podczas jazdy milczeli. W areszcie umieścili go w pustej celi, też bez słowa. Jerry o nic nie spytał, oni nic nie powiedzieli. Potem zajrzał do niego strażnik; chciał się przywitać.

– Hej, wie pan może, o co tu chodzi? – spytał Jerry.

Strażnik rozejrzał się, nachylił do kraty i odparł:

– Nie mam pojęcia, stary, ale wkurzyłeś ich aż miło.

Jerry wyciągnął się na pryczy w ciemnej celi i wbił wzrok w brudny sufit, nie dowierzając, że wszystko to dzieje się naprawdę.

Bo jakim cudem? Co poszło nie tak?

Wokół niego wirowały ściany celi, a Carole, która właśnie otworzyła drzwi, ujrzała w progu sześciu agentów. Jeden okazał nakaz rewizji. Drugi polecił jej wyjść z mieszkania i poczekać w samochodzie, nie włączając silnika.

Mark wsiadł do pociągu o drugiej. Drzwi zamknęły się o drugiej trzynastej, jednak pociąg nie ruszył. O wpół do trzeciej do przedziału weszło dwóch mężczyzn w identycznych granatowych trenczach i przeszło go surowymi spojrzeniami. To była straszna chwila. Mark od razu zrozumiał, że wszystko zaczyna się walić.

Mężczyźni przedstawili się dyskretnie i poprosili, żeby wysiadł. Jeden chwycił go za łokieć, drugi zdjął z półki torbę. W drodze do aresztu milczeli.

– Co się dzieje, panowie? – spytał znudzony ciszą Mark. – Jestem aresztowany?

– Zwykle nie zakładamy kajdanek przypadkowo spotkanym osobom – odparł kierowca, nie odwracając głowy.

– Jasne. A więc za co mnie aresztowaliście?

– Dowiesz się w pace.

– Myślałem, że odczytując mi moje prawa, musicie też przedstawić zarzuty.

– Trochę zielony jesteś, co? Nie musimy odczytywać praw, chyba że zechcemy cię przesłuchać. A na razie próbujemy nacieszyć się ciszą i spokojem.

Mark zamilkł i wbił wzrok w okno. Przypuszczał, że dopadli Jerry'ego, w przeciwnym razie skąd by wiedzieli, gdzie go szukać? Czy to możliwe, że go zgarnęli i Jerry zaczął już sypać i dogadywać się z psami? Nie, wykluczone.

Jerry nie powiedział ani słowa, nie dano mu okazji. Kwadrans po piątej przewieziono go do biura FBI kilka przecznic od aresztu, wprowadzono do pokoju przesłuchań, posadzono przy stole, zdjęto mu kajdanki i poczęstowano kawą. Do pokoju wszedł agent McGregor, który zdjął marynarkę, usiadł i wdał się z nim w pogawędkę. Pogawędka była przyjazna i w końcu McGregor nawiązał do przysługujących mu praw.

– Był pan kiedyś aresztowany?

Jerry, owszem, był i z doświadczenia wiedział, że jego nowy kumpel agent ma wyciąg z kartoteki policyjnej.

– Tak – odparł.

– Ile razy?

– Drogi panie agencie, wspomniał pan przed chwilą, że mam prawo milczeć. Dlatego nie powiem ani słowa i żądam adwokata. Jasne?

– Jasne – odrzekł McGregor i wyszedł.

Marka przesłuchiowano za rogiem, w innym pokoju. McGregor wszedł tam i odbył ten sam rytuał, pijąc z nim kawę i zapoznając go z przysługującymi mu prawami. Z nakazem rewizji w ręku agenci przeszukali jego torbę i znaleźli wiele interesujących rzeczy. McGregor otworzył dużą kopertę, wyjął kilka plastikowych kart i zaczął układać je na stole.

– Te są z pańskiego portfela, panie Driscoll – powiedział. – Prawo jazdy z Marylandu. Zdjęcie jest kiepskie, ale ma pan tu włosy, a nawet brwi. Dwie ważne karty płatnicze i tymczasowa licencja myśliwska z Pensylwanii. – Położył na stole więcej kart. – Te były w torbie. Prawo jazdy z Kentucky na nazwisko Arnolda Sawyera, który też ma bujną czuprynę. Fałszywa karta płatnicza... – Powoli wyjmował z koperty kartę za kartą. – Fałszywe prawo jazdy z Florydy. Pan Luther Banahan jest tu w okularach i ma brodę. A to jest wysokiej klasy paszport wydany w Houston panu Clyde'owi D. Mazy'emu wraz z prawem jazdy i trzema fałszywymi kartami płatniczymi.

Stół był zasłany. Markowi zbierało się na wymioty, lecz zacisnął zęby i spróbował wzruszyć ramionami. I co z tego?

– Imponujące – ciągnął McGregor. – Wszystkie sprawdziliśmy i znamy już pańskie prawdziwe nazwisko. Mark Driscoll. Adres nieznany, bo dużo pan jeździ.

– Czy to pytanie? – rzucił Mark.

– Nie, jeszcze nie.

– To dobrze, bo nic nie powiem. Przysługuje mi prawo do adwokata, więc lepiej mi go znajdźcie.

– Ależ oczywiście. Dziwne jest tylko to, że na wszystkich zdjęciach ma pan włosy, brwi, a nawet wąsy. A teraz wszystko to zniknęło. Czyżby się pan przed kimś ukrywał?

– Żądam adwokata – powtórzył Mark.

– Naturalnie. Aha, jeszcze jedno: nie znaleźliśmy dokumentów magistra Neville’a Manchina z Uniwersytetu Portland. Czy to nazwisko coś panu mówi?

Mówi? Mark poczuł się tak, jakby zdzielono go w głowę ciężkim młotem.

Za lustrem weneckim stała wycelowana w niego kamera wysokiej rozdzielczości. Dwóch siedzących w sąsiednim pomieszczeniu ekspertów śledczych, przeszkolonych w wykrywaniu kłamliwych podejrzanych i świadków, uważnie obserwowało jego źrenice, górną wargę, mięśnie twarzy i ułożenie głowy. Na dźwięk nazwiska Manchin Driscoll drgnął. A kiedy odparł niepewnie: „Nic nie powiem, żądam adwokata”, eksperci pokiwali głowami i uśmiechnęli się. Już go mieli.

McGregor wyszedł, zamienił kilka słów z kolegami i wszedł do pokoju Jerry’ego. Usiadł, uśmiechnął się, trochę pomilczał i w końcu spytał:

– Więc wciąż nie chce pan mówić, he?

– Żądam adwokata – powtórzył Jerry.

– Tak, oczywiście, już go szukamy. Nie jest pan zbyt rozmowny, prawda?

– Żądam adwokata.

– Pana kumpel Mark współpracuje dużo chętniej.

Jerry głośno przełknął ślinę. Miał nadzieję, że Mark zdążył wyjechać, ale chyba nie wyjechał. Co się, do diabła, stało? Jakim cudem tak szybko ich złapali? Przecież wczoraj o tej porze całą czwórką siedzieli w domku myśliwskim, grali w karty, pili piwo i delektowali się przestępstwem doskonałym.

Nie, Mark nic im nie powiedział.

McGregor wskazał jego lewą rękę.

– Plaster? Skaleczył się pan?

– Żądam adwokata.

– Może jednak lekarza?

– Adwokata.

– Dobrze, już dobrze. Idę go poszukać. – McGregor trzasnął drzwiami i zostawił go samego.

Jerry spojrzał na nadgarstek. Niemożliwe.

16

Na staw padały coraz dłuższe cienie, więc Denny zakręcił kołowrotkiem i powiosłował w stronę domku; był w lekkiej kurtce, a od wody ciągnęło chłodem. Myślał o Treyu, o tym, że mu nie ufa. Trey miał czterdzieści jeden lat i dwa razy wpadł ze skradzionym towarem. Przed pierwszą ucieczką odsiedział cztery lata, przed drugą dwa i Denny'emu nie dawało spokoju to, że za każdym razem wymiękał, zaczynał śpiewać i w zamian za mniejszy wyrok wydawał kumpli. Dla zawodowca to ciężki grzech.

Nie miał wątpliwości, że z całej piątki to właśnie on jest najśłabszym ogniwem. Jako komandos Denny walczył w wojnach i brał udział w strzelaninach. Stracił wielu przyjaciół i zabił wielu wrogów. Strach mógł jeszcze zrozumieć. Słabości nienawidził.

17

W czwartek wieczorem Denny i Trey grali w remika i pili piwo. Punktualnie o ósmej przerwali grę, wyjęli sat-traki i wprowadzili kody. Kilka sekund później nadszedł komunikat od Ahmeda z Buffalo: *Czysto*. Ale Mark i Jerry milczeli. O ósmej Jerry miał być w swoim mieszkaniu, a Mark w pociągu, w sześciogodzinnej podróży z Rochester na dworzec Penn Station w Nowym Jorku.

Następne pięć minut minęło bardzo powoli, a może błyskawicznie. Coś było nie tak. Przecież sat-traki działały jak należy, prawda? Skonstruowano je specjalnie dla CIA i kosztowały fortunę. To, że Mark i Jerry jednocześnie zamilkli, znaczyło, że... Właśnie, co właściwie znaczyło? Sześć po ósmej Denny wstał.

– Zaczynamy – rozkazał. – Pakujemy najniezbędniejsze rzeczy i szykujemy się do ewakuacji. Dobra?

– Jasne – odparł wyraźnie zaniepokojony Trey.

Pobiegli do swoich pokoi i zaczęli wrzucać ubrania do zielonych wojskowych worków.

– Jedenaście po ósmej – powiedział Denny kilka minut później. – Dwadzieścia po wychodzimy. Tak?

– Tak – odparł Trey, zerkając na wciąż czarny ekran sat-traka.

Dwadzieścia po ósmej Denny otworzył sejf na broń w pakamerze. Schowali pięć rękopisów do worków z ubraniami, zanieśli je do pick-upa i wrócili do domku, żeby zgasić światło i dokonać ostatniej gorączkowej inspekcji.

– Podpalimy go? – spytał Trey.

– Zwariowałeś? – warknął Denny zirytowany jego głupotą. – Pożar przyciągnąłby uwagę. Najwyżej odkryją, że tu byliśmy. I co z tego? Znikniemy i zanim ktoś tu zajrzy, będziemy daleko stąd.

Zgasili światło, zamknęli oboje drzwi i kiedy schodzili z ganku, Denny zawahał się lekko, tak by Trey go wyprzedził. Wtedy skoczył, mocno zacisnął ręce na jego szyi i wbił kciuki w arterie szyjne. Niczego niepodświadomie Trey, starszy, drobniejszy i bez formy, nie miał szans z byłym komandosem. Przez kilka sekund wierzgał i szarpał się, w końcu zwiotczał. Denny rzucił go na ziemię i zdjął pas.

18

Pod Scranton wziął benzynę i wypił kawę, a potem pojechał na zachód autostradą międzystanową 80. Na autostradzie obowiązywało ograniczenie prędkości do stu dziesięciu kilometrów na godzinę, więc nastawił tempomat na sto pięć. Wypił kilka piw, lecz alkohol zdążył już wyparować. Co kilka kilometrów zerknął na leżącego na desce rozdzielczej sat-traka. Wiedział, że nikt się już nie zamelduje i ekran pozostanie ciemny. Założył, że policja zgarnęła jednocześnie ich obu, Marka i Jerry'ego, i że bardzo mądrzy specjaliści rozbierają teraz na części ich namierniki lokacyjne. Sat-trak Treya leżał na dnie stawu, wraz z jego przemoczonym, rozkładającym się właścicielem.

Denny wiedział także, że jeśli uda mu się przeżyć następne dwadzieścia cztery godziny i wyjechać z kraju, cała fortuna będzie należała do niego i tylko do niego.

Zaparkował przed drzwiami całodobowej naleśnikarni i usiadł przy stoliku z widokiem na pick-upa. Otworzył laptop, zamówił kawę i spytał, czy mają tu Wi-Fi. Kelnerka odparła, że oczywiście, i podała mu hasło. Postanowił tam trochę posiedzieć, więc oprócz kawy zamówił gofry z bekonem. Wszedł do internetu, sprawdził rozkład odlotów z Pittsburgha i zarezerwował miejsce w samolocie do Chicago, a stamtąd non stop do Mexico City. Potem poszukał klimatyzowanych magazynów i zrobił ich listę. Jadł powoli, prosząc o dolewkę kawy i zabijając czas. Wszedł na stronę „New York Timesa” i zaskoczony zobaczył nagłówek opublikowanego przed czterema godzinami artykułu. *Princeton potwierdza: skradziono rękopisy Fitzgeralda.*

Po całym dniu milczenia i podejrzanych zaprzeczeń władze uniwersytetu wydały w końcu oficjalne oświadczenie potwierdzające krążące ostatnio plotki. We wtorek wieczorem podczas zamieszania, do którego doszło na kampusie po licznych meldunkach o grasującym tam zamachowcu, do Biblioteki Firestone’a włamali się złodzieje. Zamieszanie wywołano celowo i skutecznie. Uniwersytet nie chciał wyjawic, ile rękopisów skradziono, przyznawał jednak, że *straty są znaczne*. FBI natychmiast wszczęło śledztwo i tak dalej, i tak dalej. Szczegółów nie podano.

W artykule nie było ani słowa o Marku i Jerry, więc Denny’ego ogarnął nagle lęk. Chciał jak najszybciej wyjść i ruszyć w dalszą drogę. Zapłacił i wychodząc z restauracji, wrzucił sat-traka do kosza na śmieci przed drzwiami. Przeszłość odeszła, nic już go z nią nie wiązało. Został sam. Był wolny i podekscytowany rozwojem wydarzeń, jednocześnie zdenerwowany opublikowaną wiadomością o włamaniu. Ucieczka z kraju była teraz nakazem chwili. Nie tak to wszystko zaplanował, jednak w sumie nie mogło być lepiej. Plany... Plany nigdy nie wypalają, a do wygranych należą tylko ci, którzy umieją się błyskawicznie przystosować.

Trey wróżył kłopoty. Szybko stałby się zawadą, potem utrapieniem, w końcu kulą u nogi. Denny myślał o nim tylko przelotnie. Gdy zaczęła ustępować ciemność i wjechał na północne przedmieścia Pittsburgha, zatrzasnął za nim wrota pamięci. Kolejne przestępstwo doskonałe.

O dziewiątej wszedł do biura magazynów East Mills Secured Storage w Oakmont i oświadczył, że chciałby przechować kilkanaście butelek kosztownego wina, więc szuka niewielkiego schowka o kontrolowanej temperaturze i wilgotności. Urzędnik pokazał mu schowek na parterze, rzeczywiście niewielki, niecałe cztery metry na cztery. Cena? Dwieście pięćdziesiąt dolarów miesięcznie, płatne z góry za minimum rok. Denny powiedział: „Nie, dzięki, rok to za długo”. W końcu umówili się na pół roku i trzysta dolarów miesięcznie. Okazał prawo jazdy z New Jersey, podpisał umowę jako Paul Rafferty i zapłacił gotówką. Wziął klucz, wrócił do magazynu, otworzył schowek i ustawił temperaturę na dwanaście i pół stopnia, a wilgotność na czterdzieści procent. Zgasił światło i idąc korytarzem, odnotował w pamięci rozmieszczenie kamer bezpieczeństwa. Udało mu się wyjść niepostrzeżenie.

O dziesiątej otwarto dyskont z winami i był pierwszym tego dnia klientem. Zapłacił gotówką za cztery kartony chardonnay, taniego sikacza, wyprosił od sprzedawcy dwa puste i wyszedł. Pół godziny jeździł po okolicy, szukając dobrej kryjówki, miejsca leżącego z dala od ruchu ulicznego i kamer. W końcu pojechał do taniej myjni samochodowej i zaparkował przy odkurzacach. Rękopisy *Po tej stronie raj* i *Pięknych i przeklętych* zmieściły się doskonale w jednym kartonie. *Czuła jest noc* i *Ostatni z wielkich* w drugim. *Wielki Gatsby* dostał swój własny po tym, jak Denny wyjął z niego dwanaście butelek i ułożył je na tylnym siedzeniu.

O jedenastej zataszczył sześć kartonów do schowka w East Mills. Wychodząc, wpadł na pracownika, z którym podpisał umowę, i zapowiedział, że jutro przywiezie jeszcze więcej wina. „Oczywiście, jak pan chce”, odparł tamten, bo miał to gdzieś. Odjeżdżając, Denny patrzył na ciągnące się bez końca rzędy magazynów i myślał: Ciekawe, jakie łupy się w nich kryją. Na pewno było ich sporo, lecz żaden nie dorównywał wartością jego rękopisom.

Powoli przejechał przez centrum Pittsburgha i znalazł się w niebezpiecznej części miasta. Zaparkował przed apteką z grubymi kratami w oknach. Opuścił szyby i zostawiwszy w stacyjce kluczyki, a na podłodze dwanaście butelek podłego wina, wziął torbę, wysiadł i odszedł. Zbliżało się południe, był jasny, pogodny jesienny dzień i Denny czuł się względnie bezpiecznie. Znalazł automat

telefoniczny, wezwał taksówkę i czekał przed restauracją z kuchnią soul food. Czterdzieści pięć minut później taksówka wyrzuciła go na międzynarodowym lotnisku w Pittsburghu. Odebrał bilet, bez problemów zaliczył kontrolę bezpieczeństwa i ruszył w stronę kawiarni w pobliżu swojej bramki. Po drodze kupił w kiosku „New York Timesa” i „Washington Post”. Znad zagięcia na pierwszej stronie „Washington Post” krzyczał do niego nagłówek: *Dwóch aresztowanych po włamaniu do Biblioteki Firestone’a*. Nie zamieszczono żadnych zdjęć ani nie podano nazwisk, więc było oczywiste, że władze Princeton i FBI filtrują fakty. Według krótkiego artykułu, podejrzanych aresztowano poprzedniego dnia w Rochester.

Trwały poszukiwania pozostałych przestępców *zamieszanych w to spektakularne włamanie*.

19

Podczas gdy Denny czekał na samolot do Chicago, Ahmed poleciał do Toronto, gdzie kupił bilet w jedną stronę na samolot do Amsterdamu. Ponieważ do odlotu miał jeszcze cztery godziny, wstąpił do lotniskowego baru, ukrył twarz za jadłospisem i zaczął pić.

20

Gdy w poniedziałek Mark Driscoll i Gerald Steengarden zrezygnowali z ekstradycji do innego stanu, przewieziono ich do Trenton w New Jersey. Tam stanęli przed sędzią pokoju i złożyli na piśmie zaprzysiężone oświadczenie, że nie dysponują żadnym majątkiem, dostali adwokata z urzędu. Ze względu na ich zamiłowanie do fałszywych dokumentów uznano, że mogą uciec, i odmówiono im prawa do wyjścia za kaucją.

Minął kolejny tydzień, potem miesiąc i śledztwo zaczęło tracić impet. To, co początkowo wydawało się czymś łatwym

i obiecującym, okazało się beznadziejną sprawą. Nie licząc kropli krwi, zdjęć dobrze przebranych złodziei, no i oczywiście zaginionych rękopisów, władze nie miały ani jednego dowodu rzeczowego. Owszem, znaleziono spaloną furgonetkę, którą włamywacze uciekli z miejsca zdarzenia, lecz nikt nie wiedział, skąd ją wzięli. Wynajęty przez Denny'ego pick-up został skradziony, rozebrany na części i zniknął bez śladu w „dziupli”. Natomiast sam Denny poleciał z Mexico City do Panamy, gdzie miał znajomych, którzy umieli się dobrze ukryć.

Było oczywiste, że korzystając z fałszywych legitymacji studenckich, Jerry i Mark odwiedzili bibliotekę kilka razy; Mark podał się nawet za początkującego badacza twórczości F. Scotta Fitzgeralda. Było też oczywiste, że w dniu włamania on i Jerry weszli tam wraz z trzecim współnikiem, jednak nie wiadomo, kiedy i jak stamtąd wyszli.

Ponieważ organy ścigania nie odzyskały skradzionych przedmiotów, prokurator wstrzymał się z wniesieniem oskarżenia. Adwokaci Jerry'ego i Marka złożyli wnioski o oddalenie zarzutów, lecz sędzia odmówił i podejrzani pozostali w areszcie. Nie wyszli za kaucją i nie pisnęli ani słowa. Milczenie trwało. Trzy miesiące po kradzieży prokurator zaproponował Markowi układ układowy, najlepszy z możliwych: wszystko wyśpiewasz i wyjdiesz. Jako nienotowany i ten, który nie zostawił na miejscu przestępstwa swojego DNA, Mark był lepszym kandydatem niż Jerry. Prosta sprawa: puścisz farbę i będziesz wolnym człowiekiem.

Mark odmówił z dwóch powodów. Po pierwsze, adwokat zapewnił go, że prokuratorowi trudno by było dowieść swego na procesie, dlatego będzie pewnie zwlekał z wniesieniem oskarżenia. Po drugie i ważniejsze, za murami przebywali Denny i Trey, co znaczyło, że rękopisy są dobrze ukryte, a zemsta prawdopodobna. Co więcej, nawet gdyby Mark wyjawiał prawdziwe nazwiska współników, FBI miałyby duże trudności z ich namierzeniem. Oczywiście nie wiedział, gdzie są teraz rękopisy. Wiedział jedynie, gdzie jest druga i trzecia kryjówka, wyglądało jednak na to, że ich nie wykorzystano.

Wszystkie tropy prowadziły w ślepią uliczkę. Wskazówki, początkowo wyraźne, powoli wyblakły. Rozpoczęła się gra na przeczekanie. Obecny właściciel rękopisów zażąda za nie pieniędzy, i to dużych. Tak więc prędzej czy później skradziona spuścizna Fitzgeralda na pewno wypłynie, pytanie tylko, gdzie, kiedy i za ile złodzieje zechcą ją sprzedać.

Rozdział 2

KSIĘGARZ

1

Kiedy Bruce Cable miał dwadzieścia trzy lata i był studentem trzeciego roku na uniwersytecie w Auburn, nagle zmarł jego ojciec. Zarówno ojciec, jak i wykładowcy narzekali, że Bruce nie robi postępów w nauce i sprawy zaszły tak daleko, że ojciec kilkakrotnie zagroził wydziedziczeniem syna. Ich przodkowie dorobili się fortuny na piasku i żwirze, którą – idąc za złą poradą prawną – zainwestowali w szereg nieprzemyślanych i skomplikowanych trustów, skutkiem czego następne pokolenia niezasługujących na to krewnych mogły czerpać z coraz bardziej topniejących zysków. Rodzina Bruce’a od lat żyła za fasadą dobrobytu, podczas gdy tak naprawdę ich majątek z każdym rokiem malał. Groźba zmiany testamentu i pozbawienia udziałów należała do ulubionych forteli wymierzonych w młodych członków rodziny, choć nigdy nie skutkowałą.

Starszy pan Cable zmarł, zanim zdążył dotrzeć do kancelarii adwokackiej, dlatego Bruce obudził się pewnego dnia z perspektywą szybkiego odziedziczenia trzystu tysięcy dolarów, co było sporym przyływem gotówki, pięknym i zupełnie nieoczekiwanym, jednak niewystarczającym do tego, żeby nie myśleć o emeryturze. Zastanawiał się, czyby tych pieniędzy nie zainwestować, co przy ostrożnych posunięciach dałoby mu pięć, dziesięć procent rocznego zysku, ale to nie wystarczyłoby jednak na sfinansowanie stylu życia, jakiego nagle zapragnął. Inwestowanie bardziej agresywne łączyło

się z dużym ryzykiem, a on nie chciał nagle zbiednieć. Pieniądze miały na niego dziwny wpływ. Ale chyba najdziwniejsze było to, że po pięciu latach rzucił studia i nie oglądając się za siebie, wyjechał z Auburn.

Pewna dziewczyna zwabiła go na Camino, długą na szesnaście kilometrów wyspę leżącą na rafie koralowej na północ od Jacksonville. W ładnym apartamencie, za który płaciła, spędził miesiąc, śpiąc, pijąc piwo, spacerując po zalewanej falami plaży, gapiąc się godzinami na Atlantyk i czytając *Wojnę i pokój*; studiował literaturę angielską i zawsze dręczyło go, że nie przeczytał tylu wspaniałych książek.

Spacerując po plaży, głowił się, co zrobić, żeby ustrzec pieniądze i kiedyś być może je pomnożyć. Mądrym posunięciem było to, że wiadomość o szczęściu, jakie na niego spadło, zachował tylko dla siebie – o ukrywanej od dziesięcioleci fortunie Cable'ów mało kto słyszał – dlatego nie napastowali go znajomi z dobrymi radami czy prośbami o pożyczkę. Dziewczyna na pewno niczego się nie domyślała, zresztą już po tygodniu wiedział, że wkrótce przejdzie do historii. Bez szczególnej kolejności czy porządku zastanawiał się, czy nie zainwestować w jakąś franczyzę, na przykład restaurację z kanapkami z kurczakiem, we florydzkie ugory, apartament w pobliskim wysokościowcu, kilka start-upów internetowych w Dolinie Krzemowej, centrum handlowe w Nashville i tak dalej. Nałogowo czytał czasopisma finansowe, a im więcej czytał, tym częściej dochodził do wniosku, że nie miałby cierpliwości do inwestowania. Dla niego był to tylko beznadziejny labirynt strategii i liczb. Nie bez powodu wybrał anglistykę zamiast ekonomii.

Co drugi dzień chodzili na spacer do urokliwego miasteczka Santa Rosa, na lunch albo na drinka w którymś z barów przy ulicy Głównej. Była tam całkiem porządna księgarnia z małą kawiarenką i z czasem zaczęli w niej regularnie przesiadywać przy popołudniowej kawie i „New York Timesie”. Właścicielem, który sam stał za barem, był starszy mężczyzna imieniem Tim, gaduła nad gadułami. Kiedyś wypsnęło mu się, że chciałby sprzedać księgarnię i przenieść się na Key West. Następnego dnia Bruce'owi udało się zgubić dziewczynę i pójść na kawę samemu. Usiadł przy barze i zaczął wypytywać Tima o szczegóły.

Okazało się, że sprzedawanie książek to ciężki kawałek chleba. Duże księgarnie sieciowe mocno zbijały ceny bestsellerów, niektóre nawet o pięćdziesiąt procent, w dodatku teraz, w epoce internetu i Amazona, klienci woleli robić zakupy z domu. W ciągu ostatnich pięciu lat splajtowało ponad siedemset niezależnych księgarń i tylko nieliczne wychodziły na swoje. Im dłużej Tim mówił, tym bardziej poseępniał.

– Sprzedaż detaliczna to brutalna walka o przetrwanie – powtórzył co najmniej trzy razy. – Bez względu na to, co zrobisz dzisiaj, jutro musisz zaczynać od nowa.

Bruce podziwiał go za szczerość, lecz wątpił w jego spryt. No, jeśli w ten sposób Tim próbował skusić kupca, to dużo szczęścia życzę...

W każdym razie wyciągał z księgarni całkiem przyzwoite pieniądze. Na wyspie mieszkała mocno zakorzeniona społeczność literacka, w tym kilku aktywnych zawodowo pisarzy. Odbywał się tu festiwal książki, było kilka dobrych bibliotek, a emeryci wciąż lubili czytać i wydawali na swoją pasję sporo pieniędzy. Wyspa miała około czterdziestu tysięcy stałych mieszkańców i co roku odwiedzało ją milion turystów, więc ruch był duży. „Za ile by ją pan sprzedał?” – spytał w końcu Bruce. Tim odparł, że za sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów gotówką, żadnych rat, no i kupiec musi wynająć cały budynek, w którym mieściła się księgarnia. Bruce spytał nieśmiało, czy mógłby zobaczyć księgi rachunkowe, tylko podstawowe zestawienie zysków i strat. Lecz Timowi nie podobał się ten pomysł. Nie znał go i myślał, że Bruce jest tylko kolejnym dwudziestokilkulatkiem włóczącym się po plaży i szastającym pieniędzmi tatusia. W końcu rzucił:

– Dobra. Pan pokaże mi swój bilans, a ja pokażę panu mój.

– W porządku – zgodził się Bruce.

Wyszedł, obiecując wrócić, lecz właśnie wtedy pochłonęła go myśl o podróży po kraju. Trzy dni później pożegnał się z dziewczyną i pojechał do Jacksonville kupić samochód. Marzył o nowiułku, błyszczącym porsche 911 carrera, a to, że mógłby po prostu wypisać czek, sprawiało, że pokusa była aż bolesna. Oparł się jej jednak i po długich, ciężkich targach zamienił swojego zajeżdżonego jeepa cherokee na fabrycznie nowego. Potrzebował dużej paki, na

wypadek gdyby musiał coś przewieźć. Porsche mogło poczekać do czasu, aż na nie zarobi.

W nowej bryczce i z pieniędzmi w banku wyjechał z Florydy w poszukiwaniu przygody literackiej, która z każdym przejechanym kilometrem coraz bardziej go nęciła. Nie miał żadnego planu i na razie zmierzał na zachód. Na wybrzeżu Pacyfiku chciał skręcić na północ, potem na wschód, jeszcze potem na południe. Czas nie istniał, nie ograniczały go żadne terminy. Szukał niezależnych księgarń, a kiedy jakąś znalazł, robił parodniową przerwę w podróży, żeby poszperać na półkach, wypić kawę, trochę poczytać czy nawet zjeść w księgarni lunch, jeśli go tam serwowano. Zwykle udawało mu się pogawędzić z właścicielami i delikatnie ich wypytać. Mówił im, że zastanawia się nad kupnem księgarni i szczerze powiedziawszy, potrzebuje rady. Odpowiadali różnie. Większość lubiła swoją pracę, nawet ci, którzy martwili się o przyszłość. Ze względu na rozrost sieciówek i pełen niewiadomych internet interes był bardzo niepewny. Krążyły przerażające opowieści o renomowanych księgarniach wypartych z rynku przez duże dyskonty, które wyrastały nagle po drugiej stronie ulicy. Niektóre, zwłaszcza te w miasteczkach uniwersyteckich zbyt małych dla sieciówek, prosperowały znakomicie. Inne, nawet te w dużych aglomeracjach, świeciły pustką. Ale wciąż powstawały nowe, dzielnie walcząc z powszechnym trendem. Tak więc rady były niespójne i krańcowo różne, zaczynając od klasycznej: „Detal to brutalna walka o przetrwanie”, po: „Śmiało, masz dopiero dwadzieścia trzy lata”. Jednak wszystkie łączyło jedno: doradzający lubili to, co robili. Kochali książki, literaturę, pisarzy i cały świat wydawniczy. Chętnie przesiadywali do późnej nocy i rozmawiali z klientami, ponieważ uważali, że ich zawód jest szlachetnym powołaniem.

Przez dwa miesiące Bruce jeździł po kraju, zygzakując bez celu w poszukiwaniu kolejnej niezależnej księgarni. Właściciel jednej znał zwykle trzech innych na drugim końcu stanu, a tamci znali kolejnych. Pochłaniał litry mocnej kawy, chodził na spotkania z autorami, kupował dziesiątki podpisanych przez nich książek, spał w tanich motelach, czasem z innym mołem książkowym, którego właśnie poznał, godzinami rozmawiał z księgarzami, którzy chcieli

podzielić się z nim wiedzą i radą, sączył podle wino na spotkaniach z pisarzami, których przyszła posłuchać ledwie garstka ludzi, zrobił setki zdjęć w środku i z zewnątrz, zapełniał zeszyt notatkami i prowadził dziennik. Zanim zmęczyło go ciągłe jeżdżenie i przygoda dobiegła końca, w siedemdziesiąt cztery dni pokonał prawie trzynaście tysięcy kilometrów i odwiedził sześćdziesiąt jeden niezależnych księgarń, z których żadna nie była w najmniejszym stopniu podobna do poprzedniej. W końcu uznał, że ma plan.

Wrócił na Camino. Tim był tam gdzie zawsze, w swojej kawiarence. Pił espresso, czytał gazetę i robił wrażenie jeszcze bardziej wymizerowanego niż przedtem. Nie pamiętał Bruce'a, lecz on mu się przypomniał.

– Parę miesięcy temu chodziło mi po głowie kupno księgarni – powiedział. – Chciał pan sto pięćdziesiąt tysięcy.

– A, tak. – Tim lekko się ożywił. – Znalazł pan pieniądze?

– Nie wszystkie. Wypiszę panu czek na sto tysięcy, a za rok dorzucę dwadzieścia pięć.

– Pięknie, ale jeśli dobrze liczę, to i tak dwadzieścia pięć tysięcy za mało.

– Więcej nie mam. Pana decyzja. Mam jeszcze jedną ofertę.

Tim zastanawiał się tylko sekundę. Powoli wyciągnął rękę i uścisnęli sobie dłonie. Wezwał adwokata i kazał mu szybko przygotować papiery. Trzy dni później podpisali umowę i pieniądze zmieniły właściciela. Bruce zamknął księgarnię na miesiąc, żeby przeprowadzić remont, i wykorzystał ten czas na intensywny kurs sprzedaży książek. Tim chętnie dzielił się z nim wiedzą o tajnikach branży, plotkami o klientach i innych księgarniach na wyspie. Miał własne zdanie niemal na każdy temat i po miesiącu Bruce mu podziękował.

Pierwszego sierpnia 1996 roku księgarnia ponownie otworzyła swe podwoje z największą pompą, na jaką było go stać. Tłumnie zgromadzeni goście pili szampana i piwo, słuchali reggae i jazzu, a on delectował się chwilą. Rozpoczął swoją wielką przygodę: księgarnia Bay Books, Książki Nowe i Stare, weszła na rynek.

Rzadkimi książkami zainteresował się przypadkowo. Usłyszawszy straszną wiadomość, że ojciec zmarł na atak serca, pojechał do Atlanty, do domu. Właściwie nie był to jego dom – rzadko kiedy tam bywał – tylko aktualny i ostatni dom jego ojca, który często się przeprowadzał, zwykle ciągnąc za sobą kolejne straszdyło. Starszy pan Cable był dwukrotnie żonaty, lecz choć obie żony okazały się fatalne i poprzysiągł sobie, że trzeciej i następnych już nie będzie, po prostu nie mógł istnieć bez ubranego w spódnicę koszmaru, który komplikował mu życie. Kobiety lgnęły do niego z powodu jego domniemanego bogactwa, z czasem jednak każda odkrywała, że dwa rozwody potwornie go okaleczyły. Na szczęście dla Bruce’a ostatnia właśnie się wyprowadziła i w domu nie było wścibskich oczu i rąk, które...

...pojawiły się dopiero wraz z jego przyjazdem. Na trzecim poziomie domu, zbijającego z tropu awangardowego budynku ze stali i szkła w modnej części miasta, było duże atelier, gdzie ojciec lubił malować w chwilach wolnych od inwestowania. Nigdy nie miał żadnego zawodu i żyjąc z odziedziczonego po przodkach majątku, zawsze określał się mianem „inwestora”. Pod koniec zajął się malarstwem, lecz jego obrazy były tak straszne, że nie chciała ich żadna galeria w Atlancie. Jedną ścianę atelier pokrywały książki, setki tomów, ale Bruce początkowo nie zwrócił na nie uwagi. Założył, że są to tylko ozdoby, kolejna dekoracja, trywialna próba podszycia się pod kogoś głębokiego, skomplikowanego i czytanego. Po bliższym zbadaniu okazało się jednak, że na dwóch półkach stoją stare książki o znajomych tytułach. Jedną po drugiej zaczął je zdejmować i oglądać i zwykła ciekawość szybko przerodziła się w coś innego.

Były to same pierwsze wydania, niektóre podpisane przez autorów. *Paragraf 22* Josepha Hellera z 1961 roku, *Nadzy i martwi* Normana Mailera (1948), *Uciekaj, Króliku* Johna Updike’a (1960), *Niewidzialny człowiek* Ralpa Ellisona (1952), *Kinoman* Walkera Percy’ego (1961), *Goodbye, Columbus* Philipa Rotha (1959), *Wyznania Nata Turnera* Williama Styrona (1967), *Sokół maltański* Dashiella Hammetta (1929), *Z zimną krwią* Trumana Capote’a (1965) i *Buszujący w zbożu* J.D. Salinger’a (1951).

Po pierwszych kilkunastu Bruce, zamiast wstawiać z powrotem na półkę, zaczął je układać na stole. Początkowa ciekawość ustąpiła miejsca uderzającemu do głowy podnieceniu, a potem chciwości. Na niższej półce natknął się na powieści i pisarzy, o których nigdy nie słyszał, lecz zaraz potem dokonał jeszcze bardziej zdumiewającego odkrycia. Za grubą trzytomową biografią Churchilla stały cztery książki: *Wściekłość i wrzask* Williama Faulknera (1929), *Złota czara* Steinbecka (1929), *Po tej stronie raj* F. Scotta Fitzgeralda (1920) i *Pożegnanie z bronią* Ernesta Hemingwaya (1929). Podpisane przez autorów cztery pierwsze wydania w znakomitym stanie.

Bruce pomyszkował jeszcze trochę i nie znalazłszy nic ciekawego, opadł na stary fotel ojca i wbił wzrok w ścianę książek. I kiedy tak siedział w domu, którego w sumie nie znał, patrząc na szkaradztwa namalowane przez pozbawionego talentu artystę, zastanawiając się, skąd ów artysta wytrzasnął te wszystkie książki i co będzie, kiedy przyjedzie jego siostra Molly, żeby wraz z nim zaplanować pogrzeb, uderzyło go to, jak mało wiedział o zmarłym. Ale niby skąd miałby wiedzieć więcej? Ojciec w ogóle nie poświęcał mu czasu. Kiedy Bruce skończył czternaście lat, umieścił go w szkole z internatem. Latem wysyłał go na półtora miesiąca na obóz żeglarski, a potem, na drugie półtora miesiąca, na ranczo jakiegoś znajomego, słowem robił wszystko, żeby syn nie wrócił do domu. Bruce nie miał pojęcia, że ojciec coś kolekcjonował, nie licząc łańcuszka koszmarnych kobiet. Grał w golfa, w tenisa i lubił podróżować, ale nigdy nie z nim czy jego siostrą, tylko zawsze z najnowszą przyjaciółką.

Więc skąd wziął te wszystkie książki? Od kiedy je zbierał? Czy w domu leżały gdzieś stare rachunki, pisemny dowód ich istnienia? Czy wykonawca testamentu będzie musiał zaliczyć je do spadku i przekazać Uniwersytetowi Emory?

Spadek dla Emory – to też go drażniło. Ojciec czasem o tym wspominał, lecz bez szczegółów. Wzniosłe uważał, że jego pieniądze powinny zostać zainwestowane w edukację, zamiast przekazane dzieciom, które by je roztrwoniły. Kilka razy Bruce'a kusilo, by wytknąć mu, że przez całe życie trwonił pieniądze zarobione przez kogoś innego, ale handryczenie się o tego rodzaju sprawy źle by się skończyło.

W tym momencie jednak naprawdę chciał te książki mieć. Postanowił zatrzymać osiemnaście najlepszych, a resztę zostawić. Gdyby ulegając zachłanności, zostawił na półkach dziury, ktoś mógłby je zauważyć. Ułożył książki starannie w kartonach po winie, które znalazł w garażu. Ojciec walczył z butelką od lat i w końcu zawarł z nią rozejm, ograniczając się do kilku wieczornych kieliszków wina dziennie. Przesztawianie książek na półkach i maskowanie wolnych miejsc zajęło Bruce'owi wiele godzin. Ale właściwie kto miałby coś zauważyć? O ile się orientował, Molly nic nie czytała i, co ważniejsze, unikała ojca jak ognia, bo nie zносиła jego przyjaciółek. Nie spędziła w tym domu ani jednej nocy i nie wiedziała, co ojciec w nim ma (mimo to dwa miesiące później spytała Bruce'a przez telefon, czy nie słyszał czegoś o „starych książkach tatusia”. Odparł, że nie).

Zaczekał do zmroku i zaniósł kartony do jeepa. Patio, podjazd i garaż obserwowwały co najmniej trzy kamery, ale gdyby ktoś go spytał, powiedziałyby po prostu, że zabierał swoje stare rzeczy osobiste. Kasety wideo, płyty CD i tak dalej. A gdyby wykonawcę testamentu zainteresowały brakujące pierwsze wydania, odparłyby, że nigdy o nich nie słyszała. Idźcie spytać gosposię.

I tak popełnił przestępstwo doskonałe – jeśli rzeczywiście było to przestępstwo. Jego zdaniem, nie. Uważał, że powinien dostać dużo więcej. Dzięki grubemu testamentowi i prawnikom rodziny majątek ojca szybko podzielono, a o bibliotece zapomniano.

Wkraczając do świata rzadkich książek, miał bardzo dobry start. Przystudiowawszy tajniki tej nowej dla niego dziedziny, zdał sobie sprawę, że jego pierwsza kolekcja – osiemnaście tomów wywiezionych z domu ojca – jest warta około dwustu tysięcy dolarów. Ale nie chciał jej sprzedawać, bo obawiał się, że ktoś rozpozna którąś książkę i zacznie zadawać pytania. Ponieważ nie wiedział, jak ojciec wszedł w ich posiadanie, najlepiej było poczekać, aż minie trochę czasu i zbledną wspomnienia. Miał się szybko nauczyć, że cierpliwość jest w tej branży nakazem.

Kamienicę zbudowano na rogu Trzeciej i Głównej, w samym centrum Santa Rosa. Miała sto lat i pierwotnie mieścił się w niej największy na wyspie bank, który splajtował podczas wielkiego kryzysu. Potem była tam apteka, jeszcze potem inny bank, wreszcie księgarnia. Na piętrze stały pudła, kufry i szafki na dokumenty, pokryte kurzem i zupełnie bezwartościowe. Uznawszy, że piętro też należy do niego, Bruce zburzył parę ścian, wstawił łóżko i powstały w ten sposób lokal nazwał swoim mieszkaniem. Mieszkał tam dziesięć lat, od otwarcia księgarni. Kiedy nie sprzedawał na dole książek, pędził na górę, gdzie sprzątał, czyścił, malował i odnawiał, by w końcu zacząć urządzić.

Pierwszym miesiącem jego działalności był sierpień 1996 roku. Po uroczystym otwarciu z winem i serowymi koreczkami przez kilka dni w księgarni panował duży ruch, ale początkowa ciekawość zaczęła słabnąć. Klientów powoli ubywało. Po trzech tygodniach Bruce zaczął się zastanawiać, czy nie popełnił wielkiego błędu. Ogarnęła go panika, ponieważ sierpniowy zysk netto wyniósł zaledwie dwa tysiące dolarów. A przecież było lato, szczyt sezonu turystycznego. Postanowił zrobić przecenę, coś, przed czym przestrzegała większość niezależnych księgarzy, i całkiem niedawno wydane książki, a nawet bestsellery poleciały w dół o dwadzieścia pięć procent. Przesunął godzinę zamknięcia z siódmej na dziewiątą i harował piętnaście godzin na dobę. Na dole zachowywał się jak rasowy polityk, zapamiętując nazwiska stałych klientów i zwracając uwagę na to, co kupują. Wkrótce stał się również wytrawnym baristą i potrafił zrobić espresso, zajmując się jednocześnie gośćmi. Usunął kilka półek ze starymi książkami, głównie niezbyt chodliwymi klasykami, i urządził tam małą kafejkę. Znów przesunął godzinę zamknięcia, z dziewiątej na dziesiątą. Pisał dziesiątki listów do klientów, autorów i księgarzy, których poznał podczas wyprawy od wybrzeża do wybrzeża. O północy często siadał do komputera, żeby uaktualnić firmowy biuletyn w internecie. Korciło go, aby wzorem większości niezależnych księgarzy otwierać księgarnię w niedzielę, ale po pierwsze, nie chciał, bo musiał kiedyś odpocząć, a po drugie, bał się reakcji mieszkańców. Wyspa Camino leżała w „pasie biblijnym” i w pobliżu księgarni znajdowało się kilkanaście kościołów. Ale była też popularnym wczasowiskiem, a turyści raczej

nie chodzili na poranne msze. Dlatego we wrześniu pomyślał: do diabła z tym, i w niedzielę o dziewiątej rano otworzył swój przybytek z „New York Timesem”, „Washington Post”, „Boston Globe” i „Chicago Tribune” prosto z drukarni, które okraszył świeżutkimi nuggetsami z kurczaka z restauracji trzy domy dalej. W trzecią niedzielę września księgarnia pękała w szwach.

We wrześniu i październiku zarobił na czysto cztery tysiące dolarów, po pół roku podwoił zysk i przestał się martwić. Rok później Bay Books była już najpopularniejszym miejscem w śródmieściu i najruchliwszym sklepem. Wydawcy i ich specjaliści od sprzedaży, którym wiercił dziurę w brzuchu, w końcu ulegli i wyspa znalazła się na obsługiwanych przez nich trasach promocyjnych. Bruce wstąpił do ABA, Amerykańskiego Towarzystwa Sprzedawców Książek, i bez reszty pochłonęły go jego sprawy, problemy i komisje. Zimą 1997 roku na zjeździe ABA poznał Stephena Kinga i zaprosił go do księgarni. Mistrz Horroru podpisywał książki dziewięć godzin, a jego fani czekali w kolejce, która owijała cały kwartał miasta. Bruce sprzedał wtedy dwa tysiące dwieście książek, różnych tytułów, i miał siedemdziesiąt tysięcy obrotu. Ten wspaniały dzień umieścił Bay Books na mapie Ameryki. Trzy lata później uznano ją za najlepszą niezależną księgarnię na Florydzie, a w 2004 roku „Publishers Weekly” ogłosił ją księgarnią roku. W 2005, po dziewięciu latach ciężkiej walki w okopach, Bruce Cable został wybrany do zarządu ABA.

4

Był już wtedy znaną postacią. Miał dwanaście garniturów z marszczoną bawełny, każdy w innym kolorze i odcieniu, i nosił je codziennie z wykrochmaloną białą koszulą i krzykliwą muszką, zwykle czerwoną lub żółtą. Uzupełniał ten strój beżowymi zamszowymi butami, do których nie nosił skarpetek; nie wkładał ich nawet w styczniu, gdy temperatura spadała do kilku stopni powyżej zera. Miał długie prawie do ramion włosy, gęste i falujące. Golił się raz na tydzień, w niedzielę rano. Kiedy skończył trzydzieści lat,

pojawiły się początki siwizny. Z lekko siwiejącymi baczkami i kilkoma pasemkami siwych włosów na głowie było mu całkiem do twarzy.

Codziennie, kiedy tylko ruch trochę zelżał, robił sobie wolne. Szedł na pocztę i flirtował z urzędniczkami. Szedł do banku i flirtował z kasjerkami. Gdy w centrum otwierano nowy sklep, szedł na uroczyste otwarcie, a zaraz potem wracał, żeby poflirtować ze sprzedawczyniami. Lunch był dla niego dużym wydarzeniem, a jadał na mieście sześć razy w tygodniu, zawsze z kimś innym, żeby dopisać rachunek do wydatków firmowych. Kiedy otwierano nową restaurację czy kawiarnię, jako pierwszy w kolejce próbował wszystkich potraw i flirtował z kelnerkami. Podczas lunchu wypijał zwykle butelkę wina, a potem wracał na małą sjęstę do mieszkania nad księgarnią.

Granica między flirtem i nachalnością bywała często bardzo cienka. Lubił kobiety, a ponieważ one lubiły jego, rozgrywał tę grę z dużym wdziękiem. Ale na prawdziwą żyłą złota trafił dopiero wtedy, kiedy Bay Books stała się popularnym przystankiem dla autorów promujących swoje książki. Połowę z nich stanowiły kobiety. W większości poniżej czterdziestki, podróżowały samotnie i szukały dobrej zabawy, więc kiedy wkraczały do księgarni, trafiając do jego świata, stawały się łatwym łupem. Po obowiązkowym czytaniu, podpisywaniu i długiej kolacji zabierał je często na górę, „na głębsze poszukiwanie ludzkich emocji”. Miał swoje ulubienice, zwłaszcza dwie młode panie, popularne autorki erotycznych powieści kryminalnych. A każda wydawała co najmniej jedną książkę rocznie!

Choć bardzo się starał, żeby postrzegano go jako odczytanego playboya, w głębi duszy był ambitnym biznesmenem. Księgarnia zapewniała mu pokaźny dochód, jednak nie działało się tak bez przyczyny. Bez względu na to, jak późno szedł spać, codziennie przed siódmą rano w szortach i podkoszulku rozpakowywał już książki, ustawiał je na półkach, spisywał tytuły, a nawet zamiatał podłogę. Uwielbiał zapach i dotyk nowych książek prosto z kartonu. Dla każdej znajdował stosowne miejsce. Dotykał każdej, która przychodziła, i – co smutne – każdej, którą musiał odesłać do wydawcy. Nie znosił ich zwracać, więc traktował to jak porażkę,

straconą szansę. Zrobił czystkę wśród tych, które się nie sprzedawały, i po kilku latach ograniczył się do około dwunastu tysięcy tytułów. Wszystkie działy księgarni były wypełnione uginającymi się starymi półkami i stosami tomów na podłodze, ale doskonale wiedział, gdzie czego szukać. Ostatecznie własnoręcznie je tam układał. Za kwadrans ósma pędził na górę, brał prysznic i wkładał garnitur dnia, aby punktualnie o dziewiątej otworzyć drzwi i powitać klientów.

Rzadko kiedy brał wolny dzień. Modelowym urlopem był dla niego wyjazd do Nowej Anglii na spotkanie z innym księgarzem czy antykwariuszem w starym zakurzonej sklepiku i rozmowa o sytuacji na rynku. Kochał rare książki, zwłaszcza dwudziestowiecznych amerykańskich pisarzy, i z pasją je kolekcjonował. Jego zbiór rósł, głównie dlatego, że tak bardzo lubił kupować, ale i dlatego, że perspektywa rozstania się z tą czy inną pozycją napełniała go bólem. Tak, był handlarzem, lecz handlarzem, który kupował, nic nie sprzedając. Osiemnaście „książek tatusia” stanowiło cudowny fundament i skończywszy czterdzieści lat, oszacował, że jego kolekcja białych kruków jest warta dwa miliony dolarów.

5

Kiedy został członkiem zarządu ABA, zmarł właściciel kamienicy. Bruce kupił dom od spadkobierców i zaczął rozbudowywać księgarnię. Przeniósł na piętro bar i kafejkę, zmniejszając swoje mieszkanie. Zburzył ścianę i podwoił wielkość działu dziecięcego. W sobotnie poranki w księgarni roiło się od dzieciaków kupujących książki i słuchających bajek, podczas gdy ich mamy piły na gorzce kawę pod czujnym okiem przyjaznego właściciela. Szczególną atencją darzył dział książek rzadkich. Zburzył kolejną ścianę na parterze i dobudował salę „pierwszych wydań” z pięknymi dębowymi półkami, boazerią i kosztownymi dywanami. W piwnicy urządził skarbiec na najcenniejsze białe kruki.

Po dziesięciu latach życia w mieszkaniu był gotowy na coś okazalszego. Wpadło mu w oko kilka starych wiktoriańskich domów w historycznej części Santa Rosa i na dwa złożył nawet ofertę, ale ponieważ zaproponował za mało, obydwie zostały szybko sprzedane komuś innemu. Wspaniałe rezydencje, zbudowane na przełomie wieków przez magnatów kolejowych, spedytorów, lekarzy i polityków, były pięknie zachowane i stały przy ponadczasowych uliczkach ocienionych starymi dębami z mchem hiszpańskim. Kiedy w wieku stu trzech lat zmarła pani Marchbanks, Bruce skontaktował się z jej osiemdziesięcioletnią córką mieszkającą w Teksasie. Przepłacił, ale nie chciał przegrać po raz trzeci.

Rezydencję zbudował w 1890 roku pewien lekarz w prezencie dla swojej pięknej nowo poślubionej żony i od tamtej pory dom wraz z działką należał do rodziny. Stał dwie ulice na północ i trzy ulice na wschód od księgarni i był olbrzymi: miał cztery poziomy, siedemset pięćdziesiąt metrów kwadratowych powierzchni, strzelistą wieżę na południowej ścianie, wieżyczkę na północnej, szeroką werandę i okna wykuszowe, w tym wiele witrażowych. Miał także taras pomiędzy spadzistymi częściami dachu krytego gontem ułożonym w rybią łuskę. Zajmował róg małej działki ogrodzonej białym płotem i ocienionej trzema starymi dębami z mchem hiszpańskim.

Ciemne drewniane podłogi, pomalowane na jeszcze ciemniejszy kolor ściany, wytarte dywany, zakurzone obwisłe kotary, mnóstwo kominków z brązowej cegły – Bruce uznał, że w środku jest przygnębiająco. Większość mebli kupił wraz z domem i natychmiast zaczął je sprzedawać. Dywany, te w lepszym stanie, przeniósł do księgarni, przez co sprawiała wrażenie o dziesiątki lat starszej. Kotary i draperie były nic niewarte, więc je wyrzucił. Kiedy w domu zrobiło się pusto, wynajął ekipę malarzy, która przez dwa miesiące rozjaśniała wewnętrzne ściany. Następnie zatrudnił miejscowego rzemieślnika i ten przez kolejne dwa miesiące odnawiał każdy centymetr kwadratowy dębowych i sosnowych podłóg.

Bruce kupił ten dom, ponieważ wszystko w nim działało: kanalizacja, elektryczność, woda, ogrzewanie i wentylacja. Nie miał ani cierpliwości, ani ochoty na remont, po którym pewnie by splajtował. Nie miał też drygu do majsterkowania, poza tym znał lepsze sposoby spędzania wolnego czasu. Następny rok

przemieszkał nad księgarnią, zastanawiając się, jak umeblować i ozdobić nabyty dom. A dom stał pusty, jasny i piękny, ponieważ zadanie przekształcenia go w coś nadającego się do zamieszkania coraz bardziej go przerażało. Ten majestatyczny przykład architektury wiktoriańskiej zupełnie nie odpowiadał jego nowoczesnym, minimalistycznym gustom. Bruce uważał, że domy z epoki, przeładowane falbankami i ozdóbkami, nie są po prostu w jego stylu.

Bo właściwie dlaczego nie mógłby mieć wielkiego, starego domu wiernego oryginałowi z zewnątrz, a wewnątrz „podrasowanego” i pełnego nowoczesnych mebli oraz dzieł sztuki? Jednak tego rodzaju melanz nie zdałby chyba egzaminu, więc Bruce wciąż był rozdarty.

Chodził tam codziennie i przystawał w każdym pokoju, niepewny i skonsternowany. Czyżby ten pusty moloch, zbyt duży i skomplikowany jak na jego nie do końca sprecyzowane gusta, stawał się jego szaleństwem, kosztownym kaprysem?

6

Uratowała go niejaka Noelle Bonnet, nowoorleańska antykwariuszka, która przyjechała na wyspę, by promować swoje najnowsze dzieło, album w wielkim formacie za pięćdziesiąt dolarów sztuka. Wiele miesięcy wcześniej widział katalog wydawniczy i urzekły go jej zdjęcia. Jak zwykle odrobił pracę domową i dowiedział się, że Noelle ma trzydzieści siedem lat, od urodzenia mieszka w Nowym Orleanie – choć jej matka była Francuzką – jest bezdzietną rozwódką i uznaną ekspertką od prowansalskich antyków. Miała antykwariat przy Royal Street w Dzielnicy Francuskiej i według jej biografii pół roku spędzała w południowej i południowo-zachodniej Francji, szukając starych mebli. Wydała dwie książki na ten temat i Bruce przeczytał obie.

Zrobił to z nawyku, jeśli nie z powołania. Co tydzień organizował dwa, czasem nawet trzy spotkania autorskie i przed przyjazdem pisarza czy pisarki zawsze czytał wszystkie jej lub jego dzieła. Czytał

zachłannie i choć wolał powieści żyjących autorów, ludzi, których mógł poznać, wypromować, z którymi mógłby się zaprzyjaźnić i których losy mógłby śledzić, pochłaniał także biografie, poradniki, książki kucharskie i historyczne, czyli dosłownie wszystko. Przynajmniej tyle mógł zrobić. Podziwiał pisarzy i jeśli któryś zechciał poświęcić mu czas, wpaść do księgarni, zjeść z nim lunch i wypić drinka, chętnie rozmawiał z nim o jego twórczości.

Czytał do późnej nocy i często zasypiał z otwartą książką w łóżku. Jeśli czegoś nie pakował lub nie rozpakowywał, czytał także wczesnym rankiem, samotnie w księgarni, przy mocnej kawie, na długo przed otwarciem. Czytał nieustannie cały dzień i z czasem nabrał ciekawego nawyku stawania w tym samym miejscu przy oknie, tuż przy biografiach, i opierania się o naturalnej wielkości drewnianą rzeźbę wodza Indian Timucua, przy której sączył espresso, jednym okiem śledząc tekst, drugim obserwując frontowe drzwi. Witał klientów, szukał dla nich książek, gawędził z każdym, kto miał ochotę pogawędzić; kiedy ludzi było dużo, czasem pomagał w barze albo przy kasie, ale zawsze wracał do indiańskiego wodza, brał książkę i czytał dalej. Twierdził, że pochłania średnio cztery tygodniowo, i nikt w to nie wątpił. Jeśli starający się o pracę sprzedawca nie czytał co najmniej dwóch, nie miał najmniejszych szans.

Tak czy inaczej, wizyta Noelle Bonnet okazała się wielkim sukcesem, jeśli nawet nie finansowym, to ze względu na trwały wpływ, jaki wywarła na Bruce'a i Bay Books. Zauroczenie było wzajemne, intensywne i błyskawiczne. Po szybkiej, a nawet skróconej kolacji poszli do jego mieszkania na fantastyczny seks. Udając chorą, Noelle odwołała pozostałą część trasy promocyjnej i została w mieście cały tydzień. Trzeciego dnia Bruce zaprowadził ją do nowego domu i z dumą pokazał swoje trofeum. Noelle była zachwycona. Światowej klasy antykwariuszce, dekoratorce wnętrz i marszandce widok siedmiuset pięćdziesięciu metrów kwadratowych pustej powierzchni i ścian za fasadą wspaniałego wiktoriańskiego domu zaparł dech w piersi. Wędrując od pokoju do pokoju, natychmiast zaczęła snuć wizje tego, jak każdy z nich powinien być pomalowany, wytapetowany i umeblowany.

Bruce rzucił kilka skromnych propozycji – tu duży telewizor, tam stół bilardowy – lecz nie zostały przyjęte przychylnie. Artystka, której podarowano nagle bezkresne płótno, pracowała pełną parą. Następnego dnia spędziła tam samotnie, mierząc, robiąc zdjęcia albo po prostu siedząc na wielkiej pustej podłodze. Natomiast on doglądał księgarni do cna zadurzony, choć odczuwał także pierwsze wstrząsy nadchodzącego koszmaru finansowego.

Nakłoniła go, żeby zrobił sobie wolny weekend, i polecili do Nowego Orleanu. Tam oprowadziła go po swoim stylowym, choć zagraconym sklepie, gdzie wszystkie stoły, lampy, łóżka z baldachimami, szezlongi, skrzynie, kufry, dywany, komody i szafy nie tylko miały bogatą historię i pochodziły z Prowansji, ale wprost doskonale pasowały do wnętrza jego nowego domu. Spacerowali po Dzielnicy Francuskiej, jadali w ulubionych bistrach Noelle, spotykali się z jej znajomymi, mnóstwo czasu spędzali w łóżku i po trzech dniach Bruce wrócił do domu sam, wyczerpany, lecz po raz pierwszy w życiu zakochany. Do diabła z pieniędzmi! Noelle Bonnet była kobietą, bez której nie mógł żyć.

7

Tydzień później przed wiktoriańską rezydencją Bruce'a zaparkowała wielka ciężarówka i już następnego dnia Noelle zaczęła dyrygować ekipą specjalistów od przeprowadzek. Bruce krążył między księgarnią i domem, obserwując ich z wielkim zainteresowaniem i odrobiną przerażenia. Zagubiona w swoim świecie artystka ganiała z pokoju do pokoju, co najmniej trzy razy przestawiając każdy mebel i za każdym razem dochodząc do wniosku, że potrzeba ich więcej. Niedługo po odjeździe pierwszej ciężarówki przed domem stanęła druga. Wracając do księgarni, Bruce wymamrotał do siebie, że w sklepie przy Royal Street w Nowym Orleanie pewnie mało co zostało. Noelle potwierdziła jego domysły przy kolacji i poprosiła, żeby poleciał z nią do Francji, tylko na kilka dni, na kolejną przygodę z zakupami. Bruce odmówił, ponieważ miał spotkanie z ważnymi autorami i musiał doglądać

interesu. Tej nocy po raz pierwszy spali w nowym domu, na olbrzymim łożu z kutego żelaza, które kupiła pod Awinionem, gdzie miała małe mieszkanie. Każdy mebel, każdy dodatek, każdy dywanik, garnek i obraz miał swoją historię, a miłość Noelle do staroci była zaraźliwa.

Wczesnym rankiem następnego dnia, pijąc kawę na werandzie, rozmawiali o chwilowo niepewnej przyszłości. Noelle mieszkała w Nowym Orleanie, Bruce na Camino i wyglądało na to, że ani ona, ani on nie palą się do stałego związku, który wymagałby przeprowadzki. Sytuacja stała się niezręczna, więc szybko zmienili temat. Bruce przyznał, że nigdy nie był we Francji, i zaczęli planować wakacje.

Wkrótce potem Noelle wyjechała i przyszedł pierwszy rachunek – wraz z napisanym pięknym charakterem pisma liścikiem, w którym nadmieniała, że rezygnuje z marzy i sprzedaje mu wszystko po kosztach własnych. „Dzięki Ci, Boże, za małe cuda”, wymamrotała. A ona już wkrótce leciała do Francji po nowy towar!

Wróciła do Nowego Orleanu trzy dni przed uderzeniem huraganu Katrina. Podczas kataklizmu nie ucierpiał ani jej sklep w Dzielnicy Francuskiej, ani mieszkanie w Garden District, jednak miasto odniosło śmiertelne rany. Noelle zamknęła drzwi na klucz i uciekła na Camino, gdzie czekał Bruce, żeby ukoić ją i uspokoić. Oglądali ten horror wiele dni, w telewizji: zalane ulice, unoszące się na wodzie ciała, plamy ropy, paniczną ucieczkę połowy mieszkańców, ogarniętych paniką ratowników i nieudolnych polityków.

Noelle wątpiła, czy kiedykolwiek wróci do rodzinnego miasta. Nie była pewna, czy chce.

Zaczęli nieśmiało rozmawiać o przeprowadzce. Ponieważ połowa jej klientów pochodziła z Nowego Orleanu, a ona przebywała teraz na wygnaniu, martwiła się o interesy. Na szczęście druga połowa była rozsiana po całym kraju; Noelle miała ugruntowaną reputację i wysyłała antyki w różne miejsca. Jej stronę internetową odwiedzało mnóstwo zainteresowanych, jej książki cieszyły się dużą popularnością, a większość jej wielbicieli była poważnymi kolekcjonerami. Dzięki łagodnym perswazjom Bruce'a w końcu

uznała, że mogłaby przenieść firmę na wyspę i nie tylko ją odbudować, ale także świetnie dawać sobie radę.

Półtora miesiąca po huraganie wynajęła niewielki lokal przy Głównej, trzy domy od księgarni. Zamknęła antykwariat przy nowoorleańskiej Royal Street, a jego pozostałości przewiozła na Camino. Kiedy nadszedł transport świeżego towaru z Francji, nowy sklep, Prowansja Noelle, otworzył podwoje i wydano huczne przyjęcie – z szampanem i kawiozem – podczas którego Bruce pomagał zabawiać gości.

Przy okazji przyszedł jej do głowy pomysł na kolejną książkę: transformacja jego nowego domu stopniowo wypełnianego prowansalskimi antykami. Zrobiła mnóstwo zdjęć, kiedy był zupełnie pusty, a teraz chciała udokumentować jego triumfalną metamorfozę. Bruce wątpił, czy sprzedaż książki pokryje koszty jej wydania, ale co tam! Noelle chciała, Noelle miała.

Po pewnym czasie rachunki przestały przychodzić. Kiedy nieśmiało poruszył ten temat, z teatralnym dramatyзмом wyjaśniła, że daje mu rabat rabatów, największy z możliwych: siebie! Dom należał do niego, ale wszystko, co w środku, będzie wspólne.

8

W kwietniu 2006 roku spędzili dwa tygodnie w południowej Francji. Wykorzystując mieszkanie Noelle w Awinionie jako bazę wypadową, jeździli od wioski do wioski i od targu do targu, jedli rzeczy, jakie widywał jedynie na zdjęciach, pili mnóstwo niedostępnych w Stanach lokalnych win, zatrzymywali się w urokliwych hotelikach, podziwiali widoki, przesiadywali z jej znajomymi, no i oczywiście kupowali antyki. Bruce, wieczny badacz, zanurzył się w świat rustykalnych prowansalskich mebli i artefaktów i już wkrótce potrafił samodzielnie wypatrzeć dobrą okazję.

W Nicei postanowili się pobrać. Natychmiast, tu i teraz.

Rozdział 3

WERBUNEK

1

Pięknego wiosennego dnia pod koniec kwietnia Mercer Mann szła niespokojnie przez kampus Chapel Hill na Uniwersytecie Karoliny Północnej. Umówiła się na szybki lunch z zupełnie obcą kobietą, ale tylko dlatego, że ta zaproponowała jej pracę. Z obecnej – Mercer była kontraktową wykładowczynią literatury na pierwszym roku anglistyki – miała wylecieć za dwa tygodnie z powodu cięć budżetowych, które wprowadziły władze stanowe zdominowane przez urzędników sfiksowanych na punkcie podatków i ograniczania kosztów własnych. Usilnie starała się o przedłużenie umowy, lecz nic z tego nie wyszło. Tak więc wkrótce miała stać się kobietą bezrobotną, zadłużoną i bezdomną. Nakład wyczerpany – miała trzydzieści jeden lat, była singielką i... cóż, jej życie nie układało się tak, jak to sobie zaplanowała.

Pierwszy mail, jeden z dwóch od nieznajomej, niejkiej Donny Watson, przyszedł poprzedniego dnia i nie mógł być bardziej ogólnikowy. Pani Watson podała się za konsultantkę, która z ramienia prywatnego liceum miała znaleźć nową nauczycielkę twórczego pisania dla uczniów ostatniej klasy. Była właśnie w okolicy i zapraszała Mercer na kawę. Proponowała siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów rocznie, a więc bardzo wysoką pensję; podobno kierownik szkoły uwielbiał literaturę i chciał zatrudnić kogoś, komu wydano choć parę książek.

Mercer była autorką opublikowanej powieści i zbioru opowiadań. Pensja była rzeczywiście imponująca, dużo wyższa od jej aktualnej. Innych szczegółów Donna Watson nie podała. Mercer odpowiedziała, że jest zainteresowana, i zadała kilka pytań o szkołę, zwłaszcza o jej nazwę i lokalizację.

Drugi mail był tylko trochę mniej ogólnikowy, ale przynajmniej dowiedziała się, że szkoła jest w Nowej Anglii. Poza tym propozycję spotkania na kawie podniesiono na wyższy poziom, zmieniając ją na „szybki lunch”. Czy pani Mann mogłaby wpaść do Spanky’ego, knajpki przy Franklin Street niedaleko kampusu?

Mercer ze wstydem przyznała się przed sobą, że myśl o lunchu jest w tej chwili dużo bardziej kusząca niż perspektywa uczenia bandy dzieciaków uprzywilejowanych bogaczy. Mimo wysokiej pensji nowa posada byłaby z pewnością degradacją. Mercer przyjechała do Chapel Hill przed trzema laty, chcąc uczyć i, co ważniejsze, dokończyć powieść, którą właśnie pisała. Teraz wyleciała z pracy, a niedokończona powieść była dokładnie w takim samym stanie.

Kiedy weszła do restauracji, pomachała do niej mniej więcej pięćdziesięcioletnia kobieta, dobrze ubrana i zebrana w sobie. Wyciągnęła rękę i powiedziała:

– Donna Watson. Miło mi panią poznać.

Mercer usiadła naprzeciwko niej i podziękowała za zaproszenie. Kelner rzucił na stół dwa jadłospisy.

Nie tracąc czasu, Donna Watson stała się kimś innym.

– Przyznaję się bez bicia, że pozwoliłam sobie na pewne oszustwo. Nie nazywam się Donna Watson, tylko Elaine Shelby. Pracuję w firmie z Bethesdy.

Mercer spojrzała na nią obojętnie i uciekła wzrokiem w bok, usilnie szukając stosownej odpowiedzi.

– Okłamałam panią – ciągnęła Elaine. – Przepraszam i obiecuję, że to się już nie powtórzy. Ale o lunchu mówiłam serio. Ja stawiam, więc proszę mnie chociaż wysłuchać.

– Domyślam się, że miała pani ważny powód, żeby skłamać – powiedziała ostrożnie Mercer.

– Bardzo ważny i jeśli daruje mi pani to wykroczenie i mnie wysłucha, wszystko wyjaśnię.

Mercer wzruszyła ramionami.

– Jestem głodna, więc będę słuchała, dopóki nie zaspokoje apetytu, i jeśli do tej chwili się pani nie wytłumaczy, pójdę na spacer.

Elaine posłała jej uśmiech, którym podbiłaby każdego. Jej przodkowie musieli pochodzić z Bliskiego Wschodu albo z Włoch czy Grecji, bo miała ciemne oczy i śniadą cerę, jednak mówiła z akcentem ze Środkowego Zachodu, zdecydowanie amerykańskim. Miała krótkie, siwe włosy obcięte tak stylowo, że dwa razy zerknęło na nią paru mężczyzn. Była kobietą piękną i nienagannie ubraną, zupełnie niepasującą do restauracji pełnej studenckich niechlujów.

– Ale w tej drugiej sprawie nie kłamałam – powiedziała. – Dlatego tu jestem, żeby namówić panią do przyjęcia pracy korzystniejszej i lepiej płatnej niż ta, o której pisałam w mailu.

– Niby co miałabym robić? – spytała Mercer.

– Pisać. Dokończyć powieść.

– Którą?

Wrócił kelner, więc szybko zamówiły sałatę z grillowanym kurczakiem i wodę gazowaną. Kelner zabrał jadłospisy, zniknął i po chwili Mercer rzuciła:

– Więc słucham.

– To długa historia.

– Zaczniemy od oczywistej zagadki: od pani.

– Dobrze. Pracuję w firmie detektywistycznej zajmującej się bezpieczeństwem i ochroną. Jest to renomowana spółka, o której nigdy pani nie słyszała, ponieważ nigdzie się nie reklamujemy i nie mamy swojej strony internetowej.

– Nie ruszyliśmy z miejsca – zauważała Mercer.

– Proszę o cierpliwość, ruszymy. Pół roku temu gang złodziei ukradł rękopisy Fitzgeralda z Biblioteki Firestone'a w Princeton. Dwóch złapano, zatrzymano i siedzą w areszcie. Pozostali zniknęli. Rękopisów nie odzyskano.

Mercer kiwnęła głową.

– To była głośna sprawa.

– Tak. Rękopisy, wszystkie pięć, ubezpiecza nasz klient, duża prywatna firma specjalizująca się w ubezpieczaniu dzieł sztuki, kosztowności i rzadkich aktywów. O niej też na pewno pani nie słyszała.

– Nie śledzę działalności tego rodzaju firm.

– Szcęściara. W każdym razie szukaliśmy pół roku, ściśle współpracując z FBI i WOCA, ich komórką zajmującą się tego rodzaju sprawami. Ciśnienie rośnie, ponieważ za sześć miesięcy nasz klient będzie musiał wystawić uniwersytetowi czek na dwadzieścia pięć milionów dolarów. Ale tak naprawdę Princeton nie chce pieniędzy. Chce odzyskać rękopisy, które, jak się pani domyśla, są bezcenne. Wpadliśmy na kilka tropów, jednak nie są zbyt obiecujące. Na szczęście w mrocznym światku skradzionych książek i manuskryptów nie ma zbyt wielu poważnych graczy i wydaje nam się, że jeden z nich zostawił ślad.

Kelner postawił między nimi butelkę i dwie szklanki z lodem i cytryną.

– To ktoś, kogo być może pani zna – dodała Elaine, kiedy odszedł.

Mercer spojrzała na nią, niepewnie odchrząknęła i wzruszyła ramionami.

– Mało prawdopodobne.

– Zna pani wyspę Camino, i to od dawna. Jako dziecko spędzała tam pani wakacje u babci, w jej domu na plaży.

– Skąd pani wie?

– Pisała pani o tym.

Mercer westchnęła i sięgnęła po butelkę. Nalewała wodę powoli, bo od natłoku myśli zakręciło jej się w głowie.

– Niech zgadnę. Przeczytała pani wszystko, co napisałam.

– Nie, tylko to, co zostało wydane – odparła Elaine. – Zrobiłam to w ramach przygotowań do naszej rozmowy i muszę przyznać, że była to świetna lektura.

– Dzięki. Przykro mi, że jest tego tak niewiele.

– Jest pani młoda, utalentowana i dopiero pani zaczyna.

– Dobrze, więc posłuchajmy. Zobaczę, czy odrobiła pani pracę domową.

– Proszę bardzo. *Październikowy deszcz*, pani pierwszą powieść, wydało Newcombe Press w dwa tysiące ósmym, kiedy miała pani tylko dwadzieścia cztery lata. Książka sprzedała się całkiem przyzwoicie, osiem tysięcy w twardej oprawie, dwa razy tyle w miękkiej oraz e-booki. Nie była bestsellerem, ale krytycy bardzo panią chwalili.

- Nie ma to jak pocałunek śmierci – mruknęła Mercer.
- Została nominowana do National Book Award i znalazła się wśród kandydatek do PEN/Faulkner Award.
- I nie dostała ani jednej, ani drugiej.
- Nie, ale bardzo niewiele debiutantów cieszy się tak wielkim uznaniem, zwłaszcza jeśli są tak młodzi jak pani. „Times” zaliczył *Październikowy deszcz* do dziesięciu najlepszych książek roku. Następnie wydała pani *Muzykę fal*, zbiór opowiadań, który krytycy także chwalili, ale, jak pani wie, opowiadania nie sprzedają się zbyt dobrze.
- Owszem, wiem – potwierdziła Mercer.
- Potem zaczęła pani zmieniać agentów i wydawców... no i cóż, świat wciąż czeka na więcej. Tymczasem opublikowała pani trzy opowiadania w czasopismach literackich, w tym to, w którym opisuje pani, jak wraz z babcią Tessą pilnowałyście żółwich jaj na plaży.
- O babci też słyszeliście?
- Mercer, wiemy o pani tylko tyle, ile mogliśmy się dowiedzieć z publicznych źródeł. Tak, dużo węszyliśmy, ale z pani prywatnego życia wygrzebaliśmy jedynie to, co jest ogólnie dostępne. Proszę nie zapominać o internecie. W dzisiejszych czasach trudno o całkowitą prywatność.
- Kelner przyniósł jedzenie i Mercer sięgnęła po sztucce. Ona jadła, a Elaine obserwowała ją, pijąc wodę.
- Nie je pani? – spytała Mercer.
- Jem, oczywiście.
- Więc czego dowiedzieliście się o Tessie?
- To pani babcia ze strony matki. W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym zbudowała wraz z mężem dom na wyspie Camino. Pochodzili z Memphis, gdzie się pani urodziła, i jeździła pani do nich na wakacje. Dziadek zmarł w osiemdziesiątym piątym i po jego śmierci babcia przeprowadziła się na wyspę. Jako mała dziewczynka i nastolatka spędzała pani u niej co roku prawie całe lato. O tym też pani pisała.
- To prawda.
- Babcia Tessa zginęła w wypadku w dwa tysiące piątym. Morze wyrzuciło jej ciało dwa dni po sztormie. Nie znaleziono ani jej

towarzysza, ani łodzi. Pisano o tym w gazetach, najwięcej w wychodzącej w Jacksonville „Times-Union”. Według miejskich archiwów, cały majątek, również nadmorski dom, zapisała trojgu dzieciom, w tym pani matce. Dom wciąż należy do rodziny.

– Fakt – przyznała Mercer. – Odziedziczyłam połowę jednej trzeciej i nie byłam tam od śmierci babci. Chciałabym to sprzedać, ale rodzina nie może się dogadać.

– Czy ktoś tam w ogóle przyjeżdża? – spytała Elaine.

– Oczywiście. Moja ciotka spędza tam zimy.

– Ciotka Jane.

– Właśnie. Ona jeździ tam zimą, a moja siostra latem. Tak z ciekawości: co wiecie o mojej siostrze?

– Connie mieszka w Nashville z mężem i dwiema nastoletnimi córkami. Ma czterdzieści lat i pracuje w rodzinnej firmie. Mąż jest właścicielem sieci barów z mrożonymi jogurtami i dobrze sobie radzi. Connie zrobiła dyplom z psychologii na Południowym Uniwersytecie Metodystów. Najwyraźniej tam się poznali.

– A o moim ojcu? – spytała Mercer.

– Herbert Mann był kiedyś właścicielem największego salonu Forda w Memphis. Musiał dobrze zarabiać, bo nie miał długów i stać go było na chesne dla córki studiującej na prywatnej uczelni. Ale potem z jakiegoś powodu zbankrutował i dziesięć lat pracował na pół etatu w klubie Oriolesów w Baltimore. Teraz mieszka w Teksasie.

Mercer odłożyła sztucę i wzięła głęboki oddech.

– Przepraszam, ale to trochę niepokojące. Czuję się jak ofiara stalkingu. Czego właściwie ode mnie chcecie?

– Mercer, proszę. Te wszystkie informacje to rezultat staroświeckiej pracy detektywistycznej. Nie zobaczyliśmy nic, czego nie powinniśmy byli zobaczyć.

– Możliwe, ale i tak mam gęsią skórę. Zawodowi szpiedzy grzebią w mojej przeszłości. A terazniejszość? Co wiecie o mojej obecnej sytuacji?

– Wkrótce straci pani pracę – odparła Elaine.

– I rozglądam się za nową?

– Chyba tak.

– To nie jest informacja publiczna. Skąd wiecie, kogo uniwersytet przyjmuje, a kogo zwalnia?

– Mamy swoje źródła.

Mercer zmarszczyła brwi i odsunęła talerz, jakby skończyła jeść. Skrzyżowała ręce na piersi i posłała Elaine groźne spojrzenie.

– Czuję się... szykanowana, nic na to nie poradzę.

– Proszę, niech mnie pani wysłucha. Musimy dysponować jak największą ilością informacji, to niezmiernie ważne.

– Dlaczego?

– Ponieważ bez informacji nie mogłaby pani wykonywać pracy, którą pani proponujemy. Jeśli pani odmówi, damy pani spokój i zniszczymy wszystkie akta. I nigdy nie rozpowszechnimy tego, co wiemy.

– Co to za praca? – spytała Mercer.

Elaine włożyła do ust kawałek kurczaka i długo żuła. W końcu wypła łyk wody i odparła:

– Wróćmy do rękopisów Fitzgeralda. Uważamy, że są ukryte na wyspie Camino.

– Niby u kogo?

– Muszę panią ostrzec, że wszystko, co od tej chwili powiem, jest ściśle tajne. Gra toczy się o bardzo wysoką stawkę i jedno nierozważne słowo może nie tylko narazić na nieodwracalne straty naszego klienta i Princeton, ale i doprowadzić do zniszczenia rękopisów.

– Komu, do diabła, miałabym o tym powiedzieć? – nie wytrzymała Mercer.

– Proszę – nalegała Elaine. – Wystarczy, że da mi pani słowo.

– Dyskrecja wymaga zaufania. Dlaczego miałabym pani zaufać? Jak na razie pani i pani firma wydajecie się bardzo podejrzani.

– Tak, rozumiem. Ale proszę wysłuchać mnie do końca.

– Dobrze, wysłucham, ale ponieważ nie jestem już głodna, niech się pani streszcza.

– Zgoda. Zna pani księgarnię Bay Books w centrum Santa Rosa. Należy do niejakiego Bruce'a Cable'a.

Mercer wzruszyła ramionami.

– Tak, babcia zabrała mnie tam kilka razy. Ale nie byłam na wyspie od jej śmierci. Zmarła jedenaście lat temu.

– To bardzo popularne miejsce, jedna z najlepszych niezależnych księgarni w kraju. Cable to sprytny kanciarz, znają go wszyscy z branży. Ma koneksje i odwiedza go mnóstwo autorów.

– Miałam tam pojechać z *Październikowym deszczem*, ale to zupełnie inna historia.

– No właśnie. Cóż, Cable jest też obrotnym kolekcjonerem pierwszych wydań współczesnej prozy i poezji. Dużo handluje i podejrzewamy, że zarabia na tym niemałe pieniądze. Wiemy, że ma też do czynienia ze skradzionymi książkami i jest ważną figurą w tym mętłym światku. Wpadliśmy na jego trop dwa miesiące temu, po wskazówce od informatora zbliżonego do innego kolekcjonera. Sądzymy, że Cable ma te rękopisy, że kupił je za gotówkę od pośrednika, który chciał się ich jak najszybciej pozbyć.

– Straciłam apetyt – oznajmiła Mercer. – Zupełnie.

– Nie możemy się do niego zbliżyć – ciągnęła Elaine. – Nasi ludzie od miesiąca chodzą do jego księgarni. Obserwują, węszą, robią potajemnie zdjęcia, ale wpadliśmy na ścianę. Cable ma dużą, elegancko urządzonej salę na parterze, gdzie trzyma rzadkie książki, głównie dwudziestowiecznych amerykańskich autorów, które chętnie pokazuje poważnym kupcom. Próbowaliśmy mu nawet sprzedać białego kruka, egzemplarz *Żołnierskiej zapłaty* Faulknera, jego pierwszej powieści, z dedykacją autora. Cable oczywiście wie, że na świecie jest tylko kilka takich książek, w tym trzy w bibliotece uniwersyteckiej w Missouri, jedna u pewnego badacza twórczości Faulknera i jedna w posiadaniu jego potomków. Jej cena rynkowa oscyluje wokół czterdziestu tysięcy dolarów, a my zaoferowaliśmy mu ją za dwadzieścia pięć. Początkowo był zainteresowany, ale potem zaczął zadawać mnóstwo pytań o jej pochodzenie. Bardzo dobrych pytań. W końcu się spłoszył i zrezygnował. Rzecz w tym, że był za ostrożny, co jeszcze bardziej wzmoгло nasze podejrzenia. Wciąż nie udaje nam się wejść do jego świata i chcemy tam wysłać kogoś nowego.

– Mnie?

– Tak. Jak pani wie, pisarze często biorą urlopy naukowe, a pani ma świetną przykrywkę. Przecież właściwie tam się pani wychowała. Należy do pani część domu babci. Wydała pani książkę, zajmuje się pani literaturą. Jest pani całkowicie wiarygodna. Po

prostu wraca tam pani na pół roku, żeby dokończyć powieść, na którą wszyscy czekają.

– Wszyscy? Przychodzą mi do głowy najwyżej trzy osoby.

– Za te pół roku zapłacimy pani sto tysięcy dolarów – dodała Elaine.

Mercer zaniemówiła. Pokręciła głową, jeszcze dalej odsunęła talerz i wypiła łyk wody.

– Przykro mi, ale nie jestem szpiegiem.

– Ale my nie chcemy, żeby pani szpiegowała, tylko obserwowała. Robiła coś zupełnie naturalnego i wiarygodnego. Cable uwielbia pisarzy. Zaprasza ich na wino i na kolację, bardzo ich wspiera. Wielu z nich zatrzymuje się na noc w jego domu, który, nawiasem mówiąc, jest niesamowity. On i jego żona bardzo lubią wydawać wystawne kolacje dla przyjaciół i autorów.

– A ja mam tam po prostu wejść, zdobyć jego zaufanie i spytać, gdzie schował rękopisy Fitzgeralda.

Elaine uśmiechnęła się i puściła tę uwagę mimo uszu.

– Mercer, działamy pod dużą presją. Nie mam pojęcia, czego się pani dowie, ale wszystko może być ważne. Jest bardzo prawdopodobne, że Cable i jego żona zechcą panią poznać, a nawet się z panią zaprzyjaźnić. Mogłaby pani powoli przeniknąć do grona jego najbliższych znajomych. On dużo pije. Może mu się coś wymsknie, może któryś z jego znajomych wspomni o skarbcu pod księgarnią...

– O skarbcu?

– Na razie to tylko pogłoski. Przecież nie wejdziemy tam i nie spytamy.

– Skąd wiecie, że dużo pije?

– Zgląda do niego wielu pisarzy, a pisarze najwyraźniej uwielbiają plotkować. Wieści szybko się rozchodzą. To mały światek.

Mercer podniosła ręce wnętrzem dłoni do Elaine i odsunęła się z krzesłem od stolika.

– Nie, to nie dla mnie, przykro mi. Mam swoje wady, ale nie jestem oszustką. Nie umiem kłamać i nie dałabym rady. Zwróciliście się do złej osoby.

– Proszę...

Mercer wstała.

- Dzięki za lunch.
 - Bardzo panią proszę...
- Ale Mercer już nie było.

2

W którymś momencie tego skróconego lunchu zniknęło słońce i zerwał się wiatr. Nadchodził przelotny wiosenny deszcz, więc – jak zwykle bez parasolki – szła do domu najszybciej, jak mogła. Mieszkała niecałe dwa kilometry dalej, w zabytkowej części Chapel Hill, niedaleko kampusu, w małym domu przy zacienionej uliczce za piękną starą willą. Jej właściciel wynajmował mieszkania tylko magistrantom, doktorantom i wykładowcom na kontrakcie.

Na wąską frontową werandę weszła w ostatniej chwili, bo zaraz potem w blaszany dach zabębniły pierwsze krople. Nie mogła się oprzeć i rozejrzała się ukradkiem, żeby sprawdzić, czy nikt jej nie obserwuje. Kim ci ludzie są? Daj sobie spokój, pomyślała. Weszła do środka, zrzuciła buty, zaparzyła herbatę i długo siedziała na kanapie, głęboko oddychając, wsłuchując się w muzykę deszczu i odtwarzając rozmowę z Elaine.

Ktoś ją obserwował, ale wynikający z tego początkowy szok zaczynał powoli mijać. Elaine miała rację; internet, media społecznościowe, wszechobecni hakerzy, ciągle nawoływania o całkowitą transparentność: prywatność po prostu nie istniała. Tak, opracowali bardzo sprytny plan. A ona doskonale nadawała się na szpiega. W młodości często odwiedzała wyspę, a nawet należała do niej część domu babci. Była pisarką z wciąż rozgrzebaną powieścią, którą już dawno powinna skończyć, samotną duszą szukającą nowych przyjaciół. Cable w życiu by nie podejrzewał, że ją podstawiono.

Dobrze go pamiętała, przystojnego mężczyznę w ekstrawaganckim garniturze, muszce i bez skarpetek. Długie, faliste włosy, florydzka opalenizna bez względu na porę roku – stojąc przy frontowych drzwiach, z nieodłączną kawą i książką w ręce, czytał i czujnie obserwował. Z jakiegoś powodu babcia go nie

lubiła i rzadko zaglądała do księgarni. Książek też nie kupowała. Po co je kupować, skoro w bibliotece są za darmo?

Objazdy promocyjne i podpisywanie książek. Mercer mogła tylko o tym pomarzyć.

Gdy w 2008 roku wyszedł *Październikowy deszcz*, jej wydawnictwo, Newcombe Press, miało pieniądze na reklamę i podróże. Trzy lata później splajtowało. Ale po entuzjastycznych recenzjach w „Timesie” zaprosiło ją kilka księgarni. Naprędce zaplanowano cykl spotkań i dziewiątym przystankiem w podróży miała być właśnie księgarnia Bruce’a Cable’a. Jednak już na samym początku, na pierwszym spotkaniu autorskim, w Waszyngtonie, wszystko się zawaliło, bo na promocję przyszło tylko jedenaście osób, które kupiły zaledwie pięć książek. A było to najliczniejsze spotkanie! Na drugim, w Filadelfii, w kolejce po autograf ustawilo się czterech wielbicieli jej twórczości i ostatnią godzinę Mercer przegadała ze sprzedawcami. Trzecie i, jak się okazało, ostatnie miało się odbyć w Hartford. Czekając i wypatrując gości, w barze naprzeciwko księgarni wypila dwa martini. Do księgarni nikt nawet nie zajrzał. W końcu weszła tam dziesięć minut spóźniona i kompletnie załamana stwierdziła, że czeka na nią tylko sprzedawca. Nie pojawił się ani jeden czytelnik. Dosłownie nikt.

Czuła się całkowicie upokorzona. Postanowiła, że już nigdy nie dopuści do sytuacji, w której zawstydzona będzie siedziała przy samotnym stoliku ze stertą pięknie wydanych książek, uciekając wzrokiem przed klientami robiącymi wszystko, byle do niej nie podejść. Znała pisarzy, przynajmniej kilku, i słyszała koszarne opowieści o tym, jak wchodzili do księgarni i witani przez przyjaźnie uśmiechniętych sprzedawców oraz pomagających im wolontariuszy zastanawiali się, ilu z nich jest klientami i ilu kupi książkę, jak sprzedawcy i wolontariusze zaczynali się nerwowo rozglądać w poszukiwaniu potencjalnych gości i powoli odchodzić, zrozumiawszy, że ich ukochany autor zrobił klapę. Klapę wielką jak stodoła.

Tak czy inaczej, odwołała pozostałą część trasy. Ale nie miała ochoty wracać na wyspę. Pozostało jej stamtąd wiele cudownych wspomnień, zawsze jednak przesłaniała je śmierć babci, ta potworna tragedia.

Deszcz ukołysał ją i zapadła w długą drzemkę.

3

Obudziły ją kroki. O trzeciej po południu, jak w zegarku, po skrzypiącej podłodze ganku przeszedł listonosz, który wrzucił listy do małej skrzynki przy drzwiach. Zaczekała, aż odejdzie, i poszła wyjąć codzienną porcję przesyłek reklamowych i przygnębiających rachunków. Rzuciła je na stolik i otworzyła list z uniwersytetu, od dziekana wydziału anglistyki, który miłym, kwiecistym stylem informował ją oficjalnie, że straciła pracę. Była „cennym nabytkiem”, „utalentowaną nauczycielką podziwianą przez kolegów i uwielbianą przez studentów”. „Cały wydział” chciał, żeby została, i uważał ją za „wspaniałą wykładowczynię”, niestety obcięto im budżet. Dziekan życzył jej wszystkiego najlepszego i zostawiał uchyloną furtkę z iskierką nadziei na pracę w przyszłym roku, „o ile zostaną przywrócone normalne zasady finansowania”.

Nie kłamał. Był jej sojusznikiem, a czasem nawet mentorem, i to głównie dzięki niemu przeszła przez uniwersyteckie pole minowe, trzymając usta na kłódkę i unikając zatrudnienia na pełen etat, co zobowiązywałoby ją do pracy naukowej.

Ale była pisarką, a nie nauczycielką i nadeszła pora iść dalej. Nie bardzo wiedziała dokąd, lecz po trzech latach na uczelni tęskniła za swobodą, za tym, żeby każdy nowy dzień rozpoczynać ze świadomością, że nie czeka jej nic oprócz pisania powieści czy opowiadania.

W drugiej kopercie był wyciąg z karty kredytowej. Zestawienie wydatków doskonale odzwierciedlało jej skromny styl życia i codzienne próby oszczędzania na wszystkim, co możliwe. Mogła dzięki temu spłacać comiesięczne zadłużenie i unikać lichwiarskich odsetek, którymi bank karał spóźniających. Czyny, ubezpieczenie i naprawy samochodu, podstawowa polisa zdrowotna, z której, wypisując czek, co miesiąc chciała zrezygnować... pensji ledwie wystarczało. Ale wystarczało i zachowywałyby jako taką stabilność

finansową, a nawet mogłaby odświeżyć sobie szafę i trochę się zabawić, gdyby nie zawartość trzeciej koperty.

Był w niej list z Krajowej Studenckiej Korporacji Kredytowej, przekłętej instytucji, która prześladowała ją od ośmiu lat. Ojciec zdołał zapłacić za pierwszy rok jej studiów w Sewanee, lecz gdy nagle zbankrutował i załamał się psychicznie, została na lodzie. Przez ostatnie trzy lata studiów prześlizgnęła się tylko dzięki kredytom studenckim, grantom, dorywczym pracom i skromnemu spadkowi po babci. Z zaliczek za *Październikowy deszcz* i *Muzykę fal* udawało jej się spłacać odsetki, ale główna suma kredytu nie zmniejszyła się nawet o centa.

Próbowała go restrukturyzować i refinansować, pracowała w dwóch, a nawet w trzech miejscach naraz, ale każdy nowy program utrzymywał pożyczkę na tym samym horrendalnym poziomie. Prawda była taka – choć nikomu jej nie zdradziła – że po prostu nie mogła tworzyć pod presją wielkiego jak góra długu. Zamiast obietnicą kolejnego rozdziału świetnej powieści, każdy poranek i każda czysta kartka były kulawą próbą splodzenia czegoś, co zadowoliłoby kredytodawców.

Rozmawiała nawet ze znajomym adwokatem o bankructwie, lecz banki i studenckie firmy pożyczkowe przekonały Kongres, że tego rodzaju długi wymagają szczególnej ochrony i ci, którzy je zaciągnęli, nie mogą oficjalnie ogłosić bankructwa. Pamiętała, co jej wtedy powiedział: „Kurczę, nawet hazardziści mogą splajtować i wyjść z tego na czysto”.

Czy Elaine i jej kumple wiedzieli o studenckim długu? Ostatecznie dług to prywatna sprawa, prawda? Ale nie, coś jej mówiło, że zawodowcy potrafią dokopać się niemal do wszystkiego. Czytała przerażające historie o wyciekach wrażliwych dokumentów medycznych. A firmy pożyczkowe notorycznie sprzedawały informacje o swoich klientach. Czy zostało jeszcze coś, co można by bezpiecznie ukryć?

Wrzuciła do kosza przesyłki reklamowe, list z uniwersytetu schowała, a rachunki położyła na półce przy tosterze. Zrobiła sobie drugą filiżankę herbaty i już miała wetknąć nos do jakiejś książki, kiedy zadzwoniła komórka.

Elaine.

4

– Proszę posłuchać – zaczęła – naprawdę przepraszam za ten nieszczęsny lunch. Nie chciałam zastawiać na panią pułapki, ale nie było innego sposobu. Co miałam zrobić? Dopaść panią na kampusie i wyłożyć kawę na ławę?

Mercer zamknęła oczy i oparła się o kuchenny blat.

– W porządku, nic się nie stało. Byłam tylko trochę zaskoczona, to wszystko.

– Wiem. Wiem i jeszcze raz bardzo przepraszam. Proszę posłuchać: zostaję tu do rana, potem wracam do Waszyngtonu. Chciałabym dokończyć naszą rozmowę przy kolacji.

– Nie, dzięki. Jestem złą kandydatką.

– Przeciwnie, doskonałą, poza tym, szczerze mówiąc, nie mamy nikogo innego. Proszę dać mi trochę czasu i wszystko wyjaśnię. Nie wysłuchała mnie pani do końca, a jak wspomniałam, jesteśmy w bardzo trudnej sytuacji. Próbujemy uratować te rękopisy, zanim ktoś je uszkodzi albo, co gorsza, sprzeda po kawałku zagranicznym kolekcjonerom. Proszę dać mi jeszcze jedną szansę.

Mercer nie mogła zaprzeczyć – przynajmniej przed sobą – że ma kłopoty finansowe. Bardzo duże kłopoty. Wahala się przez chwilę, w końcu spytała:

– No dobrze, więc czego pani nie powiedziała?

– To trochę zajmie – odparła Elaine. – Mam samochód z szoferem, przyjadę po panią o siódmej. Nie znam miasta, ale słyszałam, że najlepszą restauracją jest tu Lantern. Była tam pani?

Mercer знаła ten lokal, lecz był dla niej za drogi.

– Wie pani, gdzie mieszkam? – spytała i natychmiast zawstydzila się, że tak naiwnie to zabrzmiało.

– Ależ naturalnie. Do zobaczenia o siódmej.

5

Limuzyna była oczywiście czarna i w tej części miasta wyglądała bardzo podejrzanie. Mercer czekała na podjeździe. Szybko wsiadła i usadowiła się obok Elaine. Kiedy ruszyli, osunęła się na tylnym siedzeniu i rozejrzała, ale nie, nikt jej nie widział. Zresztą co ją to obchodziło? Umowa z najemcą kończyła się za trzy tygodnie, a wtedy wyjedzie stąd na dobre. Jej niepewny plan zakładał, że na razie zamieszka ze starą przyjaciółką w przerobionym na mieszkanie garażu w Charlestonie.

Elaine, teraz ubrana na sportowo w džinsy, granatowy żakiet i drogie czółenka, rozbroiła ją uśmiechem.

– Mój kolega kończył tu studia i nie mówi o niczym innym poza koszykówką, zwłaszcza kiedy zaczyna się sezon i wszyscy grają.

– Tak, mają fioła na tym punkcie, ale ja nie gram. To nie moja uczelnia.

– Dobrze się tu pani pracowało?

Jechali powoli Franklin Street, przez historyczną dzielnicę miasta, mijając urocze domy ze starannie wypielęgnowanymi trawnikami. Potem wjechali do dzielnicy studenckiej, gdzie roilo się od domów przebudowanych na siedziby stowarzyszeń i bractw. Deszcz ustał i na werandy i podwórka wylegli studenci, pijąc piwo i słuchając muzyki.

– Nieźle – odparła Mercer z nutą nostalgii. – Ale nie jestem stworzona do takiego życia. Im dłużej uczyłam, tym bardziej chciałam pisać.

– W wywiadzie dla gazety studenckiej powiedziała pani, że chciałyby pani skończyć tu powieść. Zrobiła pani jakieś postępy?

– Skąd pani wie? To było trzy lata temu, zaraz po przyjeździe do Chapel Hill.

Elaine uśmiechnęła się i spojrzała w okno.

– Jesteśmy bardzo dokładni. – Spokojna i odprężona, mówiła pewnym siebie głębokim głosem. Ona i jej tajemnicza firma trzymali w rękę wszystkie karty.

Mercer zastanawiała się, ile tajnych misji Elaine zorganizowała i przeprowadziła. Na pewno miewała przeciwników trudniejszych i bardziej niebezpiecznych niż małomiasteczkowy księgarz.

Restauracja mieściła się przy Franklin Street kilka przecznic za kampusem. Szofer wysadził je przed drzwiami i weszły do środka,

do niemal pustej sali. Usiadły przy stoliku przy oknie, o krok od chodnika i jezdni. W ciągu ostatnich trzech lat Mercer czytała w miejscowych czasopismach dużo pochlebnych opinii o tym lokalu. Zgarniała nagrodę za nagrodą. Przejrzała menu w internecie i stwierdziła, że znów jest głodna. Kelnerka powitała je ciepło i naląła im wody z dzbanka.

– Czy podać coś do picia? – spytała.

Elaine ustąpiła pierwszeństwa Mercer, która szybko złożyła zamówienie.

– Tak, martini z ginem i odrobiną zalewy z oliwek.

– A dla mnie Manhattan.

– Pewnie dużo pani podróżuje – powiedziała Mercer, kiedy kelnerka odeszła.

– Tak, aż za dużo. Mam dwójkę dzieci w college’u. Mąż pracuje w Departamencie Energii i pięć razy w tygodniu lata gdzieś samolotem. Zmęczyło mnie siedzenie w pustym domu.

– I tym się pani zajmuje? Szukaniem skradzionych rzeczy?

– Nie tylko, ale głównie tym. Zajmowałam się sztuką całe życie, w końcu przeszłam na zawodowstwo. Większość spraw, które prowadzimy, dotyczy skradzionych i podrobionych obrazów. Czasem rzeźb, chociaż rzeźbę trudniej jest ukraść. Ostatnio mnożą się kradzieże książek, manuskryptów i starych map. Ale nic nie przebije rękopisów Fitzgeralda. Z oczywistych powodów rzucamy do tego wszystko, co mamy.

– Mam mnóstwo pytań...

Elaine wzruszyła ramionami.

– A ja mnóstwo czasu.

– I nie zdążyłam ich poukładać. To głośna sprawa, więc dlaczego śledztwa nie przejmie FBI?

– Nie musi nic przejmować, bo od początku je prowadzi. Ich komórka, WOCA, Wydział Odzyskiwania Cennych Aktywów, robi świetną robotę i ciężko pracuje. Mało brakowało i rozgryźliby to w ciągu pierwszych dwudziestu czterech godzin. Jeden ze złodziei, niejaki Steengarden, zostawił kroplę krwi na miejscu przestępstwa, tuż przed skarbcem biblioteki. FBI złapało i zatrzymało Steengardena i jego współnika, Marka Driscolla. Podejrzewamy, że pozostali wystraszyli się i zniknęli z rękopisami. Tak szczerze, to

uwazamy, że FBI się pospieszyło. Gdyby poddano tych dwóch ścisłej obserwacji, po kilku tygodniach mogliby doprowadzić nas do pozostałych. Z perspektywy czasu wydaje się to jeszcze bardziej prawdopodobne.

– FBI wie, że chcecie mnie zwerbować? – spytała Mercer.

– Nie.

– Podejrzewa tego Cable’a?

– Nie, nie sędzę.

– A więc prowadzone są dwa równoległe śledztwa. Ich i wasze.

– Jeśli za „równoległość” uznać to, że nie zawsze dzielimy się informacjami, to owszem, często idziemy dwoma różnymi torami.

– Ale dlaczego?

Kelnerka podała drinki i spytała, czy życzą sobie coś jeszcze. Ponieważ nie tknęły menu, na razie jej podziękowały. Sala szybko się wypełniała i Mercer rozejrzała się, żeby sprawdzić, czy wśród gości nie ma znajomych. Nie było.

Zastanawiając się nad odpowiedzią, Elaine upiła łyk Manhattanu, uśmiechnęła się i odstawiła kieliszek.

– Jeśli podejrzewamy, że złodziej jest w posiadaniu skradzionego przedmiotu, obrazu, książki lub mapy, mamy sposoby, żeby to sprawdzić. Wykorzystujemy do tego najnowsze technologie, najnowocześniejsze gadżety i najbystrzejszych specjalistów. Niektórzy z naszych techników są byłymi pracownikami agencji wywiadowczych. Jeśli potwierdzimy, że złodziej rzeczywiście ten przedmiot ma, wtedy albo zawiadamiamy FBI, albo wkraczamy do akcji sami. To zależy od sprawy, a nie ma dwóch choćby trochę podobnych.

– Wkraczacie do akcji?

– Tak. Mercer, niech pani pamięta, że mamy do czynienia z kimś, kto ukrywa coś cennego, coś, co nasz klient ubezpieczył na bardzo wysoką kwotę. Złodziej nie jest właścicielem tego przedmiotu i chce go sprzedać za duże pieniądze. Co sprawia, że sytuacja jest dość napięta. Zegar tyka, mimo to musimy zachować wielką cierpliwość.

– Elaine upiła kolejny łyk drinka. Starannie dobierała słowa. – Policja i FBI muszą się trzymać zasad, załatwiać nakazy rewizji, i tak dalej. My możemy je obchodzić.

– Więc włamujecie się? Tak po prostu wchodzić?

– Nie, włamywać się, nie włamujemy, ale czasem wchodzimy, żeby zweryfikować podejrzenia i odzyskać skradziony przedmiot. Jest niewiele budynków, do których nie moglibyśmy wejść bez hałasu, a jeśli chodzi o ukrywanie łupu, wielu złodziei nie jest tak sprytnych, jak im się wydaje.

– Zakładacie podsłuchy w telefonach i włamujecie się do komputerów? – spytała Mercer.

– Powiedzmy, że czasem nadśluchujemy.

– A więc łamiecie prawo?

– Działamy w szarej strefie, tak to nazywamy. Słuchamy, wchodzimy, sprawdzamy, a potem, w większości przypadków, powiadamy FBI. Oni robią to po bożemu, ze stosownymi nakazami, i skradzione dzieło sztuki trafia do prawowitego właściciela. Złodziej łąduje za kratkami, a FBI zbiera pochwały. Wszyscy są zadowoleni, może z wyjątkiem złodzieja, ale jego uczucia nas nie interesują.

Po trzecim łyku martini gin zrobił swoje i Mercer trochę się odprężyła.

– Skoro jesteście tacy dobrzy, dlaczego nie zakradniecie się do skarbcza Cable'a i nie sprawdzicie?

– Cable nie jest przestępcą i robi wrażenie sprytniejszego niż przeciętny złodziej – odparła Elaine. – Sprytniejszego i niezwykle ostrożnego, co jeszcze bardziej wzmogło nasze podejrzenia. Wystarczy jeden fałszywy ruch i rękopisy mogą zniknąć raz na zawsze.

– Ale skoro go podsłuchujecie i śledzicie, skoro włamaliście się do jego komputera, dlaczego nie możecie go złapać?

– Nie powiedziałałam, że to wszystko robimy – odparła Elaine. – Niewykluczone, że będziemy musieli, i to już wkrótce, ale na razie potrzebujemy więcej informacji.

– Czy oskarżono was kiedyś o coś nielegalnego?

– Nie, ani razu. Tak jak mówiłam, działamy w szarej strefie, a kiedy sprawa jest rozwiązana, kogo to obchodzi?

– Na pewno złodzieja – odrzekła Mercer. – Nie jestem prawniczką, ale czy złodziej nie może zaprotestować przeciwko nielegalnej rewizji?

– Widzę, że minęła się pani z powołaniem.

– Nie, nie wyobrażam sobie gorszego zawodu niż prawnik.

– Odpowiedź brzmi „nie”. Złodziej i jego adwokat nie mają pojęcia, że maczaliśmy w tym palce. Nigdy o nas nie słyszeli, a my nie zostawiamy odcisków palców.

W rozmowie nastąpiła długa przerwa na leniwe sączenie drinków i przeglądanie menu. Obok stolika przeszła zaganiana kelnerka i Elaine poinformowała ją grzecznie, że im się nie spieszy.

– Wygląda na to, że chcecie zwerbować mnie do czegoś, co może mieć związek z tą waszą szarą strefą – odezwała się w końcu Mercer.

– A „szara strefa” to eufemizm na łamanie prawa.

Przynajmniej się zastanawia, pomyślała Elaine. Po nagle przerwany lunch była przekonana, że ta dziewczyna to już przeszłość. Teraz musiała tylko ją przycisnąć i dobić targu.

– Nie, alez skąd – odparła. – Niby jakiego?

– Nie wiem, to pani powinna wiedzieć. Macie tam swoich ludzi, których na pewno nie odeślecie. Będą obserwowali nie tylko Cable’a, ale i mnie. Jako zespół czy współdziałająca ze sobą grupa, a ja nie będę miała zielonego pojęcia, co robią.

– Proszę się tym nie martwić – uspokoiła ją Elaine. – Są świetnie wyszkolonymi profesjonalistami i nigdy dotąd nie wpadli. Daję pani słowo. To, o co panią prosimy, nie jest w najmniejszym stopniu nielegalne. Gwarantuję.

– Nie jesteśmy na tyle blisko, żebym mogła pani uwierzyć. Znamy się dopiero od kilku godzin. – Mercer dopiła martini. – Chyba wezmę jeszcze jedno.

Na takich spotkaniach alkohol jest zawsze ważny, więc Elaine też dopiła drinka i pomachała do kelnerki. Kiedy ta wróciła z kieliszkami, zamówiły wieprzowinę po wietnamsku i sajgonki z mięsem kraba.

– Proszę mi opowiedzieć o Noelle Bonnet – poprosiła Mercer, żeby złagodzić napięcie. – Na pewno ją prześwietliliście.

– Tak, a ja jestem pewna, że po południu weszła pani do internetu i zrobiła to samo – powiedziała z uśmiechem Elaine.

– Fakt.

– Noelle Bonnet jest autorką czterech książek o antykach i prowansalskim wystroju wnętrz, co sporo o niej mówi. Dużo podróżuje, dużo pisze i pół roku spędza we Francji. Jest z Cable’em

od dziesięciu lat i tworzą dość niezwykłą parę. Nie mają dzieci. Ona jest po rozwodzie, on nie był żonaty. Rzadko jeździ do Francji, bo praktycznie nie opuszcza księgarni. Jej sklep mieści się teraz tuż obok. Cable jest właścicielem całego budynku i trzy lata temu wyeksmitował stamtąd sklep z galanterią męską, żeby zrobić dla niej miejsce. On nie wtrąca się do jej interesów, ona do jego, pomaga mu tylko zabawiać gości. Jej czwarta książka jest albumem o ich wiktoriańskim domu, który stoi kilka ulic od centrum i jest wart obejrzenia. Może kilka plotek?

– Koniecznie – odparła Mercer. – Kto ich nie lubi?

– Od dziesięciu lat rozpowiadają, że są małżeństwem i pobrali się na zboczu wzgórza w Nicei. Bardzo romantyczna historia, ale nieprawdziwa. Nie są małżeństwem i wydaje się, że żyją w otwartym związku. On błądzi, ona błądzi, ale zawsze do siebie wracają.

– Niesamowite. Skąd o tym wiecie?

– Pisarze lubią paplać. A niektórzy mają bardzo bogate życie erotyczne.

– Proszę mnie do nich nie zaliczać.

– Nie zamierzam. Mówiłam ogólnie.

– Więc co z tym małżeństwem?

– Wszędzie sprawdzaliśmy i nie ma dowodów, że się pobrali. Nigdzie, ani tu, ani we Francji. Przez ich dom przewija się wielu pisarzy i pisarek. Cable uwodzi kobiety, Noelle mężczyzn. Ich dom ma wieżę z sypialnią na drugim piętrze, z której korzystają goście. Nie zawsze sami.

– Więc oczekujecie, że zrobię dla was dosłownie wszystko?

– Oczekujemy tylko tego, że się pani do niego zbliży. Na jaką odległość? To już zależy wyłącznie od pani.

Podano sajgonki. Mercer zamówiła pierożki z homarem w rosole. Elaine wolała smażone krewetki z pieprzem i poprosiła o butelkę sancerre. Mercer zjadła pierożka i stwierdziła, że już pierwsze martini pozbawiło ją smaku.

Elaine nie tknęła drugiego drinka.

– Mogę zadać osobiste pytanie?

Mercer roześmiała się, chyba trochę za głośno.

– Czemu nie? Jest coś, czego jeszcze nie wiecie?

– Mnóstwo. Dlaczego nie była pani na wyspie od śmierci babci?

Mercer posmutniała i namyślając się nad odpowiedzią, odwróciła wzrok.

– To zbyt bolesne – odparła. – Od szóstego do dziewiętnastego roku życia spędzałam tam każde lato. Byłyśmy tylko we dwie, babcia Tessa i ja. Spacerowałyśmy po plaży, kąpałyśmy się w morzu i bez końca rozmawiałyśmy. Była dla mnie kimś więcej niż babcią. Była opoką, matką, najlepszą przyjaciółką, wszystkim. Przez dziewięć okropnych miesięcy mieszkałam z ojcem, licząc dni do końca szkoły, żebym mogła wreszcie uciec na plażę i z nią porozmawiać. Prosiłam go, żeby pozwolił mi mieszkać u niej cały rok, ale nie chciał. Pewnie wie pani o mojej matce.

Elaine wzruszyła ramionami.

– Tylko to, o czym pisano.

– Kiedy miałam sześć lat, trafiła do zakładu jako wariatka opętana przez demony, choć przypuszczam, że przez mojego ojca też.

– Ojciec nie dogadywał się z babcią?

– Niech pani nie będzie śmieszna – rzuciła Mercer. – W mojej rodzinie nikt się z nikim nie dogaduje. Ojciec jej nienawidził, bo była snobką, która uważała, że matka źle wyszła za mąż. Wychował się w biednej części Memphis i zbił fortunę na handlu samochodami, najpierw używanymi, potem nowymi. Natomiast babcia pochodziła z rodziny z tradycjami i wielkim zadęciem, ale bardzo ubogiej. Zna pani to powiedzenie: „Zbyt biedny, żeby malować obrazy, lecz zbyt dumny, żeby bielić płoty”. To doskonały opis jej rodziny.

– Miała troje dzieci.

– Tak. Moją matkę, ciotkę Jane i wujka Holsteada. Kto mógłby dać takie imię własnemu dziecku? Tylko babcia Tessa. Zgodnie z rodzinną tradycją.

– Wujek mieszka w Kalifornii? – spytała Elaine.

– Tak, uciekł tam pięćdziesiąt lat temu i zamieszkał w komunie. W końcu ożenił się z ćpunką i spłodzili czworo kompletnie porąbanych dzieci. Ponieważ matka jest w zakładzie, mają nas wszystkich za wariatów, ale to oni są psychiczni. O tak, moja rodzina jest cudowna.

– Jest pani zbyt surowa.

– Nie, zbyt taktowna. Nikt z nich nie pofatygował się na pogrzeb babci, więc nie widziałam ich, odkąd byłam dzieckiem. Więc nie mam zamiaru się z nimi godzić i organizować wielkiego zjazdu.

– *Październikowy deszcz* to powieść o dysfunkcyjnej rodzinie. Autobiograficzna?

– Oni tak myśleli. Wujek Holstead napisał do mnie wulgarny list, który chciałam oprawić w ramkę. To był ostatni gwóźdź do trumny.

– Mercer zjadła pół sajgonki i popiła wodą. – Porozmawiajmy o czymś innym.

– Dobry pomysł – zgodziła się z nią Elaine. – Miała pani dużo pytań.

– A pani spytała, dlaczego tak dawno nie byłam na wyspie. Wszystko się zmieniło, już nigdy nie będzie tak samo i wspomnienia by mnie dobiły. Proszę pomyśleć. Skończyłam trzydzieści jeden lat i mam za sobą najszczęśliwszy okres życia, dni, które spędziłam z babcią. Nie wiem, czy mogłabym znów tam zamieszkać.

– Nie musi pani – powiedziała Elaine. – Możemy wynająć jakiś ładny dom. Ale gdyby zamieszkała pani u babci, miałyby pani wiarygodniejszą przykrywkę.

– Zakładając, że dom będzie wolny. W lipcu jeździ tam moja siostra, na dwa tygodnie, poza tym mogli go wynająć komuś innemu. Ciotka Jane się tym zajmuje i czasem wysyła tam znajomych. W listopadzie wynajmuje go jakaś rodzina z Kanady. A ciotka tam zimuje, od stycznia do marca.

Elaine zjadła krewetkę i upiła łyk drinka.

– Tak z ciekawości: widziała go pani? – spytała Mercer.

– Dom? Tak, dwa tygodnie temu. W ramach przygotowań.

– Jak wygląda?

– Ładnie. Jest bardzo zadbane. Sama bym w nim chętnie pomieszkała.

– Wciąż jest tam tyle domów do wynajęcia?

– Tak. Wątpię, czy w ciągu tych jedenastu lat coś się zmieniło. Panuje tam atmosfera staromodnego kurortu. Plaża jest piękna i niezatłoczona.

– Dosłownie na niej mieszkałyśmy. Babcia budziła mnie o wschodzie słońca i szłyśmy oglądać żółwie, samice, które wykopały w nocy gniazda.

– Tak, pisała pani o tym. To urocza opowieść.

– Dziękuję.

Kiedy dopiły drinki, podano danie główne. Elaine spróbowała wina, kiwnęła głową i kelnerka rozlała je do kieliszków. Mercer zjadła kawałek wieprzowiny i odłożyła widelec.

– Elaine, nie dam rady – powiedziała. – Nie nadaję się do tego. Nie umiem kłamać ani oszukiwać. Nie potrafiłabym wkraść się w ich życie, w życie ich małego kręgu literackiego, i nie zdobyłabym niczego cennego.

– Tak, już to pani mówiła. Jest pani pisarką. Na kilka miesięcy przyjechała pani do domu babci i intensywnie pracuje pani nad powieścią. Jest to przykrywka doskonała, bo prawdziwa. Pani też jest prawdziwa, ponieważ ma pani doskonałą osobowość. Gdybyśmy szukali oszusta, nie siedzielibyśmy tu i nie rozmawiały. Boi się pani?

– Nie. Sama nie wiem. A powinnam?

– Nie. Dałam pani słowo, że nie narazimy pani na nic nielegalnego i niebezpiecznego. Będziemy widywały się co tydzień...

– Przyjedzie tam pani?

– Będę przyjeżdżała i wyjeżdżała, ale jeśli potrzebuje pani towarzystwa koleżanki czy kolegi, wszystko zorganizujemy.

– Nie, nie potrzebuję niańki i nie boję się niczego oprócz porażki. Chcecie zapłacić mi bardzo dużo pieniędzy za coś, czego zupełnie sobie nie wyobrażam, a tymczasem dla was jest to ważne i oczekujecie rezultatów. Ale co będzie, jeśli się okaże, że Cable jest rzeczywiście twardy i bystry i nic nie powie? Albo jeśli zrobię coś głupiego, zaczną mnie podejrzewać i przeniesie rękopisy gdzie indziej? Mogę to schrzanić na wiele sposobów. Nie mam żadnego doświadczenia ani pojęcia, jak się do tego zabrać.

– Uwielbiam pani szczerość – powiedziała Elaine. – Szczera, bezpośrednia i transparentna: właśnie dlatego jest pani idealną kandydatką. I bardzo atrakcyjną kobietą, Cable od razu panią polubi.

– Wracamy do seksu? Czy uprawianie seksu będzie częścią moich obowiązków służbowych?

– Nie. Wszystko zależy od pani.

– Tylko że ja nie mam pojęcia, co robić! – Mercer podniosła głos i zerknęła na nią goście siedzący przy sąsiednim stoliku. Spuściła głowę. – Przepraszam – szepnęła. Przez chwilę jadły w milczeniu.

– Smakuje pani wino? – spytała Elaine.

– Tak, jest świetne, dziękuję.

– Jedno z moich ulubionych.

– A jeśli znowu odmówię? Co zrobicie?

Elaine kilka razy musnęła serwetką usta i wypła łyk wody.

– Mamy krótką listę innych kandydatów, z których żaden nie umywa się do pani. Szczerze mówiąc, byliśmy do tego stopnia przekonani, że jest pani najlepsza, że postawiliśmy wszystko na jedną kartę. Jeżeli pani odmówi, prawdopodobnie przekreślimy cały plan i ruszymy z innym.

– Czyli?

– Nie mogę o tym mówić. Nie brakuje nam pomysłów i działamy pod silną presją, dlatego pójdziemy szybko w innym kierunku.

– Czy Cable jest jedynym podejrzanym? – spytała Mercer.

– Proszę, nie wolno mi o tym rozmawiać. Powiem dużo więcej, kiedy pani tam przyjedzie, kiedy już się pani zgodzi i pójdziemy na spacer po plaży. Będziemy miały sporo do omówienia, w tym to najważniejsze: plan działania. Ale nie mogę wchodzić w szczegóły. Ostatecznie to poufna sprawa.

– Jasne. Umiem dotrzymać tajemnicy. To pierwsza lekcja, której nauczyłam się od rodziny.

Elaine uśmiechnęła się, jakby ją rozumiała i całkowicie jej ufała. Kelnerka dołała im wina i zajęły się wieprzowiną. Po najdłuższej chwili milczenia, jaka zapadła przy ich stoliku, odkąd przyszły, Mercer głośno przełknęła ślinę, wzięła głęboki oddech i powiedziała:

– Mam sześćdziesiąt jeden tysięcy dolarów studenckiego długu, którego nie mogę się pozbyć. Cięży mi to we dnie i w nocy i doprowadza mnie do szaleństwa.

Elaine znów się uśmiechnęła, jakby dobrze o tym wiedziała. Mało brakowało, a Mercer spytałaby, czy rzeczywiście wie, lecz wolała nie słyszeć odpowiedzi. Elaine odłożyła widelec, podparła się łokciami, zetknęła czubki palców i delikatnie nimi postukała.

– Zajmiemy się długiem i dodatkowo zapłacimy pani wspomniane sto tysięcy. Pięćdziesiąt teraz, pięćdziesiąt za pół roku.

Gotówką, sztabkami złota, jak pani chce. Oczywiście pod stołem.

Ołowiane ciężary przygniatające ramiona nagle zniknęły, po prostu wyparowały. Mercer stłumiła ciche sapnięcie, zasłoniła ręką usta i zamrugała, bo zwilgotniały jej oczy. Chciała się odezwać, lecz nie miała nic do powiedzenia. Zaszło jej w ustach, więc wypła trochę wody. Jak zwykle kalkulując, Elaine obserwowała każdy jej ruch.

Mercer była zachwycona natychmiastowym uwolnieniem od studenckiego długu, koszmaru, który prześladował ją przez osiem lat. Głęboko odetchnęła – czy naprawdę lżej się jej oddychało, czy było to tylko złudzenie? – zjadła pierożka i popiła winem, którego smak poczuła dopiero teraz. Postanowiła kupić kiedyś parę butelek.

Elaine wyczuła bliski nokaut i ruszyła do rozstrzygającego ataku.

– Kiedy może pani pojechać na wyspę?

– Egzaminy kończą się za dwa tygodnie. Ale chciałabym się z tym przespać.

– Naturalnie. – Nadeszła kelnerka. – Mam chęć na panna cottę. A pani?

– Ja też – odrzekła Mercer. – I na kieliszek deserowego wina.

6

Ponieważ miała niewiele rzeczy, pakowanie zajęło tylko kilka godzin, po czym bez najmniejszego żalu wyjechała z Chapel Hill garbusem załadowanym ubraniami, książkami, kilkoma garnkami, przyborami kuchennymi, komputerem i drukarką. Nie zostawiała za sobą żadnych miłych wspomnień, jedynie dwie przyjaciółki z rodzaju tych, które pozostają w kontakcie przez parę miesięcy, a potem znikają. Przeprowadzała się i żegnała tyle razy, że wiedziała, która przyjaźń przetrwa, a która nie. Wątpiła, czy je kiedykolwiek zobaczy.

Miała wyruszyć na południe, ale dopiero za kilka dni. Na razie pojechała międzystanówką na zachód. Zatrzymała się na szybki lunch w urokliwym Asheville, zjadła, przeszła się po mieście, a potem dużo węższymi, krętymi drogami przeprawiła się przez

góry i dotarła do Tennessee. Było już ciemno, kiedy zaparkowała przed motelem na przedmieściach Knoxville. Zapłaciła gotówką za mały pokój i poszła do pobliskiej restauracji na taco. Przespała spokojnie wymagane osiem godzin i obudziła się o świcie gotowa na kolejny ciężki dzień.

Hildy Mann przebywała w szpitalu psychiatrycznym od dwudziestu lat. Mercer odwiedzała ją co najmniej raz w roku, czasem dwa, nigdy częściej. Nikt inny do niej nie przyjeżdżał. Kiedy ojciec zrozumiał, że żona już nie wróci, szybko wniósł o rozwód. Nikt mu się nie dziwił. Mimo że Connie mieszkała ledwie trzy godziny jazdy od szpitala, nie widziała matki od lat. Jako najstarsza była jej opiekunką prawną, ale ciągły brak czasu nie pozwalał jej na wizyty.

Mercer cierpliwie przeszła przez biurokratyczną procedurę obowiązującą odwiedzających. Kwadrans rozmawiała z lekarzem, by wysłuchać tej samej co zawsze ponurej diagnozy. Pacjentka jest ofiarą destrukcyjnego rodzaju schizofrenii paranoidalnej, która odbiera zdolność racjonalnego myślenia, wywołując halucynacje, zwidy i urojone głosy. Jej stan nie ulegał poprawie od dwudziestu pięciu lat i nie było już nadziei. Podawano jej silne leki i podczas każdej wizyty Mercer zastanawiała się, jak wielkie szkody wyrządziły w jej organizmie. Ale nie było innego wyjścia. Hildy Mann należała do stałych pacjentów szpitala psychiatrycznego i miała pozostać tam do końca życia.

Pielęgniarki zrezygnowały z wkładanej przez głowę standardowej białej koszuli i specjalnie na tę okazję ubrały ją w błękitną bawełnianą letnią sukienkę, jedną z kilkunastu, które Mercer przywiozła jej przez te lata. Matka siedziała na brzegu łóżka, na bosaka, ze wzrokiem wbitym w podłogę. Mercer weszła, pocałowała ją w czoło, usiadła obok niej, poklepała ją po kolanie i powiedziała, że bardzo tęskniła.

Matka zareagowała tylko miłym uśmiechem. Wyglądała strasznie staro, co jak zwykle Mercer zdumiało. Miała jedynie sześćdziesiąt cztery lata, ale mogła uchodzić za osiemdziesięciolatkę. Wąta i koścista, niemal wychudzona, o białych jak śnieg włosach, była blada jak duch. Nic dziwnego. Nigdy nie wychodziła z pokoju. Przed laty pielęgniarki wyprowadzały ją na dziedziniec, raz dziennie

i tylko na godzinę, ale matka w końcu się zbuntowała. Coś ją tam przerażało.

Mercer wygłosiła ten sam monolog co zwykle: opowiadała o swoim życiu, pracy i znajomych, o rzeczach częściowo prawdziwych, częściowo zmyślonych, z których żadna nie wzbudziła najmniejszej reakcji. Do matki nic po prostu nie docierało. Z wciąż tym samym uśmiechem na twarzy ani na chwilę nie odrywała wzroku od podłogi. Mercer wmawiała sobie, że matka rozpoznaje jej głos, lecz nie była tego pewna. Nie wiedziała nawet, dlaczego zwraca sobie głowę tymi wizytami.

Bo dręczyło ją poczucie winy. Connie mogła zapomnieć o matce, lecz ona miała wyrzuty sumienia, że nie odwiedza jej częściej.

Minęło pięć lat, odkąd matka odezwała się do niej ostatni raz. Wtedy ją poznała, wypowiedziała jej imię, a nawet podziękowała, że Mercer zechciała wpaść. Podczas wizyty kilka miesięcy później stała się nagle głośna i agresywna i musiała interweniować pielęgniarka. Od tamtej pory przed każdymi odwiedzinami faszerowali ją pewnie zwiększoną porcją leków.

Babcia Tessa mówiła, że jako nastolatka matka uwielbiała wiersze Emily Dickinson, dlatego odwiedzając córkę w początkowych latach jej pobytu w szpitalu, zawsze jej coś czytała. Matka słuchała i reagowała, jednak z upływem czasu jej stan się pogorszył.

– Może trochę poczytamy? – zaproponowała Mercer, wyjmując gruby, wytarty tom *Wierszy zebranych*, ten sam, który przed laty przywiozła babcia Tessa. Przysunęła bujany fotel bliżej łóżka i usiadła.

Ona czytała, a matka uśmiechała się tylko bez słowa.

7

W Memphis spotkała się na lunchu z ojcem, w restauracji w centrum miasta. Mieszkał gdzieś w Teksasie z nową żoną, której nie miała ochoty widzieć ani o niej rozmawiać. Kiedy sprzedawał samochody, nie mówił o niczym innym, a ponieważ teraz jako łowca

talentów pracował dla Oriolesów, mówił wyłącznie o baseballu. Nie wiedziała, co interesuje ją mniej, mimo to dzielnie się trzymała, starając się, żeby było miło. Widywała go raz w roku i już po trzydziestu minutach przypominała sobie dlaczego. Przyjechał do Memphis „w interesach”, ale w to wątpiła. Z hukiem zbankrutował, kiedy była na pierwszym roku studiów, pozostawiając ją na łasce studenckich pożyczkodawców.

Musiała się uszczypnąć – nie pierwszy raz – żeby sprawdzić, czy to nie sen. Długi zniknęły!

Ojciec wrócił do baseballu; bez ładu i składu opowiadał o nowych nabytkach z tego czy innego liceum i ani razu nie spytał o jej najnowszą książkę. Jeśli w ogóle przeczytał coś z tego, co napisała, zachował to dla siebie.

Po ciągnącej się w nieskończoność godzinie niemal zatęskniła za wizytą u biednej matki, która nie mogąc mówić, była mniej nudna niż pochłonięty sobą ojciec. Mimo to objęli się na pożegnanie i pocałowali, jak zwykle obiecując, że będą spotykali się częściej. Powiedziała, że kilka najbliższych miesięcy zamierza spędzić na wyspie, bo chce dokończyć powieść, ale on już sięgał po komórkę.

Po lunchu pojechała na cmentarz w Rosewood i położyła róże na grobie babci Tessy. Usiadła, oparła się o nagrobek i rozplakała. Babcia zginęła w wieku siedemdziesięciu czterech lat, jednak pod wieloma względami zachowała młodzieńczy wigor. Teraz miałyby osiemdziesiąt cztery i wciąż sprawna spacerowałyby pewnie po plaży, zbierając muszelki i chroniąc żółwie gniazda. Pracowałyby do upadłego w ogrodzie i czekała na przyjazd ukochanej wnuczki.

Nadeszła pora wracać, usłyszeć jej głos, dotknąć jej rzeczy, przejść się jej śladami. Początkowo będzie bolało, ale od jedenastu lat wiedziała, że dzień ten kiedyś nadejdzie.

Zjadła kolację ze starą przyjaciółką z liceum, przespała się u niej i następnego dnia wczesnym rankiem wyjechała. Czekala ją piętnastogodzinna podróż.

Spędziła noc w motelu pod Tallahassee i dotarła na miejsce w południe, zgodnie z planem. Dom prawie się nie zmienił, był tylko pomalowany na biało, a nie na kremowo, jak wolała babcia. Po obu stronach wąskiego podjazdu, wysypanego pokruszonymi muszlami ostryg, ciągnęły się pasy starannie przystrzyżonej trawy bermudzkiej. Ciotka Jane mówiła, że posesją wciąż opiekuje się Larry, dozorca i ogrodnik, który na pewno wpadnie się przywitać. Ponieważ frontowe drzwi wychodziły na ulicę, babcia wysadziła granice działki palmami sabalowymi i krzakami czarnego bzu, teraz tak gęstymi i wysokimi, że przesłaniały domy sąsiadów. Na rabatkach, których doglądała o poranku, żeby uciec przed słońcem, rosły begonie, kocimiętka i lawenda. Wokół kolumn podtrzymujących dach tarasu wiły się glicynie. Eukaliptus bardzo wyrósł i ocieniał teraz większość trawnika. Tak, Jane i Larry się sprawili. Babcia byłaby zadowolona, chociaż na pewno by coś zmieniła.

Klucz pasował, lecz drzwi się zacięły i ustąpiły dopiero wtedy, kiedy Mercer pchnęła je mocno ramieniem. Weszła do dużego pokoju, długiego, szerokiego pomieszczenia. W rogu stały stara kanapa, fotele i telewizor, a dalej rustykalny stół jadalny, którego nie pamiętała. Jeszcze dalej znajdowała się kuchnia z oknami na całą ścianę, wychodzącymi na oddalone o sześćdziesiąt metrów wydmy i ocean. Meble były inne, tak jak obrazy na ścianach i dywaniki na podłodze. Miało się wrażenie, że nie jest to prawdziwy dom, tylko taki do wynajęcia, lecz była na to przygotowana. Babcia Tessa mieszkała tu prawie dwadzieścia lat i utrzymywała wszystko w nienagannym stanie. Teraz dom stał się domem wakacyjnym i wymagał porządnego odkurzenia. Mercer przecięła kuchnię i wyszła na szeroki taras pełen starych mebli wiklinowych, otoczony palmami i ozdobnymi lagerstremiami. Zmiotła kurz i pajęczyny z bujaka, usiadła i wsłuchując się w szum fal, popatrzyła na wydmy. Przrzekła sobie, że się nie rozpłacze, więc tego nie zrobiła.

Z plaży dochodził śmiech hasających beztrosko dzieci. Słyszała je, lecz ich nie widziała, ponieważ wydmy przesłaniały widok. Nad wydymami, wysoko na niebie, krążyły mewy i rybitwy.

Wspomnienia były wszędzie, złociste i bezcenne jak myśli o innym życiu. Kiedy została pólsierotą, babcia praktycznie ją

adoptowała, przynajmniej na trzy miesiące w roku. Przez pozostałe dziewięć Mercer bardzo za tym miejscem tęskniła, za wiklinowymi fotelami, w których siadywały, kiedy słońce skryło się wreszcie za domem. Zmierzch był ich ulubioną porą dnia. Oślepiający upał się kończył, plaża pustoszała. Szły wtedy na dwukilometrowy spacer do południowego moła i z powrotem; szukały muszelek, chlapały się w falach i gawędziły ze znajomymi i sąsiadami, którzy też wyszli się przejść.

Znajomych i sąsiadów już nie było, bo umarli albo trafili do domu starców.

Mercer bujała się dłuższą chwilę, w końcu wstała. Przeszła przez pozostałą część domu i zobaczyła bardzo niewiele rzeczy, które przypominały jej babcię. Ale uznała, że to dobrze. Nie znalazła na przykład ani jednego jej zdjęcia, tylko w sypialni stało kilka oprawionych w ramkę fotografii ciotki Jane i jej rodziny. Po pogrzebie ciotka przysłała jej pudełko zdjęć, rysunków i puzzli, myśląc, że ją zainteresują. Mercer zatrzymała kilka i przechowywała je w albumie. Teraz wyjęła go, rozpakowała pozostałe rzeczy i poszła do sklepu kupić coś do jedzenia. Zrobiła sobie lunch, spróbowała coś poczytać, ale nie mogła się skupić i w końcu zasnęła w hamaku na tarasie.

Obudziły ją kroki Larry'ego na bocznych schodach. Uścisnęli się krótko na powitanie i wymienili kilka uwag na temat tego, jak potraktował ich czas. Larry powiedział, że teraz, jako „w pełni dojrzała kobieta”, jest jeszcze piękniejsza niż kiedyś. On się nie zmienił. Wciąż ogorzały, może tylko bardziej posiwiał i miał więcej zmarszczek. Niski i żylasty, był chyba w tym samym słomkowym kapeluszu, który pamiętała z dzieciństwa. W jego przeszłości kryło się coś mrocznego, ale nie mogła sobie przypomnieć co, w każdym razie uciekł na Florydę z północy, może z Kanady? Był ogrodnikiem i złotą rączką i ciągle kłócił się z babcią o to, jak dbać o kwiaty.

- Szkoda, że nie przyjechałaś wcześniej – powiedział.
- Fakt. Napijesz się piwa?
- Nie. Odstawiłem alkohol kilka lat temu. Żona kazała.
- Zmień żonę.
- Tego też próbowałem.

Miał ich kilka, a babcia mówiła, że jest strasznym flirciarzem. Mercer podeszła do bujaka.

– Siadaj. Pogadamy.

– Dobra, czemu nie? – Na adidasach miał zielone plamy, a na kostkach u nóg żdźbła skoszonej trawy. – Dasz mi wody?

Mercer uśmiechnęła się i poszła do kuchni. Wróciła, podała mu szklankę i otworzyła butelkę piwa.

– Co przez te lata porabiałeś?

– To samo – odparł. – Ciągłe to samo. A ty?

– Uczyłam i pisałam.

– Czytałem twoją książkę. Podobała mi się. Patrzyłem na twoje zdjęcie na okładce i mówiłem: „Rany, przecież ja ją znam, i to od tylu lat!”. Tessa byłaby z ciebie dumna.

– Chyba tak. O czym tu teraz plotkują?

Larry roześmiał się.

– Nie było cię od wieków i pytasz o plotki!

– Co się stało z Bancroftami? – Ruchem głowy wskazała sąsiedni dom.

– On umarł w zeszłym roku. Na raka. Ona wciąż się trzyma, ale wysłali ją do jakiegoś ośrodka. Dzieci sprzedały dom. Nowi właściciele mnie nie lubią, a ja nie lubię ich.

Dobrze pamiętała jego bezceremonialność i cięty język.

– A Hendersonowie, ci z naprzeciwka?

– Nie żyją.

– Po śmierci babci przez jakiś czas ja i pani Henderson pisałyśmy do siebie listy. Niewiele się tu zmieniło.

– Ta wyspa się nie zmienia – powiedział Larry. – Tu i tam wyrosło kilka nowych domów. Zabudowano wszystkie działki przy plaży, obok Ritza postawili luksusowy apartamentowiec. Przyjeżdża coraz więcej turystów, ale to chyba dobrze. Jane mówi, że posiedzisz tu kilka miesięcy.

– Taki mam plan. Zobaczymy. Zmieniam pracę i muszę skończyć książkę.

– Zawsze lubiłaś książki. Pamiętam, że wszędzie w domu były ich stosy, nawet kiedy przyjeżdżałaś tu jako mała dziewczynka.

– Babcia zabierała mnie do biblioteki dwa razy w tygodniu. Po piątej klasie wzięłam udział w wakacyjnym konkursie czytelniczym.

Przeczytałam przez lato dziewięćdziesiąt osiem książek i wygrałam. Drugie miejsce zajął Michael Quon, z pięćdziesięcioma trzema. Chciałam przeczytać sto.

– Tessa na okrągło powtarzała, że jesteś za ambitna. Warcaby, szachy, Monopoly. Zawsze musiałaś wygrać.

– Chyba tak. Teraz wydaje się, że to głupie.

Larry wypił łyk wody, wytarł usta rękawem koszuli i spojrzał na ocean.

– Naprawdę mi jej brakuje, wiesz? Ciągłe kłóciliśmy się o rabatki i nawozy, ale dla przyjaciół zrobiłaby wszystko.

Mercer bez słowa kiwnęła głową. Długo milczeli.

– Przepraszam, że o tym mówię – odezwał się w końcu Larry. – Wiem, że to wciąż boli.

– Mogę cię o coś spytać? Z nikim o tym nie rozmawiałam, o jej śmierci. Jakiś czas po pogrzebie czytałam, co pisano w gazetach, ale czy jest coś, o czym nie wiem? Coś więcej?

– Nikt nie wie. – Ruchem głowy wskazał ocean. – Wypłynęła z Porterem tylko na pięć, sześć kilometrów, pewnie widzieli łąd. Nagle zerwał się sztorm. Wiesz, taki letni popołudniowy, ale paskudny jak cholera.

– Gdzie wtedy byłeś?

– Krzątałem się po domu. Zanim zdążyłem się odwrócić, niebo poczerniało, zawył wiatr i lunęło jak z cebra. Deszcz zacinał niemal poziomo. Wichura powaliła kilka drzew. Wysiadł prąd. Podobno Porter zdążył nadać sygnał SOS, ale było za późno.

– Pływałam tą łodzią wiele razy, ale nie przepadałam za żeglowaniem. Zawsze uważałam, że na morzu jest za gorąco i za nudno.

– Porter był dobrym żeglarzem i, jak wiesz, szalał za Tessą. Ale bez żadnych takich. Kurczę, był dwadzieścia lat młodszy.

– No nie wiem... Bardzo się przyjaźnili i kiedy podrosłam, zaczęłam coś podejrzewać. Raz znalazłam jego stare buty żeglarskie w szafie. Myszkowałam, jak to dzieciak. Nic nie powiedziałam, ale zaczęłam nadśłuchiwać. Miałam wrażenie, że kiedy mnie nie ma, Porter spędza tu dużo czasu.

Larry pokręcił głową.

– Nie. Myślisz, że bym nie wiedział?

- Bo?
- Przychodziłem tu trzy razy w tygodniu i wszystkiego doglądałem. I nie zauważyłbym faceta? Niemożliwe.
- Dobra, ale babcia bardzo go lubiła.
- Wszyscy go lubili. To był porządny gość. Nie znaleźli ani jego, ani łodzi.
- A szukali?
- O tak, nigdy w życiu nie widziałem tak wielkich poszukiwań. W morze wypłynęły wszystkie łodzie, łącznie z moją. Straż przybrzeżna, helikoptery. O wschodzie słońca jakiś biegacz znalazł Tessę przy północnym moło. Dwa czy trzy dni później.
- Była dobrą pływaczką i nigdy nie wkładała kapoka.
- W tym sztormie to nie miało znaczenia. Więc nie, nie dowiemy się, co tam się stało. Przykro mi.
- Tylko spytałam.
- Pójdę już. Potrzebujesz czegoś? – Larry powoli wstał i przeciągnął się. – W razie czego masz mój numer. Mercer też się podniosła i lekko go uścisnęła.
- Dziękuję. Miło cię widzieć.
- Witaj w domu.
- Dzięki.

9

Pod wieczór zrzuciła sandały i poszła na plażę. Zbity z desek chodnik zaczynał się tuż za tarasem i to wznosząc się, to opadając, prowadził przez chronione prawem wydmy, gdzie obowiązywał zakaz wstępu. Szła powoli, jak zwykle szukając żółwi norowych. Należały do zagrożonego gatunku i babcia fanatycznie broniła ich siedlisk. Żywiły się owsem morskim i porastającą wydmy spartyną. W wieku ośmiu lat Mercer umiała już rozpoznać całą roślinność nadmorską: honkenię piaskową, ciborę i jukkę karolińską. Babcia opowiadała jej o nich i oczekiwała, że Mercer będzie pamiętała wszystko za rok. A ona pamiętała nawet teraz, po jedenastu latach.

Zamknęła za sobą małą furtkę i ruszyła brzegiem na południe. Minęła kilku spacerowiczów, którzy z uśmiechem skinęli jej głową. Większość szła z psami na smyczy. Z naprzeciwka nadchodziła jakaś kobieta. W idealnie wyprasowanych szortach koloru khaki, batystowej bluzce i z bawełnianym swetrem na ramionach wyglądała jak modelka z katalogu J.Crew. I miała znajomą twarz. Elaine Shelby uśmiechnęła się i przywitała. Uścisnęły sobie ręce i poszły dalej, brodząc na bosaka w morskiej pianie.

– I jak dom? – spytała Elaine.

– W dobrym stanie. Ciotka ma twardą rękę.

– Bardzo cię wypytywała?

– Nawet nie. Ucieszyła się, że chcę przyjechać.

– I masz pozwolenie do końca czerwca?

– Do czwartego lipca. Wtedy przyjeżdża Connie z rodziną. Na dwa tygodnie, więc będę musiała zniknąć.

– Wynajmiemy ci coś w pobliżu. Przyjeżdża ktoś jeszcze?

– Nie, dopiero w listopadzie.

– Do listopada będzie po wszystkim, wóz albo przewóz.

– Skoro tak mówisz...

– Na początek dwa pomysły. – Elaine szybko przeszła do interesów. Wyglądało to jak niewinny spacer po plaży, ale tak naprawdę było to ważne spotkanie. Podbiegł do nich golden retriever na smyczy. Chciał się przywitać, więc pogłaskały go po łbie, wymieniły uprzejmości z właścicielką i poszły dalej. – Po pierwsze – ciągnęła Elaine – trzymaj się z dala od księgarni. Ważne jest, żeby to Cable do ciebie przyszedł, a nie ty do niego.

– Tylko jak to załatwić? – spytała Mercer.

– Na wyspie mieszka pewna kobieta, Myra Beckwith, pisarka, o której być może słyszałaś.

– Nie.

– Tak myślałam. Ma kilkanaście pseudonimów i napisała mnóstwo książek, sprośnych romansideł. Kiedyś dobrze się sprzedawały, ale Myra się starzeje i trochę zwolniła. Mieszka z partnerką w starym domu w centrum miasta. Jest dużą kobietą. Metr osiemdziesiąt wzrostu, szerokie bary, słowem kawał baby. Kiedy ją zobaczysz, nie uwierzysz, że kiedykolwiek uprawiała seks, ale ma imponującą wyobraźnię. To głośna, barwna, bardzo

ekscentryczna i dobrze znana postać, ktoś w rodzaju królowej pszczoł miejscowego światka literackiego. Oczywiście od dawna przyjaźni się z Cable'em. Napisz do niej, przedstaw się, powiedz, po co przyjechałaś, i tak dalej. Chcesz się przywitać i wpaść na drinka. Cable dowie się o tym w ciągu dwudziestu czterech godzin.

– Kim jest jej partnerka?

– Niejaka Leigh Trane, kolejna pisarka, o której pewnie nie słyszałaś.

– Nie – przyznała Mercer.

– Tak myślałam. Próbuje pisać ambitne rzeczy, zupełnie niezrozumiałe powieści, których nie może sprzedać żadna księgarnia. Najnowsza rozeszła się w trzystu egzemplarzach, w dodatku osiem lat temu. To dziwna para w każdym tego słowa znaczeniu, ale na pewno będzie ci wesoło. Kiedy je poznasz, poznasz i Cable'a.

– Dość proste.

– Drugi pomysł jest trochę bardziej ryzykowny, ale na pewno wypali. Jest pewna młoda pisarka, Serena Roach...

– Bingo! – przerwała jej Mercer. – Nareszcie ktoś, o kim słyszałam. Nie znam jej, ale mamy tego samego wydawcę.

– Właśnie. Jej najnowsza powieść wyszła kilka dni temu.

– Czytałam recenzje. Są fatalne.

– Nieważne. Ważne jest to, że Roach jest teraz w trasie promocyjnej i będzie tu w przyszłą środę. Mam jej adres mailowy. Napisz do niej, ot tak, zaproś ją na kawę i tak dalej. Jest singielką mniej więcej w twoim wieku, więc może być miło. Jej wieczór autorski będzie doskonałym powodem do odwiedzenia księgarni.

– A ponieważ jest młoda i wolna, można się spodziewać, że Cable da z siebie wszystko – dodała Mercer.

– Skoro ty już tu jesteś, a ona niedługo się pojawi, niewykluczone, że po spotkaniu Cable i Noelle wydadzą kolację. A właśnie! Noelle zostaje, nigdzie nie wyjeżdża.

– Nie zamierzam pytać, skąd o tym wiecie.

– To proste. Byliśmy dzisiaj w jej antykwariacie – powiedziała Elaine.

– Wspomniałaś, że to ryzykowny pomysł...

– Hm... po kilku drinkach może się wydać, że ty i Serena Roach dopiero co się poznałyście. Ot, zwykły przypadek. Albo i nie.

– Mamy tego samego wydawcę, więc to, że wpadłam się przywitać, będzie całkiem wiarygodne.

– Dobrze – rzuciła Elaine. – Jutro o dziesiątej dostaniesz przesyłkę. Pudło ze wszystkimi czterema książkami Noelle i trzema powieściami Sereny Roach.

– Praca domowa?

– Przecież lubisz czytać.

– To część moich obowiązków.

– Dorzucimy kilka romansów Myry, dla rozrywki. To zupełnie gnioty, ale całkiem wciągające. Udało mi się znaleźć tylko jedną książkę Leigh Trane i też będzie w pudle. Wyczerpany nakład, brak wznowień, myślę, że nie bez powodu. Ale na twoim miejscu bym do niej nie siadała. Nie byłam w stanie przebić się przez pierwszy rozdział.

– Nie mogę się doczekać. Długo tu zostaniesz? – spytała Mercer.

– Jutro wyjeżdżam. – Przez chwilę szły w milczeniu, wciąż po kostki w wodzie. Tuż przy brzegu dwoje dzieci chlapało się na desce surfingowej. – Podczas kolacji w Chapel Hill miałaś wiele pytań – odezwała się Elaine. – Nie mogę dużo zdradzić, ale wyznaczaliśmy po cichu nagrodę za informację. Dwa miesiące temu znaleźliśmy w Bostonie pewną kobietę, była żoną kolekcjonera białych kruków, który handluje także książkami podejrzanego pochodzenia. Do rozwodu musiało dojść niedawno, bo wciąż jest na niego zła. Twierdzi, że jej były wie dużo o skradzionych rękopisach Fitzgeralda, że kupił je od złodziei i ze strachu szybko sprzedał. Podobno dostał za nie milion dolarów, ale ani ona, ani my nie mamy na to żadnych dowodów. Jeśli rzeczywiście dostał ten milion, pewnie załatwili to przelewem na tajne zagraniczne konto. Nie wiadomo, wciąż wężymy.

– Rozmawialiście z nim, z jej byłym mężem? – spytała Mercer.

– Jeszcze nie.

– I naprawdę sprzedał rękopisy Cable'owi?

– Żona podała nam jego nazwisko. Współpracowała z mężem, dopóki nie zaczęły się niesnaski, i sporo wie o tej branży.

– Ale dlaczego Cable miałby je tu przywozić?

– A dlaczego nie? Tu mieszka, tu czuje się bezpiecznie. Na razie zakładamy, że rękopisy są na wyspie, ale jest to założenie mocno na wyrost. Możemy się mylić. Jak wspomniałam, Cable jest bardzo sprytny i inteligentny i wie, co robi. Pewnie jest za mądry, żeby trzymać je w ryzykownym miejscu. Nawet jeśli rzeczywiście ma skarbiec pod księgarnią, wątpię, żeby je tam przechowywał. Ale kto wie? Po prostu zgadujemy i będziemy zgadywać, dopóki nie zdobędziemy pewniejszych informacji.

– Na przykład jakich?

– Musimy mieć kogoś z dostępem do księgarni, zwłaszcza do sali z pierwszymi wydaniem – odparła Elaine. – Kiedy już go poznasz, zaczniesz tam bywać, kupować książki, przychodzić na spotkania autorskie i tak dalej, stopniowo zainteresujesz się białymi krukami. Babcia zostawiła ci kilka starych książek, które będą dobrym biletem wstępu. Możesz chcieć się dowiedzieć, ile są warte, czy Cable nie miałby ochoty ich kupić. Nie mamy pojęcia, jak potoczą się te rozmowy, ale przynajmniej będziemy tam mieli kogoś, kogo nie podejrzewa. Prędzej czy później coś usłyszysz. Od kogoś, kto wie co, kiedy i gdzie. Skok na rękopisy Fitzgeralda może być tematem rozmów przy kolacji. Jak już mówiłam, Cable dużo pije, a alkohol rozwiązuje język. Może mu się coś wymknąć.

– Wymknąć? Coś o rękopisach? Wątpię.

– To prawda, ale ktoś inny też może coś chlapanąć. W tej chwili najważniejsze jest to, żebyśmy mieli tam swoje oczy i uszy.

Przy południowym moło zawróciły i poszły z powrotem.

– Coś ci pokażę – powiedziała Elaine, kiedy dotarły do drewnianego chodnika. Otworzyła furtkę i gdy weszły schodkami na mały podest, wyciągnęła rękę, wskazując trzypoziomowy segment mieszkalny. – Mieszkam w tym po prawej. Za parę dni ktoś mnie zmieni. Przyślę ci jego numer.

– Będzie mnie obserwował? – spytała Mercer.

– Nie. Działasz sama, ale zawsze będziesz miała pod ręką jakiegoś przyjaciela, na wszelki wypadek. Poza tym chciałabym co wieczór dostawać od ciebie maila, bez względu na to, co się będzie działo. Dobrze?

– Oczywiście.

– W takim razie leczę. – Elaine wyciągnęła rękę i Mercer ją uścisnęła. – Powodzenia i spróbuj potraktować to jak zwykłe wakacje nad morzem. A kiedy poznasz Cable’a i Noelle, być może ich polubisz i będziecie się dobrze bawili.

Mercer wzruszyła ramionami.

– Zobaczymy.

10

Galeria Dumbartona mieściła się w Georgetown, przecnicę za Wisconsin Avenue. Był to mały salon wystawowy na parterze starej kamienicy z czerwonej cegły, która wymagała porządnego odmalowania i być może nowego dachu. Mimo tłumów przelewających się ledwie ulicę dalej, była zwykle opustoszała i miała prawie nagie ściany. Specjalizowała się w minimalistycznej sztuce współczesnej i najwyraźniej nie cieszyła się zbyt dużą popularnością, przynajmniej w Waszyngtonie. Jej właściciel o to nie dbał. Nazywał się Joel Ribikoff, miał pięćdziesiąt dwa lata i dwukrotnie skazywano go za handel kradzionymi precjozami.

Galeria była jedynie fasadą, przykrywką, która miała przekonać obserwatorów – a po dwóch wyrokach i ośmiu latach w pace był pewien, że nie ma dnia, żeby ktoś go nie obserwował – że Joel Ribikoff sporządzał i jest teraz tylko kolejnym marszandem walczącym o przetrwanie. Dlatego ciągnął tę grę, zorganizował nawet kilka wystaw, znał paru artystów i jeszcze mniej klientów i ze względu na czujne oczy obserwatorów bez przekonania prowadził stronę internetową.

Mieszkał na drugim piętrze szeregowca. Na pierwszym miał gabinet, w którym załatwiał poważne interesy, czyli sprzedawał kradzione obrazy, sztychy, zdjęcia, książki, manuskrypty, mapy, rzeźby, a nawet sfałszowane listy napisane jakoby przez nieżyjących już słynnych ludzi. Mimo potworności, jakich zaznał podczas dwukrotnego pobytu w więzieniu, po prostu nie umiał żyć zgodnie z prawem. Życie w podziemiu było dla niego dużo bardziej ekscytujące i dochodowe niż dogłądanie małej galerii

i sprzedawanie czegoś, co interesowało niewielu. Uwielbiał dreszczyk emocji, jaki odczuwał, kontaktując złodziei z ofiarami kradzieży albo z pośrednikami, układając skomplikowane plany działania wymagające uczestnictwa wielu ludzi i stron, potajemnego transferowania pieniędzy i przerzucania zdobytego łupu. Rzadko kiedy „przytulał” skradziony towar – wolał być mądrym pośrednikiem, który nie chce brudzić sobie rąk.

Cztery tygodnie po skoku w Princeton odwiedziło go FBI. Oczywiście nic nie wiedział. Miesiąc później agenci wrócili, ale on nadal nic nie wiedział. Potem jednak się dowiedział. Bojąc się, że FBI założyło podsłuch w jego telefonie, uciekł z Waszyngtonu i przywarował. Korzystając z komórek na kartę, skontaktował się ze złodziejem i spotkał z nim pod Aberdeen w Marylandzie, w motelu przy autostradzie międzystanowej. Złodziej przedstawił się jako Denny i miał wspólnika, niejakiego Rookera. Dwóch twardzieli. Na tanim łóżku w dwuosobowym pokoju za siedemdziesiąt dziewięć dolarów za noc leżało pięć skradzionych rękopisów Fitzgeralda, wartych więcej, niż mogli to sobie wyobrazić.

Joel natychmiast zrozumiał, że Denny, bez wątpienia przywódca, jest pod dużą presją, pragnie jak najszybciej sprzedać łup i uciec z kraju.

– Chcę milion dolarów – oświadczył.

– Nie dam rady tyle zdobyć – powiedział Joel. – Mam tylko jednego klienta, który w ogóle chce o tym gadać. Chłopcy z branży się wystraszyli, bo federalni węższą jak cholera. Moja najlepsza... wróc, moja jedyna oferta to pół bańki.

Denny zaklął i zaczął krążyć po pokoju, od czasu do czasu przystając przed oknem, rozchylając zasłony i wyglądając na parking. Joela zmęczył ten teatr i powiedział, że wychodzi. Denny w końcu wymiękł i uzgodnili szczegóły. Joel wyszedł tylko z teczką. Kiedy zapadł wieczór, Denny opuścił motel z rękopisami i poleceniem, żeby jechać do Providence i czekać. Powitał go tam Rooker, jego stary kumpel z wojska, który wkroczył na przestępczą drogę. Trzy dni później, przy pomocy kolejnego pośrednika, dokonali transakcji.

A teraz wrócili do Georgetown, żeby odzyskać skarb. Za pierwszym razem Ribikoff nieźle ich wykiwał. Ale to się już nie

powtórzy. O siódmej wieczorem w środę dwudziestego piątego maja Denny wszedł do galerii frontowymi drzwiami, a Rooker wyważył okno w gabinecie. Zamknęli na klucz wszystkie drzwi, zgasili światła, zanieśli Joela do jego mieszkania na drugim piętrze, związali go, zakneblowali i rozpoczęli paskudną procedurę wydobywania informacji.

Rozdział 4

PLAŻOWICZKA

1

Dzień zaczynał się wtedy o wschodzie słońca. Babcia wyciągała ją z łóżka i wypędzała na taras, gdzie piły kawę i niecierpliwie czekały, aż horyzont rozjarzy się na pomarańczowo. Kiedy słońce już wstało, drewnianym chodnikiem spieszyły na plażę, żeby sprawdzić żółwie gniazda. Potem babcia szła pielęgnować rabatki po zachodniej stronie domu, a ona często wracała do łóżka na długą drzemkę.

Za zgodą babci pierwszą filiżankę kawy wypija w wieku około dziesięciu lat, a pierwsze martini, kiedy skończyła piętnaście. „We wszystkim musi być umiar” – tak brzmiało jedno z jej ulubionych powiedzonek babci.

Ale babcia już odeszła, a Mercer naoglądała się wschodów słońca za wszystkie czasy. Dlatego spała do dziewiątej i niechętnie wstała. Wstawiła kawę i przeszła się po domu, szukając najlepszego miejsca do pisania. Nie znalazła żadnego. Nie odczuwała jednak presji i postanowiła zasiąść do pracy dopiero wtedy, kiedy będzie miała coś do powiedzenia. Zresztą i tak powieść była już trzy lata spóźniona. Jeśli ci z Nowego Jorku mogli zaczekać trzy, czterech i pięć. Agentka dzwoniła do niej, choć coraz rzadziej. Rozmowy były krótkie. Podczas ciągnących się w nieskończoność podróży z Chapel Hill na Florydę Mercer myślała, dumiała, zastanawiała się, marzyła i kombinowała, i czasem wydawało jej się, że powieść nareszcie przemówiła do niej własnym głosem. Zamierzała wyrzucić

napisane już fragmenty i zacząć od nowa, tym razem z rzetelnym początkiem. Teraz, już bez długów i zmartwień o pracę, miała cudownie czysty umysł, wolny od dokuczliwych trosk dnia codziennego. Tak, zdomowi się, odpocznie, a potem rzuci się w wir pracy i będzie pisała co najmniej tysiąc słów dziennie.

Ale ponieważ wykonując obecną pracę – tę, za którą tak hojnie jej płacono – nie miała pojęcia, co właściwie robi i ile czasu jej to zajmie, doszła do wniosku, że nie może sobie pozwolić na stratę choćby jednego dnia. Weszła do internetu, sprawdziła pocztę i bez zaskoczenia stwierdziła, że sprawna jak zwykle Elaine przysłała jej nocą kilka pożytecznych adresów.

Napisała więc mail do Królowej Pszczół.

Szanowna Pani.

Nazywam się Mercer Mann, jestem pisarką i przyjechałam do Santa Rosa na kilka miesięcy, żeby popracować nad książką. Ponieważ nikogo tu nie znam, korzystam z okazji, żeby się przywitać, i chciałabym zaproponować spotkanie przy drinku z Panią i Panią Trane. Przyniosę butelkę wina.

Punktualnie o dziesiątej rano zadzwonił dzwonek u drzwi. Otworzyła i na podłodze tarasu zobaczyła nieoznakowane pudło. Doręczyciel jakby zapadł się pod ziemię. Zniosła je do kuchni, postawiła na stole i rozpakowała. Zgodnie z obietnicą, w środku były cztery duże albumy Noelle Bonnet, trzy powieści Sereny Roach, cienka książka autorstwa Leigh Trane oraz sześć romansów w okładkach tak pikantnych, że aż skwierczało. Przedstawiwały przystojnych kochanków o niemożliwie płaskich brzuchach, obłapujących zachwycające młode pokojówki o wszelkich kolorach skóry, i choć na każdej widniało nazwisko innego autora, wszystkie powieści wyszły spod pióra Myry Beckwith. Te zostawiła na potem.

Nic, co do tej pory zobaczyła, nie zainspirowało jej do pracy.

Zjadła trochę granoli i przekartkowała album Noelle, ten o ich nowym domu.

O dziesiątej trzydzieści siedem zadzwoniła komórka, numer nieznany. Mercer zdążyła tylko powiedzieć „Halo” i usłyszała

piskliwy, histeryczny głos:

– Nie pijemy wina. Ja wolę piwo, a Leigh rum, poza tym barek jest pełny, więc nie musisz nic przynosić. Witamy na wyspie. Mówi Myra.

Mercer z trudem stłumiła śmiech.

– Bardzo mi miło. Nie spodziewałam się, że tak szybko zadzwonisz.

– Nudzimy się tu i zawsze szukamy kogoś nowego. Wytrzymasz do szóstej? Przed szóstą nie pijemy.

– Spróbuję. W takim razie do zobaczenia.

– Wiesz, gdzie mieszkamy?

– Przy Ash Street.

– No to do zobaczenia.

Mercer odłożyła telefon, próbując umiejscowić jej akcent. Był na pewno południowy. Może ze wschodniego Teksasu? Wyjęła z kartonu książkę autorstwa niejakiej Runyon O'Shaughnessy i zaczęła czytać. „Dziko przystojny” bohater grasował w zamku, gdzie nie był mile widziany. Do czwartej strony zdążył zaliczyć dwie pokojówki i właśnie uwodził trzecią, tak że pod koniec pierwszego rozdziału wszyscy byli wykończeni – łącznie z Mercer. Przerwała lekturę, kiedy zdała sobie sprawę, że jej puls nie podskoczył ani o jedno uderzenie. Nie, nie miała siły na choćby pobieżne przejrzanie pięciuset stron.

Wzięła książkę Leigh Trane, wyszła na taras i usiadła w bujaku pod parasolem. Minęła jedenasta i florydzkie słońce prażyło na całego. Nie można było dotknąć niczego, co nie leżało w cieniu. Bohaterką powieści pani Trane była młoda niezamężna kobieta, która obudziła się pewnego dnia w ciąży, nie wiedząc, kto jest ojcem dziecka. W ciągu ostatniego roku za dużo piła i prowadziła zbyt rozwiązłe życie, w dodatku szwankowała jej pamięć. Z kalendarzem w ręce próbowała odtworzyć historię ostatniego miesiąca i sporządzić listę trzech najbardziej podejrzanych kandydatów. Przynęła sobie, że będzie ich śledziła, aby zaraz po narodzinach dziecka wystąpić z pozwem o ustalenie ojcostwa i zgarnąć zasiłek. Historia była nawet ciekawa, lecz język tak zawiły i pretensjonalny, że przebrnięcie przez całą książkę graniczyłoby z cudem. Nie było w niej ani jednej klarownej sceny, więc czytelnik nie wiedział, co się

tak naprawdę dzieje. Pani Trane musiała pisać ją z długopisem w jednej ręce i tezaurusem w drugiej, bo bardzo wiele słów Mercer widziała pierwszy raz w życiu. Poza tym, co równie frustrujące, autorka nie oznaczała dialogów w normalny sposób, więc często nie było wiadomo, co kto powiedział.

Po dwudziestu minutach męczącej lektury do cna wyczerpana Mercer zapadła w drzemkę.

Obudziła się spocona i znudzona, ale nuda nie wchodziła w grę. Zawsze mieszkała sama i nauczyła się znajdować dla siebie zajęcie. Dom wymagał porządnego sprzątnia, lecz to mogło poczekać. Babcia była pedantką, ale ona nie odziedziczyła po niej tej cechy. Skoro mieszkała sama, dlaczego miałyby przejmować się bałaganem? Włożyła kostium kąpielowy, zobaczyła w lustrze swoją białą skórę, postanowiła popracować nad opalenizną i poszła nad morze. Był piątek, zjeżdżali się już weekendowi goście, mimo to jej kawałek plaży świecił pustką. Długo pływała i pławała się w wodzie, potem poszła na krótki spacer, wróciła do domu, wzięła prysznic i postanowiła zjeść coś na mieście. Włożyła lekką sukienkę i bez makijażu – nie licząc szminki na ustach – wsiadła do samochodu.

Ośmiokilometrowa Fernando Street ciągnęła się wzdłuż plaży i w miejscu, w którym biegła tuż przy wydmach, roilo się od domów do wynajęcia, nowych i starych, od tanich moteli, pięknych willi, apartamentowców i pensjonatów. Po drugiej stronie ulicy było jeszcze więcej budynków: sklepów, biur, moteli, hoteli i barów szybkiej obsługi. Sunąc powoli na północ, w kierunku centrum, i nie przekraczając dozwolonych sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, Mercer stwierdziła, że nic się tu nie zmieniło. Wszystko wyglądało dokładnie tak, jak pamiętała. Miasteczko dbało o ulice i co dwieście metrów był parking oraz prowadzący na plażę drewniany chodnik.

Na południe od domu babci, obok wysokich apartamentowców, znajdowały się duże hotele, Ritz i Marriott, oraz bardziej ekskluzywne enklawy mieszkalne, budynki, których babcia nie lubiła, uważając, że zbyt dużo światła przeszkadza gniazdującym na plaży żółwiom zielonym i karettom. Aktywnie działała w Żółwiej Straży i we wszystkich innych organizacjach ochrony środowiska na wyspie.

Mercer nie była aktywistką, ponieważ nie znosiła spotkań i narad, co stanowiło kolejny powód do tego, żeby trzymać się z dala od kampusów i rozgrywek wydziałowych. Wjechała do miasteczka, na Głównej zwolniła jeszcze bardziej i powoli minęła księgarnię i mieszczący się tuż obok antykwariat Noelle Bonnet. Zaparkowała w bocznej uliczce i znalazła tam małą restaurację z zacienionym ogródkiem. Po długim, spokojnym lunchu zajrzała do kilku sklepów z ciuchami, głównie T-shirtami, ale panował w nich tłok i nic nie kupiła. Potem ruszyła niespiesznie w stronę portu, żeby popatrzeć na wpływające i odpływające łodzie. Często czekała tu z babcią na Portera, właściciela dziesięciometrowego słupa i zaprzyjaźnionego żeglarza, który chętnie zabierał je na przejażdżkę. To były męczące dni, przynajmniej dla Mercer. Prawie nigdy nie było wiatru i we troje smażyli się na słońcu jak na patelni. Próbowwała chować się do kajuty, ale łódź nie miała klimatyzacji. Porter stracił żonę w jakimś koszmarnym wypadku – babcia nie chciała o tym rozmawiać – i przeniósł się na Florydę, żeby uciec od wspomnień. Babcia mówiła, że miał najsmutniejsze oczy, jakie kiedykolwiek widziała.

Mercer nie winiła go za śmierć babci, która uwielbiała z nim żeglować i wiedziała, jakie wiąże się z tym ryzyko. Poza tym nigdy nie tracili z oczu lądu, więc uważali, że nic im nie grozi.

Żeby uciec przed upałem, Mercer weszła do portowej restauracji i wypiła szklankę mrożonej herbaty w pustym barze. Popatrzyła na morze, na wyczarterowaną łódź rybacką wracającą z ładunkiem koryfen i czterema czerwonymi od słońca uszczęśliwionymi turystami. Wzdłuż brzegu przejechało kilka skuterów wodnych, pędząc dużo za szybko w strefie ograniczonej prędkości. W pewnej chwili zobaczyła odbijający od mołu słup tej samej długości i koloru co słup Portera, z dwiema osobami na pokładzie, starszym mężczyzną u steru i starszą kobietą w słomkowym kapeluszu. Kobieta stała się na chwilę babcią Tessą siedzącą swobodnie z drinkiem w ręce i udzielającą nieproszonych rad kapitanowi, i minione lata nagle zniknęły. Babcia znów żyła i Mercer zapragnęła ją zobaczyć, objąć, przytulić, pośmiać się z czegoś wraz z nią. Poczowała w brzuchu tępy ból i złudzenie wkrótce minęło. Patrzyła za słupem, dopóki nie zniknął jej z oczu, zapłaciła za herbatę i wyszła.

Usiadła przy stoliku w kawiarni naprzeciwko księgarni. Jej duże okna wystawowe wypełnione były książkami, a wiszący nad drzwiami baner zapowiadał czyjś wieczór autorski. Ciągłe ktoś tam wchodził i stamtąd wychodził. Trudno było uwierzyć, że są tam skradzione rękopisy Fitzgeralda, ukryte w jakimś podziemnym skarbcu. A jeszcze trudniej pomyśleć, że miała je stamtąd wydostać.

Elaine kazała jej trzymać się z daleka od księgarni, dopóki Cable nie zrobi pierwszego ruchu. Ale Mercer była teraz panią samej siebie i ustalała własne reguły, choć wciąż nie bardzo wiedziała, co robić. Już nie wykonywała niczyich rozkazów. Rozkazy? Nie miała nawet konkretnego planu działania. Rzucono ją na głęboką wodę z nadzieją, że się przystosuje i będzie improwizowała. O wpół do szóstej z księgarni wyszedł mężczyzna w garniturze z marszczonego lnu i muszce, bez wątpienia Bruce Cable. Zaczekała, aż odejdzie i zniknie w tłumie, przeszła przez ulicę i pierwszy raz od wielu lat weszła do Bay Books. Nie pamiętała swojej ostatniej wizyty, ale musiała mieć wtedy siedemnaście, osiemnaście lat, bo prowadziła już samochód.

Jak w każdej księgarni, chodziła tam przez chwilę bez żadnego celu, aż natrafiła na półki z literaturą współczesną. Książki ustawiono alfabetycznie, według nazwisk autorów, więc przejrzała je szybko, żeby sprawdzić, czy nie ma tam którejś z jej książek. Uśmiechnęła się. W połowie tych oznaczonych literą „M” stał *Październikowy deszcz. Muzyki fal* nie było, ale tego się spodziewała. Już tydzień po tym, jak książka wyszła, nie widziała jej w żadnej księgarni.

Po części usatysfakcjonowana, przeszła powoli między półkami, chłonąc zapach farby drukarskiej, kawy i dochodzący skądś lekki zapach dymu z fajki. Delektowała się widokiem uginających się półek, stert tomów na podłodze, starych dywanów, półek z książkami w miękkiej oprawie i kolorowego działu bestsellerów z dwudziestopięcioprocentowym rabatem! Przystanąła i popatrzyła na salę pierwszych wydań po drugiej stronie pomieszczenia, wyłożony boazerią pokój z otwartymi oknami i setkami kosztowniejszych tytułów. W mieszczącej się na piętrze kawiarni wzięła wodę sodową i wyszła na taras, gdzie inni spędzali popołudnie przy kawie. Na końcu tarasu jakiś pulchny dżentelmen

palil fajkę. Usiadła i zerkając na zegar, zaczęła przeglądać przewodnik po wyspie.

Za pięć szosta zeszła na dół i zobaczyła Bruce'a Cable'a, który rozmawiał z kimś przy drzwiach. Bardzo wątpiła, czy ją pozna. Jedyną podpowiedzią mogło być czarno-białe zdjęcie na obwolucie *Deszczu*, powieści sprzed siedmiu lat, na której zarobił pewnie tylko kilka centów. Ale miała ją tu podpisywać podczas przerwanego objazdu promocyjnego, a podobno wszystko czytał. Poza tym na pewno wiedział, co łączy ją z wyspą, no i – co ważniejsze, przynajmniej z jego punktu widzenia – była młodą, atrakcyjną kobietą, dlatego istniało duże prawdopodobieństwo, że ją zauważy.

Ale nie, nie zauważył.

2

Ash Street biegła równolegle do głównej ulicy, przecnicę na południe. Dom stał na narożnej działce, na skrzyżowaniu z Piątą. Stary, zabytkowy, o kilku dwuspadowych dachach i z trzech stron otoczony piętrowymi galeryjkami, miał jasnoróżowe ściany oraz pomalowane na granatowo drzwi, okiennice i tarasy. Nad drzwiami wisiała mała tabliczka z napisem: *Vicker House 1867*.

Mercer nie pamiętała różowego domu w Santa Rosa. Co oczywiście nic nie oznaczało, bo domy można malować co roku.

Zapukała i w środku zajazgotały psy. Gwałtownie otworzyły się drzwi i wyciągnęła do niej rękę wysoka, potężnie zbudowana kobieta.

– Jestem Myra. Wchodź. Nie zwracaj na nie uwagi. Tu gryzę tylko ja.

– Miło mi. – Mercer uścisnęła jej rękę. – Jestem Mercer.

– No jasne! Właż.

Weszły do holu i psy się rozpierzchły.

– Leigh! – krzyknęła piskliwie pani domu. – Mamy gościa! Leigh!

– Leigh nie odpowiedziała, więc Myra rzuciła: – Zaczekaj, pójde jej poszukać.

Zniknęła, zostawiając Mercer sam na sam z kundelkiem wielkości szczura, który kuląc się pod stolikiem, warczał na nią i błyskał białymi zębami. Spróbowała go zignorować i rozejrzała się. W powietrzu wisiał niezbyt przyjemny zapach zastałego dymu papierosowego wymieszany z zapachem brudnego psa. Meble, stare i kupione zapewne na pchlim targu, były dziwaczne, choć intrygujące. Na ścianach wisiały dziesiątki kiepskich obrazów olejnych i akwareli i ani jeden nie przedstawiał niczego choćby odlegle związanego z morzem.

Gdzieś w głębi domu znów rozległ się krzyk Myry. Z jadalni wyszła dużo drobniejsza kobieta.

– Cześć, jestem Leigh Trane – powiedziała, nie wyciągając do Mercer ręki.

– Miło mi. Mercer Mann.

– Jestem zachwycona twoją książką. – Leigh uśmiechnęła się, demonstrując dwa rzędy idealnie równych zębów żółtych od nikotyny.

Mercer od dawna nie słyszała takiego komplementu.

– Dziękuję – bąknęła z wahaniem, nieco skrępowana.

– Kupiłam ją dwie godziny temu, w księgarni, prawdziwą książkę. Myra jest uzależniona od tego małego ustrojstwa z ekranem i czyta tylko tak.

Mercer czuła się przez chwilę zobowiązana skłamać i powiedzieć coś miłego o jej książce, lecz z kłopotu wybawiła ją Myra, która weszła ciężko do przedpokoju.

– Tu jesteś. Dobrze, skoro już się zaprzyjaźniłyśmy, barek jest otwarty, a ja muszę się napić. Co ci podać, Mercer?

Ponieważ nie lubiły wina, Mercer zdecydowała się na piwo.

– Jest gorąco. Poproszę piwo.

Obie kobiety wzdrygnęły się, jakby je uraziła.

– No dobrze, ale uprzedzam, że to piwo mojej roboty, trochę inne – powiedziała Myra.

– Okropne – dodała Leigh. – Lubiałam piwo, zanim nie urządziła tu browaru. Teraz nie znoszę.

– Trzymaj się swojego rumu, skarbie, a wszystko będzie dobrze. –

Myra spojrzała na Mercer. – Jest jasne, korzenne i ośmioprocentowe. Nieostrożnych powala na tyłek.

– Właściwie dlaczego wciąż stoimy w przedpokoju? – zapytała Leigh.

– No właśnie. – Myra machnęła ręką w stronę schodów. – Chodźcie.

Z tyłu wyglądała jak rozrośnięta futbolistka. Zaprowadziła je do pokoju dziennego z kominkiem, telewizorem i narożnym barkiem z marmurowym blatem.

– Mamy i wino – rzuciła Leigh.

– W takim razie napiję się białego – zdecydowała Mercer. Wszystko, byle nie piwo domowej roboty.

Myra stanęła za barkiem i zabrawszy się do pracy, zaczęła zasypywać ją pytaniami.

– Więc gdzie się zatrzymałaś?

– Pewnie nie pamiętacie mojej babci, Tessy Magruder. Mieszkała w małym domku przy Fernando Street, tuż przy plaży.

Myra i Leigh pokręciły głowami. Nie, nie pamiętały.

– Nazwisko chyba coś mi mówi... – mruknęła Myra.

– Zmarła jedenaście lat temu – dodała Mercer.

– Mieszkamy tu dopiero od dziesięciu – zakomunikowała Leigh.

– Dom wciąż należy do rodziny i tam się zatrzymałam.

– Długo pobędziesz? – spytała Myra.

– Kilka miesięcy.

– Chcesz skończyć książkę, co?

– Albo zacząć.

– Kto by nie chciał? – wtrąciła Leigh.

– Masz umowę? – Myra zabrzęczała butelkami.

– Niestety.

– E tam, ciesz się. Z kim?

– Z Vikingiem.

Myra wytoczyła się z barku, podała im kieliszki, a sama wzięła z blatu kwartę piwa w słoiku.

– Chodźmy na dwór, tam można palić – zaproponowała, choć było oczywiste, że palą w domu od lat.

Wyszły na drewniany taras i usiadły przy ładnym stoliku z kutego żelaza, stojącym obok fontanny, w której dwie żaby z brązu wypluwały strugi wody. Stare eukaliptusy rzucały na podwórze

chłodny cień, od morza wiał lekki wiatr. Prowadzące na taras drzwi nie zamykały się, więc psy wchodziły i wychodziły, kiedy chciały.

– Pięknie tu – powiedziała Mercer, kiedy gospodynie domu zapaliły papierosy; Leigh długiego i cienkiego, Myra brązowego i mocnego.

– Przepraszam za dym – rzuciła Myra – ale jesteśmy uzależnione. Raz, dawno temu, próbowałyśmy rzucić, ale to już przeszłość. Za dużo pracy, wysiłku i ambarasu, więc w końcu powiedziałyśmy: do diabła z tym. Przecież trzeba na coś umrzeć. – Zaciągnęła się, wypuściła dym i przepłukała gardło piwem. – Masz ochotę? Śmiało, spróbuj.

– Nie radziłabym – ostrzegła Leigh.

Mercer szybko wypła łyk ciepłego wina i pokręciła głową.

– Nie, dzięki.

– Więc mówisz, że dom należy do rodziny? – zagadnęła Myra. – Od dawna tu przyjeżdżasz?

– Od dziecka. Spędzałam u babci każde wakacje.

– Urocze. Podoba mi się. – Myra znów głośno siorbnęła. Jej włosy kończyły się parę centymetrów nad uszami i kiedy piła, paliła czy mówiła, opadały to na jedną stronę, to na drugą. Była zupełnie siwa, choć miała prawie tyle samo lat co Leigh. Tymczasem włosy Leigh, długie, ciemne i związane w ciasny kucyk, nie nosiły ani śladu siwizny.

Szykowały już kolejne pytania, więc Mercer przeszła do kontrofensywy.

– A wy? Jak tu trafiłyście?

Spojrzały na siebie, jakby była to długa, skomplikowana historia.

– Wiele lat mieszkaliśmy w Fort Lauderdale i w końcu zmęczyły nas ruch i tłumy ludzi – odparła Myra. – Tu żyje się dużo wolniej. A ludzie są naprawdę mili. No i domy tańsze. A ty? Co ostatnio porabiałaś?

– Trzy lata uczyłam w Chapel Hill. Teraz jestem w fazie przejściowej.

– W fazie przejściowej? Co to, do diabła, znaczy?

– To znaczy, że jestem bezdomną, bezrobotną desperatką, która chce skończyć powieść.

Jedna zarechotała, druga zachichotała i obie wypuściły nosem smugę dymu.

– Też to przerabialiśmy – powiedziała Myra. – Poznałyśmy się trzydzieści lat temu, kiedy nie miałyśmy centa przy duszy. Ja próbowałam pisać powieści historyczne, a ona ten dziwaczny chłam, które wciąż pisze, choć nic nie sprzedaje. Żyłyśmy z zasiłku, chodziłyśmy do sklepu z kuponami na żarcie i pracowałyśmy za minimalną stawkę, więc nie wyglądało to za dobrze. Pewnego dnia, idąc przez centrum handlowe, zobaczyłyśmy długą kolejkę, w której stały same kobiety, wszystkie w średnim wieku. Czekwały przed księgarnią, bo kiedyś księgarnie Waldena były w prawie każdym centrum, a w środku siedziała przy stoliku Roberta Doley, wtedy jedna z najlepiej sprzedających się autorek romansów. Stałam w kolejce... Leigh nie chciała, bo to snobka... kupiłam książkę i przeczytałyśmy ją na siłę. Rzecz była o piracie, który żeglował po Karaibach, napadał na statki, ciągle rozrabiał i uciekał przed Anglikami. Tak się przypadkiem składało, że w każdym porcie czekała na niego młoda cud-dziewica, łaknąc defloracji jak kania deszczu. Czyli kompletny szajs. No więc wymyśliłyśmy ślicznotkę z południa, która puszcza się z niewolnikami i w końcu zachodzi w ciążę. Wyposażyłyśmy ją dosłownie we wszystko.

– Musiałyśmy kupić kilka „świerszczyków” – wtrąciła Leigh – bo nie miałyśmy materiałów źródłowych. Nie wiedziałyśmy wielu rzeczy.

Myra roześmiała się.

– Spłodziłyśmy to badziewie w trzy miesiące i z oporami wysłałyśmy do mojej nowojorskiej agentki. A ona dzwoni do mnie po tygodniu i mówi, że jakiś idiota proponuje pięćdziesiąt tysięcy zaliczki. Wydałyśmy tego gniota pod pseudonimem Myra Leigh. Sprytnie, co? Rok później miałyśmy forsy jak lodu i nie musiałyśmy już oglądać się za siebie.

– Piszecie razem? – spytała Mercer.

– Ona pisze – odparła szybko Leigh, jakby chciała się od tego zdystansować. – Razem wymyślamy jakąś historyjkę, co zajmuje nam dziesięć minut, a potem Myra zabiera się do roboty. A raczej zabierała.

– Leigh jest zbyt wielką snobką, żeby tego dotykać. Ale pieniędzy dotyka aż miło.

– Przestań – zaprotestowała Leigh.

Myra zaciągnęła się potężnie i wydmuchała chmurę dymu przez ramię.

– To były czasy! Natłukłyśmy sto książek pod kilkunastoma pseudonimami, nie nadążałam z pisaniem. Im srośniej, tym lepiej. Przeczytaj którąś. Ruja i porubstwo!

– Przeczytam, nie mogę się doczekać – obiecała Mercer.

– Lepiej nie, proszę – powiedziała Leigh. – Jesteś na to za inteligentna. Piszesz jak marzenie.

– Dziękuję – szepnęła wzruszona Mercer.

– No, a potem zwolniłyśmy – kontynuowała Myra. – Dwa razy pozwała nas ta szurnięta dziwka z Północy, twierdząc, że ukradłyśmy jej pomysł. Ale to nieprawda. Nasz szajs był po prostu lepszy od jej szajsu, ale adwokaci się spietrali i kazali nam dogadać się z nią poza sądem. To doprowadziło do wielkiej awantury najpierw z naszym wydawcą, a potem z agentem i cała ta heca wybiła nas z rytmu. Przykleili nam łatkę złodziejek, przynajmniej mnie. Leigh kryła się za moimi plecami i wyszła z tego bagna suchą stopą. Jej reputacja literacka ocalała i wciąż jest taka, jaka jest.

– Przestań, Myro.

– Więc już nie piszecie? – spytała Mercer.

– Powiedzmy, że bardzo zwolniłyśmy. Kasy nam nie brakuje, a kilka tytułów wciąż się sprzedaje.

– Ja piszę codziennie – odparła Leigh. – Gdybym przestała, moje życie stałoby się puste.

– I opustoszałoby jeszcze bardziej, gdyby nie sprzedaż moich książek.

– Przestań, Myro.

Największy pies w stadzie, dwudziestokilogramowy kundel o długiej sierści, przykucnął parę kroków od patio i zrobił kupę. Myra nie zareagowała, tylko przesłoniła tę przestrzeń chmurą papierosowego dymu.

Mercer zmieniła temat.

– Mieszkają tu jeszcze jacyś pisarze?

Leigh z uśmiechem kiwnęła głową, a Myra odparła:

– Och, aż za wielu! – Wypiła łyk piwa i głośno mlasnęła.

– Choćby Jay – powiedziała Leigh. – Jay Arklerood.

Stało się oczywiste, że jej zadaniem jest tylko podsuwanie wątków, żeby Myra mogła je rozwinąć.

– Wiedziałam, że od niego zaczniesz. To kolejny literacki snob, który nie potrafi sprzedać ani jednej książki i nienawidzi wszystkich tych, którzy potrafią. Pisarz i poeta. – Myra spojrzała na Mercer. –

Lubisz poezję? – Sądząc po tonie jej głosu, nie przepadała za wierszami.

– Czytam, ale niewiele – odrzekła Mercer.

– Jego nie czytaj, nawet jeśli coś znajdziesz.

– Chyba o nim nie słyszałam.

– Bo nikt nie słyszał. Sprzedaje się gorzej niż Leigh.

– Przestań, Myro.

– A Andy Adam? – przerwała im Mercer. – Mieszka tu jeszcze?

– Kiedy wraca z odwyku – odparła Myra. – Zbudował piękny dom na południowym końcu wyspy, ale stracił go po rozwodzie. Jest w kiepskim stanie, ale to naprawdę dobry pisarz. Uwielbiam jego kapitana Clyde'a, całą serię. Nie ma lepszych kryminałów, nawet Leigh nie może się od nich oderwać.

– Kiedy nie pije, jest uroczy, ale tak, straszny z niego ochlapus – dodała Leigh. – I ciągle wdaje się w bójki.

Myra gładko przejęła od niej pałeczkę.

– Choćby miesiąc temu, w barze przy Głównej. Jakiś koleś połowę młodszy od niego stłukł go na kwaśne jabłko i Andy'ego zgarnęła policja. Bruce musiał wpłacić kaucję.

– Kto to jest Bruce? – spytała szybko Mercer.

Myra i Leigh westchnęły i przepłukały gardła, jakby rozmowa o Brusie mogła potrwać wiele godzin.

– Bruce Cable, właściciel księgarni – odezwała się w końcu Leigh.
– Nie znasz go?

– Chyba nie. Pamiętam, że byłam tam kilka razy jako dziecko, ale jego nie poznałam.

– Jeśli chodzi o książki i pisarzy, wszystko obraca się wokół Bay Books, a tym samym wokół Bruce'a. Jest tu królem.

– To dobrze czy źle?

– Och, ludzie go uwielbiają! Ma najlepszą księgarnię w kraju i kocha pisarzy. Lata temu, zanim się tu przeprowadziłyśmy, kiedy jeszcze pisałam i wydawali moje książki, zorganizował dla mnie wieczór autorski. Poważne księgarnie nie zapraszają autorów popularnych romansideł, ale on miał to gdzieś. Była świetna impreza. Sprzedałam od groma książek, upiliśmy się tanim szampanem, a księgarnia była otwarta do północy. Ale co tam ja! Bruce zorganizował wieczór autorski nawet dla Leigh!

– Przestań, Myro.

– Naprawdę, i sprzedała czternaście książek!

– Piętnaście. To było rekordowe spotkanie.

– Mój rekord to pięć – powiedziała Mercer. – Podczas pierwszego wieczoru. Na następnym sprzedałam cztery, na trzecim ani jednej. Wtedy zadzwoniłam do Nowego Jorku i odwołałam trasę.

– No coś ty! – nie mogła uwierzyć Myra. – Zrezygnowałaś?

– Tak, i jeśli kiedykolwiek coś wydám, nigdy nie pojedę w trasę.

– Dlaczego nie przyjechałaś tutaj, do Bruce'a?

– Miałam, ale wystraszyłam się i spasowałam.

– Szkoda. Bruce umie przyciągać tłumy. Dzwoni do nas, ilekroć przyjeżdża jakiś pisarz, i mówi, że na pewno spodoba nam się jego książka. Co znaczy, że mamy ruszyć tyłek, przyjść na spotkanie i ją kupić! Cholera nas bierze, ale zawsze chodzimy.

– Mamy całą półkę podpisanych książek – wtrąciła Leigh. – W większości nieprzeczytanych.

– Byłaś w księgarni? – spytała Myra.

– Wpadłam po drodze do was. Bardzo tam ładnie.

– To ośrodek cywilizacji, oaza. Spotkajmy się tam na lunchu i przedstawię cię Bruce'owi. Spodoba ci się i gwarantuję, że ty spodobasz się jemu. Uwielbia wszystkich pisarzy, ale młode ładne pisarki darzy szczególną atencją.

– Jest żonaty?

– O tak. Z Noelle, a Noelle zwykle krąży w pobliżu. Niezłe z niej ziółko.

– A ja ją lubię – powiedziała Leigh, jakby broniła jej w przeciwieństwie do większości.

– Czym się zajmuje? – spytała niewinnie Mercer.

– Sprzedaje francuskie antyki, ma sklep po sąsiedzku – odparła Myra. – Komu dolać?

Mercer i Leigh prawie nie tknęły swoich drinków. Myra poczłapała do barku, żeby napełnić słoik. Pobiegly za nią co najmniej trzy psy. Leigh zapaliła papierosa.

– Opowiesz mi o swojej powieści? Robisz jakieś postępy?

Mercer upiła łyk ciepłego chablis.

– Nie lubię o tym mówić. To moja zasada. Nie znoszę słuchać, jak inni autorzy opowiadają o swojej pracy. Ty lubisz?

– Chyba tak, ale ona nie chce słuchać. Mówienie motywuje mnie do pisania. Osiem lat miałam blokadę. – Stłumiła śmiech i zaciągnęła się dymem. – A ona mi nie pomaga. Przez nią boję się pisać.

Mercer zrobiło się przykro i omal nie powiedziała, że chętnie przeczyta coś spod jej pióra, lecz natychmiast przypomniał się jej ten straszny, umęczony styl. Myra wróciła z drugą kwartą piwa, kopnęła psa i usiadła.

– No i nie zapominajmy o tej wampirzycy. Jak jej tam? Amy...

– Amy Slater – odpowiedziała usłużnie Leigh.

– Właśnie. Przyjechała tu pięć lat temu z mężem i dziećmi. Napisała kilka powieścideł o wampirach i duchach, chłam nad chłamy, ale sprzedają się jak szalone, to żyła złota. Wierz mi, wydałam kilka naprawdę strasznych rzeczy, które właśnie takie miały być, ale spłodziłabym coś lepszego, pisząc z jedną ręką na plecach.

– Przestań, Myro. Amy to urocza kobieta.

– Ciągle to powtarzasz.

– A inni? Mieszka tu ktoś jeszcze? – spytała Mercer.

Myra zniszczyła wszystkich po kolei, urządziła prawdziwą rzeź, co się często zdarza, gdy pisarze plotkują przy drinku o kolegach i koleżankach po fachu. Mercer lubiła takie rozmowy. Myra i Leigh myślały przez chwilę, nie zapominając o piwie i rumie.

– Mamy tu kilku takich, co się samopublikują – odparła w końcu Myra. – Piszą coś, wpuszczają do sieci i nazywają się pisarzami. Drukują kilka kopii, kręcą się przed księgarnią, zadreńczają Bruce'a, żeby wystawił ten chłam w oknie przy drzwiach, i wpadają tam co drugi dzień, żeby sprawdzić, czy ktoś coś kupił. Wrzód na tyłku. Bruce ma specjalny stół, na którym wykłada książki wydane na

własny koszt, i nie ma dnia, żeby któryś z tych, pożal się Boże, pisarzy nie wyklócał się z nim o lepsze miejsce. Dzisiaj każdy może wydawać, wystarczy, że ma internet.

– Wiem, wiem. Kiedy wykladałam w Chapel Hill, zostawiali na moim ganku książki i wydruki z długimi listami, w których opisywali swoje „arcydzieło” i prosili o reklamę.

– Jak ci się tam pracowało? – spytała cicho Leigh. – Opowiesz?

– Och, dużo ciekawiej jest poplotkować o pisarzach.

– Przypomniał mi się jeszcze jeden – powiedziała Myra. – Ma na imię Bob i pisze pod pseudonimem J. Andrew Cobb. Nazywamy go Bob Cobb. Siedział sześć lat w pace za machlojki korporacyjne i nauczył się tam pisać, tak jakby. Wydał cztery czy pięć książek o tym, na czym najlepiej się zna, czyli o szpiegostwie przemysłowo-handlowym. Całkiem interesujące, facet nieźle pisze.

– Myślałam, że wyjechał – rzuciła Leigh.

– Ma mieszkanie w apartamentowcu obok Ritza i sprowadza tam laski poznane na plaży. Dobija pięćdziesiątki, a dziewczyny są zwykle połowę młodsze. Ale to czaruś i umie ciekawie opowiadać o więzieniu. Uważaj na niego, zwłaszcza na plaży. Bob ciągle grasuje.

– Zapiszę to sobie – obiecała z uśmiechem Mercer.

– Został ktoś jeszcze? – Myra pociągnęła łyk piwa.

– Już chyba wystarczy, i tak wszystkich nie zapamiętam.

– Wkrótce ich poznasz. Nie ma dnia, żeby nie zajrzeli do księgarni, poza tym Bruce często zaprasza kogoś na drinka czy na kolację.

Leigh uśmiechnęła się i odstawiła szklankę.

– Zróbmy to tutaj, co? Wydajmy kolację i zaprośmy wszystkich tych cudownych ludzi, którym od godziny obrabiamy tyłek. Dawno nie urządziłyśmy żadnej imprezy, zawsze tylko Bruce i Noelle. Musimy oficjalnie powitać Mercer na wyspie.

– Świetny pomysł – poparła ją Myra. – Uroczy. Dora zajmie się żarciem i weźmiemy kogoś do sprzątnia. Co ty na to, Mercer?

Mercer wzruszyła ramionami, zdając sobie sprawę, że odmowa byłaby głupotą. Leigh poszła po rum i wino. Następną godzinę spędzili, rozmawiając o przyjęciu i wyklócając się o listę gości. Z wyjątkiem Bruce’a Cable’a i Noelle Bonnet wszyscy pozostali

dźwigali jakiś bagaż życiowy, a im był większy, tym lepiej. Zanosiło się na pamiętny wieczór.

Było ciemno, kiedy Mercer udało się w końcu wyjść. Myra i Leigh praktycznie zażądały, żeby została na kolacji, lecz kiedy Leigh wymuskiło się, że w lodówce są tylko resztki z poprzedniego dnia, stało się oczywiste, że najwyższa pora się pożegnać. Ponieważ po trzech kieliszkach wina nie mogła prowadzić, przespacerowała się do centrum i dołączyła do turystów snujących się po Głównej. Weszła do otwartej jeszcze kawiarni i przesiedziała godzinę w barze, pijąc latte i przeglądając ilustrowany magazyn reklamujący wyspę, a zwłaszcza agencje handlu nieruchomościami. W mieszczącej się po drugiej stronie ulicy księgarni wciąż panował ruch. Mercer w końcu podeszła do okna wystawowego, lecz nie zajrzała do środka. Poszła do cichego o tej porze portu, usiadła na ławce i zapatrzyła się na kołyszące się na wodzie jachty. Uszy wciąż bolały ją od lawiny plotek, które właśnie usłyszała; stłumiła śmiech, wyobrażając sobie, jak coraz bardziej podekscytowane Myra i Leigh piją, palą i rozprawiają o przyjęciu.

Była na wyspie od niecałych dwóch dni, lecz miała wrażenie, że zdążyła się już zadomowić. Popijawa z Myrą i Leigh podziałałaby tak na każdego. Pomogło też ciepło i słone powietrze. A ponieważ nie miała domu, za niczym nie tęskniła. Sto razy zadawała sobie pytanie, co tu właściwie robi. Pytanie wciąż pobrzmiwało, lecz z każdą chwilą ciszej.

3

Przyptyw zaczynał się o trzeciej dwadzieścia jeden i kiedy poziom wody się ustalił, karetta wyszła na brzeg i przystanęła w pianie, żeby się rozejrzeć. Miała ponad metr długości i ważyła ponad sto sześćdziesiąt kilogramów. Pływała w oceanie od dwóch lat, a teraz wracała do miejsca oddalonego ledwie o pięćdziesiąt metrów od jej poprzedniego gniazda. Po chwili zaczęła pełznąć, powoli i niezdarnie, ponieważ nie była do tego stworzona. Ciężko pracując, podciągając się przednimi płetwami i odpychając tylnymi,

dużo silniejszymi, często przystawała, żeby się czujnie rozejrzeć. Wypatrywała suchego lądu, niebezpieczeństw, drapieżników i niepokojącego ruchu. Uznawszy, że nic jej nie grozi, powoli, powolutku poszła dalej, zostawiając za sobą charakterystyczny ślad, który wkrótce mieli znaleźć jej sprzymierzeńcy. Trzydzieści metrów od brzegu, u stóp jednej z wydm, znalazła dobre miejsce i przednimi „wiosłami” zaczęła odgarniać piasek. Tylnych, lekko wygiętych na zewnątrz, używała jako szufli, kopiąc nimi dziesięciocentymetrowe zagłębienie na swoje ciało i cały czas się obracając – w ten sposób uklepywała i wyrównywała jego dno. Dla morskiego stworzenia jest to bardzo żmudna praca, więc często odpoczywała. Kiedy zagłębienie było gotowe, wykopała jeszcze głębszy dołek, łezkową komorę na jaja. Skończywszy, znów odpoczęła, a potem usadowiła się przodem do wydmy i powoli przykryła komorę tylną częścią ciała. Pierwsze trzy jaja spadły jedno po drugim, pokryte śluzem i zbyt miękkie, żeby się zbić. Chwilę później zaczęły spadać następne, zawsze po dwa, po trzy naraz. Żółwica nie ruszała się, była jak w transie. Płakała, wraz ze łzami wydalając zgromadzoną w organizmie sól.

Mercer zobaczyła prowadzące od morza ślady i uśmiechnęła się. Przez chwilę szła ostrożnie tuż obok nich, aż zobaczyła sylwetkę karety u stóp wydmy. Z doświadczenia wiedziała, że najmniejszy ruch czy hałas może spłoszyć przyszłą matkę, która wróci do wody, nie zakopując jaj. Dlatego przystanęła i wyteżyła wzrok. Zza chmur wyglądał półksiężyc i w srebrzystym świetle wyraźnie widziała jej zarys.

Wciąż w transie, żółwica spokojnie robiła swoje. Wypełniwszy komorę setką jaj, uznała, że na dziś wystarczy, i zaczęła przykrywać je piaskiem. Potem uklepała go przednimi płetwami, zasypała zagłębienie i zamaskowała gniazdo.

To, że się poruszyła, było znakiem, że już skończyła i jaja są bezpieczne. Mercer cofnęła się, żeby jej nie przeszkadzać, i ukryła się w mroku u podnóża sąsiedniej wydmy. Stamtąd obserwowała, jak samica starannie przysypuje gniazdo piaskiem i rozrzuca go na wszystkie strony, żeby zmylić drapieżniki.

Doszedłszy do wniosku, że potomstwo jest bezpieczne, żółwica rozpoczęła mozolną wędrówkę z powrotem do wody. Jaja przestały

ją interesować. W tym sezonie miała zbudować jeszcze dwa, trzy gniazda, a potem popłynąć na oddalone o setki kilometrów żerowisko. Za parę lat, może za trzy czy cztery, wróci w to samo miejsce, aby złożyć kolejne jaja.

Pięć nocy w miesiącu, od maja do sierpnia, babcia Tessa chodziła tędy, szukając śladów gniazdujących karett. Towarzyszyła jej zafascynowana tym polowaniem wnuczka. Odkrywanie śladów zawsze było ekscytujące. Ale znalezienie składającej jaja żółwicy przyprawiało o nieopisany dreszcz.

Mercer usiadła na piasku. Wiedziała, że prędzej czy później nadejdą ochotnicy z Żółwiej Straży, dlatego czekała. Babcia szefowała stowarzyszeniu wiele lat. Zażarcie walczyła o bezpieczeństwo gniazd i wiele razy przepędzała turystów, którzy wchodzili na zakazany teren. Dwa razy wzywała nawet policję. Prawo było po ich stronie, jej i żółwi, i chciała, żeby je egzekwowano.

Ale jej silny, dźwięczny głos ucichł i plaża już nigdy nie będzie taka jak kiedyś, przynajmniej dla jej wnuczki. Mercer spojrzała na mrugające na horyzoncie światełka poławiaczy krewetek i uśmiechnęła się do wspomnień. Babcia Tessa i jej żółwie... Wzmógł się wiatr, więc skrzyżowała ręce na piersi, żeby się ogrzać.

Mniej więcej za dwa miesiące, zależnie od temperatury piasku, wyklują się małe żółwiki. Bez pomocy matki rozerwą skorupki jajek i wspólnym wysiłkiem przekopią się na powierzchnię, co może trwać wiele dni. Kiedy nadejdzie odpowiednia pora – zwykle nocą albo podczas deszczu, bo wtedy jest chłodniej – zdecydują się na wielki skok w nieznane. Gromadnie przebiją się przez ostatnią warstwę piasku, popędzą do wody i odpłyną. Będą miały niewielkie szanse. Ocean jest polem minowym, na którym grasuje tyle drapieżników, że zaledwie jeden żółwik na tysiąc dożyje dojrzałego wieku.

Na plaży pojawiły się dwie postacie. Widząc ślady, przystanąły i powoli ruszyły w stronę gniazda. Upewniwszy się, że żółwica złożyła już jaja i odeszła, obejrzały to miejsce w świetle latarek, zakreśliły na piasku krąg i wbiły palik z kawałkiem żółtej taśmy. Mercer słyszała ich głosy – dwóch kobiet – lecz była bezpiecznie ukryta w mroku. Wiedziała, że za dnia kobiety wrócą, żeby

oznakować gniazdo i ogrodzić je drutem, a więc zrobić coś, co ona robiła z babcią wiele razy. Odchodząc, starannie zasypały piaskiem widniejące na plaży ślady.

Mercer postanowiła poczekać na wschód słońca. Nigdy dotąd nie spędziła nocy nad brzegiem morza, więc ułożyła się wygodnie, oparła o zbocze wydmy i w końcu zasnęła.

4

Mieszkająca na wyspie literacka ferajna najwyraźniej za bardzo bała się Myry Beckwith, żeby nie przyjąć wysłanego w ostatniej chwili zaproszenia. Nikt nie chciał jej urazić. Ani, jak podejrzewała Mercer, ryzykować nieobecności na zgromadzeniu, na którym niemal na pewno zostałby obgadany. Dlatego w obronie własnej i z czystej ciekawości późnym niedzielnym popołudniem zaczęły przybywać do Vicker House na kieliszek czegoś mocniejszego i kolację na cześć ich najnowszej, choć jedynie tymczasowej, członkini. Był weekend Dnia Pamięci, początek lata. W przysłanym mailem zaproszeniu była mowa o godzinie osiemnastej, lecz dla miejscowych pisarzy czas nie miał znaczenia. Nikt nie przybył punktualnie.

Bob Cobb przyszedł jako pierwszy i natychmiast przyparł Mercer do muru na tylnym tarasie, zasypując ją pytaniami o pracę. Miał długie, siwe włosy, brązową opalenizną kogoś, kto spędza za dużo czasu na dworze, i był w rozpiętej krzykliwej koszuli w kwiatki, która odsłaniała pasujące do opalenizny siwe włosy na piersi. Myra twierdziła, że właśnie wysłał do wydawnictwa swoją najnowszą powieść i wydawca ją zjechał. Nie chciała zdradzić, skąd o tym wie. A teraz pił ze słoika piwo z jej browaru i stał tak blisko, że Mercer czuła się nieswojo.

Wyratowała ją „wampirzyca” Amy Slater, która podeszła, żeby powitać ją na wyspie. Od razu zaczęła opowiadać o trójce swoich dzieci i o tym, jaka jest szczęśliwa, że mogła wyrwać się z domu. Dołączyła do nich jak zwykle milczkowata Leigh Trane. Myra krążyła po domu w jaskrawej różowej sukience wielkości małego

namiotu, rzucając rozkazy Dorze, szefowej firmy cateringowej, roznosząc napoje i nie zwracając uwagi na biegającą wokół sferę psów.

Zaraz potem przyszli Bruce i Noelle, i Mercer poznała w końcu człowieka, dzięki któremu wyjechała na ten krótki urlop naukowy. Był w morelowym garniturze z marszczonego lnu i muszce, chociaż według zaproszenia, na kolacji miały obowiązywać stroje „wybitnie nieformalne”. Mercer zdążyła już się jednak nauczyć, że literaci nie przejmują się takimi drobiazgami. Cobb przyszedł w szortach do rugby. Noelle wyglądała przepięknie w prostej, luźnej, białej sukience z bawełny, idealnie pasującej do jej szczupłej figury. Francuzka w każdym calu, pomyślała Mercer, sącząc wino i starając się nadążyć za rozmową.

Jedni pisarze są wytrawnymi gawędziarzami z niewyczerpanym zapasem opowieści, dowcipnych uwag i krótkich, celnych ripost. Inni introwertycznymi samotnikami tyrającymi w swoim odizolowanym świecie, stroniącymi od ludzi i nieumiejącymi z nimi rozmawiać. Mercer plasowała się gdzieś pośrodku. Miała samotne dzieciństwo, dzięki czemu potrafiła żyć w swoim własnym świecie, w którym się głównie milczało. Dlatego zmuszała się do śmiechu i swobodnej rozmowy, udając, że ten czy inny żart ją bawi.

Andy Adam przyszedł i natychmiast poprosił o podwójną wódkę z lodem. Podając mu szklankę, Myra zerknęła niespokojnie na Bruce'a. Wszyscy wiedzieli, że Andy znów zaczął pić, co ich martwiło. Kiedy się przedstawił, Mercer od razu zauważyła małą bliznę nad jego lewym okiem i przypomniała sobie o jego skłonności do barowych awantur. On i Cobb, obydwaj mniej więcej w tym samym wieku i obydwaj rozwiedzeni, byli ostro pijącymi plażowymi bumelantami, którym poszczęściło się na tyle, że dobrze się sprzedawali i mogli cieszyć się swawolnym życiem. Wkrótce przyciągnęło ich do siebie i zaczęli rozmawiać o łowieniu ryb.

Jay Arklerood, tajemniczy poeta i sfrustrowany literat, przyszedł tuż przed siódmą, czyli – według Myry – bardzo wcześnie jak na niego. Wziął kieliszek wina, przywitał się z Bruce'em, ale nie przedstawił się Mercer. Ponieważ cała ferajna już się zebrała, Myra poprosiła o ciszę i zaproponowała toast.

– Wypijmy za naszą nową przyjaciółkę Mercer Mann, która pobędzie tu jakiś czas, szukając natchnienia na słonecznej plaży, aby skończyć wreszcie tę przeklętą powieść, którą kończy już od trzech lat. Twoje zdrowie, Mercer!

– Tylko od trzech? – rzuciła Leigh i wszyscy się roześmiali.

– A gdzie przemówienie? – spytała Myra.

– Dziękuję – zaczęła z uśmiechem Mercer. – Bardzo się cieszę, że jestem na Camino. Odkąd skończyłam sześć lat, co roku przyjeżdżałam tu na wakacje do babci, Tessy Magruder. Być może niektórzy z was ją znali. Spędziłam z nią na plaży najszczęśliwsze dni mojego życia, przynajmniej jak dotąd. Minęło wiele lat, ale cieszę się, że wróciłam. I że jestem z wami.

– Witaj. – Bob Cobb uniósł kieliszek jak do toastu.

Pozostali poszli w jego ślady z chóralnym „Twoje zdrowie!”, wypili i natychmiast zaczęli mówić wszyscy naraz.

Bruce podszedł do niej i cicho powiedział:

– Znałem Tessę. Zginęła z Porterem podczas sztormu.

– Tak, jedenaście lat temu.

– Przykro mi – dodał z zakłopotaniem.

– Niepotrzebnie. To szmat czasu.

– Zgłodniałam – oznajmiła Myra. – Drinki w dłoń i zapraszam do stołu!

Weszli do jadalni. Stół był wąski i za krótki na dziewięć osób, ale nawet gdyby przyszło dwadzieścia, Myra i tak by je pomieściła. Przy stole stały krzesła, każde inne, jednak wystrój był piękny, z rzędem krótkich świec na środku i mnóstwem kwiatów. Porcelana i kieliszki były stare i dobrze dobrane, sztucce też stare i idealnie ułożone, do tego białe serwetki, starannie wyprasowane i złożone. Myra rozsadziła gości, trzymając w ręce kartkę z planem ich rozmieszczenia, nad którym musiała długo debatować z Leigh. Mercer wylądowała między Bruce’em i Noelle i po krótkiej chwili narzekań i utyskiwań usiedli także pozostali. Kiedy Dora zaczęła rozlewać wino, zaczęły się co najmniej trzy oddzielne rozmowy naraz. Było ciepło, więc otwarto okna. Nad stołem grzechotał stary wentylator.

– Dobra, najpierw zasady – powiedziała Myra. – Żadnych rozmów o swoich książkach ani o polityce. Są wśród nas republikanie.

– Że co?! – zaprotestował Andy. – Kto ich zaprosił?
– Ja, a jeśli ci się nie podoba, możesz wyjść.
– Kto tu jest republikaninem? – nie ustępował Andy.
– Ja! – odparła Amy, dumnie podnosząc rękę. Było oczywiste, że przerabiali to wiele razy.
– Ja też – oznajmił Cobb. – Siedziałem w więzieniu i poturbowało mnie FBI, mimo to pozostaję wiernym republikaninem.
– Boże, dopomóż – wymamrotał Andy.
– Sami widzicie – podsumowała Myra. – Dlatego żadnej polityki.
– A futbol? – spytał Cobb.
– Ani futbolu – rzuciła z uśmiechem. – Bruce, o czym chciałbyś porozmawiać?
– O polityce i futbolu – odparł Bruce i wszyscy wybuchnęli śmiechem.
– Co słychać w księgarni?
– Cóż, w środę przyjeżdża Serena Roach, już drugi raz. Mam nadzieję widzieć was wszystkich na wieczorze autorskim.
– „Times” ją zjechał – wtrąciła Amy z nutką satysfakcji w głosie. – Widzieliście? W dzisiejszym wydaniu.
– Kto czyta teraz „Timesa”? – oburzył się Cobb. – To lewicowy szmatławiec.
– Chciałabym, żeby mnie zjechało w „Timesie” czy gdziekolwiek, wszystko jedno gdzie – przyznała się Leigh. – O czym jest jej powieść?
– To już czwarta. O singielce z Nowego Jorku, która ma problemy z relacjami osobistymi.
– Jakież to oryginalne! – wypalił zjadliwie Andy. – Na pewno przeczytam, nie mogę się już doczekać. – Dopił drugą wódkę i poprosił Dorę o trzecią.
Myra zmarszczyła brwi i spojrzała na Bruce’a, ale ten tylko wzruszył ramionami. „Jest dorosły”.
– Gazpacho. – Sięgnęła po łyżkę. – Wcinajcie.
Wszyscy się momentalnie rozgadali, znów wszczynając kilka rozmów naraz. Cobb i Andy rozprawiali o polityce. Siedzący na końcu stołu Leigh i Jay nachylili się ku sobie, rozmawiając o czyjejs książce. Myrę i Amy ciekawiła nowo otwarta restauracja.

– Przepraszam, że wspomniałem o śmierci Tessy – powiedział cicho Bruce. – To było nietaktowne.

– Nie, nie – odrzekła Mercer. – Minęło tyle lat.

– Dobrze znałem Portera. Był moim stałym klientem, uwielbiał kryminały. Tessa wpadała raz do roku, ale nie kupowała zbyt wielu książek. Wnuczkę pamiętam jak przez mgłę.

– Na długo przyjechałaś? – spytała Noelle.

Mercer doskonale wiedziała, że przekazano im wszystko, co powiedziała Myrze.

– Na kilka miesięcy. Mam przerwę w pracy, a raczej właśnie mnie wylali. Trzy lata uczyłam na uniwersytecie, ale mam nadzieję, że już nie będę. A ty? Opowiedz mi o swoim sklepie.

– Sprzedaję francuskie antyki. A sklep mieści się tuż obok księgarni. Pochodzę z Nowego Orleanu, ale poznałam Bruce'a i przeprowadziłam się. Zaraz po Katrinae.

Czysty, miękki głos, doskonała dykcja, ani śladu południowego akcentu. Ani śladu niczego. Brak obrączki ślubnej i dużo biżuterii.

– W dwa tysiące piątym – powiedziała Mercer. – Miesiąc po wypadku mojej babci. Dobrze to pamiętam.

– Byłaś tu, kiedy to się stało? – spytał Bruce.

– Nie, pierwszy raz od czternastu lat spędzałam wakacje gdzie indziej. Musiałam trochę zarobić, żeby zapłacić za studia, i pracowałam w Memphis, moim rodzinnym mieście.

Dora zbierała już miseczki i dolewała wina. Andy stawał się coraz głośniejszy.

– Macie dzieci? – spytała Mercer.

Oboje uśmiechnęli się i pokręcili głowami.

– Nie było czasu – odparła Noelle. – Ja dużo podróżuję, głównie do Francji, gdzie sprzedaję i kupuję antyki, a on tygodniami nie wychodzi z księgarni.

– Nie jeździsz z nią?

– Bardzo rzadko – odrzekł Bruce. – Ale tam się pobraliśmy.

Nieprawda. Było to gładkie, swobodnie rzucone kłamstewko, w którym od dawna żyli. Mercer upiła łyk wina i uświadomiła sobie, że siedzi obok największego handlarza skradzionymi rzadkimi książkami w kraju. Rozmawiając z nimi o południowej Francji i o handlu antykami, zastanawiała się, czy i co Noelle o tym wie. Jeśli

rzeczywiście zapłacił milion dolarów za rękopisy Fitzgeralda, chyba musiała wiedzieć. Przecież nie był potentatem, który prowadząc interesy na całym świecie, dysponuje sposobami sprytnego przelewania i ukrywania pieniędzy. Był tylko małomiasteczkowym księgarzem, który praktycznie mieszka w swojej księgarni. Nie mógłby ukryć przed nią tak wielkiej kwoty. Nie, Noelle musiała wiedzieć.

Bruce był zachwycony *Październikowym deszczem* i ciekawiło go, dlaczego przerwała swój pierwszy objazd promocyjny. Myra usłyszała to, uciszyła gości i poprosiła, żeby Mercer o tym opowiedziała. Podczas gdy Dora podawała pieczoną rybę pompano, rozmowa skupiła się na spotkaniach autorskich i okazało się, że każdy z nich przeżył jakąś przygodę. Leigh, Jay i Cobb wyznali, że oni też zmarnowali kilka godzin w księgarniach, nie sprzedając ani jednej książki. Swoją pierwszą powieścią Andy wzbudził spore zainteresowanie, ale – co było do przewidzenia – upił się kiedyś, zaczął obrażać klientów, którzy nie chcieli kupić jego książki, i wyrzucono go z księgarni. Nawet Amy, autorka bestsellerów, miała kilka złych dni, zanim odkryła wampiry.

Andy przeszedł wreszcie na wodę z lodem i wszyscy odetchnęli.

Cobb opowiedział im historię o osiemnastolatku, którego molestował seksualnie współwięzień z celi, prawdziwy potwór. Wiele lat później, kiedy wyszli już warunkowo na wolność, chłopak wytropił go i odkrył, że ten wiezie spokojne życie na przedmieściach i nikt nie zna jego przeszłości. Pora na zemstę.

Opowieść była długa i ciekawa, lecz gdy Cobb skończył, Andy powiedział:

– Zmyślasz. To czysta fikcja, tak? Twoja następna powieść.

– Nie, przysięgam, że to prawda.

– Bzdura, robisz to nie pierwszy raz. Raczysz nas jakąś nieprawdopodobną historyjką, żeby sprawdzić, jak zareagujemy, a rok później wydajesz książkę.

– Cóż, nie przeczę, że o tym myślałem. I co o tym sądzicie? Sprzeda się?

– Mnie się podoba – odparł Bruce. – Tylko nie przesadz z scenami gwałtu. Ostatnio lubisz szarżować.

– Mówisz jak mój agent – mruknął Cobb. Wyjął z kieszeni długopis, jakby chciał coś zanotować. – Coś jeszcze? Mercer?

– Mam prawo głosu?

– Jasne, czemu nie? Twój głos liczy się tak samo jak tych grafomanów.

– Owszem, chętnie bym wykorzystał ten temat – wpadł im w słowo Andy i wszyscy wybuchnęli śmiechem.

– Co jak co, ale dobry temat na pewno by ci się przydał. Wyrobiłeś się? Wysłałeś?

– Tak, tylko że odesłali mi ją z powrotem. Problemy strukturalne.

– Tak jak poprzednio, ale tamtą i tak wydali.

– I dobrze zrobili. Nie nadążali z drukowaniem.

– Hej, chłopcy! – zainteresowała Myra. – Łamiecie pierwszą zasadę. Żadnych rozmów o swoich książkach.

– Mogliby tak całą noc – szepnął Bruce na tyle głośno, że wszyscy go usłyszeli.

Ale Mercer podobały się te prześmiewcze rozmowy, tak jak pozostałym. Nigdy dotąd nie miała okazji pobyć z grupą pisarzy, którzy w tak zabawny sposób podszczypywali się wzajemnie i wymieniali tak zjadliwe uwagi.

– A gdyby tak ten chłopak okazał się wampirem? – spytała nagle Amy z zaczerwienionymi od wina policzkami.

Zgromadzeni ryknęli śmiechem.

– Kurczę, na to nie wpadłem – odparł szybko Cobb. – Moglibyśmy zacząć nowy cykl o więziennych wampirach. Dobrze, bardzo dobrze. Pisziesz się na współpracę?

– Powiem mojemu agentowi, żeby zadzwonił do twojego, i może coś wymyślą.

– A ludzie się dziwią, że literatura schodzi na psy – wtrąciła Leigh z doskonałym wyczuciem chwili, co wywołało kolejny wybuch śmiechu.

– Literacka mafia znów pokazała pazur – rzucił Cobb.

Przy stole trochę się uspokoiło, bo zajęli się wreszcie jedzeniem. W pewnym momencie Cobb głośno zachichotał.

– Problemy strukturalne? Co to właściwie znaczy?

– To znaczy, że fabuła jest do bani, i rzeczywiście jest – przyznał Andy. – Szczerze mówiąc, od początku nie miałem do niej

przekonania.

– Następną powieść zawsze możesz wydać sam. Bruce rzuci ją na tę wielką stertę na stoliku karcianym w księgarni.

– Panowie, tam nie ma już miejsca! – zaprotestował Bruce.

Myra zmieniła temat.

– Mercer, jesteś tu już od kilku dni. Mogę spytać, jak ci idzie praca?

– Fatalne pytanie – odparła z uśmiechem Mercer.

– Kończysz czy zaczynasz?

– Nie wiem, nie jestem pewna. Tę, którą piszę, pewnie odrzucą, a wtedy zacznę nową. Jeszcze nie zdecydowałam.

– Jeśli będziesz potrzebowała rady w jakiegokolwiek sprawie związanej z pisaniem, wydawaniem, polityką, relacjami osobistymi, podróżowaniem, romansowaniem czy z czymkolwiek innym, nie mogłaś lepiej trafić. Rozejrzyj się. Sami eksperci.

– O tak, widzę.

5

O północy usiadła na najniższym stopniu drewnianych schodów prowadzących na plażę, zanurzyła stopy w piasku i wsłuchiwała się w szum fal. Uwielbiała odgłosy oceanu; nigdy nie miała ich dość, ani cichutkiego szmeru spokojnego morza, ani łoskotu wzburzonego. Tej nocy wiatr spał, więc przyływ był niski. W oddali szła brzegiem samotna postać.

Wciąż rozbawiona wrażeniami z kolacji, próbowała jak najwięcej zapamiętać. Im dłużej o tym myślała, tym bardziej była zadziwiona. Wino, pokój pełen pisarzy z ich rozbuchanym ego, całym ich zagubieniem i wszystkimi zazdrościami, mimo to nie doszło do ani jednej kłótni, nie padło ani jedno ostre słowo. Autorzy popularnych powieści – Amy, Cobb i Andy – łaknęli uznania krytyki, podczas gdy ci mający się za prawdziwych pisarzy – Leigh, Jay i ona – wyższych honorariów. Myrze było wszystko jedno. Bruce i Noelle trzymali się pośrodku i dodawali otuchy reszcie.

Bruce... Nie wiedziała, co o nim myśleć. Pierwsze wrażenie było pozytywne, ale zważywszy na jego urodę i miły sposób bycia, podobał się pewnie wszystkim, przynajmniej początkowo. Mówił tyle, ile trzeba, ani za dużo, ani za mało, pozwalając Myrze grać pierwsze skrzypce. Ostatecznie to ona wydawała kolację i wiedziała, co robi. Czuł się wśród pisarzy zupełnie swobodnie i z wyraźną przyjemnością słuchał opowieści, anegdot, tanich dowcipów i żartobliwych obelg. Miała wrażenie, że zrobiłyby wszystko, żeby pomóc im w karierze. Natomiast oni traktowali go niemal z szacunkiem.

Twierdził, że bardzo podobają mu się jej książki, zwłaszcza powieść, więc przepytła go, żeby sprawdzić, czy rzeczywiście ją przeczytał. Podobno zrobił to, kiedy tylko książka się ukazała, zanim zaprosił ją na wieczór autorski. Minęło siedem lat, a on wciąż pamiętał szczegóły. Pewnie przejrzał ją przed kolacją, mimo to Mercer była pod wrażeniem. Miał w swoich zbiorach dwa egzemplarze i poprosił, żeby wpadła do księgarni i je podpisała. Czytał także opowiadania. Co ważniejsze, chętnie przeczytałby coś nowego, może kolejną powieść albo choć kilka opowiadań.

Dla Mercer, kiedyś obiecującej pisarki cierpiącej na niekończący się brak weny twórczej i sparaliżowanej strachem, że jej kariera literacka dobiegła końca, świadomość, że ktoś tak oczytany prawi jej komplementy i czeka na jej następną książkę, była czymś bardzo podnoszącym na duchu. Ostatnimi laty robili to tylko jej agentka i wydawca.

Tak, Bruce potrafił czarować, jednak nie powiedział ani nie zrobił nic niestosownego. Nie żeby tego oczekiwała. Kilka centymetrów dalej siedziała jego uroczą żonę. Zakładając, że plotki są prawdziwe i Bruce rzeczywiście lubi uwodzić kobiety, podejrzewała, że potrafi robić to zarówno powoli i niespiesznie, jak i szybko.

Podczas kolacji kilka razy zerknęła na siedzących naprzeciwko Cobba, Amy, a nawet na Myrę, zastanawiając się, czy któreś z nich zna jego ciemną stronę. Pod przykrywką właściciela jednej z najlepszych księgarni w kraju handlował skradzionymi białymi krukami. Księgarnia cieszyła się wielką popularnością i zapewniała mu duże dochody. Prowadził szczęśliwe życie, miał piękną żonę –

a raczej partnerkę – dobrą reputację i wspaniały dom w urokliwym miasteczku. Naprawdę zaryzykowałyby to wszystko, kupując i sprzedając skradzione rękopisy?

Nie zwęszył, że siedzi mu na ogonie grupa zawodowych tropicieli? Że depcze mu po piętach FBI? Nie przeczuwał, że za kilka miesięcy może trafić do więzienia, i to na wiele lat?

Nie, niemożliwe.

Podejrzewał ją? Nie. Skoro nie, pojawiało się oczywiste pytanie co dalej. Elaine powtarzała, że trzeba działać powoli, krok po kroku. Niech to on do niej przyjdzie, bo wtedy będzie jej łatwiej wkraść się w jego życie.

Proste, prawda?

6

W poniedziałek, Dzień Pamięci, spała do późna i znów przegapiła wschód słońca. Wypiła kawę i poszła na plażę, która ze względu na święto była dość rojna, lecz niezatłoczona. Po długim spacerze wróciła do domu, nalala sobie kawy i usiadła przy małym stoliku śniadaniowym z widokiem na ocean. Otworzyła laptop, spojrzała na pusty ekran i napisała: *Rozdział 1*.

Pisarze dzielą się na dwa obozy: na tych, którzy starannie planują to, co piszą, i znają zakończenie, zanim zaczną, i tych, którzy stawiają na spontaniczność, zgodnie z teorią, że kiedy już stworzą jakąś postać, ta zrobi coś interesującego sama z siebie. Rozpoczęta powieść, którą postanowiła odłożyć na półkę i która tak długo ją dręczyła, podpadała pod tę drugą kategorię. Minęło pięć lat i przez ten czas nie stało się w niej nic ciekawego, poza tym miała dość stworzonych przez siebie bohaterów. Niech odpocznie, myślała. Odpuść sobie. Zawsze możesz do niej wrócić. Napisała roboczą wersję streszczenia pierwszego rozdziału nowej i zaczęła streszczenie drugiego.

Do południa przebrnęła przez pierwszych pięć i była wykończona.

Na Głównej panował niewielki ruch, chociaż na chodnikach roiło się od turystów, którzy zjechali na wyspę na świąteczny weekend. Zaparkowała w bocznej uliczce i poszła do księgarni. Uniknąwszy spotkania z Bruce'em, od razu weszła na górę, do kawiarni, gdzie zjadła kanapkę i przejrzała „Timesa”. Bruce minął ją, idąc po espresso, i zaskoczony przystanął.

– Masz czas podpisać książki? – spytał.

– Po to przyszłam.

Zeszli na dół, do sali pierwszych wydań, i zamknął za nimi drzwi. Dwa duże okna wychodziły na salon sprzedaży na parterze, na półki, między którymi krążyli klienci. Na środku sali stał stary stół zavalony papierami i kartonowymi teczkami.

– To twoje biuro? – spytała.

– Jedno z kilku. Kiedy jest mały ruch, przychodzę tu popracować.

– A bywa mały?

– To księgarnia. Dzisiaj klientów jest sporo, jutro nie przyjdzie ani jeden. – Stał przed półką, zdjął z niej dwa egzemplarze *Październikowego deszczu* w twardej oprawie i podał jej długopis.

– Od dawna niczego nie podpisywałam. – Otworzyła pierwszy na stronie tytułowej, złożyła podpis, po czym otworzyła i podpisała drugi. Bruce zostawił jeden na stole, a drugi wstawił z powrotem na półkę. Książki były ustawione alfabetycznie, według nazwisk autorów.

Mercer zatoczyła ręką łuk.

– Więc to są te pierwsze wydania?

– Tak, tych, którzy je tu podpisali. Organizujemy około stu spotkań autorskich rocznie, więc po dwudziestu latach trochę się tego zebrało. Sprawdziłem w archiwum: przed twoim przyjazdem zamówiłem sto dwadzieścia egzemplarzy.

– Sto dwadzieścia? Dlaczego tak dużo?

– Mamy tu Klub Miłośników Pierwszych Wydań. Zrzesza około stu najlepszych klientów, którzy kupują każdą podpisaną książkę. Co zapewnia całkiem spory utarg. Ja gwarantuję, że sprzedam sto,

a wydawcy umieszczają moją księgarnię na trasie promocyjnej tego czy innego autora.

– I ci klubowicze przychodzą na każde spotkanie?

– Chciałbym. Zwykle przychodzi połowa, ale to i tak nieźle. Trzydziestu paru mieszka poza miastem i kupuje przez internet.

– Co się stało, kiedy odwołałam przyjazd?

– Zwróciłem książki.

– Przykro mi.

– Raz na wozie, raz pod wozem, taka praca.

Mercer przeszła wzdłuż ściany, patrząc na rzędy książek, z których część znała. Wszystkie były podpisane. Gdzie trzymał pozostałe? Jeden egzemplarz *Deszczu* zostawił na stole, a drugi wstawił na półkę. Gdzie przechowywał resztę?

– Są tu jakieś cenne egzemplarze? – spytała.

– Raczej nie. To imponujący zbiór i dużo dla mnie znaczy, bo jestem przywiązany do każdej książki, ale rzadko kiedy któraś jest naprawdę cenna.

– Dlaczego?

– Pierwsze wydania są zbyt duże. Pierwszy nakład *Deszczu* liczył dwadzieścia pięć tysięcy egzemplarzy. To niby niedużo, ale żeby książka była cenna, musi być naprawdę rzadka. Choć czasem mam szczęście. – Zdjął z półki jakąś książkę. – Pamiętasz *Pijaka z Filadelfii*, arcydzieło J.P. Walthalla?

– Oczywiście.

– W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym zdobył National Book Award i Pulitzera.

– Czytałam ją na studiach.

– Wpadł mi w oko egzemplarz sygnałny, bardzo mi się podobał. Czulem, że coś z tego będzie, więc zamówiłem kilka kartonów, i to zanim Walthall zastrzegł, że nie pojedzie w trasę i nie będzie nic reklamował. Jego wydawcy, niezbyt zresztą rozgarniętemu, groziło bankructwo, dlatego pierwszy nakład liczył tylko sześć tysięcy. W sumie nieźle jak na pierwszą powieść, ale stanowczo za mało. Książka była już w drukarni, kiedy zastrajkowali drukarze i z prasy zdążyło zejść tylko tysiąc dwieście egzemplarzy. W tym były te moje, zamówione. Czysty fart. Pierwsze recenzje były oszałamiające, więc już w innej drukarni szybko zrobiono dwudziestotysięczny dodruk.

Potem drugi, czterdziestotysięczny, trzeci, i tak dalej. W końcu sprzedano milion egzemplarzy w twardej oprawie.

Mercer otworzyła książkę na stronie redakcyjnej i przeczytała: *Pierwsze wydanie*.

– Ile jest warta?

– Sprzedałem dwie po pięć tysięcy dolarów. Teraz chcę osiem. Zostało mi jeszcze dwadzieścia pięć, ale trzymam je w piwnicy.

Mercer skrzętnie to odnotowała, lecz nic nie powiedziała. Oddała mu książkę i poszła dalej.

– Dalsza część zbioru, ale nie wszystkie są podpisane – wyjaśnił.

Zdjęła z półki *Regulamin tłoczni win* Johna Irvinga.

– Tych jest chyba sporo.

– To Irving. Napisał ją siedem lat po *Garpie*, więc pierwszy nakład był olbrzymi. Jest warta kilkaset dolarów. Mam też jednego *Garpa*, ale nie na sprzedaż.

Mercer wstawiła książkę na półkę i szybko przejrzała te stojące obok. *Świata według Garpa* wśród nich nie było, więc pewnie trzymał go w „piwnicy”. Kusiło ją, żeby spytać go o te najrzadsze, ale udała, że straciła zainteresowanie.

– Dobrze się wczoraj bawiłaś?

Roześmiała się i odwróciła.

– O tak. Nigdy w życiu nie jadłam kolacji z tyloma pisarzami. Jesteśmy odludkami.

– Wiem. Ze względu na ciebie wszyscy się zachowywali. Wierz mi, nie zawsze jest tak kulturalnie.

– Dlaczego? – spytała.

– Cecha rasy. Zmieszaj wrażliwe ego z alkoholem, dodaj odrobinę polityki i będzie awantura.

– Nie mogę się już doczekać. Kiedy następna impreza?

– Z nimi nigdy nic nie wiadomo. Noelle wspomniała coś o kolacji za parę tygodni. Dobrze się jej z tobą rozmawiało.

– Wzajemnie. Jest urocza.

– I zabawna, no i naprawdę zna się na antykach. Zajrzyj kiedyś do jej sklepu, sama zobaczysz.

– Zajrzę, chociaż nie stać mnie na antyki z górnej półki.

Bruce roześmiał się.

– Tak czy inaczej, uważaj. Jest z nich bardzo dumna.

- Jutro spotykam się na kawie z Sereną Roach. Znasz ją?
- Oczywiście. Była tu dwa razy. To miła, choć bardzo emocjonalna kobieta. Jeździ ze swoim przyjacielem i rzecznikiem prasowym.
- Z całą świtą?
- Najwyraźniej. Chociaż to nie jest aż tak niezwykle. Wyszła z narkotyków i sprawia wrażenie wątlej. Życie w drodze nie służy wielu pisarzom, bo tracą wtedy poczucie bezpieczeństwa.
- Nie może jeździć sama?
- Bruce znów się roześmiał i lekko zawahał.
- Mógłbym ci opowiedzieć mnóstwo plotek. Jedne są smutne, inne wesołe, wszystkie bardzo barwne. Ale zachowajmy je na inną okazję, może na kolejną kolację.
- Jeździ zawsze z tym samym przyjacielem? Pytam dlatego, że czytam właśnie jej najnowszą powieść, której bohaterka zмага się z mężczyznami i narkotykami. Widać, że autorka zna się na rzeczy.
- Nie wiem, ale na ostatnich dwóch spotkaniach była z tym samym.
- Biedactwo. Krytycy ją rozszarpali.
- Tak, i źle to znosi. Jej rzecznik dzwonił dziś do mnie, prosząc, żebym, broń Boże, nie namawiał jej na kolację. Nie chcę, żeby się upiła.
- A to dopiero początek trasy, tak?
- Trzeci przystanek, prawdziwa katastrofa. Ale cóż, Serena zawsze może zrezygnować, tak jak ty.
- Bardzo polecam.
- Przez okno zajrzał sprzedawca.
- Przepraszam, że przerywam, ale dzwoni Scott Turow.
- Muszę odebrać – powiedział Bruce.
- Mercer ruszyła do drzwi.
- Na razie, do zobaczenia jutro.
- Dzięki za autografy.
- Podpiszę każdą książkę, którą kupisz.

Trzy dni później zaczęła do zmroku i wybrała się na plażę. Zdjęła sandały, włożyła je do małej torby i brzegiem morza poszła na południe. Przyptyw był niski, plaża szeroka i opustoszała, nie licząc kilku spacerujących z psami par. Dwadzieścia minut później minęła rząd apartamentowców i skręciła w stronę mieszczącego się tuż obok Ritza. Na końcu chodnika opłukała stopy, włożyła sandały, minęła opustoszały basen i weszła do środka. Przy stoliku w eleganckim barze czekała Elaine.

Babcia Tessa uwielbiała ten bar. Dwa, trzy razy każdego lata wkładały najładniejsze sukienki i przyjeżdżały tu na drinka, a potem na kolację w znanej na wyspie restauracji. Babcia zawsze zaczynała od martini, tylko jednego, a ona, do piętnastego roku życia, zawsze brała dietetyczną colę. Kiedy skończyła piętnaście lat, przyjechała na wyspę z fałszywą legitymacją i wypili martini razem.

Zupełnym przypadkiem Elaine usiadła przy ich ulubionym stoliku, dlatego wspomnienia zaatakowały ze zdwojoną siłą. Nic się tu nie zmieniło. W tle śpiewał cicho fortepianowy grajek.

– Przyjechałam dziś po południu i pomyślałam, że dasz się namówić na dobrą kolację – zaczęła Elaine.

– Byłam tu wiele razy. – Mercer rozejrzała się, chłonąc ten sam zapach słonego powietrza i dębowej boazerii. – Babcia uwielbiała ten bar. Jest za drogi dla tych pod kreską, ale czasem lubiliśmy zaszaleć.

– Nie miała pieniędzy?

– Miała, ale nie za wiele i lubiła oszczędzać. Porozmawiajmy o czymś innym.

Nadszedł kelner i zamówiły drinki.

– To był bardzo udany tydzień – powiedziała Elaine.

Zgodnie z umową Mercer co wieczór wysyłała jej maila z podsumowaniem najważniejszych wydarzeń.

– Wiem chyba niewiele więcej niż na początku, ale przynajmniej nawiązałam kontakt z nieprzyjacielem.

– No i?

– Tak jak mówiłaś, jest sympatyczny i czarujący. Najcenniejsze książki przechowuje w piwnicy, ale nie wspomniał o skarbcu. Mam wrażenie, że jest tam niezła kolekcja. Jego żona wciąż jest na wyspie

i jak dotąd nie zrobił nic, co wskazywałoby, że interesuje się mną
inaczej niż księgarz pisarką.

– Musisz mi opowiedzieć o kolacji u Myry i Leigh.

Mercer uśmiechnęła się.

– Szkoda, że nie było tam ukrytej kamery.

Rozdział 5

POŚREDNIK

1

Od ponad sześćdziesięciu lat księgarnia Old Boston zajmowała ten sam szeregowiec przy West Street w dzielnicy Ladder Blocks. Założył ją Loyd Stein, uznany antykwariusz, a po jego śmierci w 1990 roku przejął jego syn Oscar. Oscar wychował się wśród książek i kochał księgarnię, z czasem jednak sprzedawanie ich go znużyło. W czasach internetu, przy jednoczesnym spadku zainteresowania wszystkim, co wiązało się z książkami, coraz trudniej mu było zapewnić sobie przyzwoity dochód. Ojciec zadowalał się handlem używanymi książkami i nadzieją, że kiedyś trafi mu się biały kruk, ale Oscar zaczynał tracić cierpliwość. Miał pięćdziesiąt osiem lat i po cichu szukał wyjścia z sytuacji.

W czwartek o czwartej po południu do księgarni wszedł Denny – przychodził tam już trzeci dzień z rzędu – i zaczął nonszalancko przeglądać książki stojące na półkach i piętrzące się w stosach na podłodze. Kiedy sprzedawczyni, starsza kobieta, która pracowała tam od dziesiątków lat, poszła na górę, zdjął z półki *Wielkiego Gatsby'ego* w miękkiej oprawie i podszedł do kasy. Oscar uśmiechnął się i spytał:

– Znalazł pan to, czego pan szukał?

– Wystarczy ta – odparł Denny.

Oscar wziął książkę i zerknął na wewnętrzną stronę okładki.

– Cztery dolary i trzydzieści centów.

Denny położył na ladzie pięć.

– Tak naprawdę to szukam oryginału – powiedział.

– Pierwszego wydania? *Gatsby’ego*? – zdziwił się Oscar, biorąc banknot.

– Nie. Oryginalnego rękopisu.

Oscar roześmiał się. Co za idiota!

– Obawiam się, że nie będę mógł panu pomóc.

– A ja myślę, że przeciwnie.

Oscar zamarł i podniósł wzrok. Nieznajomy przeszył go twardym, zimnym spojrzeniem. Twardym, wyrachowanym i znaczącym.

– Kim pan jest?

– Nigdy się pan nie dowie.

Oscar przełknął ślinę, spuścił głowę, włożył banknot do kasy i spostrzegł, że drżą mu ręce. Wyjął kilka monet i położył je na ladzie.

– Siedemdziesiąt centów reszty – wykrztusił. – Był pan tu wczoraj, prawda?

– I przedwczoraj.

Oscar rozejrzał się. Byli sami. Zerknął na małą kamerę bezpieczeństwa wycelowaną w kasę.

– Niech pan się nie martwi – rzucił Denny. – Unieszkodliwiłem ją wczoraj wieczorem. Ta w biurze też nie działa.

Oscar głęboko odetchnął i opadły mu ramiona. Po miesiącach życia w strachu, niespania i oglądania się za siebie nadeszła w końcu ta straszna chwila.

– Pan z policji? – spytał drżącym głosem.

– Nie. Ostatnio ich unikam, tak jak pan.

– Czego pan chce?

– Rękopisów. Wszystkich pięciu.

– Nie wiem, o czym pan mówi.

– Nie stać pana na nic lepszego? – spytał Denny. – Spodziewałem się czegoś bardziej oryginalnego.

– Wynocha stąd! – syknął Oscar, starając się, żeby zabrzmiało to jak najsurowiej.

– Już wychodzę. Wrócę o szóstej, kiedy będzie pan zamykał. Zamknie pan drzwi na klucz i pójdziemy do biura na małą pogawędkę. Stanowczo radzę, żeby rozegrał pan to na spokojnie. Nie ma pan gdzie uciec i nikt panu nie pomoże. Cały czas pana obserwujemy.

Denny zebrał monety, wziął książkę i wyszedł.

2

Godzinę później prawnik Ron Jazik wszedł do windy w budynku federalnym w Trenton w New Jersey i nacisnął guzik parteru. W ostatniej chwili do kabiny wślizgnął się jakiś mężczyzna i nacisnął guzik drugiego piętra. Kiedy tylko zamknęły się drzwi i zostali sami, mężczyzna spytał:

– Jest pan obrońcą Jerry’ego Steengardena, tak? Wyznaczonym przez sąd.

Jazik uśmiechnął się szyderczo.

– A kim pan, do diabła, jest?

Szybkim jak błyskawica ruchem nieznajomy uderzył go w twarz, strącając mu z nosa okulary. Chwycił go za szyję i niemal miażdżąc mu gardło, grzmotnął jego głową w ścianę kabiny.

– Nie mów tak do mnie. Mam wiadomość dla twojego klienta. Chlapnie coś FBI i ktoś zginie. Wiemy, gdzie mieszka jego matka, wiemy też, gdzie mieszka twoja.

Jazikowi oczy wyszły z orbit, upuścił teczkę. Chwycił napastnika za rękę, lecz tamten jeszcze mocniej zacisnął palce na jego szyi. Jazik dobijał sześćdziesiątki i już dawno stracił formę. Napastnik był co najmniej dwadzieścia lat młodszy i wydawał się – przynajmniej w tej chwili – niezwykle silny.

– Jasne? – warknął. – Chwytasz?

Winda stanęła na drugim piętrze i kiedy otworzyły się drzwi, puścił prawnika i pchnął go w róg kabiny. Jazik upadł na kolana. Napastnik minął go i wysiadł, jakby nic się nie stało. Przed drzwiami nikt nie czekał, więc prawnik szybko wstał, znalazł okulary, podniósł teczkę i zastanowił się, co robić. Piekł go policzek, dzwoniło mu w uszach i w pierwszej chwili chciał zadzwonić na policję i zgłosić napad. Na parterze czuwali szeryfowie federalni, więc mógł też poczekać z nimi na bandziora. Ale jadąc na dół, doszedł do wniosku, że chyba lepiej nie przesadzać. Kiedy winda zatrzymała się na parterze, znów normalnie oddychał. Poszedł do toalety, ochlapał

twarz wodą i spojrzął w lustro. Prawa część twarzy była zaczerwieniona, lecz nie spuchnięta. Sam cios i fizyczne doznania, jakich po nim doświadczał, były bolesne i szokujące. Poczul w ustach coś ciepłego i splunął krwią do umywalki.

Nie widział się ze Steengardenem od ponad miesiąca. Nie mieli o czym rozmawiać. Ich spotkania były krótkie, bo Jerry nie chciał nic mówić. Napastnik, który go uderzył i mu groził, niepotrzebnie się martwił.

3

Kilka minut przed szóstą Denny wrócił do księgarni, gdzie zobaczył zdenerwowanego Oscara, który czekał na niego za ladą. Sprzedawczyni poszła już do domu, klientów nie było. Denny bez słowa zamknął drzwi, odwrócił tabliczkę z napisem *Otwarte*, przekręcił klucz w zamku i zgasił światło. Weszli na górę do małego zagraconego biura, gdzie Oscar spędzał czas, gdy ktoś inny stał za kasą. Usiadł przy biurku i machnięciem ręki wskazał gościowi jedyny fotel niezawalony czasopismami.

Denny usiadł.

– Nie traćmy czasu – zaczął. – Wiem, że kupił pan rękopisy za pół miliona dolarów. Przelał pan pieniądze na konto na Bahamach. Stamtąd trafiły do Panamy, gdzie je odebrałem. Oczywiście pomniejszone o prowizję naszego pośrednika.

– Więc to pan ukradł rękopisy? – spytał Oscar. Połknął kilka pigułek, które trochę go uspokoiły.

– Tego nie powiedziałem.

– Skąd mam wiedzieć, że nie nosi pan podsłuchu?

– Chce mnie pan obszukać? Proszę bardzo. Skąd gliniarze znalazłyby cenę? Skąd by wiedzieli, jaką trasą wędrowały pieniądze?

– FBI może wszystko.

– Oscar, gdyby psy wiedziały to, co wiem ja, już dawno by pan siedział. Ale spokojnie, nikt pana nie aresztuje. Ani pana, ani mnie. Jest tak: ja nie mogę pójść na policję i pan nie może pójść na policję.

Obaj narozrabialiśmy aż miło i grozi nam długa odsiadka. Ale nie pójdziemy do więzienia.

Oscar bardzo chciał w to wierzyć i trochę mu ulżyło. Jednak było oczywiste, że jest kilka przeszkód, które wymagają natychmiastowego usunięcia. Wziął głęboki oddech.

– Nie mam tych rękopisów.

– Więc gdzie są?

– Dlaczego pan je sprzedał?

Denny założył nogę na nogę i usiadł wygodniej w starym fotelu.

– Spietrałem się. Dzień po kradzieży FBI złapało dwóch moich kumpli. Musiałem je ukryć i dać nogę z kraju. Odczekałem miesiąc, potem drugi. Kiedy trochę się uspokoiło, wróciłem i odwiedziłem pewnego handlarza w San Francisco. Powiedział, że zna kupca, Rosjanina, który zapłaci za nie dziesięć milionów. Kłamał. Nasłał na mnie FBI. Byliśmy umówieni, miałem przynieść rękopisy na spotkanie, ale tam czekali już agenci.

– Skąd pan wiedział?

– Założyliśmy podsłuch w jego telefonie. Jesteśmy bardzo dobrzy, Oscar. Bardzo cierpliwi i profesjonalni. Mało brakowało, więc znów wyjechaliśmy z kraju, żeby się trochę uspokoiło. Wiedziałem, że FBI ma mój dokładny rysopis, dlatego długo nie wracałem.

– Moje telefony też są na podsłuchu?

Denny uśmiechnął się i kiwnął głową.

– Stacjonarne. Z komórką sobie nie poradziłem.

– Więc jak mnie namierzycie?

– Pojechałem do Georgetown i udało mi się skontaktować z Joelem Ribikoffem, pana starym znajomym, naszym pośrednikiem. Nie ufałem mu, ale cóż, komu można ufać w tej branży? Poza tym bardzo mi zależało na szybkiej sprzedaży rękopisów.

– Mieliśmy się nie spotykać.

– Taki był plan, prawda? Pan wysłał pieniądze, ja dostarczyłem towar i znów zniknąłem. Ale wróciłem.

Oscar zaczął wyłamywać palce, próbując zachować spokój.

– A Ribikoff? Co z nim?

– Odszedł, już go nie ma. Umarł straszną śmiercią, naprawdę okropną. Zanim jednak umarł, dał mi to, czego chciałem. Pana.

– Ale ja nie mam tych rękopisów!

- Dobrze. Więc co pan z nimi zrobił?
 - Sprzedałem. Najszybciej, jak to było możliwe.
 - Komu, Oscar? I tak je znajdę, a ślad jest już krwawy.
 - Nie wiem, gdzie teraz są, przysięgam.
 - Oscar, komu je pan sprzedał?
 - Niech pan posłucha, muszę pomyśleć. Mówił pan, że jesteście cierpliwi, więc dajcie mi trochę czasu.
 - Dobrze, zgoda. Wróć za dwadzieścia cztery godziny. Niech pan nie robi głupot i nie próbuje uciekać. Nigdzie się pan nie ukryje i tylko robi sobie krzywdę. Jesteśmy zawodowcami, Oscar, nie ma pan pojęcia, jak skutecznymi.
 - Nie ucieknę.
 - Dwadzieścia cztery godziny i wracam po nazwisko kupca. Poda je pan i będzie mógł pan zatrzymać pieniądze i żyć dalej swoim życiem. Nic nikomu nie powiem. Ma pan moje słowo.
- Denny szybko wstał i wyszedł z biura. Oscar wbił wzrok w kłamkę i wsłuchał się w jego kroki na schodach. Na dole otworzyły się drzwi, zadzwonił dzwoneczek i drzwi cicho się zamknęły.
- Oscar ukrył twarz w dłoniach, tłumiąc płacz.

4

Kiedy na stole zabzyczała komórka, Denny jadł pizzę w hotelowym barze dwie ulice dalej. Dochodziła dziewiąta wieczorem i telefon był spóźniony.

- Mów – rzucił, rozglądając się wokoło. Bar prawie opustoszał.
- Zadanie wykonane – zameldował Rooker. – Jazika złapałem w windzie i musiałem go trochę zwyobracać. Pyszna zabawa. Przekazałem wiadomość, poszło jak po maśle. Z Petrocellim było trudniej, bo pracuje do późna. Godzinę temu złapałem go na parkingu, kiedy wychodził z biura. Omal nie zesrał się ze strachu. Mały mięczak. Najpierw zaprzeczał, że jest adwokatem Driscolla, ale szybko zmienił zdanie. Nie musiałem go bić, chociaż mało brakowało.

- Żadnych świadków? – spytał Denny.
- Żadnych. Ani w trakcie, ani po.
- Dobra robota. Gdzie teraz jesteś?
- Jadę. Będę za pięć godzin.
- Pospiesz się. Jutro może być zabawnie.

5

Rooker wszedł do antykwariatu za pięć szósta i udał, że przegląda książki. Innych klientów nie było. Oscar krzątał się nerwowo za ladą, ale cały czas go obserwował.

– Przykro mi, ale już zamykamy – powiedział, kiedy zegar wskazał punkt szóstą.

W tej samej chwili do antykwariatu wszedł Denny, który zamknął za sobą drzwi i odwrócił tabliczkę z napisem *Otwarte*. Spojrzał na niego i wskazał Rookera.

- On jest ze mną. Jest tu ktoś jeszcze?
- Nie. Wszyscy już wyszli.
- Dobrze. W takim razie porozmawiamy tutaj.

Denny podszedł do lady. Rooker dołączył do niego, przystanęli niebezpiecznie blisko Oscara i przeszli go wzrokiem. Przez chwilę nikt się nie poruszał.

– No i? – spytał Denny. – Miał pan czas na namysł. Więc jak będzie?

– Musi mi pan obiecać, że mnie nie wydacie.

– Muszę? – prychnął szyderczo Denny. – Ja nic nie muszę, ale już powiedziałem: nikt się nie dowie. Zresztą co bym zyskał, wydając pana policji? Mnie chodzi o rękopisy, resztę mam gdzieś. Powie pan, komu je pan sprzedał, i nigdy więcej mnie pan nie zobaczy. Ale jeśli pan skłamie, na pewno wrócę.

Oscar o tym wiedział. Oscar mu wierzył. W tej strasznej chwili pragnął jedynie pozbyć się tego człowieka. Zamknął oczy.

– Sprzedałem je Bruce’owi Cable’owi, właścicielowi księgarni na wyspie Camino na Florydzie.

Denny uśmiechnął się i spytał:

- Za ile?
- Za milion.
- Dobra robota, Oscar. Niezły zysk.
- Możecie już wyjść?

Denny i Rooker patrzyli na niego, nie poruszając ani jednym mięśniem, i przez dziesięć długich sekund Oscar myślał, że już po nim. Serce waliło mu jak młotem, prawie nie mógł oddychać.

Ale oni po prostu wyszli, szybko i bez słowa.

Rozdział 6

FIKCJA

1

W antykwariacie Prowansja Noelle było jak w eleganckich albumach jego właścicielki. Pomieszczenie od ulicy wypełniały rustykalne meble, szafy, toaletki, stoliki i fotele ustawione na starej kamiennej posadzce. Na stolikach stały stare dzbany, słoje i koszyki. Na otynkowanych brzoskwiniowych ścianach wisiały świeczniki, przydymione lustra i oprawione w spękane ramy portrety dawno zapomnianych baronów i ich rodzin. Z kadzidełek unosił się silny zapach wanilii. Z drewniano-tynkowanego sufitu zwisały żyrandole. W tle rozbrzmiewały ciche dźwięki opery z ukrytych głośników. W bocznym pokoju Mercer podziwiała przez chwilę długi, wąski stół do degustacji wina, zastawiony talerzami i miseczkami w klasycznych kolorach prowansalskiej zastawy stołowej, jasnożółtym i oliwkowym. Pod ścianą przy oknie stało biurko, którym miała się zachwycić, naprawdę piękne, ręcznie malowane. Według Elaine, kosztowało trzy tysiące dolarów i doskonale nadawało się do ich potrzeb.

Mercer przejrzała wszystkie cztery albumy i bez trudu rozpoznawała meble i elementy wyposażenia wewnątrz. Właśnie oglądała biurko, kiedy weszła Noelle.

– Witaj, co za niespodzianka! – Powitała ją po francusku, tradycyjnym cmoknięciem w obydwie policzki.

– Cudowny sklep! – westchnęła z podziwem Mercer.

– Witaj w Prowansji. Co cię sprowadza?

– Och, nic. Po prostu oglądam. Zwłaszcza to. – Dotknęła biurka. – Bardzo mi się podoba. – W albumach widziała co najmniej trzy.

– Wypatrzyłam je na targu w Bonnieux pod Awinionem. Powinnaś je kupić. Doskonale nadaje się do tego, co robisz.

– Najpierw muszę sprzedać trochę książek.

– Chodź. Wszystko ci pokażę.

Noelle wzięła ją za rękę i oprowadziła po pokojach pełnych mebli prosto z jej albumów. Opatrzonymi poręczami z kutego żelaza eleganckimi schodami o stopniach z białego kamienia weszły na piętro, gdzie pokazała jej skromnie kolejne meble, jeszcze więcej szaf, szafek, łóżek, komód i stolików, z których każdy miał swoją historię. Mówiła o nich z taką czułością, jakby nie chciała się z nimi rozstać. Mercer zauważyła, że tu, na piętrze, na żadnym meblu nie ma metki z ceną.

Właścicielka miała niewielkie biuro na zapleczu na parterze, a obok prowadzących tam drzwi stał mały stół do degustacji wina. Kiedy o nim opowiadała, Mercer doszła do wniosku, że wszystkie francuskie stoły służą jedynie do degustowania win. Weszła do środka, usiadła, a Noelle zagotowała wodę na małej kuchence obok marmurowego blatu.

– To biurko jest śliczne – powiedziała Mercer. – Aż boję się spytać o cenę.

– Kochanie, dla ciebie będzie specjalna – odrzekła z uśmiechem Noelle. – Kosztuje trzy tysiące dolarów, ale dam ci pięćdziesiąt procent upustu.

– Dla mnie to i tak za dużo. Ale pozwól, że się zastanowię.

– Gdzie teraz piszesz?

– W kuchni, przy stoliku śniadaniowym z widokiem na morze, ale nic z tego nie wychodzi. Brakuje mi słów, nie wiem, czy to kwestia stolika, czy morza.

– O czym jest ta powieść?

– Sama nie wiem. Próbuję zacząć nową, ale kiepsko mi idzie.

– Właśnie skończyłam *Październikowy deszcz* i uważam, że jest świetny.

– Jesteś bardzo miła. – Mercer była wzruszona. Od przyjazdu na wyspę spotkała już trzy osoby, które chwaliły jej powieść. Otrzymała tu więcej zachęty niż w ciągu ostatnich pięciu lat.

Noelle postawiła na stole porcelanowy serwis i zręcznie naląła wrzątku do filiżanek. Obie dodały do herbaty po kostce cukru, bez mleka, i zamieszały.

– Lubisz rozmawiać o swojej pracy? – spytała Noelle. – Pytam dlatego, że większość pisarzy mówi aż za dużo o tym, co piszą albo co chcą napisać, jednak z jakichś powodów część ma z tym trudności.

– Ja wolę nie mówić, zwłaszcza o tym, co teraz robię. Moja pierwsza powieść wydaje się stara, przestarzała, jakbym napisała ją sto lat temu. Wydać książkę w tak młodym wieku to na swój sposób przekleństwo. Presja, wysokie oczekiwania, cały świat literacki czeka na coś nowego i równie dobrego. Mija kilka lat, a książki wciąż nie ma. Obiecująca gwiazda powoli odchodzi w zapomnienie. Po *Październikowym deszczu* moja pierwsza agentka radziła mi się pospieszyć i od razu wydać następną. Mówiła, że ponieważ pierwsza tak bardzo podobała się krytykom, drugą na pewno zjadą bez względu na to, jaka będzie, dlatego śmiało, pisz i wydawaj, żeby jak najszybciej pozbyć się debiutanckiego fatum. Pewnie chciała dobrze, sęk w tym, że nie miałam drugiej powieści. Chyba wciąż szukam.

– Ale właściwie czego? – dociekała Noelle.

– Tematu.

– Większość pisarzy twierdzi, że najważniejsi są ludzie. Kiedy już wyjdą na scenę, sami stworzą fabułę. Ty tak nie uważasz?

– Nie, przynajmniej na razie.

– Co cię zainspirowało do napisania *Deszczu*?

– Kiedy byłam na studiach, przeczytałam gdzieś historię o zaginionym dziecku, którego nigdy nie odnaleziono, i o tym, jaki miało to wpływ na jego rodzinę, opowieść niezwykle smutną i niedającą spokoju, jednocześnie bardzo piękną. Nie mogłam o niej zapomnieć, więc zapożyczyłam ją, zbeletryzowałam i w ciągu roku napisałam powieść. Dzisiaj trudno mi uwierzyć, że tak szybko mi poszło. Ale wtedy niecierpliwie wyglądałam każdego poranka, pierwszej filiżanki kawy, każdej następnej strony. Teraz jest inaczej.

– Na pewno się zmieni. Camino to idealne miejsce, żeby nie robić nic innego, tylko pisać.

– Zobaczmy. Szczerze mówiąc, muszę najpierw trochę zarobić. Nie chcę uczyć ani szukać pracy. Zastanawiałam się nawet, czy nie

napisać pod pseudonimem kilku powieści kryminalnych albo czegoś, co by się sprzedało.

– Nie ma w tym nic złego – powiedziała Noelle. – Napisz, sprzedaj i będziesz mogła pisać, co zechcesz.

– Powoli zaczynam o tym myśleć.

– Nie chciałybyś porozmawiać z Bruce'em?

– Ale właściwie po co?

– Zna tę branżę na wylot. Wszystko czyta, zna setki pisarzy, agentów i wydawców, którzy często pytają go, jeśli nie o radę, to na pewno o zdanie. Ale nic nie powie, dopóki go nie poprosisz. Lubi cię, podziwia twoją twórczość i na pewno coś doradzi.

Mercer wzruszyła ramionami, jakby nie miało to sensu. Otworzyły się frontowe drzwi.

– Przepraszam, ale chyba mam klienta – powiedziała Noelle. Wstała i wyszła.

Mercer piła herbatę, czując się jak oszustka. Nie przyszła tu na zakupy czy pogawędkę o pisaniu ani po to, żeby udawać kolejną targaną konfliktami samotną pisarkę, która szuka przyjaciół. Nie, przyszła na przeszpiegi, żeby powęszyć, zdobyć dla Elaine choćby kilka skrawków informacji, które ta mogła wykorzystać kiedyś przeciwko Noelle i Bruce'owi. Poczowała w brzuchu ostry ból, zalała ją fala mdłości. Zacisnęła zęby, zaczekała, aż fala opadnie, wstała i spróbowała wziąć się w garść. Weszła do pokoju, gdzie Noelle doradzała klientowi poważnie zainteresowanemu jakąś komodą.

– Muszę lecieć – rzuciła.

– Oczywiście – szepnęła Noelle. – Bruce i ja bardzo byśmy chcieli widzieć cię wkrótce na kolacji.

– Cieszę się. Jestem wolna do końca lata.

– Zadzwońię.

2

Po południu, gdy Noelle ustawiała kolekcję małych ceramicznych urn, do sklepu weszło dwoje dobrze ubranych klientów, kobieta i mężczyzna w wieku czterdziestu kilku lat. Noelle zerknęła na nich

i już wiedziała, że są dużo zamożniejsi niż przeciętni turyści, którzy wpadali tu prosto z ulicy, rozglądali się, patrzyli na ceny i szybko wychodzili z pustymi rękami.

Natomiast ci przedstawili się jako Luke i Carol Masseyowie z Houston, powiedzieli, że są na wyspie pierwszy raz i zatrzymali się na kilka dni w Ritzu. Słyszeli o jej sklepie, odwiedzili nawet stronę internetową i od razu zauroczył ich stuletni stół jadalny o wyłożonym płytkami blacie, najdroższy mebel na składzie. Luke poprosił o taśmę mierniczą, a gdy Noelle mu ją podała, obmierzyli stół ze wszystkich stron, mamrocząc, że idealnie pasowałby do jadalni w domku dla gości. Luke podwinął rękawy, a Carol spytała, czy mogą robić zdjęcia. Oczywiście, odparła Noelle. Zmierzyli także dwie komody i dwie duże szafy, a robiąc to, zadawali inteligentne pytania o rodzaj drewna, wykończenie i pochodzenie mebli. Budowali w Houston nowy dom i pragnęli, żeby panowała w nim atmosfera prowansalskiej chaty, jaką widzieli podczas zeszłorocznych wakacji we wsi Roussillon w departamencie Vaucluse. Im dłużej oglądali, tym bardziej zakochiwali się dosłownie we wszystkim, co podsuwała im Noelle. Zaprowadziła ich na górę, do sali z cenniejszymi meblami, i ich zainteresowanie wzmoгло się jeszcze bardziej. Po godzinie, prawie o piątej, Noelle otworzyła butelkę szampana i napełniła trzy kieliszki. Potem musiała ich przeprosić i podczas gdy Luke mierzył skórzany szezlong, a Carol robiła zdjęcia, zeszła na dół, żeby obsłużyć innych klientów. Kiedy maruderzy wreszcie wyszli, zamknęła drzwi na klucz i wróciła do bogatych Teksaszczyków.

Usiedli przy starym *comptoir* – kontuarze – i przeszli do interesów. Luke wypytał ją o transport i przechowanie. Dom miał być gotowy dopiero za pół roku, dlatego zgromadzone meble trzymali w magazynie. Noelle zapewniła ich, że nie będzie z tym żadnego problemu, ponieważ wysyła towar do każdego zakątka kraju. Carol zaznaczyła na liście meble, które chciałyby kupić już teraz, w tym ręcznie malowane biurko. Noelle powiedziała, że niestety, jest już zamówione, ale podczas najbliższej wyprawy do Prowansji bez trudu znajdzie dla nich podobne. Weszli do biura, dołała im szampana i zasiedli do obliczeń. Rachunek opiewał na sto sześćdziesiąt tysięcy dolarów, co zupełnie ich nie zraziło.

Targowanie się należało do tradycji, lecz ich nie bawiło. Luke wyjął czarną kartę kredytową, jakby rozmawiali o drobnym wydatku, a Carol podpisała zamówienie.

W drzwiach wyściskali Noelle jak starzy przyjaciele i obiecali wpaść nazajutrz. Kiedy wyszli, spróbowała przypomnieć sobie sprzedaż tej wielkości. Nie mogła.

Kwadrans po dziesiątej następnego dnia Luke i Carol wpadli do sklepu z promiennymi uśmiechami i pełni energii. Pół nocy oglądali zdjęcia, ustawiając w myślach meble w swoim niedokończonym domu, i cóż, chcieli więcej. Architekt przysłał im mailem pomniejszony plan parteru i pierwszego piętra i naszkicowali na nim wzory oraz usytuowanie poszczególnych mebli; Noelle nie mogła nie zauważyć, że dom ma powierzchnię tysiąca siedmiuset sześćdziesięciu pięciu metrów kwadratowych. Poszli więc na górę, spędzili cały ranek na mierzeniu łóżek, stołów, krzeseł i szaf i wykupili dosłownie wszystko. Rachunek z drugiego dnia opiewał na trzysta tysięcy dolarów i Luke znów wyciągnął czarną kartę.

Noelle zamknęła sklep i zaprosiła ich na lunch do popularnego bistra tuż za rogiem. Kiedy jedli, jej prawnik sprawdził ważność karty i okazało się, że Masseyowie mogą kupić wszystko, co chcą. Pogrzebał także w ich przeszłości, lecz nic nie znalazł. Ale jakie to miało znaczenie? Kogo obchodziło, skąd mają pieniądze? Grunt, że byli wypłacalni.

– Kiedy wybiera się pani po następną partię towaru? – spytała Carol.

Noelle roześmiała się.

– Na pewno wcześniej niż później. Zamierzałam pojechać do Francji na początku sierpnia, ale ponieważ wszystko sprzedałam, będę musiała wybrać się wcześniej.

Carol zerknęła na Luke'a, który z jakiegoś powodu dziwnie się zmieszał.

– Tak z ciekawości... – zaczął niepewnie. – Zastanawialiśmy się, czy nie moglibyśmy się tam spotkać i wybrać na zakupy razem.

– Uwielbiamy Prowansję, a polowanie na antyki z kimś takim jak pani byłoby niezmiernie – dodała Carol.

– Nie mamy dzieci, bardzo lubimy podróżować, zwłaszcza do Francji, i naprawdę przepadamy za antykami – ciągnął Luke. –

Szukamy już nawet projektanta, który pomoże nam dobrać tapety i materiał na podłogi.

– Znam chyba wszystkich w tej branży – powiedziała Noelle. – Kiedy chcieliby państwo jechać?

Masseyowie spojrzeli na siebie, jakby próbowali sobie przypomnieć, czy w ich wypełnionym po brzegi kalendarzu są jakieś dziury.

– Za dwa tygodnie jedziemy służbowo do Londynu – odparł Luke. – Może zaraz potem?

– Czy to nie za wcześnie? – spytała Carol.

Noelle zastanowiła się i odrzekła:

– Nie, powinnam zdążyć. Jeżdżę tam kilka razy w roku, mam mieszkanie w Awinionie.

– Super! – wykrzyknęła podekscytowana Carol. – Witaj, przygodo! Już widzę, jak w naszym domu roi się od mebli, które sami znajdziemy.

Luke podniósł kieliszek.

– Za polowanie na antyki w południowej Francji!

3

Dwa dni później na pierwszą ciężarówkę załadowano większość kupionych przez nich rzeczy. Ciężarówka opuściła wyspę, kierując się do magazynu w Houston, gdzie czekało bardzo dużo miejsca: Luke i Carol Masseyowie wynajęli prawie sto metrów kwadratowych powierzchni. Ale rachunek miał trafić na biurko Elaine Shelby.

A za kilka miesięcy, kiedy projekt dobiegnie końca – bez względu na rezultat – piękne antyki zaczną powoli wracać na rynek.

4

O zmierzchu Mercer poszła na plażę, skręciła na południe i ruszyła przed siebie tuż nad wodą. Mieszkający cztery domy dalej

Nelsonowie zatrzymali ją na krótką pogawędkę i ich kundelek obwąchał jej kostki. Oboje byli po siedemdziesiątce i spacerowali, wciąż trzymając się za ręce. Przyjacielscy do granic wścibstwa, zdołali wyciągnąć z Mercer powód jej małych wakacji.

– Miłego pisania! – życzył jej pan Nelson na odchodnym.

Kilka minut później zatrzymała ją pani Alderman z ósmego domu na północ, kobieta zawsze łaknąca kontaktu z ludźmi, która wyszła na spacer z dwoma pudelkami bliźniakami. Mercer kontaktu nie łaknęła, ale dobrze mieć miłych sąsiadów.

Tuż przed moło weszła na drewniany chodnik. Znów przyjechała Elaine i chciała się z nią spotkać. Czekwała na małym patio przed trypoziomowym segmentem mieszkalnym, który wynajęła na czas operacji. Mercer była tam kiedyś i nie widziała nikogo oprócz niej. Jeśli Elaine miała współników, to zupełnie niewidocznych. Pytana, czy ktoś jej towarzyszy, unikała konkretnej odpowiedzi.

Weszły do kuchni.

– Napijesz się czegoś?

– Wystarczy woda – odparła Mercer.

– Jadłaś kolację?

– Nie.

– Możemy zamówić pizzę, sushi albo chińszczyznę na wynos. Na co masz ochotę?

– Właściwie to nie jestem głodna.

– Ja też nie. Usiądźmy. – Elaine wskazała stolik śniadaniowy między kuchnią i pokojem. Otworzyła lodówkę i wyjęła dwie butelki wody.

Mercer usiadła i rozejrzała się.

– Tu się zatrzymałaś?

– Tak, na dwa dni. – Elaine usiadła naprzeciwko niej.

– Sama?

– Tak. Dzisiaj nikogo innego tu nie ma. Przyjeżdżamy i wyjeżdżamy.

„My”? Mercer miała ochotę ją o to spytać, lecz zrezygnowała.

– A więc byłaś w sklepie Noelle... – zagadnęła Elaine.

Mercer skinęła głową. Jak co wieczór napisała do niej maila, tym razem dość ogólnikowego.

– Opowiadaj – poprosiła Elaine. – Opisz mi rozkład pomieszczeń.

Nie szczędząc szczegółów, Mercer oprowadziła ją wirtualnie po wszystkich pokojach na górze i na dole. Elaine uważnie słuchała, choć nie robiła notatek. Było oczywiste, że dużo wie o sklepie.

– Jest tam piwnica?

– Tak, Noelle wspomniała przelotnie, że ma tam warsztat, ale nie było powodu, żeby tam iść.

– Zatrzymała dla ciebie to biurko. Chcieliśmy je kupić, ale powiedziała, że nie jest na sprzedaż. Kupisz je i, na przykład, postanowisz przemaalować. Może Noelle zrobi to w piwnicy, a ty będziesz chciała obejrzeć próbki nowych kolorów. Musimy tam zajrzeć, ponieważ piwnica sąsiaduje z podziemiami księgarni.

– Kto próbował kupić to biurko?

– My, Mercer. Ci dobrzy. Nie jesteś sama.

– Tylko dlaczego mnie to nie pociesza?

– Nikt cię nie obserwuje. Tak jak powiedziałam, przyjeżdżamy i wyjeżdżamy.

– Dobrze. Założmy, że się tam dostanę. Co wtedy?

– Po prostu patrz. Obserwuj. I zapamiętuj. Przy odrobinie szczęścia możemy tam znaleźć drzwi do księgarni.

– Wątpię.

– Ja też, ale musimy sprawdzić. Czy ściana jest betonowa, ceglana czy drewniana? Niewykluczone, że pewnego dnia czy nocy będziemy musieli się przez nią przebić. A kamery? Są tam kamery?

– Dwie – odparła Mercer. – Jedna wycelowana we frontowe drzwi, druga na zapleczu, w kuchni. Może jest ich więcej, ale nie widziałam. Na piętrze nie ma. Ale pewnie już o tym wiesz.

– Tak, tylko że w tej branży wszystko sprawdza się trzy razy i nigdy nie przestaje gromadzić informacji. Jak są zamykane frontowe drzwi?

– Na zwykły zamek, nic nadzwyczajnego.

– Widziałaś tylne?

– Nie, ale nie widziałam całego zaplecza. Myślę, że są tam jeszcze jakieś pomieszczenia.

– Po wschodniej stronie jest księgarnia. Po zachodniej biuro pośrednika handlu nieruchomościami. Łączy się jakoś ze sklepem?

– Nie wiem, nie widziałam – rzuciła Mercer.

– Dobra robota – pochwaliła ją Elaine. – Wystarczyły trzy tygodnie i bez wzbudzania podejrzeń wtopiłaś się w tło. Poznałaś kogo trzeba, widziałaś to, co było do zobaczenia, i jesteśmy bardzo zadowoleni. Ale chcemy, żeby zaczęło się coś dziać.

– I na pewno macie coś w zanadrzu.

– Owszem. – Elaine wzięła z kanapy trzy książki i położyła je na środku stołu. – Jest tak: twoja babcia wyjechała z Memphis w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym piątym roku i przeprowadziła się tu na stałe. Wiemy, że zapisała swój majątek trojgu dzieciom, każdemu po równo. W testamencie była klauzula przyznająca ci dwadzieścia tysięcy dolarów w gotówce, na studia. Miała sześcioro innych wnuków i wnuczek, twoją siostrę Connie, troje dzieci Holsteada z Kalifornii i Sarę, jedyne dziecko Jane. Ale tylko dla ciebie zrobiła specjalny zapis.

– Bo tylko mnie naprawdę kochała.

– Tak, więc oto jak według nas było. Po jej śmierci przeglądałaś z Connie rzeczy osobiste babci, niewymienione w testamencie drobiazgi, i postanowiłyście się nimi podzielić: ubraniami, starymi zdjęciami, mało wartościowymi obrazami i tak dalej. Na pewno coś wymyślisz. Tobie przypadł między innymi karton książek, głównie dla dzieci, które babcia kupowała dla ciebie przez te wszystkie lata. Na dnie kartonu leżały te trzy, pierwsze wydania z biblioteki w Memphis, książki, które babcia wypożyczyła w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym piątym. Przeprowadzając się na wyspę, świadomie albo przez nieuwagę zabrała je ze sobą. Minęło trzydzieści lat i teraz masz je ty.

– Są cenne?

– Tak i nie – odparła Elaine. – Spójrz na tę na wierzchu.

The Convict Jamesa Lee Burke’a, książka w idealnym stanie, w doskonale zachowanej, zabezpieczonej folią obwolucie. Mercer otworzyła ją, spojrzała na stronę redakcyjną i przeczytała: *Pierwsze wydanie*.

– Jak zapewne wiesz, w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym piątym ten zbiór opowiadań wzbudził wielkie zainteresowanie. Podobał się krytykom i dobrze się sprzedał.

– Ile jest wart? – spytała Mercer.

– Tydzień temu kupiliśmy go za pięć tysięcy dolarów. Pierwszy nakład był mały i w obiegu jest niewiele egzemplarzy. Na tylnej stronie obwoluty zobaczysz kod kreskowy. Dokładnie taki, jakich w latach osiemdziesiątych używała biblioteka w Memphis, więc książka jest praktycznie bez skazy. Oczywiście to my go dodaliśmy, ale Cable na pewno zna kogoś, kto bez trudu go usunie. To nie takie trudne.

– Pięć tysięcy dolarów... – powtórzyła Mercer, jakby trzymała w ręce sztabę złota.

– Tak, w dodatku u powszechnie szanowanego antykwariusza. Plan jest taki, że wspomnisz o niej Cable’owi. Nie wiesz, co robić. Babcia wypożyczyła ją i nie zwróciła, więc nie była jej prawowitą właścicielką. Książka należy do biblioteki w Memphis, ale bez przesady. Po trzydziestu latach? No, a ty oczywiście potrzebujesz pieniędzy.

– Zrobimy z babci złodziejkę?

– Mercer, to tylko fikcja.

– Nie wiem, czy chcę ją zniesławiać. Ona już nie żyje.

– Właśnie, „nie żyje” to kluczowe słowa. Zmarła jedenaście lat temu i niczego nie ukradła. A twoje kłamstwo usłyszy tylko Cable.

Mercer wzięła powoli drugą książkę, *Krwawy południk* Cormaca McCarthy’ego, wydaną przez Random House w 1985 roku, pierwsze wydanie w błyszczącej obwolucie.

– A ta? – spytała. – Ile jest warta?

– Dwa tygodnie temu zapłaciliśmy za nią cztery tysiące.

Mercer odłożyła ją na bok i wzięła trzecią, *Na południe od Brazos* Larry’ego McMurtry’ego, wydaną przez Simona & Schustera, też w 1985 roku. Ta była trochę zacytana, choć miała nieskazitelną obwolucę.

– Z tą jest trochę inaczej – powiedziała Elaine. – Spodziewając się wysokich zysków, w pierwszym rzucie wydawnictwo wypuściło na rynek czterdzieści tysięcy egzemplarzy i wiele z nich wciąż jest w obiegu, co oczywiście pomniejsza ich wartość. Zapłaciliśmy za nią pięćset dolarów i dodaliśmy obwolucę, żeby podwoić cenę.

– Obwoluta jest fałszywa?

– Tak, w tej branży to powszechna praktyka, przynajmniej wśród oszustów. Dobrze podrobiona obwoluta bardzo zwiększa wartość

książki. A my znaleźliśmy świetnego fałszerza.

Mercer znów zauważyła, że Elaine użyła liczby mnogiej, i po raz enty zdumiał ją rozmach tej operacji. Odłożyła książkę i wypła trochę wody.

– Więc mam je sprzedać Cable’owi? Podróbki? Nie wiem, czy chcę.

– Nie, masz je wykorzystać jako pretekst, żeby się do niego zbliżyć. Na początek tylko o nich wspomnisz. Że nie wiesz, co z nimi zrobić. Że z moralnego punktu widzenia nie powinnaś ich sprzedawać, ponieważ tak naprawdę nie należą do ciebie. Potem mu je zanieasz, jedną, dwie czy wszystkie naraz, i zobaczysz, jak zareaguje. Może pokaże ci swój zbiór w piwnicy albo skarbcu, jeśli rzeczywiście go ma. Kto wie, jak potoczy się rozmowa. Mercer, po prostu chcemy, żebyś weszła do jego świata. Być może skorzysta z okazji i kupi *Convicta* albo *Krwawy południk*, a może już je ma. Jeśli go dobrze podejmiemy, może mu się spodobać to, że książki są trochę „lewe”. No i sprawdzimy, czy jest wobec ciebie uczciwy, bo wiemy, ile są warte. Zaniży cenę? Kto wie? Ale nie chodzi o pieniądze. Chodzi o to, żebyś stała się częsteczką jego podejrzanych interesów.

– Nie wiem, czy mi się to podoba.

– To tylko fikcja, Mercer, nieszkodliwa bajka. Nabyliśmy te książki legalnie. Jeśli Cable je kupi, odzyskamy pieniądze. Jeśli je potem sprzeda, też wyjdzie na swoje. Nie ma w tym nic złego ani nieetycznego.

– Dobrze. Nie wiem tylko, czy uda mi się wiarygodnie zagrać.

– Przecież żyjesz w świecie fikcji. Po prostu stworzysz trochę nowej.

– Fikcja źle się ostatnio sprzedaje.

– Przykro mi.

Mercer wzruszyła ramionami i wypła łyk wody. Spojrzała na książki i przez jej głowę przebiegło kilka różnych scenariuszy. W końcu spytała:

– Co może pójść nie tak?

– Cóż, Cable mógłby skontaktować się z Memphis i zacząć węszyć, ale to olbrzymia sieć bibliotek i niczego by nie znalazł. Minęło trzydzieści lat, wszystko się zmieniło. Ta biblioteka traci tysiąc

książek rocznie, bo ludzie po prostu ich nie zwracają, i jak typowa biblioteka, nie jest zainteresowana ich tropieniem i odzyskiwaniem. Poza tym twoja babcia wypożyczała bardzo dużo książek.

– Chodziłyśmy tam co tydzień.

– Wszystko ma ręce i nogi. Cable nie da rady tego sprawdzić.

Mercer wzięła do ręki *Na południe od Brazos*.

– A jeśli zauważy tę fałszywą obwolutę?

– Myśleliśmy o tym i też nie jesteśmy pewni, czy ją wykorzystać – odparła Elaine. – W zeszłym tygodniu pokazaliśmy ją dwóm doświadczonym antykwariuszom, specjalistom, którzy widzieli dosłownie wszystko, i żaden się nie połapał. Ale masz rację. Być może gra nie jest warta świeczki. Zaczynij od tamtych, ale każ mu poczekać. Przeciągaj to, jakbyś toczyła wewnętrzną walkę, miała dylemat moralny i nie wiedziała, czy to uczciwe i sprawiedliwe. Zobaczymy, jakiej udzieli rady.

Mercer wyszła z książkami w płócienną torbę i wróciła na plażę. Morze było spokojne, a przypływ niski. Piasek tonął w blasku okrągłego księżyca. Idąc, słyszała coraz głośniejsze głosy. W połowie drogi do wydm po lewej stronie zobaczyła młodą parę baraszkującą na ręczniku. Ich szepty przeplatały się z westchnieniami i jękami rozkoszy i omal nie przystanęła, żeby popatrzeć do samego końca, do ostatniego dźgnięcia i pchnięcia. Z trudem zmusiła nogi do posłuszeństwa i powoli poszła dalej, chłonąc to, co mogła.

Zzerała ją zazdrość. Ile to już czasu?

5

Druga nowa powieść skończyła się nagle już po pięciu tysiącach słów i trzech rozdziałach, ponieważ zmęczyły ją postacie i znudziła treść. Sfrustrowana, przybita, a nawet trochę zła na siebie i całe to pisanie, włożyła najskąpsze bikini w swojej ciągle rosnącej kolekcji i poszła na plażę. Minęła dopiero dziesiąta, lecz Mercer nauczyła się unikać południowego skwaru. Od dwunastej do mniej więcej piątej było po prostu za gorąco, czy to nad wodą, czy nie. Chociaż trochę się już opaliła, nie chciała siedzieć za długo na słońcu. Poza tym

około dziesiątej widywała tego biegacza, nieznanego mężczyznę w jej wieku. Biegał na bosaka przy samej wodzie, wysoki, szczupły i błyszczący od potu. Musiał dużo ćwiczyć, bo miał idealnie płaski brzuch i pięknie wykształcone bicepsy i łydki. Biegał lekko, z płynną gracją, i wmówiła sobie, że na jej widok trochę zwalnia. Tydzień temu dwa razy nawiązali kontakt wzrokowy i uznała, że nadszedł czas na pierwsze „Cześć”.

Ustawiała leżak i parasol i smarując się kremem, wypatrywała ruchu w południowej części plaży. Mężczyzna zawsze nadbiegał właśnie stamtąd, od strony Ritza i luksusowych apartamentowców. Rozłożyła ręcznik, wyciągnęła się na słońcu, włożyła ciemne okulary i słomkowy kapelusz i czekała. Na plaży było prawie pusto, jak to w powszedni dzień. Na jego widok zamierzała wstać, swobodnym krokiem podejść do wody, przeciąć mu drogę i zaskoczyć go rzuconym od niechcienia „Cześć”, przyjaznym jak wszystko i wszyscy na tej najprzyjaźniejszej z plaż. Podparła się łokciami, próbując zapomnieć, że jest kolejną pisarką, której się nie powiodło. Pięć tysięcy słów, które właśnie skasowała, było najgorszym gniotem, jaki kiedykolwiek wyszedł spod jej pióra.

Musiał tu mieszkać co najmniej od dziesięciu dni, za długo jak na hotel. Może wynajął gdzieś mieszkanie na miesiąc.

Nie miała pojęcia, o czym teraz pisać.

Po pięciu latach bezbarwnych postaci, siermiężnej prozy i pomysłów tak fatalnych, że nie podobały się nawet jej samej, była przekonana, że już nigdy nie skończy żadnej powieści.

Zadzwoiła komórka.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadzam geniuszce w pracy – zaczął Bruce.

– Absolutnie – odparła. – Właśnie leżę prawie nago na plaży, zastanawiając się, jak tu kogoś uwieść. Zrobiłam sobie przerwę.

– Świetnie. Posłuchaj, mamy dziś wieczór autorski i martwię się trochę o publiczność. To zupełnie nieznanymi debiutant z niezbyt udaną powieścią.

Jak wygląda? – pomyślała. Ile ma lat? Hetero czy gej?

– Aha, więc tak sprzedajesz książki. Skrzykujesz na pomoc znajomych pisarzy.

– No jasne! Poza tym Noelle wydaje przyjęcie, na jego cześć oczywiście. Tylko my, ty, on, Myra i Leigh. Powinno być zabawnie. Co ty na to?

– Zaczekaj, zajrzę do kalendarza... Tak, jestem wolna. O której?

– O szóstej, potem kolacja.

– A stroje? Nieformalne?

– Żartujesz? Jesteś na plaży, tu uchodzi wszystko. Nawet buty nie są obowiązkowe.

Jedenasta. Słońce prażyło piasek jak piec, a wiatr przeniósł się gdzie indziej. Pewnie było za gorąco na bieganie.

6

Nazywał się Randall Zalinski, a szybkie zerknięcie do internetu niewiele dało. Krótka notka biograficzna, celowo ogólnikowa, miała stworzyć wrażenie, że „kariera w mrocznym świecie szpiegostwa” dała mu rzadką możliwość wglądu we wszelkie odmiany terroryzmu i przestępczości komputerowej. Jego powieść traktowała o futurystycznym pojedynku między Stanami Zjednoczonymi, Rosją i Chinami. Dwuakapitowe streszczenie było wprost absurdalnie sensacyjne, poza tym nudne. Podrasowane zdjęcie przedstawiało białego mężczyznę w wieku czterdziestu kilku lat. Ani słowa o żonie czy rodzinie. Mieszkał w Michigan, gdzie, oczywiście, pracował nad kolejną powieścią.

Miał to być jej trzeci wieczór autorski w Bay Books. Uczestnictwo w pierwszych dwóch przywiodło bolesne wspomnienia z przerwanej przed siedmiu laty tury promocyjnej, dlatego przyrzekła sobie, że już nigdy na żaden nie pójdzie, a przynajmniej będzie ich unikać. Jak się okazało, nie było to łatwe, bo wieczory autorskie dawały jej pretekst do zaglądania do księgarni, a więc do czegoś, co musiała robić i do czego usilnie namawiała ją Elaine. Poza tym nie mogła powiedzieć Bruce’owi, że jest zbyt zajęta, aby wesprzeć kolegę po fachu, zwłaszcza że osobiście ją zaprosił.

Myra nie zmyślała: księgarnia miała grono lojalnych wielbicieli, a Cable potrafił ściągnąć spory tłumek gości. Kiedy Mercer tam

przyszła, na górze kłębiło się około czterdziestu najwierniejszych. Stoliki i półki odsunięto pod ściany, żeby zrobić miejsce na krzesła, na chybił trafił ustawione wokół małego podium.

O szóstej rozgadani wierni wreszcie usiedli. Większość piła tanie wino z plastikowych kubków, a wszyscy wydawali się odprężeni i zadowoleni, że mogą tu być. Myra i Leigh usiadły w pierwszym rzędzie, centymetry od podium, jakby zawsze rezerwowano dla nich najlepsze miejsca. Myra rechotała i rozmawiała z co najmniej trzema osobami naraz. Leigh przycupnęła cichutko obok niej, nieśmiało chichocząc w stosownych momentach. Mercer stanęła z boku i oparła się o półkę jak ktoś, kto tam nie pasuje. Prawie wszyscy mieli siwe włosy i byli na emeryturze; po raz kolejny zauważyła, że jest wśród nich najmłodsza. Atmosfera była ciepła i kameralna, jak to na spotkaniu grupy miłośników książek, którzy przyszli zobaczyć nowego pisarza.

Mercer stwierdziła, że mu zazdrości. Gdyby tylko udało jej się skończyć tę przekłętą powieść, też mogłaby ruszyć w objazd i przyciągnąć wielbicieli. Ale zaraz przypomniała sobie własną turę promocyjną, jedyną i jakże krótką. Dlatego tym bardziej doceniała księgarnie takie jak ta i księgarzy takich jak Bruce Cable, ludzi, którzy ciężko pracowali, żeby zapewnić autorom publiczność.

Bruce wszedł na podium, powitał gości, po czym zaczął przedstawiać i pod niebo wychwalać Randy'ego Zalinskiego. Lata pracy w „świecie wywiadu” zapewniły mu rzadką możliwość zgłębienia niewidocznych niebezpieczeństw czyhających za każdym rogiem. I tak dalej, i tak dalej.

Zalinski bardziej przypominał szpiega niż pisarza. Zamiast w tradycyjnych wyblakłych dzinsach i wymiętej marynarce, wystąpił w eleganckim ciemnym garniturze i białej koszuli bez krawata. Ani śladu wąsów, przystojna opalona twarz, no i brak obrączki. Mówił z pamięci pół godziny, racząc ich przerażającymi historiami o przyszłych wojnach informatycznych i o tym, że pod względem rozwoju cybernetyki Stany Zjednoczone nie nadążają za swoimi wrogami, Rosjanami i Chińczykami. Mercer podejrzewała, że usłyszy to samo podczas kolacji.

Wyglądało na to, że podróżuje sam. Odpłynąwszy myślami w dal, doszła do wniosku, że jako mężczyzna ma potencjał, choć, niestety,

nazajutrz wyjeżdżał. Przypomniała jej się także legenda, według której Bruce uderzał do młodszych pisarek, a Noelle do pisarzy. Podobno sypiali z nimi w specjalnym pokoju na wieży, ale teraz, kiedy już ich poznała, trudno jej było w to uwierzyć.

Kiedy Zalinski skończył, zgromadzeni zgotowali mu owację, a potem ustawili się w kolejce przed stołem, gdzie leżał stos jego książek. Mercer wolałaby nie kupować książki, bo nie zamierzała jej czytać, lecz nie miała wyboru. Doskonale pamiętała, jak sfrustrowana siedziała przy takim samym stole z rozpaczliwą nadzieją, że ktoś kupi jej powieść. Poza tym następne trzy godziny miała spędzić z autorem, czuła się więc zobowiązana. Dlatego cierpliwie stanęła w kolejce. Myra zobaczyła ją i wszczęła rozmowę. Przedstawiły się Zalinskiemu i patrzyły, jak ten gryzmoli swój podpis w jednej książce i drugiej.

– Trzydzieści dolców poszło się dymać – wymamrotała zbyt głośno Myra, kiedy schodziły na dół. – Nie przeczytam ani słowa.

Mercer stłumiła śmiech.

– Ja też nie, ale nasz księgarz się cieszy.

– Noelle czeka w domu – szepnął do nich stojący za kasą Bruce. – Idźcie od razu tam.

Więc poszły.

– Byłaś już u nich? – spytała Myra.

– Nie, ale widziałam album – odparła Mercer.

– Będiesz miała miłą niespodziankę, a Noelle jest doskonałą panią domu.

7

Dom, bogato udekorowany i pełen rustykalnych mebli, przypominał sklep Noelle. Gospodyni oprowadziła je szybko po parterze, a potem pobiegła do kuchni, żeby zajrzeć do piekarnika. Myra, Leigh i Mercer wyszły z drinkami na tylną werandę i znalazły chłodniejsze miejsce pod rozdygotanym wentylatorem. Wieczór był parny, a Noelle zapowiedziała, że kolację zjedzą w środku.

Do nieoczekiwanego zwrotu wydarzeń doszło w chwili, kiedy przyszedł Bruce. Sam. Oświadczył, że ich gość, pan Zalinski, ma atak migreny. Bardzo przeprasza, ale musi trochę poleżeć w ciemnym hotelowym pokoju. Myra wsiadła na Bruce'a, kiedy tylko podszedł do nich z drinkiem w ręce.

– Poproszę o zwrot trzydziestu dolarów. – Powiedziała to tak, że nie było wiadomo, czy mówi poważnie, czy żartuje. – Nie przeczytałabym tej książki nawet pod groźbą pistoletu.

– Oj, lepiej uważaj – ostrzegł ją Bruce. – Gdyby moja mała księgarnia zwracała pieniądze wszystkim klientom, byłabyś mi winna fortunę.

– Więc nie przyjmujecie zwrotów? – spytała Mercer.

– Nigdy.

– Jeśli już zmuszasz nas do kupowania książek, sprowadzaj chociaż porządnych pisarzy.

Bruce uśmiechnął się i spojrzał na Myrę.

– Odbywamy tę rozmowę co najmniej trzy razy w roku. Myra, królowa literackiego kiczu, ma w głębokim poważaniu niemal wszystkich innych popularnych pisarzy.

– Nieprawda – odparowała Myra. – Po prostu nie trawię szpiegostwa i wszystkich tych wojskowych bzdetów. Nie tknę tego badziewia i nie chcę, żeby zagracało mi dom. Odsprzedam ci je za dwadzieścia dolców.

– Przestań, Myro – wtrąciła się Leigh. – Przecież lubisz bałagan.

Noelle dołączyła do nich z kieliszkiem wina w ręce. Martwiła się o Zalinskiego i zastanawiała, czy nie wezwać zaprzyjaźnionego lekarza. Ale Bruce powiedział, że Zalinski to twardy facet i potrafi się o siebie zatroszczyć.

– Poza tym jest nudny – dodał.

– A jego powieść? – spytała Mercer.

– Opuszczałem fragment za fragmentem. Za dużo tam technikaliów, popisywania się znajomością technologii, gadżetów i dark webu. Kilka razy odkładałem książkę na bok.

Myra parsknęła śmiechem.

– Ja jej nawet nie podniosę! I szczerze mówiąc, wcale nie cieszyłam się na tę kolację.

Leigh nachyliła się ku nim i spojrzała na Mercer.

– Pamiętaj, moja droga: nigdy nie odwracaj się plecami do nich.

– Więc skoro już teren jest czysty, chodźmy coś zjeść – zaproponowała Noelle.

W szerokim holu gdzieś między werandą i kuchnią stał udekorowany drewniany stół, ciemny, okrągły i dziwnie współczesny. Cała reszta była stara, poczynając od krzeseł w kolorze kości słoniowej po delikatne francuskie talerzyki i duże talerze z palonej gliny. Wszystkie naczynia też wyglądały jak przeniesione prosto z kart jej albumów i były niemal za ładne, żeby z nich jeść.

– Noelle, chyba jednak kupię to biurko – oświadczyła Mercer, kiedy usiedli i dolano im do kieliszków.

– Ależ oczywiście! Pytało o nie tylu chętnych, że musiałam postawić na nim tabliczkę z napisem, że jest już sprzedane.

– Zebranie pieniędzy trochę potrwa, ale muszę je mieć.

– Myślisz, że to dobre lekarstwo na blokadę? – spytała Myra. – Stare francuskie biurko?

– Kto powiedział, że mam blokadę? – odparła Mercer.

– Więc jak nazwiesz stan, w którym nie wiesz, co napisać, bo nic nie przychodzi ci do głowy?

– Może... „posuchą”?

– Bruce? Ty tu jesteś ekspertem.

Bruce trzymał właśnie dużą misę, z której Leigh nakładała na talerz sałatę.

– „Blokada” brzmi za surowo – odparł. – Chyba wolę „posuchę”. Ale pytać o to maluczkiego? To wy jesteście kowalami słów.

Myra roześmiała się bez wyraźnego powodu.

– Leigh, pamiętasz nasz miesięczny rekord? Ten durny wydawca, niech go szlag, nie chciał nam zapłacić, a nie mogliśmy przejść do innego, bo byliśmy mu winne trzy powieści. Więc wymyśliłyśmy trzy najkoszmarniejsze fabuły pod słońcem, bardziej idiotycznych się nie dało, i przez trzydzieści dni po dziesięć godzin dziennie stukałam na maszynie.

– Ale miałyśmy w zanadrzu jedną naprawdę dobrą – dodała Leigh, podając miskę dalej.

– Właśnie – kontynuowała Myra. – Miałyśmy kapitalny pomysł na lekką powieść, taką z przymrużeniem oka, ale nie zamierzałyśmy sprzedawać jej temu palantowi. Musiałyśmy najpierw wywiązać się

z tej parszywej umowy, żeby opchnąć książkę komuś, kto doceni nasz geniusz. Plan wypalił, choć tylko częściowo. Dwa lata później te trzy gnioty wciąż sprzedawały się jak szalone, a nasza wspaniała powieść zrobiła klapę. I bądź tu mądry.

– Ale chciałabym je przemaalować – wtrąciła Mercer. – Biurko.

– Pokażę ci próbki kolorów – obiecała Noelle. – Wybierzemy taki, który będzie idealnie pasował do wystroju twojego domu.

– Widziałas jej dom? – spytała Myra z teatralnym zaskoczeniem. – Bo my nie. Kiedy go zobaczymy?

– Już wkrótce – obiecała Mercer. – Wydam kolację.

– Przekaż im dobrą nowinę, Noelle – poprosił Bruce.

– Jaką nowinę?

– Nie bądź taka skromna. Kilka dni temu pewne bogate małżeństwo z Teksasu wykupiło cały towar. Nie zostało dosłownie nic.

– Szkoda, że nie kolekcjonują książek – westchnęła Leigh.

– Ale biurko zatrzymałam – powiedziała Noelle.

– Noelle chce zamknąć sklep i pojechać na miesiąc do Francji po nowy towar.

– To bardzo mili ludzie – dodała Noelle. – No i znają się na rzeczy. Umówiłam się z nimi na zakupy w Prowansji.

– Super – rzuciła Mercer. – Na pewno będzie fajnie.

– Może z nami pojedziesz?

– Spokojnie możesz – zapewniła ją Myra. – Twoja powieść bardziej nie ucierpi.

– Przestań, Myro – upomniała ją Leigh.

– Byłaś w Prowansji? – spytała Noelle.

– Nie, ale zawsze chciałam tam pojechać – odparła Mercer. – Na długo się wybieracie?

Noelle wzruszyła ramionami, jakby nie miało to znaczenia.

– Nie wiem, może na miesiąc? – Zerknęła na Bruce'a i coś między nimi przemknęło, jakby zaproszenie nie było wcześniej ustalone.

Mercer zrozumiała to spojrzenie i wykorzystała je.

– Lepiej odłożę te pieniądze na biurko.

– Mądra decyzja – oceniła Myra. – Zostań i pisz. Pewnie nie potrzebujesz mojej rady...

– Jasne, że nie potrzebuje – wtrąciła cicho Leigh.

Kiedy stół obeszła duża miska risotto z krewetkami i koszyk chleba, Myra zjadła kilka kęsów i zaczęła szukać kłopotów.

– Oto jak, moim zdaniem, powinniśmy to rozegrać – wymlaskała z ustami pełnymi jedzenia. – To dość niezwykle i nigdy dotąd tego nie robiłam, ale tym bardziej warto spróbować, wypłynąć na niezbadane wody. Powinniśmy zainterweniować literacko, teraz, w tej chwili, siedząc przy tym stole. Mercer, jesteś tu... od kiedy? Od mniej więcej miesiąca, tak? Przez ten czas nie napisałaś ani jednego słowa, które by się dobrze sprzedało, i szczerze mówiąc, mam dość twojego stękania, kwękania i jęczenia, że nie drgnęłaś z miejsca. Jest oczywiste, że po prostu nie masz dobrej fabuły, a ponieważ nie wydałaś żadnej książki od... Od ilu? Od dziesięciu lat?

– Od pięciu.

– Wszystko jedno, potrzebujesz pomocy, to jasne jak słońce. Dlatego proponuję, żebyśmy jako jej nowi przyjaciele zainterweniowali i podsunęli jej stosowną fabułę. Rozejrzyj się, Mercer: siedzą tu same talenty. Jestem przekonana, że uda nam się skierować cię we właściwą stronę.

– Hm... gorzej być chyba nie może – powiedziała Mercer.

– Rozumiesz? – kontynuowała Myra. – Chcemy ci pomóc. – Pociągnęła łyk piwa z butelki. – Dobrze. Zaczniemy od ustalenia podstawowych parametrów. Po pierwsze i najważniejsze, trzeba zdecydować, czy chcesz tworzyć literaturę piękną, czyli coś, czego nikt nie chce wziąć do ręki, a Bruce nie może nikomu wcisnąć, czy coś bardziej popularnego. Przeczytałam twoją powieść i zbiór opowiadań i zupełnie się nie dziwię, że się tak marnie sprzedawały. Wybacz, ale jestem szczerą, okay? Ostatecznie to jest interwencja i musimy być brutalni. Czy wszyscy są za brutalną szczerością?

– Śmiało, wal – odparła z uśmiechem Mercer.

Pozostali kiwnęli głowami. Jasne, pysznie się bawimy, mów dalej!

Myra nadziała na widelec liść sałaty i wepchnęła go do ust.

– Jesteś naprawdę świetna, dziewczyno, i kilka zdań, które napisałaś, naprawdę mnie powaliło. Można twierdzić, że zdanie nie powinno nikogo powalać, ale tak, piszesz po mistrzowsku i uważam, że potrafiłabyś napisać wszystko. Więc co to będzie? Literatura piękna czy popularna?

– A może i to, to, dwa w jednym? – zasugerował Bruce, który najwyraźniej świetnie się bawił.

– Owszem, garstka pisarzy dałaby z tym sobie radę – odparła Myra. – Ale nie znakomita większość. – Spojrzała na Mercer. –

Dyskutujemy o tym od dziesięciu lat, odkąd się poznaliśmy. Ale załóżmy, że nie napiszesz wielkiego dzieła literackiego, które rzuci krytyków na kolana i jednocześnie zapewni ci imponujące dochody. Aha, tylko pamiętaj, że nie przemawia przeze mnie zazdrość. Już nie piszę, moja kariera dobiegła końca. Nie wiem, co robi ostatnio Leigh, ale ona też raczej nic nie wydaje.

– Przestań, Myro.

– Można bezpiecznie założyć, że jej kariera literacka też dobiegła kresu, więc wszystko nam jedno. Jesteśmy stare i mamy kupę szmalu, więc żadne z nas rywalki. Natomiast ty jesteś młoda, utalentowana i masz przed sobą przyszłość, musisz się tylko na coś zdecydować. Stąd interwencja. Chcemy ci pomóc. Tak przy okazji: Noelle, risotto jest pyszne.

– Mam odpowiedzieć? – spytała Mercer.

– Nie, to jest interwencja. My będziemy cię katować, a ty masz siedzieć i słuchać. Bruce, ty pierwszy. Co Mercer powinna pisać?

– Najpierw spytałbym, co czyta.

– Wszystko, co wyszło spod pióra Randy’ego Zalinskiego – odparła Mercer, wywołując salwę śmiechu.

– Biedactwo ma migrenę, a my obgadujemy go przy kolacji – powiedziała Myra.

– Niech Bóg nam wybaczy – rzuciła cicho Leigh.

– Wymień tytuły ostatnich trzech powieści, które przeczytałaś – poprosił Bruce.

Mercer zawahała się i upiła łyk wina.

– Bardzo podobał mi się *Słowik* Kristin Hannah, i chyba dobrze się sprzedał.

– Fakt – zgodził się z nią Bruce. – I wciąż się sprzedaje, w miękkiej oprawie.

– Mnie też się podobał, ale nie zarobisz na życie, pisząc o Holokauście – orzekła Myra. – Poza tym co ty o tym wiesz?

– Nie powiedziałam, że chcę pisać o Holokauście. Hannah wydała dwadzieścia książek, każda jest inna.

- Nie jestem pewna, czy to proza literacka.
- A na pewno się na tym znasz? – spytała z uśmiechem Leigh.
- Czy to było złośliwe? – warknęła Myra.
- Tak.

Bruce postanowił zapanować nad sytuacją.

- Dobrze, a dwa pozostałe tytuły?
 - *Na szpulce niebieskiej nici* Anne Tyler – odparła Mercer. – To jedna z moich ulubionych, i jeszcze *LaRose* Louise Erdrich.
 - Same dziewczyny – zauważył.
 - Tak, rzadko czytam książki napisane przez mężczyzn.
 - Ciekawe i mądre, bo siedemdziesiąt procent wszystkich powieści kupują kobiety.
 - I wszystkie trzy dobrze się sprzedają, tak? – spytała Noelle.
 - O tak. To świetne i bardzo popularne książki.
 - Bingo! – rzuciła Mercer. – No to wszystko jasne.
- Bruce spojrzał na Myrę.
- Proszę bardzo, całkiem udana interwencja.
 - Nie tak szybko – powstrzymała go Myra. – A kryminały?
 - Chyba nie – powiedziała Mercer. – Nie umiem tak myśleć. Brakuje mi przebiegłości, żeby zostawiać w książce wskazówki, a potem naprowadzać na nie czytelnika.
 - Powieści z suspensem? Thrillery?
 - Nie, też nie. Nie umiem układać skomplikowanych intryg.
 - Może o szpiegach i szpiegostwie?
 - Mam w sobie za dużo z dziewczyny.
 - Horrorzy?
 - Żartujesz? Po ciemku boję się własnego cienia.
 - Romanse?
 - Brakuje mi znajomości tematu.
 - Porno?
 - Wciąż jestem dziewicą.
 - Porno już się nie sprzedaje – wtrącił Bruce. – Pełno tego w internecie, w dodatku za darmo.
- Myra dramatycznie westchnęła.
- To były czasy! Dwadzieścia lat temu w naszych książkach aż skwierczało. Fantastyka naukowa? Fantasy?
 - Omijam szerokim łukiem.

- Westerny?
- Boję się koni.
- Intryga polityczna?
- Boję się polityków.

– No to rzeczywiście wszystko jasne – podsumowała Myra. – Wygląda na to, że jesteś stworzona do pisania powieści historycznych o porąbanych rodzinach. Więc do roboty. Od tej chwili masz robić postępy.

– Zacznę z samego rana – obiecała Mercer. – I dzięki.

– Nie ma za co. A skoro już mowa o interwencjach, widzieliście ostatnio Andy’ego Adama? Pytam, bo kilka dni temu wpadłam w sklepie na jego byłą, która mówi, że z nim kiepsko.

– Powiedzmy, że ostatnio nie trzeźwieje – potwierdził Bruce.

– Można mu jakoś pomóc?

– Wątpię. Na razie jest zwykłym pijakiem i dopóki nie postanowi wytrzeźwieć, pijakiem pozostanie. Wydawca pewnie odrzuci jego ostatnią powieść, więc będzie jeszcze gorzej. Martwię się o niego.

Mercer obserwowała jego kieliszek. Elaine wspomniała kilka razy, że Bruce za dużo pije, lecz ona tego nie zauważyła. Podczas kolacji u Myry i Leigh pił niewiele; rzadko sobie dolewał i w pełni się kontrolował.

Załatwiwszy sprawę Andy’ego, Myra zapoznała ich z losami pozostałych znajomych. Bob Cobb żeglował wokół Aruby. Jay Arklerood zaszył się w Kanadzie, w samotnym domku myśliwskim znajomego. Amy Slater zajmowała się dziećmi, z których jedno grało w T-ball.

Bruce ucichł. Uważnie chłonał wszystkie plotki, lecz ich nie powtarzał.

Podeksytowana wyjazdem Noelle cieszyła się, że na miesiąc ucieknie z upalnej Florydy. W Prowansji też było ciepło, lecz nie tak wilgotno. Po kolacji ponowiła zaproszenie dla Mercer, może nie na miesiąc, ale powiedzmy na tydzień. Mercer podziękowała jej, lecz odmówiła. Musiała popracować nad powieścią, poza tym zbierała pieniądze na biurko.

– Już jest twoje – zapewniła ją Noelle. – Trzymam je dla ciebie.

Myra i Leigh wyszły o dziewiątej. Mercer pomogła Bruce’owi i Noelle w kuchni i pożegnała się z nimi przed dziesiątą. Kiedy

wychodziła, Bruce pił kawę z nosem w książce.

8

Dwa dni później poszła do miasteczka i zjadła lunch w cienistym ogródku małej kafejki. Potem, spacerując Główną, zobaczyła, że antykwariat Noelle jest już zamknięty. Na drzwiach wisiało odręcznie napisane zawiadomienie, że właścicielka wyjechała do Francji po antyki. W oknie wystawowym stało biurko, poza tym sklep ział pustką. Mercer zajrzała do sąsiadującej z nim księgarni, przywitała się z Bruce'em, weszła na górę, zamówiła kawę i wyszła na taras z widokiem na Trzecią. Tak jak się spodziewała, Bruce wkrótce do niej dołączył.

– Co cię tu sprowadza? – spytał.

– Nuda. Kolejny bezproduktywny dzień.

– Myślałem, że Myra wyleczyła cię z blokady.

– To nie takie proste, a szkoda. Masz chwilę? Chciałabym porozmawiać.

Cable uśmiechnął się i odparł, że oczywiście. Rozejrzał się dyskretnie i zobaczył kogoś przy pobliskim stoliku, dużo za blisko na rozmowę.

– Chodźmy na dół.

Zeszli do sali pierwszych wydań i zamknął drzwi.

– To musi być coś poważnego – rzucił z ciepłym uśmiechem.

– Raczej... delikatnego.

Opowiedziała mu historię starych książek babci Tessy, tych, które w 1985 roku „wypożyczyła” z biblioteki publicznej w Memphis. Przeczytała tę opowieść kilkanaście razy i sprawiała wrażenie szczerze zakłopotanej. Nie zdziwiła się, że historia mu się podobała i że wykazał duże zainteresowanie książkami. Nie widział potrzeby kontaktowania się z Memphis. Tak, oczywiście, biblioteka na pewno chciałaby je odzyskać, lecz już przed kilkudziesięcioma laty spisała je na straty. Poza tym nie doceniłaby ich prawdziwej wartości.

– Pewnie wstawiliby je z powrotem na półkę i ktoś by je ukradł – dodał. – Wierz mi, czekałby je marny los. Powinno się je chronić.

– Ale chyba nie mam prawa ich sprzedać, prawda?

Bruce uśmiechnął się i wzruszył ramionami, jakby był to zupełnie nieistotny szczegół.

– Znasz to stare powiedzenie? Rzeczy należą do tych, którzy je mają. Masz te książki od dziesięciu lat. Uważam, że należą do ciebie.

– Sama nie wiem... Z jakiegoś powodu źle bym się z tym czuła.

– Są w dobrym stanie?

– Chyba tak. Nie znam się na tym, ale bardzo o nie dbałam. Prawie w ogóle ich nie dotykałam.

– Mógłbym je zobaczyć?

– Nie wiem, to tylko... no wiesz... pierwszy krok. Gdybym ci je pokazała, byłibyśmy o krok od transakcji.

– Pozwól mi je chociaż obejrzeć.

– No nie wiem... Masz te tytuły w swoich zbiorach?

– Tak. Mam wszystkie książki Jamesa Burke'a i wszystkie Cormaca.

Mercer zerknęła na półki, jakby ich szukała.

– Nie, nie tutaj – rzucił. – Na dole, w dziale białych kruków. Słone, wilgotne powietrze działa zabójczo na książki, dlatego te najcenniejsze trzymam w podziemiach, w kontrolowanej temperaturze. Chciałabyś je zobaczyć?

– Może kiedy indziej – bąknęła od niechcienia, choć tak naprawdę powiedziała to z cudowną wprost obojętnością. – Ile mogą być warte? Tak w przybliżeniu.

– Zaraz sprawdzimy – odparł szybko, jakby spodziewał się tego pytania. Odwrócił się do komputera, nacisnął kilka klawiszy i spojrzał na ekran. – Pierwszy egzemplarz *Convicta* kupiłem w dziewięćdziesiątym ósmym za dwa tysiące pięćset dolarów, więc zdążył już pewnie podwoić swoją wartość. Wszystko zależy od stanu książki, którego nie ocenię, dopóki jej nie zobaczę. Drugi egzemplarz kupiłem w dwa tysiące trzecim za trzy tysiące pięćset... – ciągnął, przewijając ekran; Mercer go nie widziała, lecz kolekcja musiała być ogromna. – Mam jeden egzemplarz *Krwawego południka*. Kupiłem go od kolegi w San Francisco dziesięć lat temu... Nie, dziewięć. Zapłaciłem, zobaczmy... Dwa tysiące dolarów, ale książka jest trochę podniszczona i ma lekko uszkodzoną obwolutę.

To kup sobie fałszywkę, pomyślała Mercer, nowa specjalistka w branży.

– Poważnie? – spytała, udając mile zaskoczoną. – Są aż tyle warte?

– Możesz wierzyć mi na słowo, to mój konik. Na handlu rzadkimi książkami zarabiam więcej niż na sprzedaży nowych. Przepraszam, jeśli zabrzmiało to tak, jakbym się chwalił, ale uwielbiam starocie. Jeżeli postanowisz je sprzedać, chętnie pomogę.

– Na obwolutach są biblioteczne kody kreskowe. Czy to zmniejszy ich wartość?

– Nie. Można je usunąć, a ja znam wszystkich specjalistów w branży.

I pewnie wszystkich fałszerzy, pomyślała.

– Ale jak mam ci je pokazać?

– Włóż je do torby i przynieś. – Bruce obrócił się z fotelem twarzą do niej. – Albo lepiej ja do ciebie wpadnę. Zawsze chciałem obejrzeć ten dom. Przejeżdżam tamtędy od lat i uważam go za jeden z najładniejszych w okolicy.

– To dobrze. Nie chciałabym ich nigdzie nosić.

9

Popołudnie ciągnęło się w nieskończoność, więc w końcu uległa pokusie i zadzwoniła do Elaine. Robiły postępy szybciej, niż zakładały, no bo proszę: Bruce Cable był gotów rzucić się na książki. A to, że chciał do niej wpaść, zakrawało na cud, przynajmniej według Elaine.

– Gdzie jest Noelle? – spytała.

– We Francji, na zakupach. Sklep jest zamknięty do odwołania.

– Świetnie. – Elaine doskonale wiedziała, że Noelle poleciała z Jacksonville do Atlanty, gdzie dziesięć po szóstej wieczorem wsiadła do samolotu lecącego bezpośrednio do Paryża. Dwadzieścia po siódmej rano, a więc zgodnie z rozkładem, wylądowała na Orly, skąd za dwadzieścia jedenasta poleciała do Awinionu. Ich przebywający na miejscu obserwator zameldował, że prosto

z lotniska udała się do swojego mieszkania przy rue d'Alger na tamtejszej starówce.

Gdy kilka minut po szóstej Bruce przyjechał do Mercer, jego żona (czytaj: partnerka) jadła późną kolację z przystojnym francuskim dżentelmenem w La Fourchette, słynnej restauracyjce przy rue Racine.

O tej samej godzinie i minucie Mercer wyglądała ukradkiem przez szparę w żaluzjach w oknie od ulicy. Bruce przyjechał kabrioletem Porsche, który widziała przed jego domem, poza tym przebrał się w ciemnobrązowe szorty i koszulkę do golfa. Jak na czterdziestotrzylatka był szczupły, wysportowany i opalony i choć nie wyjawiał jej jeszcze nudnych szczegółów swojego treningu, było oczywiste, że intensywnie ćwiczy. Po dwóch długich kolacjach wiedziała także, że mało je i zachowuje umiar w picciu. Podobnie Noelle. Oboje cenili sobie dobre jedzenie, lecz jedli niewiele.

Niósł butelkę szampana, dowód, że nie traci czasu. Jego żona (lub, jeśli ktoś woli, partnerka) dopiero co wyjechała, a on już szukał kolejnej ofiary. Tak przynajmniej zakładała Mercer.

Powitała go w drzwiach i oprowadziła po domu. Na stoliku śniadaniowym, gdzie próbowała pisać, położyła obie książki.

– Widzę, że pijemy szampana – powiedziała.

– Może za chwilę. To tylko drobny podarunek na parapetówkę.

– Wstawię do lodówki.

Bruce usiadł przy stoliku i zafascynowany spojrzął na książki.

– Mogę?

– Oczywiście – odparła ze śmiechem. – To tylko starocie z biblioteki, prawda?

– Niezupełnie. – Delikatnie podniósł pierwszą, *Convicta*, pieszcząc ją dłońmi jak rzadki klejnot. Uważnie obejrzał obwolotę, przód, tył i grzbiet. Potarł ją lekko palcami i wymamrotał: – Oryginalna obwolota, jasna i niewyblakła, bez żadnych uszkodzeń czy skaz. –

Otworzył książkę na stronie redakcyjnej. – Pierwsze wydanie, LSU Press, styczeń tysiąc dziewięćset osiemdziesiąt pięć. – Przewrócił kilka kartek i zamknął książkę. – Bardzo ładny egzemplarz. Jestem pod wrażeniem. Czytałaś to?

– Nie, chociaż czytałam kilka jego kryminałów.

– Myślałem, że wolisz książki napisane przez kobiety.

– Tak, ale nie tylko. Znasz Burke’a?
– O tak. Był u nas dwa razy. Świetny facet.
– I masz dwa egzemplarze pierwszego wydania?
– Tak, ale zawsze szukam dobrej okazji.
– Co byś z nimi zrobił, gdybym ci je sprzedała?
– A sprzedasz?
– Może. Nie miałam pojęcia, że są tyle warte.
– Za tę zaproponowałbym pięć tysięcy dolarów i spróbowałbym ją sprzedać za dwa razy tyle. Mam sporo klientów, poważnych kolekcjonerów, i myślę, że paru chciałoby mieć ją w swoim zbiorze. Najpierw byśmy się targowali, pewnie kilka tygodni. W końcu spuściłbym z ceny, ale nie zszedłbym poniżej siedmiu tysięcy. Gdybym tyle nie dostał, na pięć lat schowałbym ją u siebie na dole. Pierwsze wydanie to świetna inwestycja, bo nie można zrobić dodruku.

– Pięć tysięcy dolarów... – powtórzyła oszołomiona Mercer.
– Od ręki.
– Mogłabym się potargować?
– Naturalnie, ale nie dałbym więcej niż sześć.
– I nikt by się nie dowiedział, skąd pochodzi? Nie ustaliby, że należała do mnie i mojej babci?

Bruce roześmiał się wesoło.

– Ależ skąd! Mercer, to jest mój świat, gram w tę grę od dziesięcioleci. Te książki zniknęły dawno temu i nikt nie będzie nic podejrzewał. Sprzedam je zaufanym klientom i wszyscy będą zadowoleni.

– Nikt niczego nie rejestruje?
– Gdzie? Kto by nadażył za rejestrowaniem wszystkich pierwszych wydań? Książki nie zostawiają śladów. Wiele z nich przechodzi z pokolenia na pokolenie jak klejnoty rodzinne, z których spadkobierca nie zawsze się rozlicza. Rozumiesz?

– Nie.
– Są przekazywane poza testamentem.
– Aha, teraz rozumiem. Zdarza się, że ktoś je kradnie i sprzedaje?
– Jasne. Książkę niepewnego pochodzenia natychmiast bym odrzucił, ale nie sposób jest spojrzeć na nią i stwierdzić, czy jest skradziona. Weźmy na przykład *Convicta*. Pierwszy nakład był mały.

Z biegiem lat większość egzemplarzy zniknęła, więc pozostałe, te w dobrym stanie, zyskały na wartości. Ale wciąż jest ich sporo i są identyczne, a przynajmniej były takie, schodząc z prasy drukarskiej. Wiele krąży między kolekcjonerami, a kilka pewnie skradziono.

– Mogę być wścibska i spytać o twoje najcenniejsze pierwsze wydanie?

Bruce uśmiechnął się i zastanowił.

– Nie, nie jesteś wścibska, ale bądźmy dyskretni. Kilka lat temu za pięćdziesiąt tysięcy dolarów kupiłem *Buszującego w zbożu*, egzemplarz w idealnym stanie. Salinger rzadko podpisywał swoje książki, ale tę podarował swojemu wydawcy i jego rodzina przechowywała ją dziesiątki lat. Jest dosłownie nietknięta.

– Jak ją znalazłeś? Przepraszam, ale to naprawdę fascynujące.

– Plotki o tej książce krążyły od lat, prawdopodobnie podsycane przez właścicieli, którzy zwęszyli duże pieniądze. Wyśledziłem siostrzeńca wydawcy, poleciałem do Cleveland, namierzyłem go i nachodziłem, aż mi ją sprzedał. Nigdy nie była na rynku i chyba nikt nie wie, że do mnie trafiła.

– Co z nią zrobisz?

– Nic. Po prostu ją mam.

– Ktoś ją widział?

– Noelle, paru przyjaciół... Chętnie ci ją pokażę, resztę kolekcji też.

– Super, ale wracajmy do interesów. Porozmawiajmy o Cormacu.

Bruce uśmiechnął się i sięgnął po *Krwawy południk*.

– Podobała ci się?

– Próbowałam ją przeczytać, ale nie mogłam. Jest za brutalna.

– To niezwykle, że ktoś taki jak twoja babcia był wielbicielem McCarthy'ego.

– Czytała wszystko, pod warunkiem że pochodziło z biblioteki.

Bruce obejrzał obwolutę.

– Na grzbiecie jest parę ubytków i wyblaknięć typowych dla starego egzemplarza. Ale w sumie obwoluta jest w dobrym stanie. –

Otworzył książkę, obejrzał wklejki i stronę tytułową, uważnie przeczytał redakcyjną i powoli przerzucił kilka kartek. –

Fantastyczna rzecz – powiedział cicho, śledząc tekst. – Jego piąta powieść i pierwsza z akcją osadzoną na Zachodzie.

– Przeczytałam pięćdziesiąt stron i nie wytrzymałam. Sceny przemocy są bardzo plastyczne i okrutne.

– To prawda. – Bruce wciąż przewracał kartki, jakby się w tej przemocy pławiał. W końcu delikatnie zamknął książkę. – Jak mówią ludzie z branży, egzemplarz prawie jak spod igły. W lepszym stanie niż ten, który mam.

– Ile za niego zapłaciłeś?

– Dwa tysiące dolarów, dziewięć lat temu. Za ten zaproponowałbym cztery i pewnie zatrzymałbym go dla siebie. Cztery tysiące to maksimum.

– Dziesięć tysięcy dolarów za dwie książki. Nie miałam pojęcia, że są tyle warte.

– Znam się na tym, wierz mi. Dziesięć tysięcy to dobry interes dla ciebie i dla mnie. Sprzedajesz?

– Nie wiem. Muszę się zastanowić.

– Dobrze, nie nalegam. Ale proszę, pozwól, że zanim się zdecydujesz, przechowam je u siebie. Już mówiłem, słone powietrze jest bezlitosne.

– Jasne. I daj mi parę dni do namysłu.

– Spokojnie, nie ma pośpiechu. Więc może teraz napijemy się szampana?

– Oczywiście, dochodzi siódma.

– Mam pomysł. – Bruce wstał i wziął książki. – Wypijmy na plaży i chodźmy na spacer. Nie mam czasu na plażowanie, w tej branży to luksus. Bardzo lubię morze, a w tygodniu nie mam okazji, żeby choć na nie zerknąć.

– Dobrze – odparła Mercer z lekkim wahaniem. Nie ma to jak romantyczny spacer brzegiem morza z niby-żonatym mężczyzną. Podała mu mały karton. On włożył tam książki, a ona wyjęła szampana z lodówki.

10

Spacer do Ritza i z powrotem zajął godzinę i kiedy wrócili, na wydmy kładły się już wieczorne cienie. Kieliszki zdążyły wyschnąć

na wiór, więc nie tracąc czasu, dołała im szampana. On usiadł w wiklinowym bujaku na tarasie, ona obok niego.

Opowiedział o swojej rodzinie: o nagłej śmierci ojca, spadku, za który kupił księgarnię, o matce, której nie widział prawie od trzydziestu lat, siostrze, ciotkach, wujkach i kuzynach, z którymi nie utrzymywał kontaktu, o dawno zmarłych dziadkach. Zrewanżowała mu się tym samym i podbiła stawkę, opowiadając o tragedii matki, jej chorobie umysłowej i pobycie w szpitalu. Nikomu o tym nie mówiła, ale z nim świetnie się jej rozmawiało. Wzbudzał zaufanie. A ponieważ oboje byli naznaczeni rodzinnymi bliznami, łatwo znaleźli wspólny język i dobrze się czuli, porównując i omawiając swoje przeżycia. A im więcej odkrywali kart, tym częściej się śmiali.

– Nie zgadzam się z Myrą – powiedział w połowie drugiego kieliszka. – Nie powinnaś pisać o rodzinach. Raz napisałaś, i to fantastycznie, ale raz wystarczy.

– Spokojnie. Myra jest ostatnią osobą, której bym posłuchała.

– Wiem, to wariatka, ale bardzo ją lubię. Ty nie?

– Jeszcze nie, ale zaczynam. Naprawdę jest taka bogata?

– Kto wie? Dobrze im się powodzi, napisały razem sto książek. *À propos*: Leigh miała w tych romansach większy udział, niż się do tego przyznaje. Niektóre z ich powieści wciąż się sprzedają.

– To miłe.

– Trudno jest pisać, kiedy jest się spłukanym. Znam wielu pisarzy i tylko nielicznym udaje się zarobić na życie samym pisaniem.

– Dlatego uczą. Zaszywają się na jakimś uniwersytecie, żeby pobierać regularną pensję. Przerabiałam to dwa razy i pewnie przerobię znowu. Chyba że sprzedam swoją część domu.

– Moim zdaniem, to bardzo zły pomysł.

– Masz lepszy?

– Żebyś wiedziała. Dolej mi, a ja ci opowiem długą historię.

Wyjęła z lodówki szampana i opróżniła butelkę. Bruce pociągnął długi łyk i cmoknął.

– Mógłbym to pić na śniadanie.

– Ja też, ale kawa jest dużo tańsza.

– Dawno temu, na długo przed Noelle, miałem dziewczynę – zaczął. – Piękną, słodką, utalentowaną i kompletnie stukniętą. Miała na imię Talia. Spotykaliśmy się dwa lata, coraz rzadziej, bo powoli

zaczynała tracić kontakt z rzeczywistością. Jej stan ciągle się pogarszał, a ja nie mogłem jej pomóc i bardzo mnie to bolało. Ale umiała pisać i pracowała nad powieścią o ogromnym potencjale, zbeletryzowaną historią o Charlesie Dickensie i jego kochance, młodej aktorce Ellen Ternan. Dickens był od dwudziestu lat żonaty z Catherine, bardzo surową kobietą, typową matroną z epoki wiktoriańskiej. Urodziła mu dziesięcioro dzieci, ale mimo oczywistego pociągu seksualnego byli ze sobą nieszczęśliwi. Kiedy miał czterdzieści pięć lat i należał do najsłynniejszych ludzi w Anglii, poznał osiemnastoletnią Ellen, początkującą aktorkę. Zakochali się w sobie do szaleństwa i zostawił dla niej żonę i dzieci, mimo że w tamtych czasach rozwód nie wchodził w grę. Nie jest jasne, czy z nią zamieszkał, choć krążyły plotki, że urodziła mu dziecko, które zmarło zaraz po porodzie. Tak czy inaczej, dobrze się ukrywali i maskowali. Ale w powieści Talii ich romans, opowiedziany szczegółowo przez Ellen, był bardzo głośny. Fabuła zaczęła się gmatwać, kiedy Talia wprowadziła do niej bohaterów kolejnego słynnego romansu, Williama Faulknera i Metę Carpenter. Faulkner poznał ją w Hollywood, gdzie tłukł kiczowate scenariusze, i wszystko wskazuje na to, że naprawdę się w sobie zakochali. Ten wątek Talia też zbeletryzowała i zrobiła to bardzo dobrze. Potem skomplikowała wszystko jeszcze bardziej, wprowadzając kolejny, paryski romans Ernesta Hemingwaya z Zeldą Fitzgerald, choć tej historii nigdy nie zweryfikowano i jest prawdopodobnie nieprawdziwa. Pewnie wiesz, że fakty często przeszkadzają, dlatego Talia stworzyła własne i napisała bardzo zajmującą opowieść o Erneście i Zeldzie dokazujących za plecami Scotta. Tak więc powieść składała się z trzech sensacyjnych wątków, przeplatających się ze sobą romansów ze świata wielkiej literatury, i jak na jedną książkę było tego stanowczo za dużo.

– Pozwoliła ci ją przeczytać?

– Większość. Ciągle coś zmieniała, przepisywała na nowo całe rozdziały, a im więcej pisała, tym bardziej się wszystko gmatwało. Prosiła mnie o rady, ale kiedy ich udzielałem, zawsze robiła na odwrót. Miała obsesję na punkcie tej powieści i pisała ją dwa lata non stop. Kiedy przekroczyła tysiąc stron, przestałem czytać. Często się wtedy kłóciliśmy.

– Co się z nią stało?

– Z powieścią? Podobno ją spaliła. Zadzwoiła któregoś dnia i już zupełnie obłąkana powiedziała, że ją zniszczyła i już nigdy nie napisze ani słowa. Mieszkała wtedy w Savannah i dwa dni później przedawkowała.

– Straszne.

– Dwadzieścia siedem lat i największy talent, jaki kiedykolwiek widziałem. Miesiąc po pogrzebie napisałem do jej matki, taktownie pytając, czy córka czegoś nie zostawiła. Matka nie odpisała, a o powieści słuch zaginął. Jestem przekonany, że Talia spaliła ją i zabiła się.

– Okropne.

– Tragiczne.

– Nie miałeś kopii?

– A skąd! Przyjeżdżała tu na kilka dni z rękopisem, kazała mi czytać, a sama pracowała dalej. Miała paranoję, bała się, że ktoś go ukradnie, i nie spuszczała go z oka. Miała paranoję na punkcie wielu rzeczy. Pod koniec zabrakło jej lekarstw i zaczęła słyszeć głosy, a ja nic nie mogłem zrobić. Szczerze mówiąc, starałem się jej wtedy unikać.

Przez chwilę rozmyślali nad tą tragedią, powoli sącząc szampana. Słońce już zaszło i taras utonął w ciemności. Żadne z nich nie wspomniało o kolacji, lecz gdyby zaproponował, Mercer była gotowa odmówić. Spędzili razem dość czasu jak na jeden dzień.

– Wspaniała historia.

– Która? – spytał. – O Dickensie, Faulknerze, Zeldzie czy Talii? To mnóstwo materiału.

– I chcesz mi go podarować?

Uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

– Jak chcesz, to weź.

– Z tego, co wiem, Dickens i Faulkner naprawdę miewali przygody.

– Tak, ale najlepszy jest romans Hemingwaya z Zeldą. Lata dwudzieste, Paryż, stracone pokolenie, barwne tło, barwna historia. Na pewno się znali. Scott i Hemingway byli kumplami od kieliszka, a mieszkający tam Amerykanie zawsze imprezowali razem. Hemingway miał cztery żony, ale nigdy nie ustawał w podbojach

i był w tych sprawach trochę pokręcony. Dobry pisarz zrobiłby z tego historię tak sprośną, że nawet Myra by go pochwaliła.

– Złudne nadzieje.

– Widzę, że nie tryskasz entuzjazmem.

– Mam wątpliwości co do powieści historycznych. Bo czy to historia, czy fikcja? Nie wiem, ale z jakiegoś powodu uważam, że manipulowanie życiem prawdziwych ludzi, zmuszanie ich do robienia czegoś, czego nigdy by nie zrobili, jest nieuczciwe. Tak, już nie żyją, ale kto dał nam prawo do beletryzowania ich życia, a zwłaszcza prywatnych spraw?

– To powszechne i dobrze się sprzedaje.

– Pewnie tak, ale nie wiem, czybym potrafiła.

– Czytujesz ich? Faulknera, Hemingwaya i Fitzgeralda?

– Tylko jeśli muszę. Unikam nieżyjących białych pisarzy.

– Ja też. Wolę czytać tych, których poznałem. – Bruce dopił szampana i odstawił kieliszek. – No, będę już leciał. Dzięki za miły spacer.

– A ja za szampana. Odprowadzę cię.

– Nie trzeba, trafię. – Przystanął za nią i delikatnie pocałował ją w czubek głowy. – Na razie.

– Dobranoc.

11

O ósmej rano, gdy siedziała przy swoim stoliku, patrząc na morze, nie zwracając uwagi na laptop i marząc o czymś, czego nie potrafiłaby opisać, z zamyślenia wyrwał ją dzwonek komórki. Odezwała się Noelle, z Francji, gdzie było sześć godzin później. Powitała ją serdecznym *Bonjour* i przeprosiła, że przeszkadza w pracy, ale musiała zadzwonić przed końcem dnia. Nazajutrz do jej sklepu miał wpaść niejaki Jake i mógł się spotkać z Mercer. Jake był jej ulubionym konserwatorem dzieł sztuki i malarzem i od czasu do czasu ją odwiedzał. Przyjechał naprawić kredens w warsztacie pod sklepem, dlatego Mercer miała znakomitą okazję, żeby omówić z nim sprawę biurka. Sklep jest zamknięty, ale Jake ma klucz i tak

dalej. Mercer podziękowała jej, a potem pogawędziły przez chwilę o Francji.

Kiedy tylko się pożegnały, zadzwoniła do Elaine Shelby, do Waszyngtonu. Wieczorem wysłała jej długiego maila ze szczegółami wydarzeń dnia i streszczeniem wszystkich rozmów, więc Elaine była na bieżąco. A tu nagle okazało się, że już nazajutrz Mercer zobaczy podziemny warsztat!

W południe zadzwoniła do Bruce'a i oświadczyła, że tak, skorzysta z oferty i sprzeda mu książki. Nazajutrz będzie w mieście, żeby porozmawiać z Jakiem, więc wpadnie do księgarni po czek. No i chciałaby zobaczyć *Buszującego w zbożu*.

– Świetnie – powiedział. – Pójdziemy na lunch?

– Jasne.

12

Elaine i jej zespół przyjechali po zmroku, za późno, żeby się z nią zobaczyć. Dlatego o dziewiątej rano następnego dnia Mercer przespacerowała się plażą do drewnianego chodnika prowadzącego do ich domu. Elaine siedziała na schodach z kubkiem kawy w ręce i piaskiem między palcami u stóp. Jak zwykle mocno uściśnęła jej dłoń i rzuciła:

– Dobra robota.

– Zobaczymy – mruknęła Mercer.

Weszły do mieszkania, gdzie czekało dwóch mężczyzn, Graham i starszy od niego Rick. Siedzieli w kuchni, też z kawą i jakimś pudłem na stole. Już niebawem okazało się, że w pudle są narzędzia, bardzo fachowe: mikrofony, pluskwy, nadajniki i kamery tak małe, że trudno było uwierzyć, że mogą cokolwiek nagrać. Graham i Rick zaczęli wyklądać to wszystko na stół, omawiając zalety, wady i możliwości poszczególnych urządzeń.

Elaine spytała ją od razu, czy zechce pójść na spotkanie z ukrytą kamerą. Jakby z góry założyła, że odmowa nie wchodzi w grę, co trochę Mercer zirytowało. Graham i Rick gadali, a ją ścisnęło w żołądku. W końcu wypaliła:

– Czy to legalne? Filmowanie kogoś bez jego zgody?

– Nie jest nielegalne – odparła Elaine z pewnym siebie uśmiechem. – Nie bądź śmieszna. To tak, jakbyś robiła komuś zdjęcia w miejscu publicznym. Pozwolenie nie jest wymagane, przy filmowaniu nie obowiązuje zasada pełnej jawności.

– Bez pełnej jawności nie można założyć podsłuchu, ale jak dotąd nie uchwalono jeszcze zakazu filmowania – wtrącił Rick.

– Można filmować o każdej porze i wszędzie z wyjątkiem prywatnych domów i mieszkań – dodał Graham. – Niech pani spojrzy tylko na te wszystkie kamery obserwujące budynki, chodniki i parkingi. Żadna nie potrzebuje pozwolenia.

– Podoba mi się ta apaszka z pierścieniem – powiedziała Elaine, szefowa, która najwyraźniej tu rządziła. – Przymierzmy.

Mieniąca się kwiecistymi kolorami apaszka musiała być droga. Mercer złożyła ją trzy razy, zawiązała na szyi i końce przeciągnęła przez złoty pierścień wysadzany sztucznymi kamieniami, który podał jej Rick. Podszedł bliżej – aż za blisko – i postukał w pierścień malutkim śrubokrętem.

– Zamontujemy tu kamerę i będzie dosłownie niewidzialna.

– Duża ta kamera? – spytała Mercer.

Graham pokazał jej malutkie urządzenie, mniejsze od rodzyńka.

– To jest kamera?

– Wysokiej rozdzielczości. Zaraz wszystko pokażemy. Proszę dać mi pierścień.

Mercer zsunęła go z apaszki i podała Rickowi. Ten włożył chirurgiczne okulary powiększające i wraz z Grahamem zabrał się do pracy.

– Wiesz, gdzie pójdziecie na lunch? – spytała Elaine.

– Nie, nie powiedział. O jedenastej widzę się z Jakiem u Noelle, potem zajrzę do księgarni. Dowiem się pewnie dopiero wtedy. Mam to jakoś... włączyć?

– Nie, musisz tylko normalnie się zachowywać. Kamerę uruchomią Rick i Graham. Będą w furgonetce w pobliżu sklepu. Kamera nie rejestruje dźwięku, jest za mała, więc nie martw się o słowa. Nie mamy pojęcia, co jest w tych piwnicach, dlatego nagrywaj wszystko jak leci. Zwłaszcza drzwi, okna i kamery.

– I niech pani poszuka czujników na drzwiach do piwnicy – wtrącił Rick. – Jesteśmy niemal pewni, że to jedyne wejście. Obie piwnice są głęboko pod ziemią, a na zewnątrz nie ma żadnych schodów.

– To nasza pierwsza i być może ostatnia okazja – dodała Elaine. – Wszystko jest ważne, ale szukamy oczywiście rękopisów, plików papieru większych niż zwykła książka.

– Tak, wiem, jak wygląda rękopis.

– Naturalnie. Dlatego wypatruj szuflad i szafek, miejsc, gdzie by się zmieściły.

– A jeśli zobaczy kamerę? – spytała nerwowo Mercer.

Rick i Graham mruknęli coś pod nosem. Niemożliwe.

– Nie zobaczy, nie może – odparła Elaine.

Rick zwrócił pierścień i Mercer znów wcisnęła w niego końce apaszki.

– Włączam – rzucił Graham i zastukał palcami w klawiaturę laptopa.

– Może pani wstać i powoli się obrócić? – poprosił Rick.

– Jasne.

Ona się obracała, a Elaine i jej podwładni patrzyli na ekran.

– Niesamowite – szepnęła Elaine niemal jak do siebie. – Spójrz.

Stojąc obok stołu, twarzą do drzwi, Mercer zerknęła w dół i zaskoczyła ją czystość obrazu. Kanapa, telewizor, fotel, a nawet tania wykładzina były wyraźnie widoczne.

– I to przez takie maleństwo... – powiedziała.

– Bułka z masłem – prychnęła Elaine.

– Ale ta apaszka nie pasuje do niczego, co mam.

– Co włożysz? – Elaine otworzyła torbę i wyjęła kilkanaście innych.

– Chyba sukienkę. Czerwoną, letnią, nic wymyślnego.

13

Jake wpuścił ją do sklepu i przekręcił klucz w drzwiach. Przedstawił się i powiedział, że zna Noelle od lat. Gburowaty,

siwobrody, o twardych, zgrubiałych rękach, wyglądał jak ktoś, kto ciężko pracuje i spędził życie w towarzystwie młotków i innych narzędzi. Okazało się, że biurko jest już w piwnicy. Zeszli na dół, ona powoli, kilka kroków za nim, pamiętając, że wszystko, co widzi, jest filmowane i analizowane. Poręcz, dziesięć stopni, wreszcie kiszki zagracone pomieszczenie wielkości sklepu na górze, który, jak już wiedziała, miał trzynaście metrów szerokości i prawie pięćdziesiąt długości, podobnie jak sąsiadująca z nim księgarnia. Było dość niskie – miało nie więcej niż dwa i pół metra wysokości – a podłogę wylano betonem. Pod ścianami ciągnął się rząd ustawionych byle jak mebli, połamanych, porozkręcanych, niewykończonych i zdekompletowanych. Mercer rozglądała się nonszalancko na wszystkie strony.

– A więc to tutaj Noelle trzyma swoje perełki – powiedziała, ale Jake nie miał poczucia humoru.

Piwnica była dobrze oświetlona, a na jej końcu dostrzegła jakieś pomieszczenie. Co ważniejsze, zobaczyła także drzwi w ceglanej ścianie dzielącej ją od sąsiedniej piwnicy, tej pod księgarnią, w której, według Elaine i jej tajemniczych kompanów, Bruce Cable ukrył swój skarb. Ściana była stara, wielokrotnie malowana i teraz szara – w przeciwieństwie do dużo nowszych drzwi, metalowych, solidnych i zaopatrzonych w dwa czujniki w górnych rogach.

Ludzie Elaine wiedzieli, że antykwariat i księgarnia są identycznej szerokości, długości i wysokości i mają identyczny rozkład. Stanowiły część tego samego budynku, zbudowanego przed stu laty i podzielonego na pół, gdy w 1940 roku otworzono tu księgarnię.

Rick i Graham, czuwający w furgonietce parkującej po drugiej stronie ulicy, byli zachwyceni widokiem drzwi łączących obydwie pomieszczenia. Elaine, która oglądała to wszystko, siedząc na kanapie w wynajętym mieszkaniu, zareagowała podobnie. Brawo, Mercer!

Biurko stało na środku piwnicy, na gazetach, mimo to podłogę pokrywała warstwa zaschniętej farby, która musiała kapać na nią od wielu lat. Mercer obejrzała je jak bezcenny klejnot, a nie pionek w ich grze. Jake pokazał jej próbki kolorów i do kilku się przymierzyli, choć trudno jej było dogodzić. W końcu wybrała

delikatny pastelowy błękit. Jake obiecał nanieść cieniutką warstwę farby, żeby biurko robiło wrażenie starego i sfatygowanego. Nie miał tego koloru w pick-upie i okazało się, że jego zdobycie potrwa kilka dni.

Świetnie. Będzie mogła wpaść tu z kolejną wizytą i zobaczyć, jak mu idzie. Rick i Graham mieli na składzie tyle zabawek, że kto wie, może następnym razem przyjdzie na spotkanie z kamerą ukrytą w kolczykach.

Spytała, czy jest tu gdzieś toaleta, a Jake ruchem głowy wskazał koniec piwnicy. Szukała długo i leniwie, niespiesznie z niej skorzystała, po czym powoli wróciła. Nisko pochylony Jake szlifował właśnie blat, więc stanęła twarzą do metalowych drzwi, żeby dobrze je sfilmować. Ale mogła ją obserwować ukryta kamera, prawda? Cofnęła się więc i odwróciła, podziwiając swój spryt i rosnące doświadczenie. Może jednak nadawała się na szpiega.

W końcu się pożegnała i poszła do małych kubańskich delikatesów przy sąsiedniej ulicy, gdzie zamówiła mrożoną herbatę. Niecałą minutę później wszedł Rick. Kupił colę, przysiadł się do niej z uśmiechem i szepnął:

– Świetna robota.

– Chyba mam to we krwi – powiedziała, czując, że przestało ją ścisnąć w żołądku. – Kamera jest włączona?

– Nie. Włączę, kiedy wejdzie pani do księgarni. Proszę zachowywać się jak zwykle. Kamera pracuje doskonale i nakręciła pani mnóstwo materiału. To fantastyczne, że są tam drzwi i z jednej piwnicy można przejść do drugiej. Teraz proszę spróbować podejść jak najbliżej z drugiej strony.

– Betka. Potem mamy iść na lunch. Kamera będzie włączona?

– Nie.

– Będę siedziała naprzeciwko niego co najmniej godzinę. Nic nie zauważy?

– Po wyjściu z piwnicy niech pani pójdzie do toalety, tej na parterze. Tam proszę zdjąć apaszkę i schować ją do torebki. Jeśli o coś spyta, powie pani, że było pani za gorąco.

– Tak będzie lepiej. Trudno by było cieszyć się lunchem, wiedząc, że kamera celuje prosto w jego twarz.

– Właśnie. Teraz pani wyjdzie. Najpierw pani, potem ja.

Weszła do księgarni za dziesięć dwunasta i zobaczyła Bruce'a, który układał czasopisma na półce przy frontowych drzwiach. Tego dnia był w pasiastym garniturze w delikatnym morskim odcieniu. Jak dotąd widziała go w sześciu różnych i podejrzewała, że ma ich dużo więcej. Do tego jaskrawożółta muszka we wzór paisley i jak zwykle beżowe zamszowe buty, oczywiście bez skarpetek. Skarpetek nie nosił. Nigdy. Uśmiechnął się, cmoknął ją w policzek i powiedział, że pięknie wygląda. Weszli do sali pierwszych wydań i wziął z biurka kopertę.

– Dziesięć tysięcy dolarów za dwie książki, które twoja babcia wypożyczyła trzydzieści lat temu. Co by teraz pomyślała?

– Spytałaby: „A co ja będę z tego miała?”.

Roześmiał się wesoło.

– Za to my na pewno zyskamy. Mam dwóch klientów zainteresowanych *Convictem*, więc napuszczę ich na siebie i po kilku telefonach zarobię dwa i pół tysiąca.

– Ot tak?

– Nie zawsze jest tak łatwo, po prostu dzisiaj mam szczęście. Dlatego tak to kocham.

– Pytanie. Ten idealny egzemplarz *Buszującego w zbożu*, o którym wspomniałeś. Gdybyś postanowił go sprzedać, ile byś zażądał?

– Widzę, że tobie też zaczyna się to podobać, hę?

– Nie, nie, nie mam głowy do interesów. Jestem po prostu ciekawa.

– W zeszłym roku odrzuciłem propozycję osiemdziesięciu tysięcy dolarów. Ta książka nie jest na sprzedaż, ale gdybym musiał wypuścić ją na rynek, zacząłbym od stu tysięcy.

– Nieźle.

– Chcesz ją zobaczyć?

Mercer obojętnie wzruszyła ramionami.

– Czemu nie? Chyba że jesteś zajęty. – Było oczywiste, że Bruce chce się pochwalić swoim zbiorem.

– Zajęty? Dla ciebie? Nigdy. Chodź.

Minęli schody na górę, dział książek dla dzieci i znaleźli się na końcu księgarni. Prowadzące w dół schody były ukryte za znajdującymi się w cieniu drzwiami, zamkniętymi na klucz i najwyraźniej rzadko używanymi. Obserwowała je zamontowana

pod sufitem kamera. Bruce przekręcił klucz w zamku, obrócił gałkę, otworzył drzwi i zapalił światło.

– Ostrożnie – rzucił i zszedł na dół. U stóp schodów zapalił kolejne.

Piwnica była podzielona na dwie części. W pierwszej, większej, znajdowały się schody, metalowe drzwi łączące ją z piwnicą pod sklepem Noelle oraz rzędy starych drewnianych półek uginających się pod ciężarem tysięcy niechcianych książek, wydruków korekt i egzemplarzy sygnałnych.

Bruce machnął ręką.

– To mój cmentarz. W każdym sklepie jest graciarnia.

Zrobili kilka kroków w stronę końca piwnicy i przystanęli przed ścianą z pustaków, którą musiano zbudować długo po tym, jak oddano budynek do użytku. Niczym szczelnie dopasowany korek, zajmowała całą szerokość i wysokość piwnicy. Były w niej kolejne metalowe drzwi z panelem systemu alarmowego na framudze. Bruce wprowadził kod, a ona zerknęła w górę i na starej krokwi zobaczyła wycelowaną w nich kamerę. Coś bzyknęło, kliknęło, weszli do środka i Bruce zapalił światło. Temperatura momentalnie spadła.

Biblioteka, wypełniona rzędami stojących pod ścianami półek, sprawiała wrażenie kompletnie odizolowanej. Podłoga była z wykończonego na gładko betonu, sufit z włóknistego materiału, którego Mercer nie potrafiłaby nawet opisać. Ale sfilmowała go dla czuwających online ekspertów, którzy w ciągu godziny mieli ustalić, że biblioteka ma dwanaście metrów szerokości, mniej więcej tyle samo długości i dwa i pół metra wysokości. Na środku elegancki stół, idealnie spasowane ściany – wszystko wskazywało na to, że pomieszczenie jest hermetyczne, dobrze zabezpieczone i ognioodporne.

– Światło, ciepło i wilgoć niszczą papier, dlatego trzeba je kontrolować – powiedział Bruce. – Tu wilgoci prawie nie ma, a temperatura utrzymuje się na stałym poziomie dwunastu i siedmiu dziesiątych stopni Celsjusza. No i oczywiście nie dochodzi tu słońce.

Zrobione z grubego metalu regały zaopatrzone w szklane drzwiczki, tak że widać było grzbiety książek. Mercer zauważyła, że

każdy składa się z sześciu półek zaczynających się sześćdziesiąt centymetrów nad podłogą i kończących kilkanaście centymetrów nad jej głową. Muszą mieć z metr osiemdziesiąt wysokości, pomyślała. Rick i Graham pewnie to potwierdzą.

– Gdzie są książki mojej babci? – spytała.

Bruce podszedł do tylnej ściany i włożył klucz do wąskiego panelu kontrolnego obok półek. Przekręcił go i gdy kliknęły zamki we wszystkich sześciu przeszklonych drzwiczkach, otworzył te na drugiej półce od góry.

– Tutaj. – Zdjął *Convicta* i *Krwawy południk*. – W nowym domu są zdrowe i bezpieczne.

– Nawet bardzo. Jestem pod wrażeniem. Ile jest tu książek?

– Ponad tysiąc, ale nie wszystkie są moje. – Wskazał ścianę przy drzwiach. – Te należą do klientów i znajomych. Kilka wziąłem w komis. Mam klienta, który się rozwodzi, i ukrył tu swoje skarby. Pewnie wezwą mnie do sądu, ale cóż, nie pierwszy raz. W obronie klienta zawsze kłamię.

– A to? – spytała, wskazując wysoką, pękatą szafę w rogu. – Co to jest?

– Sejf, w którym trzymam naprawdę cenne rzeczy.

Wprowadził kod – Mercer dyskretnie odwróciła wzrok – i gdy trzasnął zamek, otworzył grube drzwi. Na górze i pośrodku były trzy półki wypełnione czymś, co wyglądało na grzbiety książkowych atrap. Na niektórych widniały złożone tytuły. Zdjął jedną ze środkowej półki i spytał:

– Wiesz, co to jest tekturka?

– Nie.

– Specjalne pudełko robione na zamówienie dla każdego egzemplarza. Książki mają różne rozmiary, stąd różne tekturki. Chodź.

Odwrócili się i podeszli do stołu. Bruce położył na nim pudełko, otworzył je i ostrożnie wyjął książkę w przezroczystej koszulce.

– Mój pierwszy egzemplarz *Buszującego w zbożu*. Dwadzieścia lat temu dostałem go w spadku po ojcu.

– Więc masz dwa?

– Nie, cztery. – Otworzył książkę i wskazał lekkie odbarwienie na przedniej wyklejce. – Troszkę wyblakła, a na obwolucie jest parę

małych skaz, ale w sumie to prawie egzemplarz doskonały.

Gdy zostawił na stole pudełko i książkę i wrócił do sejfu, Mercer wycelowała kamerę na wprost, żeby Rick i Graham mieli jak najlepszy widok. Na dole, pod ostatnią z trzech półek z najrzadszymi książkami, było coś, co wyglądało na cztery szuflady, w tej chwili szczelnie zamknięte.

Jeśli Bruce rzeczywiście miał rękopisy Fitzgeralda, musiał je przechowywać właśnie tam. Przynajmniej tak myślała.

Położył na stole drugie pudełko.

– To mój najnowszy nabytek spośród czterech egzemplarzy *Buszującego w zbożu*, które mam, podpisany przez Salinger. –

Wyjął z tekturki książkę i otworzył ją na stronie tytułowej. – Ani dedykacji, ani daty, tylko autograf, co jest bardzo rzadkie. Nie chciał podpisywać książek, kategorycznie odmawiał. Zupełnie mu odbiło, nie sądzisz?

– Podobno – odparła. – Są piękne.

– Tak – zgodził się z nią Bruce, wciąż pieszcząc książkę. – Czasem, kiedy mam zły dzień, przychodzę tu, zamykam drzwi i zdejmuję je z półki. Próbuję wyobrazić sobie, jak Salinger musiał się czuć, gdy w pięćdziesiątym pierwszym wyszła jego pierwsza powieść. Przedtem wydał kilka opowiadań, z których parę opublikowano w „New Yorkerze”, ale był praktycznie nieznany. W pierwszym rzucie Little, Brown and Company wypuściło na rynek dziesięć tysięcy egzemplarzy, a dzisiaj książka sprzedaje się w nakładzie miliona rocznie, w sześćdziesięciu pięciu językach. Nie miał pojęcia, co go czeka. Stał się bogaty, sławny i nie mógł z tym sobie poradzić. Większość badaczy uważa, że załamał się nerwowo.

– Dwa lata temu przerabiałam *Buszującego w zbożu* ze studentami.

– Więc pewnie dobrze znasz tę powieść.

– Nie należy do moich ulubionych. Wolę czytać kobiety, najchętniej żyjące.

– Chciałabyś zobaczyć najrzadszą w moich zbiorach książkę napisaną przez kobietę?

– Pewnie.

On wrócił do sejfu, a ona filmowała każdy jego krok, stanęła nawet trochę z boku, żeby złapać lepsze ujęcie. Bruce położył na

stole pudełko.

– Co powiesz na *Własny pokój* Virginii Woolf? – Wyjął z tekturki książkę. – Tysiąc dziewięćset dwudziesty dziewiąty. Pierwsze wydanie, stan prawie doskonały. Upolowałem ją dwanaście lat temu.

– Uwielbiam ten esej. Czytałam go w liceum i zainspirował mnie do pisania, a przynajmniej spróbowania.

– To bardzo rzadki egzemplarz.

– Dam ci za niego dziesięć tysięcy.

Roześmiali się.

– Przykro mi, ale nie jest na sprzedaż – odparł grzecznie Bruce i podał jej książkę.

Otworzyła ją ostrożnie.

– Była taka odważna. *Jeśli kobieta ma pisać powieści, musi mieć pieniądze i własny pokój*. Piękne.

– Wiecznie coś ją dręczyło.

– Tak, i w końcu się zabiła. Dlaczego pisarze zawsze tak cierpią? – Zamknęła książkę. – Samobójstwo. Tyle w nich destrukcji.

– Samobójstwa nie rozumiem, ale rozumiem picie i złe nawyki. Wiele lat temu próbował mi to wyjaśnić nasz przyjaciel Andy. Uważa, że powodem jest niezdyscyplinowany tryb życia. Pisarze nie mają szefa, żadnego nadzoru, nie muszą odbijać karty zegarowej ani przestrzegać godzin pracy. Pisz rano, pisz wieczorem. Pij, kiedy chcesz. Andy twierdzi, że dużo lepiej pisze się mu na kacu, ale nie jestem pewien. – Włożył książkę do pudełka i schował ją do sejfu.

– Co jest w tych szufladach? – spytała Mercer pod wpływem chwili.

– Stare rękopisy – odparł bez najmniejszego wahania. – Ale w porównaniu z tymi książkami są niewiele warte. Bardzo lubię Johna D. MacDonalda, zwłaszcza cykl z Travisem McGee, i kilka lat temu udało mi się kupić dwa oryginalne rękopisy od pewnego kolekcjonera. – Z tymi słowami zamknął sejf. Szuflady były najwyraźniej niedostępne. – Napatrzyłaś się?

– Tak. To fascynujące. Zupełnie inny świat, o którym nic nie wiem.

– Rzadko pokazuję komuś te książki. Handel białymi krukami lubi ciszę i spokój. Jestem pewien, że nikt nie wie, że mam cztery

egzemplarze *Buszującego w zbożu*, i chciałbym, żeby tak pozostało. Nie ma żadnych rejestrów, nikt nie zerka nam przez ramię i wiele transakcji przeprowadza się w tajemnicy.

– U mnie twoje tajemnice są bezpieczne. Nie przychodzi mi do głowy nikt, komu mogłabym je zdradzić.

– Nie zrozum mnie źle. Wszystko jest legalne. Zgłaszam swoje dochody, płacę podatki, a kiedy umrę, cały zbiór trafi do masy spadkowej.

– Cały? – spytała z uśmiechem.

On też się uśmiechnął.

– Prawie.

– Oczywiście.

– To co? – rzucił. – Służbowy lunch?

– Jestem głodna jak wilk.

14

Zjedli pizzę na wynos i popili colą. Jedzenie nie było ważne, nie w tej chwili. Siedzieli w trójkę przy kuchennym stole, przeglądając dziesiątki ujęć z nagrań Mercer – osiemnastominutowego ze sklepu Noelle i dwudziestodwuminutowego z piwnicy Bruce'a. Dysponowali w sumie czterdziestoma minutami materiału dowodowego i byli zachwyceni. Uważnie wszystko oglądali, ale co ważniejsze, nagrania oglądali także i analizowali specjaliści z laboratorium w Bethesdzie. Ustalali fakty: wielkość podziemnej biblioteki, wymiary sejfu, obecność kamer i czujników, zasuw i zamki w drzwiach, panele systemu alarmowego. Stalowy sejf ważył trzysta sześćdziesiąt trzy kilo i przed piętnastu laty wyprodukowała go fabryka w Ohio. Został kupiony przez internet i zainstalowany przez przedsiębiorcę z Jacksonville. W drzwiach miał pięć bolców, był hydraulicznie uszczelniany i przez dwie godziny wytrzymywał temperaturę ośmiuset pięćdziesięciu stopni. Z jego otwarciem nie miałoby problemów, sęk w tym, że najpierw musieliby tam dotrzeć, nie uruchamiając alarmu.

Siedzieli przy stole całe popołudnie, prowadząc długie, głębokie rozmowy i często łącząc się z kolegami z Bethesdy. Rządziła jak zwykle Elaine, która była jednak otwarta na ciekawe pomysły i kiedy zgłaszał je ktoś mądry, uważnie go słuchała. Najwięcej czasu zajęła im sprawa FBI. Czy pora ich zawiadomić? Przedstawić im ich faworyta? Zdradzić wszystko, czego dowiedzieli się o Brusie Cable'u? Elaine uważała, że nie, że jest za wcześnie. Powód był racjonalny: nie mieli wystarczających dowodów, aby przekonać sąd, że Cable rzeczywiście ukrywa w piwnicy skradzione rękopisy. Bo czym w sumie dysponowali? Cynkiem od informatora z Bostonu, czterdziestominutowym nagraniem i wykrojonymi z niego zdjęciami. Ich waszyngtońscy prawnicy twierdzili, że to za mało i nie dostaną nakazu rewizji.

Poza tym, gdyby wkroczyli w to teraz federalni, natychmiast przejęliby dowodzenie i zmienili reguły gry. Jak dotąd nic nie wiedzieli o Cable'u ani o malutkim krecie, który się do niego zakradł. Dlatego Elaine wolała utrzymać ten stan, jak długo się da.

Jeden ze scenariuszy, zaproponowany bez entuzjazmu przez Ricka, zakładał dywersję, konkretnie podpalenie. Po północy wzniesiliby mały pożar na parterze księgarni i kiedy przy wtórce wyjących syren eksplodowałyby wszystkie monitory bezpieczeństwa, wtargnęliby tam przez piwnicę Noelle, wzięli rękopisy i dali nogę. Ryzyko było olbrzymie, nie wspominając już o tym, że przy okazji popełniliby kilkanaście przestępstw. Poza tym co, jeśli nie będzie tam *Gatsby'ego*? Jeśli *Gatsby'ego* i spółkę ukryto gdzie indziej, na wyspie czy gdziekolwiek w kraju? W razie wpadki wytrącony z równowagi Cable porzuciłby rękopisy po całym świecie, zakładając, że jeszcze tego nie zrobił.

Tak więc Elaine natychmiast skreśliła plan Ricka. Zegar tykał, ale mieli jeszcze czas, a Mercer robiła świetną robotę. W niespełna miesiąc zjednała sobie Cable'a i przeniknęła do kręgu jego znajomych. Zdobyła jego zaufanie i przyniosła im to: czterdzieści minut cennego nagrania i setki zdjęć. Byli coraz bliżej celu, przynajmniej tak uważali. Muszą po prostu cierpliwie poczekać na dalszy rozwój wydarzeń.

Dowiedzieli się już jednak czegoś bardzo ważnego. Wcześniej zastanawiali się, dlaczego małomiasteczkowy właściciel starej

księgarni ma aż taką obsesję na punkcie bezpieczeństwa. Ponieważ był ich głównym podejrzanym, wszystko, co robił, wzbudzało jeszcze większe podejrzenia. Zakładali, że w swojej małej piwnicznej fortecy ukrywa nielegalnie zdobyte łupy, tyle że nie mieli co do tego pewności. Teraz przynajmniej wiedzieli, że jest tam mnóstwo cennych rzeczy. Po lunchu Mercer zameldowała, że oprócz czterech egzemplarzy *Buszującego w zbożu* i jednego egzemplarza *Własnego pokoju*, w sejfie jest jeszcze około pięćdziesięciu innych książek w ochronnych pudełkach. A w bibliotece ponad tysiąc.

Elaine pracowała w tej branży od ponad dwudziestu lat i zdumiała ją wielkość kolekcji Cable'a. Miała do czynienia z wieloma uznanymi antykwariatami i dobrze je znała. Kupowały i sprzedawały rzadkie książki, prowadziły katalogi, strony internetowe i stosowały wszelkie możliwe chwyt marketingowe, żeby podbić sprzedaż. Miały duże zbiory i dobrze się reklamowały. Dlatego wraz ze swoją ekipą często się zastanawiała, skąd drobny gracz w rodzaju Bruce'a Cable'a wzięłby milion dolarów na zakup skradzionych rękopisów Fitzgeralda. Teraz już wiedziała. Cable miał na to środki. Na pewno.

Rozdział 7

WEEKENDOWA DZIEWCZYNA

1

Zaproszenie na kolację. Bez alkoholu. Bez alkoholu dlatego, że Andy Adam też był zaproszony i Bruce nalegał, żeby tego wieczoru nie pić. Poza tym Sally Aranca, pisarka, na której cześć wydawał kolację, kilka lat temu rzuciła picie i wołała nie mieć trunków w zasięgu ręki.

Bruce powiedział Mercer przez telefon, że Andy wyjeżdża wkrótce na kolejny detoks i desperacko próbuje zachować trzeźwość. Mercer chciała mu pomóc i chętnie przystała na „suchą” kolację.

Sally Aranca oczarowała mniej więcej pięćdziesięcioosobową publiczność, opowiadając o swojej pracy i czytając fragment najnowszej powieści. Wyłynęła na kryminałach, na cyklu z kobietą detektyw mieszkającą i pracującą w San Francisco, czyli tam gdzie ona. Mercer przekartkowała książkę po południu i obserwując Sally podczas wieczoru autorskiego, zdała sobie sprawę, że jest łądząco podobna do swojej bohaterki: czterdzieści kilka lat, niepijąca alkoholiczka, rozwódka z dwojgiem dzieci, szybka, dowcipna, z głową na karku, twarda, no i oczywiście ładna. Wydawała jedną książkę rocznie, dużo podróżowała i zawsze wpadała do księgarni Bruce’a, zwykle wtedy, kiedy nie było Noelle.

Po spotkaniu poszli do Le Rocher, małej francuskiej restauracji cieszącej się dobrą reputacją. Bruce szybko zamówił dwie butelki wody sodowej i zwrócił kelnerce kartę win. Andy zerknął kilka razy

na sąsiednie stoliki, jakby miał ochotę porwać z nich kieliszek wina, ale wrzucił do wody plasterki cytryny i dał sobie spokój. Wyklócał się z wydawcą o najnowszą umowę, która przewidywała mniejszą zaliczkę niż poprzednia. Z humorem, polotem i autoironią opowiedział im, jak to chodziło od wydawnictwa do wydawnictwa, aż zanudził cały Nowy Jork. Wszystkich do siebie zraził. Przy przystawkach Sally zwierzyła im się ze swoich dawnych frustracji. Jej pierwszą powieść odrzuciło kilkunastu agentów i jeszcze więcej wydawców, mimo to pisała dalej. Pisała i piła. Pierwsze małżeństwo diabli wzięli, kiedy nakryła męża na zdradzie, i jej życie legło w gruzach. Drugą i trzecią powieść też odrzucono, ale dzięki przyjacielom znalazła w sobie dość siły, żeby odstawić alkohol. W czwartej powieści zwróciła się w stronę kryminału, stworzyła swoją bohaterkę i nagle rozdzwoniły się telefony od agentów. Sprzedała prawa autorskie do filmu i kariera nabrała rozpędu. Teraz, po kolejnych ośmiu książkach, cykl z kobietą detektyw miał już ustaloną markę i zyskiwał na popularności.

Chociaż mówiła bez śladu samozadowolenia w głosie, Mercer poczuła ukłucie zazdrości. Sally była pisarką na pełny etat. W niepamięć odeszły tanie dorywcze prace i pożyczki od rodziców, bo pisała jedną książkę rocznie. Wydawało się, że to takie łatwe. Mercer musiała przyznać, że wszyscy pisarze, których spotkała, nosili w sobie odrobinę złośliwej zazdrości. Cóż, po prostu tak mają.

Przy daniu głównym rozmowa zboczyła nagle na temat picia i Andy przyznał, że ma problemy. Sally, pełna współczucia, lecz twarda, udzieliła mu rady. Nie piła od siedmiu lat i to, że przestała, uratowało jej życie. Mówiła porywająco i Andy podziękował jej za szczerość. Mercer czuła się chwilami jak na mityngu Anonimowych Alkoholików.

Było oczywiste, że Sally podoba się Bruce'owi, i Mercer zauważyła, że w miarę upływu czasu księgarz poświęca jej coraz więcej uwagi. Nie bądź śmieszna, pomyślała, oni znają się od lat. Ale kiedy już zarejestrowała to jego zainteresowanie, myśl o tym nie chciała jej opuścić i stawało się coraz bardziej oczywiste, przynajmniej dla niej. Dotknął Sally kilka razy, czule poklepał ją po ramieniu i przytrzymał tam rękę.

Darowali sobie deser i Bruce uregulował rachunek. Kiedy szli Główną, oznajmił, że musi wpaść do księgarni i sprawdzić, czy dozorca się nie spóźnia. Sally powiedziała, że go odprowadzi, i zanim się pożegnali, obiecała napisać do Mercer maila i pozostać z nią w kontakcie.

– Hej, masz czas na drinka? – spytał Andy, kiedy już odchodzili.
Mercer przystanęła.

– Nie, Andy, to zły pomysł. Nie po takiej kolacji.

– Miałem na myśli kawę, nie wódę.

Było kilka minut po dziewiątej i nie miała nic do roboty. Może kawa i towarzystwo mu pomoże? Przeszli na drugą stronę ulicy i znaleźli pustą kafejkę. Barista uprzedził ich, że za pół godziny zamyka. Zamówili dwie kawy i usiedli przy stoliku na dworze, naprzeciwko księgarni. Kilka minut później Sally i Bruce wyszli i skręcili w stronę jego domu.

– Będzie u niego nocowała – powiedział Andy. – Jak wiele innych.

Mercer przełknęła to i spytała:

– Noelle nie protestuje?

– A skąd! On ma swoje faworytki, ona swoich faworytów. Na szczycie wieży jest okrągły pokój, Pokój Pisarza. Dużo się tam dzieje.

– Nie wiem, czy dobrze rozumiem – powiedziała Mercer, chociaż rozumiała aż za dobrze.

– Mają otwarte małżeństwo. Puszczają się na prawo i lewo i to akceptują, pewnie nawet się do tego wzajemnie zachęcają. Chyba się kochają, ale nie uznają żadnych zasad.

– Trochę to pokręcone – rzuciła.

– Nie dla nich. Robią wrażenie szczęśliwych.

Nareszcie potwierdziła się jedna z plotek Elaine.

– Noelle siedzi tak długo we Francji między innymi dlatego, że od lat ma tam przyjaciela – dodał Andy. – Chyba żonatego.

– No jasne, jakżeby inaczej!

– Ty nie byłaś mężatką, prawda?

– Prawda.

– Ja próbowałem dwa razy i raczej bym tego nie polecał. A teraz? Spotykasz się z kimś?

– Nie – odparła. – Mój ostatni chłopak dał nogę rok temu.

– Poznałaś tu kogoś ciekawego?

– Pewnie. Ciebie, Bruce’a, Noelle, Myrę, Leigh, Boba Cobba. Mieszka tu mnóstwo interesujących ludzi.

– Miałybyś ochotę z kimś się poumawiać?

Był co najmniej piętnaście lat starszym od niej pijakiem, pokrytym bliznami barowym rozrabiaką i brutalem, który nie miał do zaoferowania nic ciekawego.

– Andy, czy ty próbujesz mnie poderwać?

– Nie – odparł. – Chciałem tylko zaprosić cię kiedyś na kolację.

– Przecież wkrótce wyjeżdżasz na „obóz gazowników”, jak nazywa to Myra.

– Za trzy dni i staję na głowie, żeby nie sięgnąć po gorzałę. To nie takie łatwe. Piję tę bezkofeinową lurę i wyobrażam sobie, że to podwójna wódka z lodem. Niemal czuję jej smak. I zabijam czas, bo nie chcę wracać do domu, chociaż nie ma tam ani kropli alkoholu. Po drodze będę mijał dwa sklepy monopolowe, wciąż otwarte, i pewnie stoczę ze sobą bój o utrzymanie wozu na jezdni. – Mówił coraz ciszej, coraz słabszym głosem.

– Przykro mi, Andy.

– Niepotrzebnie. Ale zrób wszystko, żeby nie popaść w taki stan. To straszne uczucie.

– Chciałabym ci pomóc...

– Możesz. Pomódl się za mnie, okay? Nienawidzę siebie za to, że jestem taki słaby. – I jakby chcąc uciec od kawy i rozmowy, Andy nagle wstał i odszedł.

Mercer chciała coś powiedzieć, lecz nie znalazła słów. Patrzyła za nim, dopóki nie zniknął za rogiem.

Odniosła filiżanki. Ulice już opustoszały; oprócz kafejki otwarte były tylko księgarnia i cukiernia. Zaparkowała przy Trzeciej, lecz z jakiegoś powodu minęła samochód i poszła dalej, aż do domu Bruce’a i Noelle. W Pokoju Pisarza paliło się światło. Mercer zwolniła i po kilku krokach, jakby na umówiony znak, światło zgasło.

Tak, była ciekawa, ale czy przyznałaby także, że jest to ciekawość przyprawiona odrobiną zazdrości?

Minęło pięć tygodni i musiała zwolnić dom, choć tylko na dwa tygodnie. Jak co roku przyjeżdżała Connie z mężem i dwiema nastoletnimi córkami, na wakacje nad morzem. Siostra grzecznie, niemal służbiście, zaprosiła i ją, lecz wspólne wakacje nie wchodziły w rachubę. Mercer wiedziała, że dziewczyny będą całymi dniami gapić się w smartfony, a mąż Connie zanudzi ją na śmierć opowieściami o mrożonych jogurtach. Nie był chwalipiętą, ale pracował non stop. Na wyspie też wstawał codziennie o piątej rano i pijąc kawę, pisał maile i sprawdzał dostawy. Ani razu nie zamoczył nóg w morzu i Connie żartowała, że nigdy nie wytrzymał pełnych dwóch tygodni. Zawsze wybuchał jakiś kryzys i musiał pędzić do Nashville, żeby ratować firmę.

W tych warunkach pisanie zdecydowanie odpadało, choć przy swoim tempie Mercer nie mogła być bardziej spóźniona.

Z dziewięć lat starszą Connie nigdy nie utrzymywała bliskich stosunków. Matka w szpitalu, pochłonięty sobą ojciec – praktycznie rzecz biorąc, wychowywały się same. Osiemnastoletnia Connie uciekła z domu na studia i już nie wróciła. Spędziła jedno lato na wyspie, z nią i babcią Tessą, ale miała wtedy szmergla na punkcie chłopców i nudziły ją spacer, obserwowanie żółwi i wielogodzinne czytanie. Wyjechała, kiedy babcia przyłapała ją na paleniu trawki.

Teraz raz na tydzień siostry pisały do siebie maile i raz w miesiącu rozmawiały przez telefon, żeby wszystko wyglądało przyzwoicie i tchnęło optymizmem. Mercer wpadała do niej, kiedy była w pobliżu Nashville, zwykle pod coraz to inny adres, bo Connie często się przeprowadzała, zawsze do większego domu i ładniejszej okolicy. Wiecznie za czymś gonili, za jakimś niezbyt jasnym marzeniem, i Mercer zastanawiała się, co zrobią, kiedy już je zrealizują. Im więcej zarabiali, tym więcej wydawali, a ona, żyjąc w biedzie, podziwiała ich konsumpcjonizm.

W tle kryła się historia, do której nigdy nie wracały, ponieważ każda rozmowa wywołałaby jedynie urazę. Connie miała szczęście, bo dzięki ojcu i jego salonowi Forda w Memphis mogła cztery lata studiować na prywatnej uczelni, nie zaciągając ani centa kredytu studenckiego. Ale kiedy Mercer wstąpiła na Sewanee, starszy stracił ostatnią koszulę i stanął na krawędzi bankructwa. Wiele lat miała Connie za złe, że choć się jej udało, nigdy nie zaproponowała

siostrze ani centa wsparcia finansowego. Ale teraz, gdy studencki dług zniknął jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, była gotowa puścić to w niepamięć, choć zdawała sobie sprawę, że czeka ją nie lada wyzwanie: Connie zmieniała domy jak rękawiczki, podczas gdy ona nie wiedziała nawet, gdzie będzie za kilka miesięcy spała.

Prawda była taka, że Mercer nie miała ochoty się z nią widzieć. Żyły w różnych światach i coraz bardziej się od siebie oddalały. Dlatego podziękowała za zaproszenie i obydwu od razu ulżyło. Powiedziała, że musi na kilka dni wyjechać, odpocząć i w ogóle, że pojedzie tu i tam, a przy okazji odwiedzi przyjaciółkę. Oczywiście nie zamierzała nigdzie jechać, bo Elaine wynajęła dla niej mały apartament w pensjonacie trzy kilometry na północ od domu babci. Następny ruch należał do Bruce'a Cable'a i nie mogła sobie pozwolić na podróżowanie.

W piątek czwartego lipca, w Dzień Niepodległości, posprzątała i do dwóch płóciennych toreb spakowała ubrania, przybory toaletowe i kilka książek. Idąc przez dom i gasząc światła, pomyślała o babci i o tym, jak dużo się przez te pięć tygodni zmieniło. Unikała tego domu jedenaście lat i wróciła pełna obaw, mimo to szybko odsunęła na bok wspomnienia o dawnej tragedii, ciesząc się tymi, które dawały jej radość. Teraz musiała się wyprowadzić – nie bez powodu – lecz już za dwa tygodnie wróci i będzie miała dla siebie cały dom. Na jak długo? Tego nie wiedziała. Wszystko zależało od pana Cable'a.

Skręciła w Fernando Street i pięć minut później dojechała do Gospody pod Latarnią. Na środku dziedzińca stała atrapa latarni morskiej, którą dobrze pamiętała z dzieciństwa. Pensjonat, rozłożysty budynek w stylu Cape Cod, miał dwadzieścia pokoi i oferował szwedzki stół śniadaniowy. Zjeżdżali się już urlopowicze. Tabliczka z napisem *Brak miejsc* uprzedzała, że nie ma sensu tam zaglądać.

Mercer miała własny pokój i trochę pieniędzy w kieszeni, więc kto wie, może uda jej się usiąść i coś napisać.

W sobotę koło południa, gdy na Głównej trwał już cotygodniowy targ i na chodnikach kłębił się tłum wczasowiczów szukających lodów, słodyczy albo wolnego stolika na lunch, do Bay Books po raz trzeci w tym tygodniu wszedł Denny i zniknąwszy między półkami, zaczął przeglądać kryminały. W japonkach, czapce moro, krótkich bojówkach i dziurawym podkoszulku mógł uchodzić za kolejnego źle ubranego turystę, takiego, który nie bardzo o siebie dba. On i Rooker byli w mieście od tygodnia, badając ciekawe miejsca i obserwując Cable'a, z czym nie mieli najmniejszego problemu. Jeśli nie było go w księgarni, jadł na mieście lunch, coś załatwiał albo siedział w domu, zwykle sam. Musieli uważać, bo miał fioła na punkcie bezpieczeństwa. W księgarni i w domu roіło się od kamer, czujników i Bóg wie czego jeszcze. Jeden fałszywy ruch mógł doprowadzić do katastrofy.

Dlatego czekali i obserwowali, nakazując sobie cierpliwość, choć ta szybko się wyczerpywała. Torturowanie Joela Ribikoffa i zastraszanie Oscara Steina w Bostonie było niczym w porównaniu z zadaniem, jakiemu musieli stawić czoło na wyspie. Przemoc, która okazała się skuteczna poprzednio, teraz mogła nie podziałać. Wtedy chodziło im tylko o parę nazwisk, a teraz o towar. Napad na Cable'a, jego żonę czy bliskich mógł wywołać tragiczną w skutkach reakcję.

4

Wtorek, piąty lipca. Tłumy zniknęły, plaże znów opustoszały. Wyspa budziła się powoli i w piekącym słońcu próbowała pozbyć się kaca po długim świątecznym weekendzie. Mercer czytała na kanapie *Paryską żonę*, gdy zapiszczała komórka. Mail od Bruce'a. Wpadnij do mnie przy najbliższej okazji.

OK, odpisała. Coś się dzieje?

Jak zwykle. Mam coś dla ciebie. Mały prezent.

Nudzę się. Będę za godzinę.

W księgarni było pusto. Stojący za ladą sprzedawca skinął jej głową, ale był zbyt śpiący, żeby się odezwać. Weszła na górę, zamówiła latte i sięgnęła po gazetę. Kilka minut później usłyszała

kroki na schodach i od razu wiedziała, że to Bruce. Tego dnia włożyła garnitur w żółte paski i małą zielono-niebieską muszkę. Elegancja nade wszystko. Wziął kawę i wyszli na opustoszały taras z widokiem na Trzecią. Usiedli w cieniu, przy stoliku pod wentylatorem, i wypili łyk kawy. Wtedy Bruce podał jej prezent, sądząc po kształcie, książkę owiniętą biało-niebieskim papierem z księgarni. Rozerwała go i spojrzała na okładkę. Amy Tan, *Klub Radości i Szczęścia*.

– Podpisana – powiedział. – Pierwsze wydanie. Wspomniałaś, że jest jedną z twoich ulubionych współczesnych pisarek, więc poszukałem i znalazłem.

Mercer zaniemówiła. Nie miała pojęcia, ile książka jest warta, i nie zamierzała o to pytać, ale trzymała w rękach cenne pierwsze wydanie.

– Nie wiem, co powiedzieć...

– Na przykład: „Dziękuję”. To zawsze działa.

– To za mało. Bruce, nie mogę tego przyjąć.

– Za późno. Już ją kupiłem i już ci ją dałem. Powiedzmy, że w prezencie powitalnym.

– W takim razie... dziękuję.

– Nie ma za co. Pierwszy nakład liczył trzydzieści tysięcy egzemplarzy, więc nie jest taka rzadka. Ostatecznie sprzedano pół miliona w twardej oprawie.

– Amy Tan też u ciebie była?

– Nie, rzadko jeździ.

– Niesamowite. Naprawdę nie powinieneś.

– Jak wyżej: za późno. I tak zapoczątkowałaś swoją własną kolekcję.

Mercer roześmiała się i położyła książkę na stoliku.

– W sumie to nie marzę o kolekcjonowaniu pierwszych wydań. Są dla mnie trochę za drogie.

– Ja też nie marzyłem, po prostu tak wyszło. – Zerknął na zegarek. – Spieszysz się gdzieś?

– Jestem pisarką bez terminu.

– Świetnie. Nie opowiadałem tego od wielu lat, ale oto jak zostałem kolekcjonerem białych kruków.

Upił łyk kawy, usiadł wygodniej, oparł o kolano kostkę u nogi i opowiedział, jak znalazł rzadkie książki zmarłego ojca i kilka z nich

sobie przywłaszczył.

5

Kawa pociągnęła za sobą lunch; poszli do restauracji w porcie. Usiedli w środku, bo tam było dużo chłodniej. Jak zwykle do służbowego lunchu Bruce poprosił o butelkę wina; tego dnia zaproponował chablis. Mercer zaaprobowwała wybór i zamówili tylko sałatę, nic więcej. Bruce mówił trochę o Noelle; powiedział, że dzwoni do niego co drugi dzień i że polowanie na antyki idzie dobrze.

Mercer miała ochotę spytać, co słyhać u jej francuskiego przyjaciela. Znów nie mogła uwierzyć, że nie kryją się ze swoimi zdradami. Być może we Francji nie jest to takie niezwykle, ale nie słyszała o małżeństwie, które by tak otwarcie o tym mówiło. Oczywiście, znała osoby, które zdradzały, lecz kiedy je przyłapano, akceptacja takiego stanu rzeczy nie wchodziła w rachubę. Z jednej strony niemal podziwiała to, że Bruce i Noelle kochali się tak bardzo, że skoki w bok im nie przeszkadzały, jednak z drugiej przy swojej wrodzonej południowej skromności uporczywie ganiła ich za rozpustę.

– Mam pytanie – powiedziała, zmieniając temat. – O powieść Talii, konkretnie o wątek Zeldy Fitzgerald i Hemingwaya. Jak zaczęła? Jaka była pierwsza scena?

Bruce uśmiechnął się szeroko i wytarł usta serwetką.

– Proszę, proszę, nareszcie jakiś postęp. Poważnie o tym myślisz?

– Może. Przeczytałam dwie książki o Hemingwayu i Fitzgeraldach w Paryżu i zamówiłam dwie następne.

– Zamówiłaś?

– Tak, na Amazonie. Przepraszam, ale tam są dużo tańsze.

– Słyszałem. Zamów u mnie i dam ci trzydzieści procent rabatu.

– Ale ja lubię też czytać e-booki.

– Ech, to młode pokolenie... – Bruce uśmiechnął się i upił łyk wina. – Niech pomyślę. To było dawno temu, minęło dwanaście,

może nawet trzynaście lat. Poza tym Talia poprawiała powieść tyle razy, że często się gubiłem.

– Z tego, co do tej pory przeczytałam, wynika, że Zelda nie znosiła Hemingwaya. Uważała, że jest brutalem, tyranem i ma zły wpływ na jej męża.

– I pewnie tak było. Talia zamieściła w powieści scenę, w której wszyscy troje są w południowej Francji. Hadley, żona Hemingwaya, z jakiegoś powodu wróciła do Stanów, więc Ernest i Scott piją do upadłego. Ale w rzeczywistości Hemingway wiele razy narzekał, że Fitzgerald ma strasznie słabą głowę. Wystarczyło pół butelki wina i leżał pod stołem. Natomiast on miał mocną i potrafił przepić każdego. W wieku dwudziestu lat Scott był już nałogowym alkoholikiem i nie zamierzał zwalniać tempa. Rano, w południe czy wieczorem, zawsze miał ochotę na kielicha. Zelda i Hemingway flirtowali i w końcu wypatrzyli okazję, gdy po lunchu Fitzgerald zasnął w hamaku. Zrobili to w pokoju gościnnym, niespełna dziesięć metrów od chrapiącego w najlepsze Scotta. Coś w tym rodzaju, ale, jak już mówiłem, to tylko powieść, więc możesz pisać, co chcesz. Ich romans przybrał na intensywności, kiedy Hemingway zaczął pić jeszcze więcej, a Fitzgerald próbował dotrzymać mu kroku. Zwykle urywał mu się film, a wtedy jego kumpel i Zelda biegli do najbliższego łóżka na szybki numer. Zelda kompletnie straciła dla niego głowę. Wyglądało na to, że Ernest też jest w niej zadurzony, ale tak naprawdę tylko nią manipulował, z oczywistych powodów. Był już wtedy nałogowym kobieciarzem. Kiedy wrócili do Paryża i dołączyła do nich Hadley, Zelda chciała kontynuować zabawę, ale Hemingway zdążył się nią zmęczyć. Często powtarzał, że zwariowała. Odtrącił ją, porzucił, a ona go znenawidziła. Tak, moja droga, wygląda krótki zarys twojej przyszłej powieści.

– I myślisz, że by się sprzedała?

Bruce roześmiał się rozbawiony.

– Mój Boże, stałaś się ostatnio bardzo interesowna! Przyjechałaś tu z wielkimi ambicjami literackimi, a teraz marzysz o honorariach.

– Nie chcę wracać do uczenia, poza tym nie powiedziałabym, żeby wszystkie uniwersytety w kraju się do mnie dobijały. Nie mam nic, dosłownie nic, oprócz dziesięciu tysięcy dolarów, które

zdobyłam dzięki tobie i lepki palcom mojej kochanej babci. Albo sprzedam kilka książek, albo będę musiała rzucić pisanie.

– Tak, myślę, że by się sprzedała – odparł. – Wspomniałaś o *Paryskiej żonie*. To fascynująca opowieść o Hadley i Hemingwayu i cieszyła się wielką popularnością. Jesteś świetną pisarką, dasz radę.

Mercer uśmiechnęła się i upiła łyk chablis.

– Dzięki. Potrzebuję zachęty.

– Jak wszyscy.

Przez chwilę jedli w milczeniu. Bruce podniósł kieliszek i spojrzał na wino.

– Smakuje ci?

– Jest pyszne.

– Uwielbiam wino, pewnie za bardzo. Ale wino do lunchu to zły nawyk. Spowalnia całe popołudnie.

– Dlatego wymyślono sjestę – powiedziała, dyskretnie utrzymując go na kursie.

– Właśnie. Na piętrze mam małe mieszkanie, tuż za barkiem. Idealne miejsce na popołudniową drzemkę.

– To zaproszenie?

– Możliwe.

– Czy to twój najlepszy tekst na podryw? „Hej, skarbie, skoczmy na małą drzemkę?”

– Bywało, że skutkował.

– Ale teraz nie skutkuje. – Mercer rozejrzała się i musnęła serwetką kąciuki ust. – Nie sypiam z żonatymi mężczyznami. Dobrze, spałam z dwoma i nie byłam zachwycona. Żonaci dźwigają bagaż, z którym nie chcę mieć do czynienia. Poza tym znam Noelle i bardzo ją lubię.

– Zapewniam cię, że Noelle nie zaprotestuje.

– Trudno w to uwierzyć.

Bruce uśmiechał się, niemal tłumił śmiech, jakby ona nie wiedziała, o czym mówi, a on palił się do tego, by ją oświecić. Rozejrzał się dyskretnie, żeby sprawdzić, czy nikt ich nie słyszy, nachylił się i zniżył głos.

– Noelle jest we Francji, w Awinionie. Ilekroć tam jeździ, zatrzymuje się w swoim mieszkaniu; ma je od wielu lat. Parę kroków dalej w mniejszym mieszkaniu mieszka Jean-Luc, jej

przyjaciel. Ma starszą, lecz bogatą żonę. On i Noelle są blisko od co najmniej dziesięciu lat, bo poznała go na długo przede mną. Spędzają razem dużo czasu, w tym sjęstę, chodzą na kolacje, a nawet razem podróżują, kiedy staruszka wyrazi na to zgodę.

– Jego żona to aprobuje?

– Naturalnie. To Francuzi. Wszystko dzieje się w ciszy i spokoju, dyskretnie i kulturalnie.

– Bardzo dziwne. I nie masz nic przeciwko temu?

– Nie, zupełnie. Tak po prostu jest. Widzisz, od wielu lat wiem, że nie jestem stworzony do monogamii. Przypuszczam, że ludzie są z natury poligamistami, ale nie będę się spierał. Kiedy poszedłem na studia, zdałem sobie sprawę, że na świecie jest zbyt wiele pięknych kobiet, żeby uszczęśliwiła mnie tylko jedna. Próbowałem, miałem pięć czy sześć dziewczyn, ale nic z tego nie wyszło, bo po prostu nie mogę oprzeć się pięknej kobiecie, bez względu na jej wiek. Na szczęście znalazłem Noelle. Na szczęście, ponieważ Noelle żywi podobne uczucia w stosunku do mężczyzn. Jej małżeństwo rozpadło się wiele lat temu, bo sypiała ze swoim lekarzem.

– I dobiliście targu?

– Może nie uścisnęliśmy sobie rąk, ale na długo przed ślubem oboje zaakceptowaliśmy określone zasady. Drzwi stoją otworem, wystarczy zachować dyskrecję.

Mercer pokręciła głową i uciekła wzrokiem w bok.

– Przepraszam, ale nigdy nie spotkałam małżeństwa, które akceptowałoby taką umowę.

– Nie jestem pewien, czy to takie rzadkie.

– Och, zapewniam cię, że tak. Myślicie, że to normalne, bo to robicie. Kiedy przyłapałam swojego chłopaka na zdradzie, nie mogłam dojść do siebie przez rok. Wciąż go nienawidzę.

– Nie mam nic więcej do dodania, Wysoki Sądzie. Za poważnie do tego podchodzisz. Cóż znaczy krótki romans, spontaniczna przygoda?

– Krótki? Twoja żona sypia z tym Francuzem od dziesięciu lat. I nazywasz to krótkim romansem?

– Nie, to coś więcej, ale Noelle go nie kocha. Chodzi tylko o miłe towarzystwo.

– Aha, a Sally Aranca? Co to było? Przygoda czy miłe towarzystwo?

– Ani to, ani to, a może jedno i drugie. Co to za różnica? Sally przyjeżdża tu raz w roku i trochę figlujemy. Nazywaj to, jak chcesz.

– A gdyby Noelle nie wyjechała?

– Noelle jest wszystko jedno. Posłuchaj: gdybyś teraz do niej zadzwoniła, powiedziała, że jemy razem lunch, zastanawiając się nad krótką drzemką, i spytała, co ona na to, gwarantuję, że roześmiałyby się i odparła: „Ojej, nie ma mnie już od dwóch tygodni, a wy dopiero teraz?”. Chcesz do niej zadzwonić?

– Nie.

– Jesteś trochę za sztywna – stwierdził ze śmiechem.

Mercer nigdy tak o sobie nie myślała. Przeciwnie, uważała, że jest dość wyluzowana i skłonna zaakceptować niemal wszystko. Ale w tym momencie czuła się jak świętoszka i było jej z tym źle.

– Nieprawda, nie jestem.

– No to chodźmy do łóżka.

– Przykro mi, ale nie potrafię być tak swobodna.

– W porządku. Nie nalegam. Proponowałem tylko małą drzemkę, to wszystko.

Roześmiali się, lecz napięcie było aż nadto wyczuwalne. Oboje wiedzieli, że na tej rozmowie się nie skończy.

6

Było już ciemno, gdy spotkały się na końcu drewnianego chodnika. Niski przypyływ, szeroka opustoszała plaża, drżące na wodzie światło jasnego księżyca – Elaine była na bosaka, więc i ona zrzuciła sandały. Poszły na spacer brzegiem morza, jak dwie pogrążone w rozmowie przyjaciółki.

Zgodnie z poleceniem, Mercer wysyłała jej co wieczór maile, bardzo drobiazgowo, z takimi szczegółami jak to, co aktualnie czyta i czy próbuje pisać. Elaine wiedziała niemal wszystko, choć to, że Cable chciał zaciągnąć ją do łóżka, Mercer zachowała dla siebie. Może powie jej o tym później, zależy, co się będzie działo.

– Kiedy przyjechałaś? – spytała.

– Dziś po południu – odparła Elaine. – Dwa dni siedzieliśmy w biurze, wszyscy nasi eksperci, technicy, agenci operacyjni, a nawet mój szef, właściciel firmy.

– Masz szefa?

– O tak. Prowadzę tę sprawę, ale kiedy nadejdzie pora, to on będzie podejmował ostateczne decyzje.

– Kiedy nadejdzie pora na co?

– Nie jestem pewna. To już szósty tydzień i szczerze mówiąc, nie bardzo wiem co dalej. Jesteś świetna, Mercer, naprawdę. W ciągu pięciu tygodni dokonałaś niesamowitych rzeczy. Jesteśmy bardzo zadowoleni, ale teraz, kiedy mamy już zdjęcia i filmy, kiedy przeniknęłaś do kręgu jego znajomych, zastanawiamy się nad następnym ruchem. Jesteśmy pewni swego, ale przed nami długa droga.

– Jakoś ją pokonamy.

– Uwielbiam twoją pewność siebie.

– Dzięki – rzuciła obojętnie Mercer, zmęczona pochwałami. –

Mam pytanie. Nie jestem pewna, czy warto ciągnąć dalej tę podpuchę z powieścią o Zeldzie i Hemingwayu. Jeśli Cable rzeczywiście ma rękopisy Fitzgeralda, jego propozycja jest dziwnie sprzyjająca.

– Przecież to on wpadł na ten pomysł.

– No właśnie. Może chce mnie sprawdzić i zarzucił przynętę?

– Myślisz, że cię podejrzewa?

– Nie, raczej nie. Spędziłam z nim sporo czasu i chyba bym coś zauważyła. Jest bardzo inteligentny, bystry i charyzmatyczny, ale też uczciwy i łatwo się z nim rozmawia. W interesach być może oszukuje, ale na pewno nie przyjaciół. Potrafi być brutalnie szczery, nie znosi głupców i jest w nim coś autentycznie miłego. Tak, lubię go, a on lubi mnie i chce się do mnie zbliżyć. Dlatego gdyby mnie podejrzewał, chyba bym to wyczuła.

– A ty? Też chcesz się do niego zbliżyć?

– Zobaczymy.

– On kłamie, nie jest żonaty.

– Tak, wiem. Zawsze mówi o Noelle jak o żonie. Ale chyba masz rację, oni nie są małżeństwem.

– Powiedziałam ci wszystko, co wiemy. Ani we Francji, ani tutaj nie ma żadnych dokumentów potwierdzających, że wzięli ślub. Mogli się pobrać gdzie indziej, w innym kraju, ale twierdzą inaczej.

– Nie wiem, jak bardzo się do siebie zbliżymy i czy w ogóle można to zaplanować. Chciałam tylko powiedzieć, że zdążyłam go poznać na tyle, że gdyby mi nie wierzył, od razu bym to wyczuła.

– W takim razie nie przekreślaj pomysłu z książką. Będiesz miała okazję porozmawiać z nim o Fitzgeraldzie. Jeszcze lepiej by było, gdybyś napisała pierwszy rozdział i dała mu do przeczytania. Czy to wykonalne?

– Ależ oczywiście. To tylko fikcja, tak jak ostatnio moje życie.

7

Następna próba była luźna i niezobowiązująca jak ta pierwsza, lecz poskutkowała. Zadzwoił do niej w czwartek po południu z wiadomością, że gości u siebie Morta Gaspera, legendarnego właściciela Ripley Press, który wpadł do niego wraz ze swoją najnowszą żoną. Przyjeżdżał na wyspę każdego lata i zatrzymywał się w ich domu. W piątek późnym wieczorem będzie mała kolacja, tylko dla nich czworga, ot, miłe uwieńczenie tygodnia.

Po kilku dniach śniadań przy szwedzkim stole Mercer nabawiła się klaustrofobii i miała wielką ochotę wymknąć się na wolność. Rozpaczliwie pragnęła wrócić do domu babci i liczyła dni do wyjazdu Connie i jej bandy. Żeby uciec od pisania, godzinami spacerowała po plaży, zawsze trzymając się z dala od domu i unikając krewnych.

Poza tym spotkanie z Mortem Gasperem mogło pomóc jej dogorywającej karierze. Przed trzydziestu laty Gasper kupił Ripley Press za grosze i przekształcił to małe, senne i niedochodowe wydawnictwo w znaczącą oficynę, prężną i niezależną. Miał oko do talentów i wypromował liczną grupę pisarzy znanych z różnorodnych aspiracji literackich i umiejętności sprzedawania książek. Wzorem wydawców ze złotego wieku podtrzymywał tradycję trzygodzinnych lunchów i nocnych imprez w apartamencie

na Upper West Side. Był bez wątpienia najbardziej barwną postacią świata wydawniczego i nie zamierzał zwalniać tempa, chociaż dobijał już siedemdziesiątki.

W piątek po południu Mercer weszła do internetu i dwie godziny czytała stare artykuły, z których żaden nie był nudny. Jeden z nich, sprzed dwóch lat, opowiadał o dwumilionowej zaliczce, którą Mort wypłacił zupełnie nieznanemu autorowi za debiutancką powieść. Sprzedano ledwie dziesięć tysięcy egzemplarzy, mimo to niczego nie żałował, twierdząc, że zrobił dobry interes. W innym artykule znalazła wzmiankę o jego najnowszej żonie, kobiecie w jej wieku. Miała na imię Phoebe i była redaktorką w Ripley Press.

W piątek o ósmej wieczorem to właśnie ona otworzyła drzwi i po ciepłym powitaniu ostrzegła, że „chłopcy” już piją. Przechodząc przez kuchnię, Mercer usłyszała buczenie miksera – Bruce, w szortach i koszulce do golfa, przygotowywał na tarasie daiquiri. Cmoknął ją w policzki i przedstawił Mortowi. Ten powitał ją silnym uściskiem i zaraźliwym uśmiechem. Był na bosaka, w długiej do kolan koszuli. Bruce podał jej kieliszek, dolał pozostałym i usiedli w wiklinowych fotelach przy stoliku zawalonym książkami i czasopismami.

Szybko stało się jasne, że w sytuacjach takich jak ta – prawdopodobnie w innych też – oczekiwano, żeby to Mort mówił najwięcej. Mercer nie miała nic przeciwko temu. Po trzecim łyku zaszumiało jej w głowie i ciekawiło ją, ile rumu Bruce dodał do koktajlu. Mort rozprawiał o wyścigu do Białego Domu i niepokojącym stanie amerykańskiej polityki, czyli o czymś, co ją mało interesowało, jednak Bruce i Phoebe wydawali się pochłonięci jego uwagami i podtrzymywali rozmowę.

– Mogę zapalić? – spytał wszystkich i nikogo w szczególności, biorąc ze stolika skórzaną cygarnicę.

On i Bruce zapalili czarne cygara i wkrótce zawisł nad nimi obłok sinego dymu. Bruce sięgnął po dzbanek i zaserwował im kolejną dolewkę.

– Bruce mówi, że pracuje pani nad powieścią – zdołała wtrącić Phoebe podczas jednej z rzadkich przerw w monologu męża.

Mercer wiedziała, że ta chwila nadejdzie prędzej czy później, więc uśmiechnęła się i odparła:

– Bruce jest wspaniałomyślny. Na razie częściej marzę, niż piszę. Mort wypuścił kłęb dymu.

– *Październikowy deszcz* to świetny debiut. Robi wrażenie. Kto go wydał, bo nie pamiętam?

– Hm... Ripley go odrzuciło – odparła Mercer z wybacającym uśmiechem.

– Rzeczywiście. Głupi ruch, ale tak to już u nas jest. Raz stawiasz na dobrego konia, raz na złego. Ryzyko zawodowe.

– Wydało go Newcombe, choć nie bez różnicy zdań.

– Banda błaznów – prychnął pogardliwie Mort. – Popędziła ich pani?

– Tak. Teraz mam umowę z Vikingiem, jeśli jeszcze ją mam. Podczas ostatniej rozmowy telefonicznej wydawca poinformował mnie, że jestem trzy lata spóźniona.

Mort ryknął śmiechem.

– Tylko trzy? Szczęściarz. W zeszłym tygodniu zrugalem Douga Tannenbauma, bo miał nam przysłać powieść osiem lat temu! Ach, ci pisarze.

– Lubi pani rozmawiać o swojej pracy? – wtrąciła szybko Phoebe. Mercer uśmiechnęła się i pokręciła głową.

– Naprawdę nie ma o czym.

– Kto jest pani agentem? – spytał Mort.

– Gilda Savitch.

– Świetna dziewczyna. W zeszłym miesiącu jadłem z nią lunch.

To miło, że pochwalasz mój wybór – rum zrobił swoje i Mercer miała to na końcu języka.

– Wspomniała o mnie? Chyba nie.

– Nie pamiętam, to był długi lunch. – Mort zarechotał i dopił drinka.

Phoebe spytała o Noelle i na kilka minut zmienili temat. Mercer zauważyła, że w kuchni nic się nie dzieje, że nikt się tam nie kręci i niczego nie przygotowuje. Kiedy Mort przeprosił ich i poszedł do toalety, Bruce znów włączył mikser. Panie gawędziły przez chwilę o lecie i wakacjach. Phoebe i Mort wyjeżdżali nazajutrz na Florida Keys, na cały miesiąc. W lipcu i sierpniu branża wydawnicza praktycznie spała, a ponieważ Mort był szefem, mógł sobie pozwolić na półtoramiesięczny urlop.

Kiedy tylko ponownie usiadł w fotelu ze świeżym drinkiem i cygarem, zadzwonił dzwonek u drzwi i Bruce zniknął. Wrócił z dużym pudełkiem jedzenia na wynos i postawił je na stoliku.

– Najlepsze tacos z rybą na wyspie. Strzępiel z grilla. Świeżutki, z porannego połowu.

– Podajesz nam żarcie na wynos? – spytał z niedowierzaniem Mort. – Czysty obłąd. Zabieram cię do najlepszych nowojorskich restauracji, a dostaję w zamian to. – I praktycznie rzucił się na jedzenie.

– Ostatnim razem zaprosiłeś mnie do tego straszego baru z przekąskami tuż obok twojego biura – odparował Bruce. – Zjadłem kanapkę i omal nie zwymiotowałem. Na dokładkę kazałeś mi zapłacić rachunek!

– Jesteś tylko księgarzem – wymlaskał Mort, przeżuując jedzenie. – Na elegancki posiłek zapraszam tylko pisarzy. Mercer, kiedy następnym razem będziesz w Nowym Jorku, pójdziemy do pięciogwiazdkowej restauracji.

– Umowa stoi – rzuciła, dobrze wiedząc, że to tylko słowa. Sądząc po tym, ile i jak szybko Mort pił, rano nie będzie pewnie nic pamiętał.

Bruce też nie wylewał za kołnierz, pił dużo więcej niż zwykle. W niepamięć odeszło opanowanie, ostrożne łyeczki wina, starannie odmierzone dolewki oraz uwagi na temat marki i rocznika. Zdjął buty, włosy opadły mu na czoło – do diabła z tym! Ostatecznie był piątek, koniec ciężkiego tygodnia, pora zaszaleć z kumplem od kielicha.

Mercer sączyła lodowatego drinka, próbując sobie przypomnieć, ile ich wypijała, ale ponieważ Bruce ciągle jej dolewał, gubiła się w rachubach. Czuła, że jest wstawiona i musi zwolnić. Zjadła taco i poszukała wzrokiem butelki wody, może nawet wina, lecz na werandzie nie było nic innego: tylko czekający na swoją kolej dzbanek.

Bruce znów im dolał i opowiedział dykteryjkę o daiquiri, swoim ulubionym koktajlu na lato. W 1948 roku amerykański pisarz A.E. Hotchner pojechał na Kubę, żeby wytropić Ernesta Hemingwaya, który mieszkał tam pod koniec lat czterdziestych i na początku pięćdziesiątych. Panowie szybko się zaprzyjaźnili i w 1966 roku,

kilka lat po śmierci Hemingwaya, Hotchner wydał swoją słynną książkę, *Papa Hemingway*.

– Znam Hotchnera! – przerwał mu zgodnie z przewidywaniami Mort. – Wciąż żyje, musi dobić setki.

– Wiem, Mort – powiedział Bruce. – Ty znasz wszystkich.

Tak czy inaczej, podczas pierwszej wizyty na Kubie Hotchner chciał namówić Hemingwaya na wywiad, lecz ten go przepędził. Hotchner zadreślał go i nagabywał, aż w końcu umówili się w barze niedaleko domu Ernesta, który uprzedził go przez telefon, że lokal słynie z pysznych koktajli. Oczywiście Hemingway się spóźnił i czekając, Hotchner zamówił daiquiri. Było rzeczywiście pyszne i mocne, a ponieważ miał słabą głowę, pił powoli. Minęła godzina. W barze było gorąco i parno, więc zamówił jeszcze jedno i w połowie kieliszka zdał sobie sprawę, że widzi podwójnie. Kiedy Hemingway wreszcie przyszedł, potraktowano go jak celebrytę; najwyraźniej spędzał tam dużo czasu. Uścisnęli sobie ręce, znaleźli wolny stolik i Ernest zamówił dwa daiquiri. Podczas gdy Hotchner bawił się kieliszkiem, Hemingway wypił swoje jednym haustem. Potem następne. Podczas trzeciego zauważył, że jego nowy kumpel nie pije, i podważając jego męstwo, oświadczył, że jeśli chce pogadać z wielkim Ernestem Hemingwayem, musi nauczyć się pić jak mężczyzna. Hotchner wziął się w garść, wypił i ściany baru zawirowały jak na karuzeli. Nieco później, gdy mimo bohaterskich prób nie zdołał utrzymać głowy w pionie, Ernest stracił zainteresowanie rozmową i ze świeżym kieliszkiem daiquiri w ręce zaczął grać w domino z miejscowymi bywalcami. W pewnym momencie – Hotchner zdążył stracić poczucie czasu – wstał i oświadczył, że nadeszła pora na lunch. Hotchner miał z nim iść. Wychodząc, spytał: „Ile wypiliśmy?”.

Barman zastanowił się i odparł: „Pan cztery, Papa siedem”.

„Wypił pan siedem daiquiri?”, nie mógł uwierzyć Hotchner.

Ernest roześmiał się, a miejscowi mu zawtórowali.

„Siedem to jeszcze nic, przyjacielu. Tutejszy rekord to szesnaście i oczywiście należy do mnie. A potem wróciłem jeszcze do domu!”

Mercer czuła się jak na początku siedemnastego.

– Pamiętam, czytałem *Papę*, pracując w dziale korespondencji w Random House. – Opchawszy się jedzeniem, Mort zapalił cygaro. –

Masz pierwsze wydanie?

– Dwa egzemplarze – odparł Bruce. – Jeden w bardzo dobrym, drugi w nieco gorszym stanie. Rzadko się je teraz widuje.

– Kupiłeś ostatnio coś ciekawego? – spytała Phoebe.

Nie licząc rękopisów Fitzgeralda skradzionych w Princeton, dodała w myśli Mercer, lecz nie powiedziałaaby tego na głos nawet w najbardziej pijanym widzie. Coraz bardziej ciążyły jej powieki.

– Chyba nie – odrzekł Bruce. – Chociaż wpadł mi w ręce egzemplarz *Convicta*.

Żeby nie dać się pokonać, Mort – w historii nowojorskiego świata wydawniczego nie było chyba nikogo, kto przeżyłby tyle pijackich przygód co on czy słyszał o nich z wiarygodnych źródeł – uraczył ich nieco rozwlekłą opowieścią o pijackiej burdzie, do jakiej o drugiej nad ranem doszło w jego mieszkaniu, gdy nie mogąc znaleźć rumu, Norman Mailer zaczął ciskać pustymi butelkami w George’a Plimptona. Anegdota była tak zabawna, że aż nieprawdopodobna, a Mort należał do wytrawnych gawędziarzy.

Mercer zaczynała przysypiać. Ostatnim dźwiękiem, jaki zapamiętała, było buczenie miksera.

8

Obudziła się w obcym łóżku w okrągłym pokoju i przez kilka sekund bała się poruszyć, żeby z bólu nie pękła jej głowa. Piekły ją oczy, więc je zamknęła. Zaschło jej w ustach i gardle. Nieśmiało nudności ostrzegały, że może być gorzej. Dobra, miała kaca, nie pierwszego i pewnie nie ostatniego. Czekał ją ciężki dzień, ale cóż, nikt nie kazał jej tyle pić. Weź to na klatę, dziewczyno. Jak brzmiało to stare powiedzenie ze studiów? „Jeśli chcesz być głupia, musisz być twarda”.

Leżała na chmurze, na mięciuteńkim materacu, w delikatnej, lekkiej jak piórko pościeli. Wyczuła w tym rękę Noelle. Na szczęście Mercer zainwestowała trochę w ładniejszą bieliznę i w tej strasznej chwili z ulgą stwierdziła, że wciąż ma ją na sobie. Liczyła na to, że Bruce był pod wrażeniem. Otworzyła oczy, zamrugła, zdołała

skupić wzrok i na stojącym nieopodal krześle zobaczyła swoje szorty i bluzkę, starannie złożone, przez co chciał jej pewnie powiedzieć, że było to zdyscyplinowane rozbieranie, a nie oszalały pęd do łóżka połączony ze zrywaniem ubrania. Powieki znów opadły i zagłębiła się w chmurze.

Tak, słyszała coraz cichsze buczenie miksera, a potem nic. Głucha cisza. Więc jak długo spała w fotelu na tarasie, podczas gdy tamci przerzucali się dykteryjkami, pili, uśmiechali się do niej i puszczali do siebie oko? Udało jej się wyjść na własnych nogach, może trochę chwiejnie i przy pomocy Bruce'a czy też Bruce musiał wnieść ją na wieżę jak worek kartofli? Urwał jej się film jak na studiach czy tylko zasnęła i ktoś położył ją do łóżka?

Znów te nudności. Czyżby zepsuła imprezę, rzygając jak kotka, o czym Bruce i reszta pewnie nigdy nie wspomną? Na myśl, że mogło tak być, zrobiło jej się jeszcze gorzej. Zerknęła na szorty i bluzkę. Ale nie, nie było na nich ani plam, ani żadnych innych śladów.

Nagle przyszła jej do głowy pocieszająca myśl. Czterdzieści lat starszy Mort był królem balang i libacji. Przepił więcej ochlapusów i przeżył więcej kaców niż wszyscy jego pisarze razem wzięci, więc nic nie robiło na nim wrażenia. Pewnie tylko go rozbawiła. A Phoebe? Co obchodziła ją Phoebe? Już nigdy jej nie zobaczy. Zresztą jako żona Morta widziała już wszystko. Bruce na pewno też.

O wilku mowa. Ciche pukanie do drzwi i wszedł do pokoju. Był we frotowym szlafroku i niósł butelkę wody i dwie małe szklanki.

- Dzień dobry – szepnął i usiadł na brzegu łóżka.
- Dzień dobry – wymamrotała. – Woda. Bosko.
- Mnie też dobrze robi. – Napełnił szklanki. Wypili i napełnił je ponownie. – Jak się czujesz?
- Nie za dobrze. A ty?
- To była ciężka noc.
- Jak się tu znalazłam?
- Zasnęłaś i pomogłem ci się położyć. Zaraz potem odpadła Phoebe, a my z Mortem zapaliliśmy po cygarze i piliśmy dalej.
- Pobiliście rekord Hemingwaya?
- Nie, ale mało brakowało.
- Powiedz, zrobiłam z siebie idiotkę?

– Coś ty! Po prostu zasnął. Nie mogłaś prowadzić, więc położyłem cię spać.

– Dzięki. Nic nie pamiętam.

– Bo nie ma nic do pamiętania. Wszyscy się urznęli, i tyle.

Mercer wypła wodę, poprosiła o dolewkę i ruchem głowy wskazała szorty i bluzkę.

– Kto mnie rozebrał?

– Ja. To była prawdziwa uczta.

– Dobierałeś się do mnie?

– Nie, ale miałem ochotę.

– Prawdziwy dżentelmen.

– Jak zawsze. Posłuchaj, w łazience jest duża, stara wanna na lwich łapach. Weź długą, gorącą kąpiel i pij wodę, a ja pójdę zrobić śniadanie. Marzą mi się jajka na bekonie, tobie też dobrze zrobią. Czuj się jak u siebie w domu. Mort i Phoebe już wstają i niedługo wyjadą. Wtedy przyniosę ci śniadanie. Co ty na to?

– Chętnie, dzięki – odparła z uśmiechem.

Wszedł i zamknął drzwi. Miała dwa wyjścia. Mogła się ubrać, zejść po cichu na dół, uniknąwszy Morta i Phoebe, powiedzieć Bruce'owi, że musi iść, i dać nogę. Ale działanie na chybcika nie było dobrym pomysłem. Potrzebowała czasu, żeby się ogarnąć, musiała poczekać, aż żołądek się uspokoi. Tak, najpierw powinna odpocząć, może nawet jeszcze pospać. Poza tym w takim stanie nie mogła prowadzić. Myśl o powrocie do pokoiku w pensjonacie też nie była zachęcająca, natomiast perspektywa długiej, gorącej kąpieli bardzo kusiła.

A drugie wyjście? Przyjąć plan Bruce'a, plan, który zakładał, że wyląduje z nim w łóżku. Doszła do wniosku, że to nieuchronne.

Dolała sobie wody i wstała. Przeciągnęła się, wzięła głęboki oddech i stwierdziła, że czuje się lepiej. Mdłości minęły. Weszła do łazienki, odkręciła krany, znalazła płyn do kąpieli. Cyfrowy zegar na toaletce wskazywał dwadzieścia po ósmej. Mimo oczywistych problemów fizycznych spała prawie dziesięć godzin.

Bruce musiał oczywiście sprawdzić, jak sobie radzi. Wszedł, wciąż w szlafroku, i postawił obok wanny butelkę wody.

– No i jak ci? – spytał.

– Dużo lepiej – odparła. Piana zakrywała większą część jej nagiego ciała, lecz nie całe.

Długo patrzył na nią z pełnym aprobaty uśmiechem.

– Przynieść ci coś?

– Nie, dziękuję.

– Będę w kuchni – powiedział. – Nie spiesz się. – I wyszedł.

9

Siedziała w wannie godzinę, potem wyszła i wytarła się. Na drzwiach wisiał szlafrok, też frotowy, więc go włożyła. W szufladzie znalazła kilka nowych szczoteczek do zębów. Otworzyła opakowanie, wymyła zęby i poczuła się dużo lepiej. Podniosła z podłogi bieliznę i znalazła swoją torebkę obok szortów i bluzki. Wyjęła iPada, poprawiła poduszki, położyła się i uwiła sobie gniazdko w chmurze.

Po pewnym czasie zaczytana usłyszała jakiś hałas za drzwiami. Wszedł Bruce z tacą i postawił ją tuż obok niej.

– Bekon, jajecznica, muffinki z dżemem, mocna kawa i mimosa, szampan z sokiem pomarańczowym.

– Nie wiem, czy alkohol dobrze mi zrobi – powiedziała. Ale jedzenie wyglądało i pachniało przepysznie.

– Gwarantuję, nie ma to jak klin.

Na chwilę wyszedł i wrócił, wciąż w szlafroku, z tacą dla siebie. Postawił ją obok jej tacy, usiadł i podniósł kieliszek.

– Na zdrowie.

Wypili po łyeczku i zaczęli jeść.

– Więc to jest ten osławiony Pokój Pisarza – powiedziała.

– Słyszałaś o nim?

– Miejsce kaźni wielu biednych dziewcząt.

– Żadna nie protestowała.

– A więc to prawda. Ty figlujesz z dziewczętami, a Noelle z chłopcami?

– Tak. Kto ci powiedział?

– Odkąd to pisarze potrafią dochować tajemnicy?

Roześmiał się i włożył do ust plasterki bekonu.

Po dwóch łykach mimosa szampan zmieszał się z resztkami wieczornego rumu i powrócił szum głowy. Na szczęście długa kąpiel uspokoiła żołądek, a jedzenie było wyśmienite. Ruchem głowy wskazała długą, półokrągłą ścianę zastawioną wysokimi do sufitu półkami.

– A te? To też pierwsze wydania?

– Mieszanina, nic wartościowego. Różności.

– Piękny pokój, widać rękę Noelle.

– Możemy o niej na chwilę zapomnieć? Pewnie je teraz późny lunch z Jean-Lukiem.

– Nie przeszkadza ci to?

– Zupełnie. Przestań, już to przerabialiśmy.

Jedli w milczeniu, nie tykając kawy, lecz często sięgając po kieliszek. Zaczął delikatnie masować jej udo pod kocem.

– Nie pamiętam, kiedy ostatnio uprawiałam seks na kacu.

– Och, ja robię to nałogowo. To najlepsze lekarstwo.

– Więc pewnie się na tym znasz.

Wstał i postawił tacę na podłodze.

– Dopij – rzucił. Kiedy to zrobiła, wziął od niej tacę, postawił ją obok swojej, zdjął szlafrok i rzucił go na koniec łóżka. Pomógł jej się rozebrać i cudownie nadzy zakopali się w chmurze.

10

W sobotę przed południem Elaine Shelby pracowała u siebie w biurze, gdy z Camino zadzwonił do niej Graham.

– Mamy przyłożenie – zameldował. – Wygląda na to, że nasza dziewczynka spędziła u niego noc.

– Mów.

– Zaparkowała po drugiej stronie ulicy około ósmej wieczorem i jej wóz wciąż tam jest. Rano z domu wyszedł jakiś facet z kobietą, nie wiem, co to za jedni. Mercer i Cable zostali. Tu leje jak z cebra, pogoda w sam raz na figo-fago. Dziewczyna daje!

– Najwyższa pora. Informuj mnie na bieżąco.

- Tak jest.
- Będę tam w poniedziałek.

Denny i Rooker też obserwowali. Po tablicach rejestracyjnych z Karoliny Północnej doszli do nazwiska Mercer i dokładnie ją rozpracowali. Znali jej historię zatrudnienia, obecny adres – Gospoda pod Latarnią – i dorobek literacki. Wiedzieli, że należy do niej część domu na plaży. Wiedzieli także, że Noelle Bonnet wyjechała i jej sklep jest zamknięty. Wiedzieli tyle, ile mogli się dowiedzieć z wyjątkiem tego co dalej.

11

Burza nie mijała i stała się kolejnym powodem do tego, żeby zostać w łóżku. Mercer, która nie uprawiała seksu od wielu miesięcy, ciągle chciała jeszcze, a Bruce, doświadczony zawodowiec, miał krzepę i parę, której chwilami nie mogła się nadziwić. Po godzinie – czy dwóch? – w końcu opadli z sił i zasnęli. Kiedy się obudziła, miejsce obok było puste. Włożyła szlafrok, zeszła na dół i znalazła go w kuchni, już w garniturze i beżowych zamszowych butach, odświeżonego, jasnookiego i gotowego na następny dzień zdyscyplinowanego sprzedawania książek. Kiedy się pocałowali, włożył rękę pod szlafrok i chwycił ją za pupę.

- Ach, to cudowne ciało...
- Zostawiasz mnie?

Znów się pocałowali, obmacując się wzajemnie w długim, namiętym uścisku. Bruce odsunął się lekko i odparł:

- Muszę zajrzeć do księgarni. Handel to bezlitosny potwór.
- Kiedy wrócisz?
- Niedługo. Przyniosę coś na lunch i zjemy na tarasie.
- Chyba muszę już iść – powiedziała bez przekonania.

– Dokąd? Do pensjonatu? Daj spokój. Zostań, wróć, zanim się spostrzeżesz. Leje jak z cebra, wyje wiatr. Wydano ostrzeżenie przed tornadem, na dworze jest niebezpiecznie. Schowamy się do łóżka i będziemy czytać całe popołudnie.

- Tak, już widzę, jak czytamy.

– Nie zdejmuj szlafroka, zaraz wracam.

Pocałowali się, jeszcze raz obmacali i w końcu zdołał się od niej oderwać. Cmoknął ją w policzek, pożegnał się i wyszedł. Mercer naląła sobie kawy, wyszła na taras, usiadła na huśtanej ławce i zapatrzyła się w deszcz. Przy odrobinie wysiłku mogłaby uznać, że jest dziwką, zepsutą kobietą, która sprzedaje swoje ciało dla podstępnych celów – mogłaby, lecz nie miała do tego przekonania. Bruce Cable był nałogowym kobieciarzem, który poszedłby do łóżka z każdą, bez względu na motywy, jakimi się kierowała. Teraz sypiał z nią. Za tydzień znajdzie inną. Wierność? Zaufanie? Zupełnie go to nie obchodziło, więc dlaczego miałyby obchodzić ją? Nie żądał, nie oczekiwał ani nie obiecywał zaangażowania. Chodziło mu jedynie o fizyczną przyjemność, podobnie jak jej, przynajmniej w tej chwili.

Dlatego odpędziła poczucie winy i uśmiechnęła się na myśl o intensywnym weekendzie w łóżku.

Wrócił szybko. Na lunch zjedli sałatkę i wypili wino, po czym poszli na wieżę, na kolejną dawkę seksu. Podczas przerwy przyniósł butelkę chardonnay i grubą powieść. Postanowili poczytać w wiklinowych fotelach na tylnym tarasie i posłuchać deszczu. On miał książkę, ona iPada.

– Naprawdę możesz czytać na tym urządzeniu? – spytał.

– Pewnie. Słowa są te same. Próbowaleś?

– Lata temu dostałem coś takiego od Amazona. Po prostu nie mogłem się skupić. Ale może jestem uprzedzony.

– Naprawdę? Ciekawe dlaczego?

– Co czytasz?

– *Komu bije dzwon*. Przerzucam się z Hemingwaya na Fitzgeralda i z Fitzgeralda na Hemingwaya. Chciałabym przeczytać wszystko, co napisali. Wczoraj skończyłam *Ostatniego z wielkich*.

– No i?

– Niezwykła powieść, zważywszy, gdzie był, kiedy ją pisał. Mieszkał wtedy w Hollywood i próbował zarobić na życie, coraz bardziej rozsypując się fizycznie i psychicznie. Taki młody człowiek. Kolejna tragedia.

– To jego ostatnia, ta niedokończona?

– Podobno. Wielki talent, wielka strata.

– To twoja praca domowa? Szykujesz się do pisania?

- Może. Jeszcze nie wiem. A ty co czytasz?
- *Moje ulubione tsunami*, pierwszą powieść pisarza, który nie umie pisać.
- Straszny tytuł.
- Tak, a potem jest jeszcze gorzej. Dobrnąłem do pięćdziesiątej strony, czeka mnie kolejnych sześćset i powoli wysiadam. Powinno się wprowadzić przepis, że debiutancka powieść nie może mieć więcej niż trzysta stron, nie sądzisz?
- Popieram. Moja miała dwieście osiemdziesiąt.
- I była doskonała.
- Dzięki. Doczytasz do końca?
- Tę? Wątpię. Każdej daję sto stron i jeśli po pierwszej setce autor nie potrafi przykuć mojej uwagi, odkładam ją na bok. Jest za dużo dobrych książek, żeby tracić czas na czytanie złych.
- Mam podobnie, tylko narzuciłam sobie mniejszy limit: pięćdziesiąt stron. Nie rozumiem ludzi, którzy z jakiegoś powodu męczą się, czytając coś, co się im nie podoba. Jak moja babcia. Po pierwszym rozdziale ciskała książką w ścianę, potem ją podnosiła i burcząc i gderając, czytała do gorzkiego końca, nawet jeśli książka miała czterysta stron. Nigdy tego nie rozumiałam.
- Tak jak ja. – Bruce upił łyk wina, spojrzał na podwórze i sięgnął po swoją powieść.
- Mercer zaczekała, aż przewróci kartkę, i spytała:
 - Masz jeszcze jakieś zasady?
- Uśmiechnął się i odłożył książkę.
- Moja droga, mam całą listę! *Dziesięć zasad Cable'a*, genialny poradnik skompilowany przez eksperta, który przeczytał ponad cztery tysiące książek.
 - Wypożyczasz go komuś?
 - Czasem. Prześlę ci go mailem, ale ty go nie potrzebujesz.
 - Nie wiadomo. Może mi się przyda. Daj mi chociaż parę wskazówek.
- Dobrze. Nie znoszę prologów. Właśnie przeczytałem powieść autora, który będzie u nas w przyszłym tygodniu. Każdą książkę zaczyna od typowego prologu, bardzo dramatycznego, czegoś w rodzaju trupa albo ataku rekina na kobietę. Potem każe czytelnikowi przejść do pierwszego rozdziału, który oczywiście nie

ma nic wspólnego z prologiem, jeszcze potem do rozdziału drugiego, który oczywiście nie ma nic wspólnego ani z pierwszym, ani z prologiem, wreszcie, mniej więcej trzydzieści stron dalej, bach!, przerzuca czytelnika z powrotem do prologu, choć ten już dawno zapomniał, o co tam chodziło.

– Dobrze. Mów dalej.

– Kolejnym błędem każdego nowicjusza jest wprowadzanie dwudziestu postaci w pierwszym rozdziale. Pięć zupełnie wystarczy, bo czytelnik się wtedy nie pogubi. Dalej. Jeśli już odczuwasz potrzebę sięgnięcia po tezaurus, szukaj wyrazów maksymalnie trzysylabowych. Mam niezłe słownictwo i nic nie wkurza mnie bardziej niż autor popisujący się znajomością długich na kilometr słów, których nigdy w życiu nie widziałem. Dalej. Oznaczaj dialogi jak Bóg przykazał, inaczej wyjdzie z tego groch z kapustą. Zasada numer pięć: większość autorów cierpi na słowotok, dlatego zawsze tnij, wycinaj i wyrzucaj zbędne zdania i sceny. Mógłbym tak długo.

– Nie, nie – zaprotestowała. – Mów dalej, powinnam chyba to notować.

– Nie, ty nie potrzebujesz ani rad, ani wskazówek. Piszesz jak marzenie, brakuje ci tylko tematu.

– Dziękuję. Nie ma to jak zachęta.

– Mówię poważnie, nie schlebiam ci tylko dlatego, że jesteśmy w połowie weekendowej orgietki.

– Więc tak to się nazywa? Myślałam, że „przygoda”.

Roześmiali się i sięgnęli po kieliszki. Przestało padać i nadciągnęła gęsta mgła.

– Próbowalesz pisać?

Wzruszył ramionami i spojrzał w bok.

– Kilka razy, ale nigdy niczego nie skończyłem. To nie dla mnie. Dlatego szanuję pisarzy, przynajmniej tych dobrych. Ale wszyscy są u mnie mile widziani i chętnie promuję ich książki, chociaż na rynku jest coraz więcej chłamu. Irytują mnie tacy jak Andy Adam, ludzie obdarzeni talentem, którzy niszczą go złymi nawykami.

– Odezwał się?

– Jak dotąd nie. Siedzi pod kluczem, bez kontaktu. Za tydzień pewnie zadzwoni. To już jego trzeci czy czwarty odwyk i boję się, że z tego nie wyjdzie. W głębi serca nie chce rzucić picia.

- To takie smutne.
- Chyba chce ci się spać.
- Przez to wino.
- Chodźmy na małą drzemkę.

Z niejakim trudem wdrapali się na hamak i przytulili do siebie. Hamak lekko się bujał i po chwili zastygli bez ruchu.

- Masz jakieś plany na wieczór? – spytała.
- Myślałem o małej powtórce.
- Ja też, ale chętnie bym się stąd ruszyła.
- Musimy pojechać na kolację.

– Masz żonę, Bruce, a ja jestem tylko twoją weekendową dziewczyną. Co będzie, jeśli ktoś nas zobaczy?

– Ja się tym nie przejmuję, ani ja, ani Noelle. Ty się przejmujesz? Dlaczego?

– Nie wiem. Sobotnia kolacja z żonatym mężczyzną w eleganckiej restauracji... Dla mnie to trochę... dziwne.

– A kto mówi o eleganckiej restauracji? Zabiorę cię do speluny nad rzeką. Dają tam świetne kraby i gwarantuję, że nikt z tamtejszych gości nie kupuje książek.

Pocałowała go i położyła głowę na jego piersi.

12

Niedziela zaczęła się tak samo jak sobota, tyle że bez kaca. Bruce przyniósł śniadanie do łóżka, naleśniki i kielbaski, a potem dwie godziny przeglądali „New York Timesa”. W południe Mercer doszła do wniosku, że pora na przerwę. Już miała się pożegnać, kiedy powiedział:

– Słuchaj, muszę iść do księgarni. Sprzedawca zachorował, a zwali się tłum.

– Świetnie. Znam już zasady pisania dobrych książek, więc ja też pójdę trochę popracować.

– Zawsze do usług. – Uśmiechnął się i pocałował ją w policzek.

Zanieśli tace do kuchni i wstawili naczynia do zmywarki. On zniknął gdzieś na piętrze, a ona wróciła na wieżę, ubrała się szybko

i wyszła, już bez pożegnania.

Nie wiedziała, czy cokolwiek w ten weekend osiągnęła. Owszem, sypialniane figle były miłe i lepiej go poznała, ale nie przyjechała na wyspę dla seksu czy po to, żeby napisać powieść według jego scenariusza. Płacono jej duże pieniądze za zbieranie informacji i rozwiązanie zagadki. A pod tym względem osiągnęła niewiele.

Wróciła do hotelu, przebrała się w bikini i stanęła przed lustrem, wspominając cudowne rzeczy, jakie mówił o jej szczupłym, opalonym ciele. Była dumna, że je w końcu wykorzystwała. Włożyła białą bawełnianą sukienkę, wzięła sandały i poszła na długi spacer po plaży.

13

Zadzwonił w niedzielę o siódmej wieczorem, powiedział, że strasznie tęskni i nie wyobraża sobie samotnej nocy, więc może wpadłaby na drinka.

Pewnie. Przecież nie miała nic do roboty. Coraz bardziej napierały na nią ściany pokoiku w pensjonacie, no i napisała niespełna sto słów.

Weszła do księgarni kilka minut przed dziewiątą. Bruce przyjmował właśnie pieniądze od ostatniego klienta i poza tym chyba nikogo nie było. Kiedy klient wyszedł, Bruce szybko zamknął drzwi na klucz i zgasił światło.

– Chodź – rzucił. Weszli na górę, przeszli przez kawiarnię, otworzył drzwi, których przedtem nie zauważyła, i znaleźli się w małym mieszkaniu. – Moja jaskinia. – Zapalił światło. –

Mieszkałem tu dziesięć lat. Zajmowała wtedy całe piętro, ale potem doszła kawiarnia. Usiądź. – Naprzeciwko tapczanu, na przysadzistym stoliku, stał duży telewizor z płaskim ekranem, a wokoło – jakżeby inaczej? – piętrzyły się wypełnione książkami półki.

– Szampana? – Otworzył lodówkę za barkiem.

– Chętnie.

Wyjął butelkę, szybko ją otworzył i napełnił dwa wąskie, wysokie kieliszki.

– Twoje zdrowie. – Tręcili się szkłem i wypił prawie do dna. – O tak, tego mi było trzeba – powiedział, wycierając usta wierzchem dłoni.

– Właśnie widzę. Wszystko w porządku?

– Ciężki dzień. Sprzedawca zachorował, więc musiałem stanąć za kasą. Dzisiaj trudno o dobrych pracowników.

Dopił szampana, znów napełnił kieliszek, zdjął marynarkę, rozwiązał muszkę, wypuścił koszulę na spodnie i zrzucił buty. Opadli na tapczan.

– Jak minął dzień? – spytał.

– Jak zwykle. Trochę spacerowałam, opalałam się, próbowałam pisać, wróciłam na plażę, znów próbowałam pisać, w końcu się zdrzemnęłam.

– Ach, życie pisarza. Zazdroszczę.

– Wyrzuciłam prolog, dialogi oznaczyłam pauzami, jak pan Bóg przykazał, i wykreśliłam długie słowa. Wykreśliłabym więcej, ale nic by nie zostało.

Bruce roześmiał się i wypił łyk szampana.

– Jesteś cudowna.

– Ale z ciebie oszust. Wczoraj rano mnie uwiodłeś i...

– Dokładniej mówiąc, rano, w południe i wieczorem.

– I znowu zaczynasz. Zawsze byłeś takim bawidamkiem?

– O tak. Zawsze. Już ci mówiłem, mam słabość do kobiet. Na widok ładnej kobiety przychodzi mi do głowy tylko jedno. Zaczęło się na studiach. Kiedy przyjechałem do Auburn i nagle otoczyły mnie tysiące ślicznych dziewcząt, omal nie oszalałem.

– To niezdrowe – zauważyła. – Nie myślałeś o terapii?

– O terapii? A komu potrzebna terapia? To gra dla mnie i musisz przyznać, że jestem w tym niezły.

Kiwnęła głową i upiła łyk szampana, trzeci. Jego kieliszek był pusty, więc wstał, żeby go napełnić.

– Spokojnie, zwolnij – powiedziała, lecz ją zignorował. – Czy ty w ogóle byłeś kiedyś zakochany? – spytała, gdy usiadł.

– Kocham Noelle – odparł. – A ona kocha mnie. Jesteśmy bardzo szczęśliwi.

– Przecież miłość to zaufanie, zaangażowanie i dzielenie się wszystkimi aspektami życia.

– Ależ my się dzielimy! Bardzo, bardzo często, wierz mi.

– Jesteś beznadziejny.

– Nie bądź naiwna, Mercer. Nie rozmawiamy o miłości, tylko o seksie. O czystej przyjemności fizycznej. Ty nie chcesz wiązać się z żonatym mężczyzną, a mnie związki w ogóle nie interesują. Możemy to ciągnąć albo natychmiast przerwać. Pozostaniemy przyjaciółmi bez żadnych zobowiązań.

– Przyjaciółmi? Ile masz przyjaciółek?

– Ani jednej. Mam tylko kilka miłych znajomych. Posłuchaj, gdybym wiedział, że chcesz mi zrobić psychoanalizę, tobym nie zadzwonił.

– Więc dlaczego zadzwoniłaś?

– Pomyślałem, że się za mną stęskniłaś.

Udało im się nawet roześmiać. Bruce odstawił nagle kieliszek, jej kieliszek postawił obok swojego i wziął ją za rękę.

– Chodź. Coś ci pokażę.

– Ale co?

– To niespodzianka. Chodź. Musimy zejść na dół.

Kawiarnia, parter, drzwi – wciąż na bosaka otworzył je, zapalił światło i drewnianymi schodami zeszli do piwnicy. Zapalił następne i wprowadził kod na panelu.

– Oby to było coś ciekawego. – Powiedziała to niemal półszepem.

– Nie uwierzysz. – Otworzył grube metalowe drzwi, wszedł do biblioteki i znów zapalił światło. Podszedł do sejfu, wprowadził kolejny kod i zaczął czekać, aż system hydrauliczny zwolni pięć bolców. Gdy rozległo się głośne kliknięcie, pociągnął za klamkę i ostrożnie otworzył stalowe drzwiczki. Mercer obserwowała wszystko jak najuważniej, wiedząc, że będzie musiała napisać szczegółowy meldunek dla Elaine i jej zespołu. Biblioteka i wnętrze sejfu wyglądały tak jak poprzednio. Bruce otworzył jedną z czterech dolnych szuflad. Leżały w niej dwa identyczne drewniane pudełka; potem oceniła, że każde miało podstawę o trzydziestocentymetrowym boku i było chyba z drewna cedrowego. Bruce wyjął jedno, podszedł do stołu i uśmiechnął się do niej, jakby zawierało rzadki skarb.

Delikatnie podniósł pokrywę na trzech małych zawiasach. W środku znajdowało się drugie pudełko, z szarego kartonu. Ostrożnie wyjął je i postawił na stole.

– To jest „tekturka”, pojemnik do przechowywania archiwaliów – powiedział. – Z bezkwasowego, bezdrzewnego papieru. Używa ich większość bibliotek i poważnych kolekcjonerów, a to pochodzi z Princeton. – Otworzył pudełko i z dumą oznajmił: – Oto oryginalny rękopis *Ostatniego z wielkich*.

Mercer rozdziawiła usta i wytrzeszczyła oczy. Podeszła bliżej. Chciała coś powiedzieć, lecz nie mogła.

W pudełku leżał dziesięciocentymetrowej grubości plik kartek, bardzo starych, z innych czasów. Brakowało strony tytułowej, jakby Fitzgerald od razu zaczął pisać, odkładając porządki na później. Charakter pisma był nieładny, trudny do odczytania, i od samego początku autor robił uwagi na marginesach. Bruce dotknął brzegu kartek.

– Gdy umarł nagle w tysiąc dziewięćset czterdziestym, powieść była daleka od ukończenia, ale pisał na podstawie szkicu i pozostawił mnóstwo notatek i streszczeń. Edmund Wilson, jego przyjaciel, wydawca i krytyk, sklecił to wszystko naprędce i rok później wyszła książka. Wielu znawców uważa, że to największe dzieło Fitzgeralda, co jest doprawdy niezwykle, zważywszy na, jak sama zauważyłaś, jego stan fizyczny i psychiczny.

– Żartujesz, tak? – Zdołała powiedzieć tylko tyle.

– *À propos* czego?

– To ten skradziony?

– Tak, ale nie przeze mnie.

– Dobrze, w takim razie co tu robi?

– To długa historia i nie będę zanudzał cię szczegółami, których w większości nie znam. Wszystkie pięć skradziono jesienią z Biblioteki Firestone’a. To była robota gangu złodziejasków, którzy wystraszyli się, kiedy FBI niemal natychmiast złapało dwóch z nich. Ich kumple pozbyli się towaru, zniknęli, a rękopisy trafiły na czarny rynek i zostały sprzedane. Oddzielnie, dlatego nie wiem, gdzie są cztery pozostałe. Podejrzewam, że wyfrunęły z kraju.

– Ale co ty masz z tym wspólnego?

– To skomplikowane i jeśli mam, to niewiele. Chcesz dotknąć kartek?

– Nie. Nie podoba mi się tu. Denerwuję się.

– Spokojnie. Ukrywam je tylko dla znajomego.

– To musi być cholernie dobry znajomy.

– Tak. Handlujemy od wielu lat i całkowicie mu ufam. Właśnie dobija targu z kolekcjonerem z Londynu.

– A ty? Co będziesz z tego miał?

– Niewiele, ot, kilka dolarów.

Mercer przeszła na drugą stronę stołu.

– Jak na kilka dolarów to dość duże ryzyko. Jesteś w posiadaniu skradzionej rzeczy, w dodatku bardzo cennej. To przestępstwo, za które można trafić do więzienia na wiele lat.

– Pod warunkiem że przestępca wpadnie.

– Oglądając to, stałam się twoją współniczką, Bruce. Chciałabym już wyjść.

– Przestań, za bardzo się spinasz. Kto nie ryzykuje, ten nie ma. I nie jesteś współniczką, bo nikt się o tym nie dowie. Jak ktokolwiek mógłby udowodnić, że widziałaś ten rękopis?

– Nie wiem. Widział go ktoś jeszcze?

– Tylko my, ty i ja.

– Noelle nic nie wie?

– Oczywiście, że nie. To jej nie interesuje. Ona prowadzi swój interes, ja swój.

– I częścią tego interesu jest nielegalny handel skradzionymi książkami i rękopisami?

– Od czasu do czasu. – Bruce zamknął kartonowe pudełko, włożył je do drewnianego, drewniane ostrożnie umieścił w szufladzie, po czym ją zamknął.

– Naprawdę chciałabym już iść – powtórzyła Mercer.

– Dobrze, już dobrze. Nie spodziewałem się, że spanikujesz. Skończyłaś czytać *Ostatniego z wielkich* i pomyślałem, że będziesz pod wrażeniem.

– Pod wrażeniem? Jestem zdumiona, oszołomiona, śmiertelnie przerażona, ale na pewno nie jestem pod wrażeniem. To czyste szaleństwo.

Bruce zamknął sejf, potem drzwi, a gdy weszli na schody, zgasił światło. Na parterze Mercer ruszyła prosto do wyjścia.

– Gdzie ty idziesz? – spytał.

– Wychodzę – odparła. – Proszę, otwórz drzwi.

Chwycił ją za rękę, odwrócił i mocno ścisnął za ramiona.

– Posłuchaj, przepraszam. W porządku?

Wyszarpnęła się i odsunęła.

– Chcę wyjść. Nie zostanę tu ani chwili dłużej.

– Przestań, zbyt mocno reagujesz. Chodźmy na górę i dopijmy szampana.

– Nie, Bruce, nie jestem w nastroju. Nie mogę w to uwierzyć.

– Przepraszam.

– Już to mówiłeś, a teraz proszę, otwórz drzwi.

Znalazł klucz i przekręcił go w zamku. Bez słowa wyszła szybko na ulicę i za rogiem skręciła w stronę samochodu.

14

Plan bazował na domysłach, założeniach i wielkich nadziejach, mimo to wypalił. Mieli dowód, odpowiedź, której tak rozpaczliwie potrzebowali, ale czy mogła im ją przekazać? Czy mogła zrobić następny przełomowy krok i wykonać telefon, który posłałby Bruce'a na dziesięć lat do więzienia? Pomyślała o jego upadku, klęsce i poniżeniu, o tym, jaki będzie przerażony, gdy złapią go na gorącym uczynku, aresztują, zawloką do sądu, a potem za kraty. Co się stanie z jego piękną, jakże ważną księgarnią? A jego dom? Znajomi? Pieniądze? Tak hołubiony zbiór rzadkich książek? Jej zdrada pociągnęłaby za sobą olbrzymie konsekwencje i zniszczyła nie tylko Bruce'a. Być może on na to zasługiwał, ale nie jego przyjaciele, nie Noelle.

O północy otulona szalem wciąż siedziała na plaży i ze stopami w piasku patrzyła na tonący w świetle księżycy ocean, zastanawiając się, dlaczego przystała na propozycję Elaine Shelby. Wiedziała dlaczego, lecz pieniądze wydawały się teraz mniej ważne. Zniszczenie, jakie miała zasiać, nie było ich warte. Bo naprawdę

lubiła Bruce'a. Podobały jej się jego piękny uśmiech i swobodny sposób bycia, ekstrawaganckie garnitury, jego inteligencja i poczucie humoru, to, że był świetnym kochankiem, podziwiał pisarzy i dbał o innych, podobali się jej jego znajomi, jego reputacja i zniewalająca charyzma. W głębi duszy była zachwycona, że może być tak blisko niego, że zalicza ją do kręgu najbliższych przyjaciół i... tak, że jest tylko jedną z jego wielu kochanek. Dzięki niemu w półtora miesiąca zaznała więcej radości niż w ciągu ostatnich sześciu lat.

Jednym z możliwych wyjść było po prostu milczeć i zostawić sprawy swojemu biegowi. Elaine i jej zespół, FBI pewnie też, będą dalej robili swoje, a ona mogła zamarkować, że się stara, i na niby sfrustrowana narzekać, że nie jest w stanie osiągnąć nic więcej. Dotarła do jego podziemnej biblioteki i dostarczyła im masę dowodów. Cholera, nawet się z nim przespała i niewykluczone, że zrobi to ponownie. Dała z siebie wszystko i nic się pod tym względem nie zmieni. Może Bruce utopi rękopis w mrocznych, bezkresnych wodach czarnego rynku, tak jak mówił, i sejf będzie czysty, kiedy do podziemnej biblioteki wtargną agenci FBI? Półroczna umowa wkrótce dobiegnie końca, a wtedy żegnaj, wyspo. Mercer wyjedzie z dobrymi wspomnieniami, może nawet kiedyś wróci i spędzi lato w domu babci, choć dużo milej by było, gdyby przyjechała wypromować nową książkę, świetną powieść. A potem następną.

Jej honorarium nie zależało od sukcesu operacji, otrzyma je bez względu na wynik. Studenckie długi odeszły w niepamięć. Połowa umówionej kwoty spoczywała już w banku. Była pewna, że druga niebawem na nie wpłynie.

Tej nocy wiele godzin wmawiała sobie, że powinna siedzieć cicho, cieszyć się sennym latem i nie wprowadzać niepotrzebnego zamętu. Wkrótce nadejdzie jesień, a wtedy już jej tu nie będzie.

A moralność? A dobro i zło? Zgodziła się wziąć udział w operacji, której celem było przeniknięcie do świata Bruce'a Cable'a i odzyskanie rękopisów. To osiągnęła, choć tylko dzięki temu, że popełnił niewiarygodny błąd. Operacja się udała. Kto dał jej prawo podważać jej zasadność i legalność? Bruce świadomie wszedł w zмовę przestępczą, żeby pozbyć się rękopisów, sprzedać je z zyskiem i uniemożliwić ich zwrot prawowitemu właścicielowi.

Moralność? On nawet nie wiedział, co to takiego. Podejrzewano, że handluje skradzionymi książkami, i przyznał się do tego. Wiedział, na co się naraża, i akceptował ryzyko. Złapano by go prędzej czy później, za to przestępstwo czy inne.

Poszła przed siebie brzegiem morza, patrząc, jak łagodne fale spychają cicho pianę na piasek. Nie było chmur i biała plaża ciągnęła się kilometrami. Na horyzoncie, na niemal zupełnie płaskiej wodzie, mrugały światełka łodzi poławiaczy krewetek. Zanim się spostrzegła, doszła do północnego molo, długiego drewnianego pomostu wbijającego się w morze. Od powrotu na wyspę starannie unikała tego miejsca, ponieważ to tutaj fale wyrzuciły na brzeg ciało babci Tessy. Co robiła tu teraz jej wnuczka?

Weszła na schody, przespacerowała się do końca pomostu, oparła o barierkę i spojrzała na horyzont. Babcia. Co by zrobiła na jej miejscu? Po pierwsze, nigdy nie znalazłaby się w takim położeniu. Pieniądze by jej nie skusiły. Dobro było dla niej dobrem, a zło złem, szare strefy nie istniały. Kłamstwo to grzech, słowo to słowo, a umowa to umowa, bez względu na związane z nią uciążliwości.

Mercer przeżywała katusze, bitwa szalała. W końcu, o jakiejś koszarnej godzinie tuż nad ranem, doszła do wniosku, że jeśli nie chce nic mówić, powinna zwrócić pieniądze i odejść; to było jedyne rozwiązanie. Ale nawet wtedy musiałaby dochować tajemnicy, na co zasługiwali ci dobrzy. Gdyby się teraz wycofała, babcia zabiłaby ją spojrzeniem.

Położyła się o trzeciej i oczywiście nie zmrużyła oka.

Dokładnie o piątej zadzwoniła.

15

Elaine już nie spała. Piła po ciemku pierwszą filiżankę kawy obok wciąż śpiącego męża. Zgodnie z planem, znów miała lecieć na wyspę, dziesiąty czy jedenasty raz, z krajowego lotniska Reagana do Jacksonville, gdzie będzie czekał na nią Rick albo Graham. Spotkają się w wynajętym mieszkaniu i omówią sytuację. Podekscytowani, bo

Mercer spędziła z ich celem cały weekend. Na pewno się czegoś dowiedziała. Zaproszą ją wieczorem i posłuchają.

Jednak minutę po piątej wszystkie plany wyfrunęły przez okno.

Kiedy zawibrował telefon i zobaczyła, kto dzwoni, po cichu wstała i poszła do kuchni.

– Ranny z ciebie ptaszek...

– Nie jest tak bystry, jak myśleliśmy – przerwała jej Mercer. – Ma rękopis *Ostatniego z wielkich*, pokazał mi go wczoraj wieczorem. Trzyma go w podziemnej bibliotece, tak jak podejrzewaliśmy.

Elaine przetrwała to i zamknęła oczy.

– Jesteś pewna?

– Tak. Pokazywałaś mi kopie. To oryginał.

Elaine usiadła na stołku przy kuchennym blacie.

– Opowiadaj.

16

O szóstej zadzwoniła do Lamara Bradshawa z FBI, szefa WOCA, Wydziału Odzyskiwania Cennych Aktywów, obudziła go i jego plany też szlag trafił. Dwie godziny później spotkali się na naradzie w budynku Hoovera przy Pennsylvania Avenue. Zgodnie z przewidywaniami Bradshaw i jego ludzie byli wkurzeni, że ona i jej zespół potajemnie szpiegowali Bruce'a Cable'a, podejzranego, o którym miesiąc wcześniej rozmawiali, choć tylko w przelocie. Cable znajdował się na liście FBI wraz z kilkunastoma innymi, lecz tylko dlatego, że miał taką, a nie inną reputację. Bradshaw nigdy nie traktował go poważnie. FBI nie lubiło konkurencji, prywatnych równoległych śledztw, jednak w tej chwili sprzeczki i kłótnie nie przyniosłyby nic dobrego. Chcąc nie chcąc, Bradshaw musiał przełknąć dumę, ponieważ Elaine Shelby po raz kolejny znalazła skradzione aktywa. Szybko ogłoszono rozejm, znów zapanował pokój i przystąpiono do układania wspólnego planu.

17

Bruce obudził się o szóstej w mieszkaniu nad księgarnią. Wypił kawę i poświęcił godzinę na codzienną lekturę, zszedł na dół, do sali pierwszych wydań. Włączył laptop i zrobił mały remanent. Najbardziej przykrą częścią jego pracy była selekcja książek, decydowanie, które się nie sprzedają i muszą zostać zwrócone wydawcy. Każdy zwrot traktował jak porażkę, ale po dwudziestu latach zdążył do tego przywyknąć. Godzinę chodził po ciemnej księgarni, zdejmując książki z półek i stołów i układając je w małe smutne kupki na zapleczu.

Za kwadrans dziewiąta, czyli jak zwykle, wrócił do mieszkania, wziął szybki prysznic, włożył garnitur, punktualnie o dziewiątej zapalił na dole światło i otworzył frontowe drzwi. Jako pierwsi przyszli sprzedawcy i zapędził ich do pracy. Pół godziny później zszedł do piwnicy i otworzył metalowe drzwi prowadzące do magazynu Noelle. Jake już pracował; wbijał gwoźdźniki w tylną część oparcia starego szezlongu. Skończone biurko Mercer stało pod ścianą.

– Pani Mann jednak zrezygnowała – powiedział Bruce po wymianie uprzejmości. – Noelle chce wysłać biurko do Fort Lauderdale. Niech pan odkręci nogi i znajdzie odpowiednią skrzynię.

– Oczywiście – odrzekł Jake. – Dzisiaj?

– Tak, to pilne. Proszę się tym zająć.

– Tak jest.

18

Sześć po jedenastej z międzynarodowego lotniska Dullesa wystartował wycarterowany samolot. Na pokładzie byli Elaine Shelby, jej dwóch asystentów, Lamar Bradshaw i czterech agentów specjalnych. Bradshaw zadzwonił z samolotu na Florydę, do prokuratora stanowego, a Elaine do Mercer, która zaszła się w bibliotece, żeby trochę popisać, bo, jak powiedziała, w ciasnym pokoiku w pensjonacie trudno jest cokolwiek stworzyć. Elaine uznała, że przez parę dni Mercer powinna trzymać się z dala od

księgarni Cable'a, a ona zapewniła ją, że nie zamierza tam iść. Chwilowo miała dość Bruce'a i chciała zrobić sobie przerwę.

Dwadzieścia po jedenastej naprzeciwko księgarni zaparkowała nieoznakowana furgonetka z trzema agentami terenowymi z Jacksonville. Agenci wycelowali w drzwi kamerę i zaczęli filmować każdego, kto wchodził i wychodził z księgarni. Druga furgonetka, z kolejnymi dwoma agentami, zaparkowała przy Trzeciej. Ta dwójka miała monitorować i filmować wszystko to, co wnoszono lub wnoszono z zaplecza.

Za dwadzieścia dwunasta do księgarni wszedł agent w szortach i sandałach; przez kilka minut krążył między półkami, przeglądając książki. Cable'a nie było, a przynajmniej go nie widział. Podszedł do kasy, zapłacił gotówką za audiobook *Na południe od Brazos* i wyszedł. Czekający w pierwszej furgonetce technik otworzył pudełko, wyjął osiem płytek i zainstalował w nim małą kamerę na baterię.

Kwadrans po dwunastej Cable wyszedł z księgarni w towarzystwie nieznanego mężczyzny i udał się na lunch. Pięć minut później inny agent, a właściwie agentka, też w szortach i sandałach, weszła do księgarni z audiobookiem *Na południe od Brazos*. Zamówiła na górze kawę, zabiła trochę czasu, zeszła na dół i wybrała dwie książki w miękkiej oprawie. Kiedy sprzedawca zniknął na zapleczu, wstawiła audiobook na półkę i zdjęła sąsiedni, *Ostatni seans filmowy*. Zapłaciła i spytała sprzedawcę, którą poleciłby jej restaurację. Agenci czuwający w pierwszej furgonetce wbili wzrok w ekran laptopa – mieli teraz doskonały widok na wszystkich wchodzących do księgarni. I nadzieję, że w najbliższym czasie nikt nie zechce posłuchać *Na południe od Brazos*.

O dwunastej trzydzieści jeden wycarterowany odrzutowiec wylądował na małym lotnisku na wyspie Camino, dziesięć minut jazdy od Santa Rosa. Na Elaine i jej asystentów czekali Rick i Graham. Na Bradshawa i jego ekipę – dwa SUV-y. Ponieważ był poniedziałek, większość hoteli dysponowała wolnymi pokojami, przynajmniej chwilowo, dlatego zarezerwowano kilka w hotelu niedaleko portu, niecałe pięć minut spacerkiem od księgarni. Bradshaw zajął największy, apartament, i założył tam centrum

dowodzenia. Na stole ustawiono laptopy podłączone do pracujących non stop kamer w furgonetkach i księgarni.

Po krótkim lunchu przyszła Mercer i została wszystkim przedstawiona. Była zaskoczona tą demonstracją siły i źle się poczuła na myśl, że to ona napuściła tych ludzi na niczego niepodejrzewającego Bruce'a.

Bradshaw i agent specjalny Vanno przesłuchali ją w obecności Elaine. Opowiedziała im wszystko z wyjątkiem intymnych szczegółów długiego weekendu, małej romantycznej przygody, która teraz zdawała się jedynie nostalgicznym wspomnieniem z dawnych czasów. Bradshaw pokazał jej serię zdjęć rękopisów Fitzgeralda, wiernych faksymiliów sporządzonych przed laty w Princeton. Elaine miała identyczne i Mercer już je widziała. Tak, bez dwóch zdań. W podziemnej bibliotece Cable'a widziała oryginalny rękopis *Ostatniego z wielkich*.

Owszem, mógł być podróbką. Wszystko było możliwe, lecz uważała, że nie jest. Bo niby po co Cable miałby ukrywać w sejfie podróbkę?

Kiedy Bradshaw spytał ją o to po raz trzeci, w dodatku podejrzliwie, najeżyła się i odparła:

– Czy my na pewno gramy w tej samej drużynie?

– Oczywiście – wtrącił łagodnie Vanno. – Po prostu musimy mieć absolutną pewność.

– Ja mam.

Po godzinie tej przepychanki Mercer stwierdziła, że Elaine jest dużo bystrzejsza i bardziej bezproblemowa niż Bradshaw i Vanno razem wzięci. Rzecz w tym, że Elaine przekazała ją FBI i nie ulegało wątpliwości, że FBI będzie dyrygowało wszystkim do samego końca. Podczas przerwy Bradshaw odebrał telefon od federalnego prokuratora śledczego z Jacksonville i napięcie wzrosło. Wyglądało na to, że tamtejszy sędzia zamiast pozwolić „świadkowi” złożyć zeznania zdalnie, przed kamerą wideo, nalega na jego obecność na zamkniętym przesłuchaniu. Bradshaw i Vanno zdenerwowali się, lecz nic nie wskórali.

Kwadrans po drugiej Mercer wsadzono do samochodu. Elaine usiadła z tyłu, obok niej, Rick za kierownicą, obok niego Graham, i za SUV-em pełnym agentów federalnych spoza wyspy ruszyli

w kierunku Jacksonville. Na moście nad Camino River Mercer przerwała ciszę szorstkim:

– Kawa na ławę. O co chodzi?

Rick i Graham patrzyli prosto przed siebie i milczeli. Elaine odchrząknęła.

– O przepisy, zwykłe głupoty. Chcą się wykazać, udowodnić, że dobrze wykorzystują nasze podatki. Agent Bradshaw, pracownik rządowy, jest wkurzony na prokuratora okręgowego, innego pracownika rządowego, a wszyscy są wkurzeni na sędziego, kolejnego pracownika rządowego, który wydaje nakazy przeszukania. Umówili się, że zostaniesz na wyspie i złożysz zeznania zdalnie. Bradshaw twierdzi, że to powszechna praktyka, ale ten sędzia z jakiegoś powodu chce przesłuchać cię osobiście. Dlatego jedziemy do sądu.

– Do sądu? Nic o tym nie mówiłaś.

– Chodzi o budynek, gmach. Pewnie spotkamy się tam z sędzią prywatnie, w gabinecie czy gdzieś. Nie martw się.

– Łatwo powiedzieć. Mam pytanie. Jeśli znajdziecie te rękopisy i Cable zostanie aresztowany, czy dojdzie do procesu?

Elaine spojrzała na Grahama.

– Ty tu jesteś prawnikiem.

Graham prychnął, jakby usłyszał dobry dowcip.

– Ukończyłem prawo, ale nigdy nie praktykowałem. Dobra, powiem tak: podejrzanego nie można zmusić do przyznania się do winy, dlatego każdy, komu postawiono zarzut przestępstwa, ma prawo zażądać procesu. Ale w tym przypadku do procesu nie dojdzie.

– Dlaczego?

– Bo jeśli Cable rzeczywiście ma ten rękopis, wywrą na niego olbrzymią presję, żeby zaczął sypać. Odzyskanie wszystkich pięciu rękopisów jest dużo ważniejsze niż ukaranie kilku złodziei i kanciarzy. Będą proponowali mu wszystkie możliwe ugody, żeby tylko doprowadził ich do pozostałych. Nie mamy pojęcia, co tak naprawdę wie, ale dają głowę, że zechce ratować tyłek i puści farbę.

– Ale jeżeli dojdzie do procesu, chyba nie wezwą mnie na świadka, prawda?

Zapadła długa, niezręczna cisza. Mercer czekała, wreszcie nie wytrzymała.

– Nie było mowy o żadnych sądach, a już na pewno nie uprzedziłaś mnie, że będę musiała zeznawać przeciwko Cable’owi. Nie zrobię tego, odmawiam!

Elaine spróbowała ją ułagodzić.

– Nie będziesz zeznawała, uwierz mi. Robisz świetną robotę i jesteśmy z ciebie bardzo dumni.

– Nie jestem idiotką i przestań mnie tak traktować! – warknęła Mercer bardziej gniewnie, niż zamierzała.

Znów zamilkli, lecz napięcie nie minęło. Jechali na południe autostradą międzystanową 95; dojeżdżali już do Jacksonville.

Gmach sądu był wysoki, nowoczesny, wielopiętrowy i prawie w całości zbudowany ze szkła. Wjechali bocznym wjazdem i zaparkowali na małym prywatnym parkingu. Kiedy wysiedli, agenci dosłownie ją otoczyli, jakby potrzebowała ochrony, i ledwo zmieścili się w windzie. Gdy kilka minut później weszli do biura prokuratora Środkowego Dystryktu Florydy, skierowano ich do sali konferencyjnej, gdzie zaczęło się czekanie. Bradshaw i Vanno wyjęli smartfony i wdali się w przyciszone rozmowy. Elaine rozmawiała przez telefon z Bethesdą. Rick i Graham też mieli do wykonania ważne telefony. Mercer siedziała samotnie przy wielkim stole, nie mając z kim pogadać.

Po dwudziestu minutach pewnym krokiem do sali wszedł poważny młody mężczyzna w ciemnym garniturze – kurczę, wszyscy tu byli w ciemnych garniturach – i przedstawił się jako Janeway, zastępca jakiegoś tam prokuratora. Wyjaśnił zebranym, że sędzia Philby prowadzi strasznie ważne przesłuchanie – chodziło o być albo nie być oskarżonego – dlatego, no cóż, może to trochę potrwać. Spytał, czy mógłby omówić z Mercer jej zeznanie, oczywiście jeśli ta nie ma nic przeciwko.

„Ta” wzruszyła ramionami. Miała wybór?

Janeway wyszedł i wrócił z dwoma kolegami, oczywiście też w ciemnych garniturach, którzy przedstawili się i którym uściśnęła rękę. Rzadka przyjemność.

Wyjęli notesy, usiedli po drugiej stronie stołu, Janeway zaczął ją wypytywać i natychmiast stało się jasne, że prawie nic o sprawie nie

wie. Powoli, z bolesnym trudem, Mercer zaczęła go uświadamiać.

19

Za dziesięć piąta. Janeway zaprowadził ich wreszcie do gabinetu sędziego Arthura Philby'ego, który powitał ich jak intruzów. Miał za sobą ciężki dzień i był poirytowany. Mercer usiadła na końcu kolejnego długiego stołu, tuż obok protokolanta, który kazał jej podnieść prawą rękę i przysiąc, że będzie mówiła prawdę. Prosto w jej twarz celował obiektyw kamery. Na drugim końcu stołu, jak na tronie, siedział sędzia, choć bez czarnej togi.

Przez godzinę Janeway i Bradshaw zasypywali ją pytaniami, więc po raz trzeci tego dnia musiała opowiedzieć tę samą historię. Bradshaw wyjął powiększone zdjęcia z piwnicy, podziemnej biblioteki i wnętrza sejfu. Sędzia przerywał im często pytaniami, dlatego niektóre fragmenty zeznania musiała powtarzać dwa, trzy razy. Mimo to zachowała zimną krew i bawiła ją myśl, że Bruce Cable, ten zły, jest dużo, dużo miłszy niż oni, ci dobrzy.

Kiedy skończyła, wszystko podsumowali i podziękowali jej za poświęcony czas i wysiłek. Omal nie powiedziała: „Spoko, za to mi płacą”. Pozwolono jej odejść, więc spiesznie wyszła z Elaine, Rickiem i Grahamem.

– Co teraz? – spytała, kiedy gmach sądu został daleko w tyle.

– Przygotowują nakaz rewizji – odparła Elaine. – Twoje zeznanie było doskonałe, przekonałaś sędziego.

– Więc kiedy wejdziecie do księgarni?

– Wkrótce.

Rozdział 8

DOSTAWA

1

Denny przebywał na wyspie od dziesięciu dni i powoli tracił cierpliwość. Wytropił z Rookerem Cable'a – proste, monotonne zadanie – i znał jego ruchy. Wytropił Mercer – kolejne zadanie nienastręczające trudności – i znał jej zwyczaje.

Zastraszenie podziało na Oscara Steina w Bostonie i było chyba ich jedynym skutecznym orężem. Bezpośrednia konfrontacja połączona z groźbą użycia przemocy. Podobnie jak Stein, Cable nie mógł pójść na policję. Jeśli miał rękopisy, musiałyby pójść na układ. Jeśli ich nie miał, niemal na pewno wiedział, gdzie są.

Zwykle kończył pracę o szóstej wieczorem i szedł do domu. Za dziesięć szósta w poniedziałek Denny wszedł do księgarni i udał, że przegląda książki. Tak się szczęśliwie złożyło, choć nie dla niego, że Cable był wtedy w piwnicy, a sprzedawcy wiedzieli, że nie mogą zdradzać tego klientom.

Natomiast Denny wyczerpał już cały zapas szczęścia. Po miesiącach bezproblemowego przemieszczania się między lotniskami, przechodzenia przez odprawy celne i bramki bezpieczeństwa, występowania w przebraniu, używania fałszywych dowodów tożsamości i paszportów, płacenia gotówką za hotele i pokoje do wynajęcia uważał się za bardzo sprytnego, a nawet niepokonanego. Ale nawet najsprytniejsi przestępcy wpadają, jeśli opuszczą gardę.

Od lat FBI doskonaliło technologię rozpoznawania twarzy, do czego służyło oprogramowanie zwane FacePrintem. Wykorzystując skomplikowany algorytm do obliczania odstępów między oczami, nosem i uszami obserwowanego obiektu, w ciągu kilku milisekund system ten wysyłał zebrane dane do banku zdjęć związanych z danym śledztwem. W „Aktach Gatsby’ego”, jak ochrzczono sprawę skradzionych rękopisów Fitzgeralda, zawartość banku była stosunkowo niewielka. Składała się z kilkunastu zdjęć trzech złodziei z Biblioteki Firestone’a, choć dwóch z nich, Jerry Steengarden i Mark Driscoll, przebywało już w areszcie. Były tam również setki zdjęć podejrzanych aktywnie działających w świecie skradzionych dzieł sztuki, artefaktów i książek.

Kiedy Denny wszedł do księgarni, kamera ukryta w opakowaniu audiobooka *Na południe od Brazos* sfotografowała jego twarz, tak jak mniej więcej od dwunastej tego dnia fotografowała twarze wszystkich innych klientów. Zdjęcie zostało wysłane do laptopa w tylnej części furgonetki parkującej po drugiej stronie ulicy i, co ważniejsze, do gigantycznego laboratorium FBI w Quantico w Wirginii. Komputer wypłuł wynik i okazało się, że zdjęcie pasuje do jednego z tych przechowywanych w banku. Zabrzmiał alarm. W ciągu kilku sekund w Dennym rozpoznano trzeciego uczestnika skoku na Gatsby’ego.

Dwóch już siedziało. Treyowi, czwartemu członkowi gangu, kradzież miała ująć na sucho, ponieważ rozkładał się właśnie na dnie stawu w górach Pocono. Ahmed, złodziej numer pięć, wciąż ukrywał się w Europie.

Po kwadransie Denny wyszedł z księgarni i wsiadł za rogiem do hondy accord z 2011 roku. Druga furgonetka śledziła ją w dyskretnej odległości, zgubiła, po czym znalazła na parkingu przed motelem Morska Bryza, sto metrów od Gospody pod Latarnią. Zarządzono obserwację.

Hondę wypożyczono w Jacksonville, w agencji reklamującej się sloganem *Nasz grat, twój chwyt*, która nie gardziła gotówką. Na formularzu widniało nazwisko Wilbur Shifflet, lecz właściciel agencji przyznał podczas przesłuchania, że prawo jazdy klienta wydało mu się podejrzane. Shifflet zapłacił tysiąc dolarów za dwutygodniowy wynajem i zrezygnował z ubezpieczenia.

FBI było oszołomione rozwojem wydarzeń, nieprawdopodobnym wprost szczęściem. Tylko po co jeden ze złodziei miałby kręcić się wokół księgarni osiem miesięcy po skoku w Princeton? Czy obserwował także Mercer Mann? Łączyło go coś z Cable'em? Te i wiele innych pytań musiały poczekać, ponieważ wszystko wskazywało na to, że Mann miała rację. W piwnicy pod księgarnią ukrywano co najmniej jeden ze skradzionych rękopisów Fitzgeralda.

O zachodzie słońca Denny wyszedł z pokoju numer 18, a Rooker z sąsiedniego. Poszli do oddalonej o sto metrów Fali, popularnego baru z grillem, gdzie zamówili kanapki i piwo. Kiedy jedli, czterech agentów FBI weszło do recepcji Morskiej Bryzy i wręczyło kierownikowi nakaz przeszukania. W pokoju numer 18 znaleźli pod łóżkiem torbę gimnastyczną, a w niej pistolet kalibru dziewięć milimetrów, sześć tysięcy dolarów w gotówce i dwa fałszywe prawa jazdy, z Tennessee i Wyoming. Nie było w niej jednak nic, co ujawniłoby prawdziwą tożsamość Wilbura Shiffleta. W sąsiednim pokoju też nie znaleziono nic wartościowego.

Kiedy Denny i Rooker wrócili do motelu, aresztowano ich i w całkowitym milczeniu, oddzielnymi samochodami, przewieziono do siedziby FBI w Jacksonville. Tam ich spisano i pobrano odciski palców. Te przepuszczono przez system i o dziesiątej poznano prawdę. Denny'ego zdradziły odciski palców pobrane w wojsku. Nazywał się Dennis Allen Durban, miał trzydzieści trzy lata i urodził się w Sacramento. Rookera zdradziła przeszłość kryminalna. Nazywał się Bryan Bayer, miał trzydzieści dziewięć lat i urodził się w Green Bay w Wisconsin. Nie chcieli współpracować, więc ich zamknęto. Lamar Bradshaw postanowił potrzymać ich kilka dni pod kluczem, żeby mogli przemyśleć swoje położenie.

Natomiast Mercer, Elaine, Rick i Graham siedzieli w wynajętym mieszkaniu przy plaży, grając w remika i zabijając czas. Wiedzieli o aresztowaniu, lecz nie znali szczegółów. O jedenastej zadzwonił Bradshaw, który porozmawiał z Elaine i wprowadził ją w sytuację. Stało się oczywiste, że dzieje się dużo i szybko, choć wiele pytań wciąż pozostawało bez odpowiedzi. Nazajutrz miał być wielki dzień. Jeśli chodzi o Mercer, Bradshaw powiedział jedynie cztery słowa:

– Wywieźcie ją z wyspy.

2

Cały wtorek obserwowano księgarnię ze zdwojoną uwagą, lecz nie zauważono niczego niezwykłego. Ani czających się złodziei, ani podejrzanych przesyłek. Za dziesięć jedenasta furgonetka UPS przywiozła sześć kartonów książek, lecz niczego nie wywiozła. Cable biegał z dołu na górę i z góry na dół, obsługując klientów. Kwadrans po dwunastej jak zwykle poszedł na lunch i wrócił godzinę później.

O piątej Lamar Bradshaw i Derry Vanno weszli do księgarni i poprosili go o chwilę rozmowy; Bradshaw rzucił cicho: „FBI”. Cable zaprowadził ich do sali pierwszych wydań i zamknął drzwi. Poprosił, żeby okazali dokumenty, więc wyjęli legitymacje. Vanno wręczył mu nakaz przeszukania.

– Chcemy przeszukać piwnicę – sprecyzował.

– Dobrze, ale właściwie czego panowie szukają? – spytał Bruce, wciąż stojąc.

– Rękopisów F. Scotta Fitzgeralda skradzionych z Biblioteki Firestone’a Uniwersytetu Princeton – odparł Bradshaw.

Bruce roześmiał się i nie mrugnął nawet okiem.

– Panowie na poważnie?

– A wyglądamy niepoważnie?

– Chyba nie. Mogę to przeczytać? – Bruce pomachał nakazem.

– Śmiało, ale uprzedzam, że łącznie z nami w księgarni przebywa teraz pięciu agentów.

– Cóż, czujcie się, panowie, jak u siebie w domu. Na górze jest kawiarnia.

– Wiemy.

Bruce usiadł przy biurku i zaczął czytać nakaz. Nie spieszył się, przerzucał kartkę za kartką jak ktoś, kto niczym się nie przejmuje. W końcu powiedział:

– Dobrze, wszystko jasne. – Wstał, przeciągnął się i zastanowił. – Nakaz dotyczy tylko piwnicy, prawda?

– Tak – odparł Bradshaw.

– Mam tam wiele cennych rzeczy, a wy... No cóż, słyniecie, panowie, z tego, że podczas rewizji wywracacie wszystko do góry nogami.

– Ogląda pan za dużo telewizji – powiedział Vanno. – Znamy się na tym i jeśli będzie pan współpracował, nikt w księgarni nie zorientuje się nawet, że tu jesteśmy.

– Wątpię.

– Chodźmy.

Z nakazem w ręce Bruce zaprowadził ich na zaplecze, gdzie czekało trzech kolejnych agentów, oczywiście ubranych na sportowo. Zignorował ich, otworzył drzwi i zapalił światło.

– Uwaga na schody – rzucił.

W piwnicy znów zapalił światło, przystanął przed drzwiami do biblioteki i wprowadził kod. Otworzył drzwi, po raz kolejny zapalił światło, a gdy weszli do środka, zatoczył ręką łuk.

– To są pierwsze wydania, bardzo rzadkie książki. Ale rozumiem, że panów nie interesują.

Jeden z agentów wyjął kamerę i zaczął filmować wewnątrz biblioteki.

– Niech pan otworzy sejf – rozkazał Bradshaw.

Bruce go posłuchał i otworzywszy drzwiczki, wskazał górne półki.

– Te są jeszcze rzadsze. Chcecie panowie obejrzeć?

– Może później – odparł Bradshaw. – Zacznijmy od szuflad. – Dobrze wiedział, gdzie szukać.

Bruce otworzył pierwszą. Zawierała dwa cedrowe pudełka, tak jak mówiła Mercer. Wyjął jedno, postawił na stole i otworzył.

– Oryginalny maszynopis powieści *Ciemniejsze niż bursztyn* Johna D. MacDonalda, wydanej w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym szóstym roku. Kupiłem ją dziesięć lat temu i mam fakturę.

Bradshaw i Vanno pochylili się nad maszynopisem.

– Mogę dotknąć? – spytał Vanno; obydwaj byli doświadczonymi specjalistami i wiedzieli, co robią.

– Proszę bardzo.

Maszynopis był w dobrym stanie, prawie bez wyblaknięć. Przerzucili kilka kartek i szybko stracili zainteresowanie.

– A co jest w tamtym? – spytał Bradshaw.

Bruce wyjął z szuflady drugie pudełko, postawił je obok pierwszego i otworzył.

– Oryginalny maszynopis *The Lonely Silver Rain* z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego. Też MacDonalda i też mam stosowną fakturę. – Maszynopis był niezwykle schludny, z notatkami na marginesach. – MacDonald mieszkał na łodzi i prawie nie korzystał z prądu. Pisał na starym underwoodzie i robił to bardzo starannie. Jego maszynopisy są nieskazitelne.

Agenci mieli to gdzieś, mimo to przerzucili kilka kartek.

– Nie jestem pewny, ale Fitzgerald pisał chyba ręcznie, prawda? – dodał Bruce, żeby było śmieszniej.

Tamci nie odpowiedzieli.

Bradshaw spojrzął na sejf.

– Druga szuflada.

Bruce otworzył ją i obaj agenci podeszli bliżej, żeby lepiej widzieć. Ale szuflada była pusta. Trzecia i czwarta też. Zaskoczony Bradshaw spojrzął błędnym wzrokiem na Vanna, który gapił się z niedowierzaniem w dół.

Bradshawowi zakręciło się głowie.

– Proszę opróżnić sejf – rozkazał.

– Naturalnie, ale jest chyba oczywiste, przynajmniej dla mnie, że ktoś musiał panów źle poinformować – powiedział Bruce. – Nie handluję skradzionymi rzeczami, a rękopisy Fitzgeralda omijałbym szerokim łukiem.

– Niech pan opróżni sejf – powtórzył Bradshaw.

Bruce schował maszynopisy do górnej szuflady i zdjął z półki *Buszującego w zbożu*.

– Chcecie panowie obejrzeć?

– Tak.

Bruce otworzył ostrożnie kartonowe pudełko i wyjął książkę. Podniósł ją do góry, żeby tamci mogli ją zobaczyć i sfilmować, po czym schował z powrotem do pudełka.

– Chcecie zobaczyć wszystkie?

– Tak.

– Strata czasu. To są książki, a nie rękopisy.

– Wiemy.

– Te pudełka są robione na zamówienie, pod wymiar. Są za małe, żeby pomieścić rękopis.

Agenci wiedzieli tyle i bez niego, ale czas nie grał roli. Musieli przeprowadzić dokładną rewizję.

Bradshaw ruchem głowy wskazał półki w sejfie.

– Następna.

Bruce zaczął zdejmować z nich pudełko po pudełku, otwierać je, wyjmować książki i jedną po drugiej odkładać na bok. Kiedy to robił, Bradshaw i Vanno kręcili głowami, łypali na siebie spode łba i przewracali oczami. Ogólnie rzecz biorąc, nie mogli sprawiać wrażenia bardziej oszukanych i skonsternowanych.

Kiedy na stół trafiła ostatnia, czterdziesta ósma, książka, sejf opustoszał, nie licząc dwóch maszynopisów MacDonalda w górnej szufladzie. Bradshaw podszedł bliżej, jakby szukał ukrytego schowka, lecz było oczywiste, że żaden by się tam nie zmieścił. Podrapał się w policzek i przeczesał palcami rzednące włosy.

– A te? – Vanno wskazał półki na ścianach.

– To są rzadkie egzemplarze pierwszych wydań, książki, które ukazały się dawno temu – odparł Bruce. – Kolekcja, którą tworzę od dwudziestu lat. Ale to książki, nie rękopisy. Te też chcą panowie obejrzeć?

– Czemu nie? – mruknął Vanno.

Bruce wyjął klucze i otworzył szafki. Agenci rozdzielili się i zaczęli do nich zaglądać, sprawdzać rzędy książek, choć dobrze widzieli, że nie ma wśród nich niczego, co choćby tylko z grubsza przypominało pękaty rękopis. Bruce obserwował ich uważnie, gotów zainterweniować, gdyby którąś zdjęli. Ale byli ostrożni, bardzo profesjonalni i po godzinnej rewizji nie znaleźli absolutnie nic, choć sprawdzili każdy centymetr kwadratowy biblioteki. Gdy wyszli na korytarz, Bruce zamknął drzwi, nie przekręcając klucza w zamku.

Bradshaw popatrzył na półki zapełnione starymi książkami, czasopismami, korektami i egzemplarzami sygnałnymi.

– Możemy się rozejrzeć? – spytał zdesperowany.

– Hm, nakaz obejmuje tylko piwnicę, ale co tam – odparł Bruce. – Proszę bardzo, i tak nic nie znajdziecie.

– Więc zgadza się pan?

– Oczywiście, czemu nie? Zmarnujmy jeszcze trochę czasu.

Rozstawili się w tyralierę i przez pół godziny szperali, gmerali i zaglądali, próbując opóźnić nieuniknione. Przyznanie się do porażki nie wchodziło w rachubę, jednak w końcu się poddali i Bruce odprowadził ich do wyjścia.

Bradshaw wyciągnął do niego rękę.

– Przepraszamy za najście.

Bruce uściśnął mu dłoń.

– To już koniec, czy wciąż jestem podejrzany?

Agent sięgnął do kieszeni i podał mu wizytówkę.

– Jutro zadzwonię i odpowiem.

– Świetnie. Ale chyba lepiej będzie, jeśli to mój adwokat zadzwoni do pana.

– Proszę bardzo.

Kiedy wyszli, Bruce zauważył, że gapią się na niego stojący za ladą sprzedawcy.

– DEA – powiedział. – Szukają laboratorium wytwarzającego metadon. Wracajcie do pracy.

3

Bar Pirata, najstarsza knajpa na wyspie, mieścił się trzy ulice na wschód od księgarni. Wieczorem Bruce i Mike Wood, jego adwokat, spotkali się tam na drinku. Usiedli w kącie i przy bourbonie Bruce opisał przebieg rewizji. Mike był zbyt doświadczonym prawnikiem, żeby spytać klienta, czy wie coś o skradzionych rękopisach.

– Mógłbyś się dowiedzieć, czy wciąż mają mnie na celowniku? – poprosił Bruce.

– Nie wiem, zobaczę – odparł Mike. – Jutro do niego zadzwonię, ale przypuszczam, że mają.

– I będą mnie śledzić przez następne pół roku? Posłuchaj, za tydzień lecę do Francji, do Noelle, i chciałbym wiedzieć, czy zamierzają deptać mi po piętach. Cholera, podam im nawet numery lotów, nie mam nic do ukrycia.

– Dobra, powiem mu, ale musisz założyć, że obserwują każdy twój ruch, podsłuchują wszystkie telefony i czytają wszystkie maile

i SMS-y.

Bruce udał zdumionego i sfrustrowanego, choć tak naprawdę już od dwóch miesięcy podejrzewał, że ktoś – prawdopodobnie FBI, choć niekoniecznie – obserwuje go i podsłuchuje.

Nazajutrz, w środę, Mike Wood dzwonił do Lamara Bradshawa cztery razy, lecz od razu włączała się poczta głosowa. Zostawił cztery wiadomości, ale na żadną nie dostał odpowiedzi. Bradshaw oddzwonił dopiero w czwartek i potwierdził, że tak, pan Cable należy do grona osób, którymi FBI się interesuje, lecz nie jest już obiektem śledztwa.

Wood poinformował go, że jego klient wyjeżdża wkrótce z kraju. Podał mu także numer lotu oraz nazwę hotelu w Nicei, gdzie pan Cable zamierza spędzić kilka dni z żoną. Bradshaw podziękował mu za wiadomość i oznajmił, że FBI nie interesują jego zagraniczne wojaże.

4

W piątek Denny'ego Durbanda i Bryana Bayera *alias* Joego Rookera przewieziono samolotem do Filadelfii, a stamtąd do Trenton, gdzie umieszczono ich w osobnych celach. Denny'ego zaprowadzono następnie do pokoju przesłuchań. Tam posadzono go przy stole, dano mu filiżankę kawy i kazano zaczekać. Agent specjalny McGregor poprosił na korytarz Marka Driscolla i jego adwokata, Gila Petrocellego. Było tam lustro weneckie, za którym siedział samotnie Denny. Sprawiał wrażenie znudzonego.

– Złapaliśmy pańskiego kumpla – powiedział McGregor. – Na Florydzie.

– No i? – spytał Petrocelli.

– No i mamy już trzech, tych, którzy byli w Bibliotece Firestone'a. Napatrzył się pan?

– Tak – odparł Driscoll.

Weszli do pokoju przesłuchań dwoje drzwi dalej. Gdy usiedli przy małym stole, McGregor oświadczył:

– Nie wiemy, kto jeszcze brał udział w skoku, ale wiemy, że nie działaliście sami. Kiedy wy trzej byliście w bibliotece, ktoś z zewnątrz odwrócił uwagę policji, odpalając bomby dymne. Ktoś inny włamał się do uniwersyteckiej sieci bezpieczeństwa i odciął prąd. To już pięciu. Mogło być was więcej, ale to wie tylko pan. Robimy duże postępy w sprawie rękopisów i wkrótce na biurko sędziego trafi świeża porcja aktów oskarżenia. Jesteśmy skłonni zaoferować panu układ układow, panie Driscoll, najlepszy z możliwych. Wszystko pan wyśpiewa i wyjdzie pan na wolność, a akt oskarżenia wyląduje w koszu. Obejmiemy pana programem ochrony świadków, urządzimy pana w ładnym miejscu, damy nowe papiery i dobrą pracę, cokolwiek pan zechce. Jeśli dojdzie do procesu, będzie pan musiał stanąć przed sądem i zeznawać, ale szczerze mówiąc, wątpię, żeby tak się stało.

Osiem miesięcy w areszcie zupełnie Markowi wystarczyło. Teraz spadł mu z ramion wielki ciężar, bo Denny, ten niebezpieczny, został wreszcie zneutralizowany. Groźba zemsty była w tym momencie dużo mniejsza. Trey nie należał do ludzi brutalnych, poza tym od lat uciekał przed wymiarem sprawiedliwości. Gdyby policja знаła jego nazwisko, szybko by go schwytano. Mięczak Ahmed, komputerowy geniusz, bał się własnego cienia i było mało prawdopodobne, żeby chciał się mścić.

– Dajcie mi trochę czasu – poprosił.

– Omówimy to – obiecał Petrocelli.

– Dobrze. Dziś jest piątek. Na podjęcie decyzji dam wam weekend. Przyjdę w poniedziałek rano. Potem wszystkie propozycje przestaną być aktualne.

W poniedziałek Mark poszedł na układ.

5

We wtorek dziewiętnastego lipca Bruce Cable przyleciał z Jacksonville do Atlanty i wsiadł na pokład samolotu Air France do Paryża, gdzie musiał zaczekać dwie godziny na lot do Nicei. Dotarł tam o ósmej rano i pojechał taksówką do Hôtel La Pérouse,

stylowego małego hotelu nad brzegiem morza, który wraz z Noelle odkrył przed dziesięciu laty, podczas pierwszej podróży do Francji. Noelle czekała na niego w holu, bardzo francuska w krótkiej, białej sukience i eleganckim słomkowym kapeluszu z szerokim rondem. Pocałowali się i objęli, jakby nie widzieli się od stu lat, po czym wzięli się za ręce i wyszli na taras nad basenem, gdzie pijąc szampana, znów się pocałowali. Bruce był głodny, poszli więc do pokoju na drugim piętrze i zamówili śniadanie. Zjedli na prywatnym tarasie, a potem trochę się poopalali. W dole kilometrami ciągnęła się plaża, a za plażą połyskiwały w porannym słońcu lazurowe wody Morza Śródziemnego. Bruce nie miał urlopu od wielu miesięcy i zamierzał porządnie odpocząć. Po długiej drzemce złe samopoczucie po podróży minęło i poszli na basen.

On jak zwykle spytał o Jean-Luca, a ona odparła, że wszystko u niego w porządku; przesyłał pozdrowienia. Ona z kolei spytała o Mercer, a on niczego nie ukrywał. Wątpił, żeby mieli ją kiedykolwiek zobaczyć.

Pod wieczór wyszli z hotelu i pięć minut później byli już na starówce, w starej dzielnicy w kształcie trójkąta, głównej atrakcji miasta. Wraz z tłumem turystów chłonęli widok ruchliwych targowisk, oglądali okna wystawowe butików w wąskich dla samochodów uliczkach, zjedli lody i wypili kawę w jednej z licznych kafejek. Błądzili w labiryncie zaułków i kilka razy się zgubili, lecz nie na długo, bo za każdym następnym rogiem widać było morze. Trzymali się za ręce, rzadko się rozdzielali, a czasem się do siebie przytulali.

6

W czwartek wstali późno, zjedli śniadanie, wzięli prysznic, ubrali się i znów poszli na starówkę. Spacerowali po targowiskach, podziwiali niezliczone odmiany kwiatów, z których wielu nie znała nawet Noelle, i wypili espresso w kafejce, patrząc na tłumy turystów wokół barokowej katedry na place Rossetti. Południe zastało ich na skraju najstarszej części miasta, w nieco szerszej uliczce, przez którą

z trudem przeciskały się samochody. Zajrzeli do antykwariatu i Noelle zamieniła kilka słów z właścicielem. Jego pomocnik zaprowadził ich za zleczenie, do małego warsztatu pełnego stołów i szaf na różnych etapach renowacji. Wskazał drewnianą skrzynię i powiedział, że właśnie przyszła. Noelle sprawdziła list przewozowy, przytwierdzony zszywkami do rogu, i poprosiła, żeby ją otworzył. Pomocnik wziął śrubokręt i zaczął wykręcać dwucalowe śruby mocujące pokrywę. Było ich dwanaście, a pracował powoli i metodycznie, tak jak robił to od wielu lat. Bruce obserwował go uważnie, natomiast Noelle bardziej interesował stojący w pobliżu stary stół. Kiedy pomocnik skończył, Bruce pomógł mu zdjąć pokrywę i odstawić ją na bok.

Noelle coś powiedziała i Francuz zniknął. Bruce usunął grubą warstwę pianki zabezpieczającej i nagle zobaczyli spód biurka Mercer. Leżały na nim lica trzech szuflad, które usunięto, żeby zrobić miejsce na ukryty schowek. Bruce ostrożnie podważył spód młotkiem do gwoździ. W środku znajdowało się pięć identycznych cedrowych pudełek zrobionych na zamówienie przez stolarza meblowego z wyspy Camino.

Gatsby i przyjaciele.

7

Naradę zwołano na dziewiątą rano i wyglądało na to, że czeka ich prawdziwy maraton. Na długim stole walały się sterty papierów, jakby siedzieli tu od Bóg wie kiedy. Na końcu stał duży ekran, a obok niego taca z pączkami i dwoma dzbankami kawy. Agent McGregor i trzech innych agentów specjalnych FBI usiedli po jednej stronie; po drugiej – zastępca prokuratora Carlton wraz ze świtą młodych, ponurych mężczyzn w ciemnych garniturach. Honorowe miejsce na szczycie stołu zajęli Mark Driscoll i jego wierny adwokat Petrocelli.

Mark delektował się już myślą o życiu za murami, o wolności w nowym, wspaniałym świecie. Był gotów mówić.

Jako pierwszy zabrał głos McGregor.

– Zaczniemy od składu grupy. W bibliotece było was trzech, tak?

– Tak – potwierdził Mark. – Ja, Jerry Steengarden i Denny Durban.

– A pozostali?

– Na zewnątrz był Tim Maldonado, ksywa Trey. Nie wiem, skąd pochodzi, bo całe życie przed kimś ucieka. Jego matka, Iris Green, mieszka przy Baxter Road w Muncie w Indianie. Możecie z nią pogadać, ale myślę, że od dawna go nie widziała. Dwa lata temu zwiął z więzienia federalnego w Ohio.

– Skąd pan wie, gdzie mieszka jego matka? – spytał McGregor.

– To była część planu. Zapamiętaliśmy kilka bezsensownych szczegółów o rodzinach współników, żeby milczeć w razie wpadki. Myśleliśmy, że to bardzo sprytne, groźba zemsty i tak dalej.

– Kiedy widział go pan ostatni raz?

– Dwunastego listopada zeszłego roku, w dniu, kiedy wyjeżdżaliśmy z Jerrym do Rochester. Został z Dennym. Nie wiem, gdzie może teraz być.

Coś kliknęło i z ekranu uśmiechnął się do nich Trey.

– Jaką pełnił funkcję?

– Odpowiadał za dywersję. Miał odpalić bomby dymne i petardy i doprowadzić do wybuchu zamieszania. Zadzwoił na policję i powiedział, że ktoś strzela do studentów. Ja też dzwoniłem, dwa albo trzy razy, z biblioteki.

– Dobrze, wrócimy do tego. Kogo jeszcze mieliście w grupie?

– Było nas tylko pięciu. Piątym był Ahmed Mansour, Amerykanin libańskiego pochodzenia. Ale cały czas siedział w Buffalo, nie było go w Princeton. Jest hakerem, fałszerzem i specem od komputerów. Długo pracował w wywiadzie, ale wyrzucili go i zszedł na złą drogę. Ma około pięćdziesięciu lat, jest rozwiedziony i mieszka z kobietą przy Washburn Street numer sześćset sześćdziesiąt dwa w Buffalo. O ile wiem, nie jest notowany.

Chociaż cały czas pracowała kamera, wszyscy agenci FBI i prawnicy ze świty prokuratora zawzięcie notowali, jakby miało to jakieś znaczenie.

– Dobrze, skoro było was tylko pięciu, w takim razie kto to jest? – spytał McGregor.

Na ekranie ukazało się zdjęcie Bryana Bayera.

– Nie znam – odparł Mark. – Nigdy go nie widziałem.

– Kilka tygodni temu napadł na mnie na parkingu – wtrącił Petrocelli. – Kazał mi przekazać klientowi, żeby trzymał język za zębami.

– Złapaliśmy go z Durbanem na Florydzie – dodał McGregor. – To zawodowy bandzior, Bryan Bayer *alias* Rooker.

– Nie znam – powtórzył Mark. – Nie należał do grupy. Denny musiał się z nim spiknąć w trasie, kiedy szukał rękopisów.

– Nie chce mówić i niewiele o nim wiemy.

– Ja nie wiem nic.

– Wrócimy do tego. Proszę opowiedzieć o waszym planie. Kto wpadł na ten pomysł?

Mark uśmiechnął się, wypił duży łyk kawy i zaczął mówić.

8

Na lewym brzegu Sekwany, przy rue Saint-Sulpice w sercu szóstej dzielnicy, *monsieur* Gaston Chappelle prowadził mały, schludny antykwariat, w którym od dwudziestu ośmiu lat nie zaszły prawie żadne zmiany. W centrum Paryża jest wiele takich sklepików, a każdy specjalizuje się w czymś innym. Domeną antykwariatu *monsieur* Chappelle'a były rzadkie francuskie, hiszpańskie i amerykańskie powieści z dziewiętnastego i dwudziestego wieku. Jego znajomy, właściciel antykwariatu dwa sklepy dalej, zajmował się tylko starymi mapami i atlasami. Kolejny znajomy, z antykwariatu za rogiem, handlował starymi drukami i listami postaci historycznych. Ogólnie rzecz biorąc, w tego rodzaju przybytkach panował bardzo mały ruch – dużo oglądania i mało kupowania. Ich klientami byli poważni kolekcjonerzy z całego świata, a nie turyści szukający czegoś do czytania.

W poniedziałek dwudziestego piątego lipca *monsieur* Chappelle zamknął antykwariat o jedenastej, wszedł do czekającej taksówki i dwadzieścia minut później wysiadł przed biurowcem przy avenue Montaigne w ósmej dzielnicy. Wchodząc do budynku, rozejrzał się ostrożnie, choć nie spodziewał się ujrzeć niczego niezwykłego. Jego

misja była całkowicie legalna, przynajmniej według francuskiego prawa.

Zamienił kilka słów z recepcjonistką i zaczął, aż ta zadzwoni na górę. Żeby zabić czas, spacerował po holu, podziwiając obrazy na ścianach i chłonąc wszechobecny przepych, świadectwo wielkości i ambicji. Wielkie mosiężne litery i nazwa: Scully & Pershing. Firma prawnicza z oddziałami w czterdziestu czterech miastach – dokładnie je policzył – we wszystkich najważniejszych krajach świata oraz w kilku pomniejszych. Odwiedził ich stronę internetową i wiedział, że zatrudniają trzy tysiące prawników i są największą tego rodzaju firmą na świecie.

Potwierdziwszy, że jest umówiony, recepcjonistka skierowała go na drugie piętro. *Monsieur* Chappelle wszedł tam schodami i wkrótce znalazł gabinet niejakiego Thomasa Kendricka, starszego wspólnika, którego wybrał tylko dlatego, że czterdziestoosmioletni Kendrick był absolwentem Uniwersytetu Princeton, choć studiował także prawo na Columbii i na Sorbonie. Pochodził z Vermontu, lecz miał podwójne obywatelstwo. Ożenił się z Francuzką i ukończywszy Sorbonę, osiadł w Paryżu na stałe. Specjalizował się w skomplikowanych międzynarodowych sporach prawnych, dlatego, przynajmniej przez telefon, nie wykazywał zbyt wielkiego zainteresowania spotkaniem z maluczkiem antykwariuszem. Ale *monsieur* Chappelle był uparty.

Mówiąc po francusku, wymienili sztywno uprzejmości powitalne i Kendrick spytał:

– Więc w czym mógłbym panu pomóc?

– Zasiadał pan kiedyś w radzie nadzorczej Uniwersytetu Princeton i wciąż utrzymuje pan bliskie stosunki z władzami uczelni – odparł *monsieur* Chappelle. – Wiem, że zna pan także rektora, doktora Carlisle’a.

– Tak, jestem bardzo zaangażowany w sprawy mojej uczelni – potwierdził Kendrick. – Czy to ważne?

– Bardzo. Mam przyjaciela, którego znajomy zna kogoś, kto jest w posiadaniu rękopisów Scotta Fitzgeralda. Ten ktoś chciałby zwrócić je uniwersytetowi, oczywiście za stosowną cenę.

Kamienna twarz profesjonalisty biorącego tysiąc dolarów za godzinę konsultacji momentalnie zwiotczała; Kendrick rozdziawił

usta i wybałuszył oczy. Wyglądał tak, jakby ktoś kopnął go w brzuch.

– Jestem tylko pośrednikiem – ciągnął *monsieur* Chappelle – podobnie jak pan. Pańska pomoc jest nieodzowna.

Ostatnią rzeczą, jakiej Kendrick potrzebował, było kolejne zadanie, zwłaszcza takie, na którym nic by nie zarobił i które pochłonęłoby jego cenny czas. Jednak pokusa partycypowania w tak cudownie unikalnej transakcji była nie do odparcia. Jeśli wierzyć temu szaraczkowi, on, Thomas Kendrick, miałby odegrać znaczącą rolę w odzyskaniu czegoś, co jego Alma Mater ceniła ponad wszystko. Głośno odchrząknął.

– Rozumiem, że rękopisy są bezpieczne i w komplecie.

– W rzeczy samej – potwierdził *monsieur* Chappelle.

Kendrick uśmiechnął się. W głowie miał gonitwę myśli.

– A do wymiany miałoby dojść...

– Tu, w Paryżu. Wszystko jest dokładnie zaplanowane i trzeba dokładnie przestrzegać poleceń. Mamy do czynienia z przestępcą, który wszedłszy w posiadanie bezcennych aktywów, nie chce zostać schwytany, to oczywiste. Jest bardzo sprytny i wyrachowany, dlatego wystarczy jeden fałszywy krok, nieporozumienie czy najmniejsza zapowiedź kłopotów, i rękopisy znikną na zawsze. Na ich odzyskanie Princeton będzie miał tylko tę jedną jedyną szansę. Zawiadomienie policji byłoby poważnym błędem.

– Nie jestem pewien, czy władze uczelni zechcą zaangażować się w to bez udziału FBI. Ale oczywiście to tylko moje przypuszczenia...

– W tym przypadku z układu nici. Kropka. Princeton już nigdy tych rękopisów nie zobaczy.

Kendrick wstał i wcisnął głębiej koszulę w szyte na miarę spodnie. Podszedł do okna, spojrział w pustkę i spytał:

– A cena?

– Jest astronomiczna.

– Domyślam się, ale muszę im jakąś podać.

– Cztery miliony dolarów za jeden rękopis. Nie do negocjacji.

Na zawodowcu prowadzącym spory prawne warte miliardy, dwadzieścia milionów dolarów nie zrobiło wrażenia. Kendrick wiedział, że Princeton też nie wpadnie w panikę. Wątpił, żeby rektor trzymał tyle w szufladzie, ale uniwersytet miał tysiące zamożnych absolwentów i dwadzieścia pięć miliardów darowizn.

Odwrócił się i spojrzał na antykwariusza.

– Będę musiał wykonać kilka telefonów. Kiedy się spotkamy?

Monsieur Chappelle wstał.

– Jutro. I ponownie ostrzegam: jeśli zaangażuje się w tę sprawę policja, francuska czy amerykańska, dojdzie do katastrofy.

– Rozumiem. Dziękuję, że zechciał pan wpaść. – Uścisnęli sobie ręce i pożegnali się.

O dziesiątej następnego dnia przed Pałacem Luksemburskim przy rue de Vaugirard zatrzymał się czarny mercedes. Thomas Kendrick otworzył tylne drzwi, wysiadł i ruszył chodnikiem przed siebie. Bramą z kutego żelaza wszedł do słynnego ogrodu i wmieszał się w tłum nad Grand Bassin, gdzie setki paryżan i odwiedzających miasto turystów spędzały poranek na siedzeniu, czytaniu i opalaniu się. Dzieci puszczały łódki na wodzie. Pod niskimi betonowymi murkami obściskiwali się młodzi kochankowie. Alejkami truchtały grupki rozgadanych i roześmianych biegaczy. Pod pomnikiem Delacroix bez powitania dołączył do niego Gaston Chappelle z walizką w ręce. Szeroką aleją oddalili się od basenu.

– Czy jestem obserwowany? – spytał Kendrick.

– Są tu jacyś, tak – odparł *monsieur Chappelle*. – On ma współników. A ja? Ktoś mnie obserwuje?

– Zapewniam pana, że nie.

– To dobrze. Rozumiem, że rozmowy były owocne.

– Za dwie godziny lecę do Stanów. Jutro spotykam się z władzami uczelni. Znają zasady. Jak się pan zapewne domyśla, żądają jakiegoś dowodu.

Nie zatrzymując się, *monsieur Chappelle* wyjął z walizki kartonową teczkę.

– To powinno wystarczyć.

– Mogę wiedzieć, co to jest? – spytał Kendrick, nie zwalniając kroku.

Monsieur Chappelle posłał mu szelmowski uśmiech.

– *Wielki Gatsby*, pierwsza strona rozdziału trzeciego. Według mnie, autentyk.

Kendrick stanął jak wryty i wymamrotał:

– Boże...

9

Doktor Jeffrey Brown pokonał pędem kampus i wpadł na schody Nassau Hall, gmachu uniwersyteckiej administracji. Jako dyrektor sekcji rękopisów Działu Ksiąg Rzadkich i Zbiorów Specjalnych w Bibliotece Firestone'a, nie pamiętał swojej ostatniej wizyty u rektora. A już z całą pewnością nigdy nie wezwano go na „pilną” naradę. Nie miał aż tak ważnej pracy.

Sekretarka już czekała i zaprowadziła go do gabinetu rektora Carlisle'a, który też niecierpliwie czekał, w dodatku stojąc. Doktora przedstawiono uniwersyteckiemu radcy prawnemu, Richardowi Farleyowi, i Thomasowi Kendrickowi. Panujące w gabinecie napięcie było namacalne, przynajmniej dla Browna.

Carlisle zaprosił ich do małego stołu konferencyjnego, spojrzął na Browna i powiedział:

– Przepraszam, że wzywam pana bez uprzedzenia, ale mamy tu coś, co wymaga natychmiastowej weryfikacji. Wczoraj w Paryżu pan Kendrick otrzymał pojedynczą kartkę papieru, która jest jakoby pierwszą stroną trzeciego rozdziału oryginalnego rękopisu *Wielkiego Gatsby'ego* Francisa Scotta Fitzgeralda. Proszę spojrzeć.

Przysunął bliżej kartonową teczkę i otworzył ją. Brown spojrzął, głośno wciągnął powietrze, delikatnie dotknął prawego górnego rogu kartki i ukrył twarz w dłoniach.

10

Dwie godziny później rektor zwołał kolejną naradę przy tym samym stole. Doktorowi Brownowi podziękowano i jego krzesło zajęła Elaine Shelby. Obok niej siedział Jack Lance, jej klient, szef towarzystwa ubezpieczeniowego, któremu groziła strata dwudziestu pięciu milionów dolarów. Elaine nie otrząsnęła się jeszcze po bolesnej porażce, jaką była błyskotliwa, lecz nieudana próba przygwożdżenia Bruce'a Cable'a, jednak szybko wzięła się w garść na wiadomość, że rękopisy nie przepadły. Wiedziała, że Cable'a nie

ma już na wyspie, lecz nie miała pojęcia, że jest we Francji. FBI wiedziało wprawdzie, że poleciał do Nicei, ale nie śledziło go i nie poinformowało Elaine o jego wyjeździe.

Naprzeciwko niej i Lance'a siedzieli Thomas Kendrick i Richard Farley. Rektor podał im teczkę.

– Otrzymaliśmy to wczoraj w Paryżu. Jest to kartka z rękopisu *Wielkiego Gatsby'ego* i już potwierdziliśmy jej autentyczność.

Elaine zajrzała do teczki. Zajrzał i Lance, lecz żadne z nich nie zareagowało. Kendrick opowiedział im o spotkaniu z Gastonem Chappelle'em i przedstawił warunki umowy. Gdy skończył, głos zabrał Carlisle.

– Naszym priorytetem jest oczywiście odzyskanie rękopisów. Byłoby miło, gdyby policja złapała przy okazji pasera, ale nie to jest teraz najważniejsze.

– Więc nie włączamy w to FBI? – spytała Elaine.

– Z prawnego punktu widzenia nie musimy – odparł Farley. –

W prywatnych transakcjach nie ma nic złego, ale chcielibyśmy poznać pani opinię. Zna pani tych z FBI dużo lepiej niż my.

Elaine odsunęła teczkę i zastanowiła się.

– Dwa dni temu rozmawiałam z Lamarem Bradshawem. –

Mówiła powoli, ważąc każde słowo. – Trzech złodziei, tych, którzy ukradli rękopisy, już siedzi, jeden poszedł na ugodę. Ich współników jak dotąd nie schwytano, ale FBI zna ich nazwiska i poszukiwania są w toku. Jeśli chodzi o Biuro, sprawa jest rozwiązana. Na tego rodzaju prywatną transakcję będą patrzeć krzywym okiem, ale to rozumieją. Co więcej, ucieszą się, że odzyskano rękopisy.

– Już to pani przerabiała? – spytał rektor.

– O tak, wiele razy. Potajemnie zapłacony okup. Zwrot skradzionego przedmiotu. Wszyscy są zadowoleni, zwłaszcza właściciel. No i złodziej czy paser.

– Sam nie wiem... – wahał się Carlisle. – FBI ściśle z nami współpracowało, od samego początku. Wyłączenie ich w tym momencie wydaje się niestosowne.

– FBI nie ma prawa działać we Francji – przypomniała mu Elaine.

– Będą musieli wciągnąć do współpracy tamtejsze władze i stracimy kontrolę. Taki krok wymagałby zaangażowania mnóstwa ludzi

i wszystko mogłoby się skomplikować. Jeden mały błąd, drobiazg nie do przewidzenia, i żegnajcie rękopisy.

– Założmy, że je odzyskamy... Jak zareaguje na to FBI? – spytał Farley.

Elaine uśmiechnęła się.

– Znam Lamara Bradshawa bardzo dobrze. Jeśli rękopisy trafią z powrotem do waszej biblioteki, a złodzieje za kratki, będzie się cieszył jak dziecko. Śledztwa nie zamknie i przez kilka miesięcy będzie liczył na to, że paser popełni jakiś błąd, ale gwarantuję, że wkrótce pójdziemy na drinka i pośmiejemy się z tego.

Carlisle spojrział na Farleya i Kendricka.

– W takim razie zgoda – zdecydował. – Działajmy bez nich. Teraz drażliwa kwestia pieniędzy. Panie Lance?

Lance odchrząknął.

– Jesteśmy wam winni dwadzieścia pięć milionów dolarów, ale wypłacilibyśmy tę kwotę tylko w przypadku straty całkowitej, tymczasem zanoszą się na coś zupełnie innego.

– Fakt – rzucił z uśmiechem Carlisle. – Zakładając, że paser ma wszystkie pięć rękopisów, rachunek jest prosty. Ile z tych dwudziestu milionów bylibyście skłonni wyłożyć?

– Połowę – odparł bez wahania Lance. – Nie więcej.

Carlisle liczył na dużo mniej i jako akademik nie czuł się na siłach negocjować kwoty z zaprawionym w bojach ubezpieczycielem. Spojrział na Farleya i polecił:

– Niech pan zorganizuje drugą połowę.

11

Po drugiej stronie rue Saint-Sulpice, niespełna dwanaście metrów od drzwi *librairie* Gastona Chappelle'a, był Hôtel Proust, stary, urokliwy, trzypiętrowy hotelik z ciasnymi pokoikami i jedną windą, która z trudem mieściła dorosłą osobę z bagażem. Posługując się fałszywym kanadyjskim paszportem, Bruce wynajął pokój na ostatnim piętrze i zainstalował w oknie małą kamerę, którą wyceLOWAŁ w drzwi antykwariatu *monsieur* Chappelle'a. Obraz

z kamery odbierał na żywo na smartfonie w swoim pokoju w pobliskim Hôtel Delacroix przy rue de Seine. Ten sam obraz odbierała także Noelle, tyle że w Hôtel Bonaparte. Na jej łóżku leżało pięć rękopisów, każdy w innej torbie na zakupy.

Punktualnie o jedenastej Noelle zeszła do recepcji i poprosiła, żeby pokojówki nie sprzątały w jej pokoju, ponieważ mąż jeszcze śpi. Wyszła z torbą na ulicę i przystanęła przed oknem wystawowym butik naprzeciwko. Bruce minął ją i nie zatrzymując się, wziął od niej torbę. Noelle wróciła do hotelu, żeby przypilnować pozostałych rękopisów i obserwować sklep *monsieur* Chappelle'a.

Tymczasem Bruce poszedł na spacer w stronę fontanny przed klasycystycznym kościołem Saint-Sulpice, gdzie zabił trochę czasu, próbując zniknąć w tłumie turystów i pokręcić się przed tym, co go czekało. Następne godziny miały radykalnie odmienić jego życie. Jeśli tamci zastawili zasadzkę, przewiozą go w kajdankach do kraju i na wiele lat pošlą do więzienia. Ale jeśli mu się uda, zostanie milionerem i tylko Noelle będzie o wszystkim wiedziała. Przeszedł kilka ulic, krążąc i sprawdzając, czy nikt go nie śledzi. W końcu uznał, że już czas.

Wszedł do antykwariatu. *Monsieur* Chappelle pochylał się nad starym atlasem, jednocześnie obserwując ulicę. W sklepie nie było klientów; sprzedawca dostał wolne. Przeszli do zagraconego pokoiku na zapleczu i Bruce wyjął z torby cedrowe pudełko. Otworzył je, a potem otworzył drugie, kartonowe, to w środku.

– *Po tej stronie raj.*

Monsieur Chappelle ostrożnie dotknął wierzchniej kartki.

– Wygląda w porządku.

Bruce zostawił go na zapleczu. Otworzył i zamknął za sobą frontowe drzwi, rozejrzał się po wąskiej uliczce i odszedł najbardziej nonszalanckim krokiem, na jaki było go stać. Noelle, która bacznie oglądała obraz z kamery zainstalowanej w Hôtel Proust, nie zauważyła nic niezwykłego.

Monsieur Chappelle wyjął komórkę na kartę, zadzwonił do banku Credit Suisse w Genewie i poinformował swój kontakt, że dokonano pierwszej dostawy. Zgodnie z instrukcjami Bruce'a, główny skarbiec na pieniądze z okupu – anonimowe konto numeryczne – założono w Zurychu, w banku AGL. Tam też Genewa przelała pierwszą ratę,

którą natychmiast przetransferowano na inne konto numeryczne w banku w Luksemburgu.

Czuwający w hotelowym pokoju Bruce otrzymał mail potwierdzający obydwie transakcje.

Przed antykwariatem *monsieur* Chappelle'a zatrzymał się czarny mercedes. Thomas Kendrick wysiadł, wszedł do sklepiku i niecałą minutę później wyszedł z rękopisem w ręce. Pojechał prosto do biura, gdzie czekał doktor Jeffrey Brown w towarzystwie innego bibliotekarza z Princeton. Ci otworzyli pudełka i oniemieli z zachwytu.

Cierpliwość jest cnotą, ale czekanie było udręką. Bruce przebrał się i poszedł na długi spacer. W ogródku kafejki przy rue des Écoles w Dzielnicy Łacińskiej z trudem zdołał zjeść sałatkę. Dwa stoliki dalej usiadła Noelle, która zamówiła kawę. Nie zwracali na siebie uwagi do chwili, kiedy Bruce wyszedł z plecakiem, który położyła na krześle. Kilka minut później znów wszedł do antykwariatu i zaskoczony zobaczył, że *monsieur* Chappelle gawędzi z klientem. Powoli wycofał się na zaplecze i położył plecak na biurku. Kiedy Chappelle'owi udało się w końcu wymknąć, otworzyli drugie cedrowe pudełko i popatrzyli na niewyraźne bazgroły Fitzgeralda.

– *Piękni i przekłęci* – powiedział Bruce. – Wyszła w tysiąc dziewięćset dwudziestym drugim, jego najsłabsza powieść.

– Wygląda w porządku – ocenił *monsieur* Chappelle.

– Proszę zadzwonić – rzucił Bruce i wyszedł.

Kwadrans później banki potwierdziły przelew. Wkrótce potem w tym samym miejscu zatrzymał się ten sam czarny mercedes i Thomas Kendrick odebrał od antykwariusza drugą przesyłkę.

Według dat wydania następny był *Gatsby*, ale Bruce zachował go na koniec. Wszystko szło zgodnie z planem i jego fortuna powoli rosła, mimo to martwił się o ostatnią dostawę. Poszedł do Ogrodu Luksemburskiego i poszukał Noelle. Siedziała pod rozłożystym wiązem, a obok niej leżała papierowa torebka z nazwą piekarni. Żeby było bardziej wiarygodnie, z torebki wystawała bagietka. Wracając do antykwariatu, Bruce odłamał kawałek i włożył go do ust. O wpół do trzeciej wszedł do sklepiku, wręczył przyjacielowi torebkę z resztką bagietki i cedrowym pudełkiem, po czym szybko wyszedł. *Czuła jest noc* wróciła do właściciela.

Żeby trochę namieszać, trzeci przelew trafił najpierw do oddziału Deutsche Bank w Zurychu, a potem na konto numeryczne w Londynie. Kiedy transakcja została potwierdzona, siedmiocyfrowa suma na koncie Bruce'a zmieniła się w ośmiocyfrową.

Do antykwariatu znów przyjechał Kendrick. Odebrał trzecią przesyłkę i doktor Brown dostał zawrotu głowy na widok powiększającej się kolekcji.

Czwarty rękopis, *Ostatni z wielkich*, był ukryty w torbie gimnastycznej, którą Noelle zaniósła do polskiej księgarni przy boulevard Saint-Germain. Kiedy przeglądała książki, Bruce zaniósł torbę do *librairie* Chappelle'a oddalonej o cztery minuty piechotą od księgarni.

Szwajcarskie banki kończą pracę o piątej. Kilka minut przed czwartą *monsieur* Chappelle zadzwonił do Thomasa Kendricka ze złą nowiną. Za *Wielkiego Gatsby'ego* jego znajomy żądał zapłaty z góry. Zachowując zimną krew, Kendrick odparł, że to nie do przyjęcia. Umówili się inaczej, a jak dotąd obie strony przestrzegały wszystkich warunków.

– To prawda – potwierdził uprzejmie *monsieur* Chappelle. – Mój znajomy widzi w tym jednak pewne niebezpieczeństwo, ponieważ kiedy dostarczy ostatnią przesyłkę, możecie odmówić przelania ostatniej raty.

– A co będzie, jeśli ją przelejemy, a on zatrzyma rękopis? – odparował Kendrick.

– Cóż, musicie zaryzykować. On nie ustąpi.

Kendrick wziął głęboki oddech i spojrzał na przerażoną twarz doktora Browna.

– Oddzwonię za kwadrans – powiedział.

Tymczasem doktor Brown telefonował już do Princeton, gdzie przy rektorskim biurku od pięciu godzin czuwał Carlisle. Nie było o czym mówić. Uniwersytet chciał mieć *Gatsby'ego* dużo bardziej niż paser kolejne cztery miliony. Nie zamierzali ryzykować.

Kendrick zadzwonił do Paryża i przekazał jego decyzję. Gdy za kwadrans piąta potwierdzono ostatni transfer, *monsieur* Chappelle zadzwonił do Kendricka z wiadomością, że z rękopisem w ręce siedzi właśnie w taksówce przed jego biurowcem.

Kendrick, doktor Brown i jego kolega wypadli z gabinetu. Na złamanie karku szerokimi schodami pognali na dół i minawszy przerażoną recepcjonistkę, wybiegli na ulicę w chwili, kiedy *monsieur* Chappelle wysiadał z taksówki. Podał im grubą teczkę i zapewnił, że jest w niej cały *Gatsby* z wyjątkiem pierwszej strony trzeciego rozdziału.

Bruce Cable obserwował ich ze śmiechem, opierając się o drzewo pięćdziesiąt metrów dalej.

Epilog

W nocy kampus pokryła dwudziestocentymetrowa warstwa śniegu, więc już od rana do boju ruszyły pługi i szufle, by czyścić alejki i schody. Studenci, w ciężkich butach i grubych kurtkach, nie snuli się po kampusie w przerwach między wykładami. Było mroźnie i wiał przenikliwy wiatr.

Według internetowego planu zajęć, powinna być w Quigley Hall, gdzie uczyła twórczego pisania. Znalazł budynek, znalazł salę, przywarował w ciepłym holu na pierwszym piętrze i czekał tam do za kwadrans jedenasta. Potem wymknął się na zaśnieżony kampus i powalał się trochę po chodniku. Aby nie wzbudzać podejrzeń, udawał, że rozmawia przez komórkę, ale było za zimno, żeby ktoś zwrócił na niego uwagę. Ciepło opatulony mógł uchodzić za studenta. Wreszcie wyszła i ruszyła w przeciwną stronę w tłumie studenckiej braci, który szybko się powiększył, gdy w sąsiednich budynkach też skończyły się zajęcia. Szedł za nią w dyskretnej odległości i zauważył, że towarzyszy jej młody mężczyzna z plecakiem. Skręcili raz, skręcili po raz drugi i wyglądało na to, że idą w kierunku ciągu sklepów, kawiarni i barów tuż za kampusem Uniwersytetu Illinois. Kiedy przechodzili na drugą stronę ulicy, mężczyzna wziął ją za łokieć, lecz gdy przyspieszyli kroku, zabrał rękę.

Weszli do kawiarni, a on do sąsiadującego z nią baru. Schował rękawiczki do kieszeni i zamówił czarną kawę. Odczekał kwadrans, ogrzał się i wszedł do kawiarni. Kurtki i szaliki na oparciach krzeseł, na stoliku fikuśne espresso – Mercer i jej znajomy siedzieli obok siebie pogrążeni w rozmowie. Nie widziała, że idzie w ich stronę.

– Jak się masz, Mercer? – rzucił, ignorując jej znajomego.

Zaskoczona, nawet oszołomiona, głośno wciągnęła powietrze. Bruce spojrział na towarzyszącego jej mężczyznę.

– Przepraszam, ale muszę z nią chwilę porozmawiać. Przyjechałem z bardzo daleka.

– Hej, no co jest? – warknął młody człowiek gotów do bójki.

Mercer dotknęła jego ręki.

– Wszystko w porządku. Daj nam parę minut.

Jej towarzysz powoli wstał, wziął filiżankę i odchodząc, celowo go potrącił. Bruce nie zareagował. Usiadł na jego krześle i uśmiechnął się.

– Całkiem miłutki. To twój student?

Mercer zebrała się w sobie i odparła:

– Ty na poważnie? Nie twoja sprawa.

– Masz rację. Świetnie wyglądasz, nawet bez opalenizny.

– To Środkowy Zachód, daleko stąd do plaży, poza tym jest luty.

Czego chcesz?

– U mnie wszystko w porządku, dzięki, że spytałaś. A co u ciebie?

Jak sobie radzisz?

– Świetnie. Jak mnie znalazłeś?

– Przecież się nie ukrywasz. Mort Gasper jadł lunch z twoją agentką, która opowiedziała mu smutną historię o nagłej śmierci Wally’ego Starke’a. Biedak zmarł zaraz po Bożym Narodzeniu i uniwersytet szukał szybkiego zastępstwa, specjalisty od twórczego pisania, najlepiej pisarza albo pisarki. No i znalazł. Jak ci się tu podoba?

– Jest okay. Zimno i wietrznie. – Mercer upiła łyk kawy. Ani ona, ani on nie uciekali wzrokiem w bok.

– Jak twoja powieść? – spytał z uśmiechem.

– Żyje. Mam już połowę, dużo piszę. Codziennie.

– Zelda i Ernest?

Uśmiechnęła się, chyba z rozbawieniem.

– Nie, to był głupi pomysł.

– Dosyć, ale o ile pamiętam, bardzo ci się podobał. Więc o czym jest ta powieść?

Mercer wzięła głęboki oddech, rozejrzała się i znów uśmiechnęła.

– O babci Tessie. O jej życiu na plaży, o wnuczce i romansie z młodszym mężczyzną. Wszystko ładnie zbeletryzowane.

- Ten mężczyzna to Porter?
 - Ktoś bardzo podobny.
 - Dobrze, podoba mi się. Nowy Jork już to widział?
 - Moja agentka przeczytała pierwszą połowę i tryska entuzjazmem. Myślę, że coś z tego będzie. To nie do wiary, ale... ale miło cię widzieć, Bruce. Byłam w szoku, jednak teraz...
 - Mnie też jest miło. Nie przypuszczałem, że do tego dojdzie.
 - Więc dlaczego doszło? Co cię sprowadza?
 - Niedokończona sprawa.
- Mercer wytarła serwetką usta.
- Powiedz, kiedy zacząłeś mnie podejrzewać?
- Spojrzał na jej kawę, rodzaj latte ze zbyt dużą ilością piany, chyba karmelowej, którą strzyknięto z pojemnika.
- Mogę? – spytał.
- Nie zaprotestowała, więc upił łyk.
- Kiedy? Kiedy tylko przyjechałaś. Byłem już w stanie podwyższonego pogotowia i uważałem na każdą nową twarz, nie bez powodu. Miałaś doskonałą przykrywkę, idealną podkładkę, więc pomyślałem, że może jest autentyczna. Ale jednocześnie przyszło mi do głowy, że może to czyjś błyskotliwy plan. Powiesz mi, kto wpadł na ten pomysł?
- Wolałabym nie.
 - W porządku. Im bardziej się do mnie zbliżałaś, tym bardziej stawałem się podejrzliwy, poza tym instynkt mówił mi, że krąg szybko się zacieśnia. Za dużo obcych twarzy w księgarni, za dużo wścibskich „turystów”. Potwierdziłaś moje obawy, więc wykonałem stosowny ruch.
 - I wyszedłeś z tego suchą stopą, co?
 - Tak. Miałem szczęście.
 - Moje gratulacje.
 - Jesteś wspaniałą kochanką, ale fatalnym szpiegiem.
 - Przyjmuję to za komplement, jedno i drugie. – Wypiła łyk kawy i podała mu filiżankę. – Więc còż to za niedokończona sprawa? – spytała, kiedy ją zwrócił.
 - Chciałem cię spytać, dlaczego to zrobiłaś. Mogłaś posłać mnie za kratki na wiele lat.

– A czy oszuści i paserzy nie ryzykują, handlując skradzionym towarem? Ryzyko zawodowe.

– Nazywasz mnie oszustem i paserem?

– Oczywiście.

– Hm, w takim razie ja nazwę cię małą, podstępłą rozpustnicą.

Roześmiała się.

– Dobra, jesteśmy kwita – rzuciła. – Masz w zanadrzu jeszcze jakieś epitety?

On też się roześmiał.

– Nie, nie w tej chwili.

– Ja mam wiele, ale tych dobrych jest więcej niż złych.

– Cóż, wypada mi chyba podziękować. Ale wróćmy do mojego pytania. Dlaczego to zrobiłaś?

Mercer odetchnęła i znów się rozejrzała. Jej znajomy siedział w kącie, grzebiąc w telefonie.

– Dla pieniędzy – odparła. – Byłam spłukana, zadłużona i bezbronna. Ale to tylko wymówki, mnóstwo wymówek. Zawsze będę tego żałowała. Przepraszam.

– Właśnie po to przyjechałem – powiedział z uśmiechem. – Tego chciałem.

– Przepraszam?

– Tak. I je przyjmuję. Nie żywię do ciebie urazy.

– Jesteś niezwykle wspaniałomyślny.

– Stać mnie na to – odparował i oboje stłumili śmiech.

– A ty? – spytała. – Dlaczego, Bruce? Tak, jasne, kiedy spojrzysz na to dzisiaj, było warto, ale wtedy? Bardzo ryzykowałeś.

– Nie planowałem tego, wierz mi. Owszem, kupiłem i sprzedałem kilka książek na czarnym rynku, to prawda. Te dni już minęły, ale pewnego razu, kiedy spokojnie pilnowałem własnego nosa, ktoś do mnie zadzwonił. Jedno doprowadziło do drugiego i plan szybko nabralo rozpędu. Dostrzegłem okazję, postanowiłem ją wykorzystać i wkrótce miałem to, co chciałem. Sęk w tym, że cały czas błądziłem w ciemności i nie wiedziałem, gdzie są ci źli, zbliżają się czy nie. Ale kiedy się pojawiłaś i zrozumiałem, że mam w domu szpiega, musiałem coś zrobić. I zrobiłem. Dzięki tobie, Mercer.

– Próbujesz mi podziękować?

– Tak. Jestem ci niezmiernie wdzięczny.

– Drobiazg, nie ma o czym mówić. Sam powiedziałeś: jestem fatalnym szpiegiem.

Wymieniając się filiżanką, pili kawę i cieszyli się rozmową.

– Przyznam ci się, że kiedy przeczytałam, że rękopisy wróciły do Princeton, obśmiałam się jak norka. Było mi głupio, że dałam się tak wykorzystać, ale jednocześnie pomyślałam: dobra robota, Bruce.

– Tak, to była niezła przygoda, ale już z tym skończyłem.

– Wątpię.

– Przysięgam. Posłuchaj, chcę, żebyś wróciła na wyspę. To miejsce dużo dla ciebie znaczy. Dom babci, plaża, przyjaciele, księgarnia, Noelle, ja: drzwi są otwarte.

– Skoro tak mówisz... Co słyszeć u Andy'ego? Nie mogę przestać o nim myśleć.

– Jest trzeźwy, zaparł się i nie pije. Dwa razy w tygodniu chodzi na spotkania AA i pisze jak szalony.

– Cudownie.

– W zeszłym tygodniu rozmawiałem o tobie z Myrą. Wielu pytało, dlaczego tak nagle wyjechałaś, ale nikt nic nie wie. To twoje miejsce, Mercer, i chciałbym, żebyś nas odwiedziła. Skończ powieść, przyjedź i wydamy huczne przyjęcie.

– Jesteś bardzo miły, ale przy tobie zawsze będę podejrzliwa. Może kiedyś wrócę, ale o Pokoju Pisarza możesz od razu zapomnieć.

Ścisnął jej rękę i wstał.

– Zobaczymy. – Pocałował ją w czubek głowy. – Do szybkiego, Mercer.

Przecisnął się między stolikami i wyszedł, a ona odprowadziła go wzrokiem.

Od autora

Pozwólcie, że najpierw przeproszę Uniwersytet Princeton. Jeśli jego strona internetowa nie kłamie, a nie mam powodu do takich podejrzeń, oryginalne rękopisy F. Scotta Fitzgeralda naprawdę spoczywają w Bibliotece Firestone'a. Nie wiem tego z pierwszej ręki. Nigdy nie widziałem tej biblioteki, a już na pewno nie odwiedziłem jej, pisząc tę powieść. Dla mnie rękopisy Fitzgeralda mogą leżeć w piwnicy, na strychu czy w tajnym grobie strzeżonym przez uzbrojonych po zęby strażników. Nie chciałem podawać ich dokładnej lokalizacji głównie dlatego, żeby w czyjejs pomyłonej głowie nie załęgła się przestępcza myśl.

Od swojej pierwszej powieści wiem, że napisać książkę jest dużo łatwiej, niż ją sprzedać. Ponieważ nie mam zielonego pojęcia o tym aspekcie branży wydawniczej, musiałem wesprzeć się radami mojego starego przyjaciela Richarda Howortha, właściciela Square Books w Oxfordzie w Missisipi, który przejrzał maszynopis i zasugerował mnóstwo poprawek. Dzięki, Richard.

Świat rzadkich książek jest fascynujący, a ja tylko go liznąłem. Dlatego ilekroć potrzebowałem pomocy, zwracałem się do Charliego Lovetta, Michaela Suareza oraz do Toma i Heidi Congaltonów, właścicieli Between the Covers Rare Books. Bardzo im dziękuję.

W krytycznych chwilach pomogli mi także David Routh z Chapel Hill i Todd Doughty z Carbondale.